



Alistair MacLean

HMS ULISSES



Alistair MacLean

HMS ULISSES

Rozdział I

Preludium: Niedziela po południu

Powoli, z rozmysłem Starr zduślił niedopałek papierosa. Kapitanowi Val ery'emu wydało się, że gest ten zawierał w sobie dziwny posmak ostatecznej decyzji. Wiedział, co nastąpi, i pomimo tępego bólu głowy, jaki nie opuszczał go przez ostatnie dni, tylko przez moment uczuł gorycz klęski. Lecz trwało to tylko chwilę. Był porządnie zmęczony - zbyt zmęczony, aby się przejąć.

- Przykro mi, panowie, naprawdę przykro. - Starr uśmiechnął się lekko. - Nie z powodu rozkazów. Mogę was zapewnić, że decyzja Admiralicji (jestem o tym osobiście przekonany) jest w obecnej sytuacji jedynie słuszna i uzasadniona. Lecz żałuję, że... no..., że nie potraficie pojąć naszego punktu widzenia.

Przerwał. Wyciągnąwszy platynową papierośnicę, częstował czterech oficerów siedzących wraz z nim przy okrągłym stole w salonie kontradmirała. W odpowiedzi na cztery odmowne, milczące potrząśnięcia głową uśmiechnął się ponownie. Starannie wybrał papierosa i wsunął papierośnicę do wewnętrznej kieszeni szarej dwurzędowej marynarki. Poprawił się w krześle. Uśmiech zniknął.

Nietrudno było sobie wyobrazić na cywilnym garniturze złote oznaki i galony wiceadmirała Vincenta Starra, zastępcy szefa operacyjnego floty.

- Gdy dziś rano odlatywałem z Londynu - mówił spokojnie - byłem niezadowolony. Bardzo niezadowolony. Jestem bardzo zajęty. Myślałem, że Pierwszy Lord Admiralicji marnuje zarówno mój, jak i swój czas. Gdy wrócę, będę musiał go za to przeprosić. Sir Humphrey miał rację. Jak zwykle zresztą...

Zniżył głos do szeptu; w pełnej napięcia ciszy zgrzytnęło kółko zapalniczki. Pochylił się do przodu, oparł o stół i mówił dalej cichym głosem:

- Bądźmy zupełnie szczerzy, panowie. Spodziewałem się, miałem prawo się spodziewać całkowitego poparcia z waszej strony i pełnej współpracy przy jak najspieszniejszym załatwieniu tej nieprzyjemnej sprawy. Nieprzyjemna sprawa? - Uśmiechnął się kwaśno. - Dobieranie słów nic nie pomoże. Bunt, panowie, to jest ogólnie przyjęte określenie na takie wypadki. Gardłowa sprawa, o tym chyba nie muszę przypominać. A tymczasem co zastałem? - Powiódł wzrokiem wokół stołu. -

Oficerowie floty Jego Królewskiej Mości, łącznie z dowódcą okrętu flagowego, jeśli nie popierają,

to sympatyzując z buntem załogi maszynowej!

Przesadza! - pomyślał z trudem Vallery. - Prowokuje.

W słowach i tonie brzmiało pytanie, wyzwanie do odpowiedzi.

Repliki nie było. Oficerowie siedzieli nachmurzeni. Cztery indywidualności; czterech mężczyzn - zupełnie różnych, a mimo to w tej chwili zadziwiająco do siebie podobnych: twarze poważne i nieruchome, porane głębokimi zmarszczkami, oczy spokojne, zmrużone, tak bardzo postarzałe.

- Nie zdołałem was przekonać, panowie? - kontynuował. - Uważacie, że dobór moich słów jest nieco... hm... nieprzyjemny? - Odchylił się do tyłu. - Hm... bunt. - Smakował to słowo, zacisnął wargi, znów spojrzał wokół. - Nie, to nie brzmi przyjemnie, prawda, panowie? Prawdopodobnie znów znaleźlibyście inną nazwę. - Potrząsnął głową, pochylił się, palcami wygładził służbową depeszę.

- „Powróciliśmy po uderzeniu na Lofoty - czytał. - 15.45 - minięto zaporę; 16.10 - odstawiono maszynę²; 16.30 - z barki z zapasami i żywnością przy burcie wyznaczono mieszany oddział

marynarzy i palaczy do wyładunku beczek na smary; 16.50 - zameldowano kapitanowi, że palacze odmówili wykonania rozkazu starszego bosmana Hartleya, potem w kolejności - szefa palaczy Hendry'ego, porucznika inżyniera Griersona i komandora inżyniera. Podejrzewa się, że prowodyrami są palacze: Riley i Petersen; 17.05 - nie wykonano rozkazu kapitana; 17.15 - profos i podoficer inspekcyjny znieważeni czynnie podczas pełnienia obowiązków służbowych". - Podniósł wzrok. -

Jakich obowiązków? Czy podczas próby aresztowania prowodyrów?

Val ery przytaknął w milczeniu.

- „17.15 - widocznie przez sympatię dla buntowników oddział marynarzy przerwał pracę, obyło się bez rękoczynów; 17.25... 17.25 - kapitan przez głośnik ostrzegał przed konsekwencjami, rozkazał

1 Tytuł kapitana używany jest tu w znaczeniu dowódcy okrętu, gdyż Vallery posiadał stopień wojskowy komandora (przyp. tłum.) 2 Odstawić maszynę – zawiadomić załogę maszynową, że praca na dłuższy czas skończona (przyp. tłum.) 2

powrócić do pracy. Rozkaz nie został wykonany; 17.30 - depesza do dowódcy eskadry na «Duke of Cumberland» z prośbą o pomoc".

Starr znów podniósł głowę, chłodno spojrzał na Val ery'ego.

- Dlaczego właśnie depesza do admirała? Z pewnością własna piechota morską...

- To był mój rozkaz - przerwał krótko Tyndall. - Rzucić własną piechotę morską przeciwko ludziom, z którymi pływali przez dwa i pół roku? Niemożliwe! Na tym okręcie nie ma antypatii między marynarzami i żołnierzami, admirał Starr. Zbyt wiele przeżyli wspólnie... Zresztą - dodał sucho -

całkiem możliwe, że piechota morska także odmówiłaby wykonania rozkazu. Proszę nie zapominać, że jeśli użylibyśmy naszych ludzi do stłumienia tego... no... buntu, „Ulisses” skończyłby swoją karierę jako jednostka bojowa.

Starr patrzył na niego uparcie, wreszcie opuścił wzrok na depeszę.

- „18.30 - oddział piechoty morskiej przybywa z «Cumberlanda» i wchodzi na «Ulissesa», nie napotykając sprzeciwu. Próbuje aresztować sześciu czy ośmiu prowadzących, palacze i marynarze stawiają gwałtowny opór; wywiązuje się zacięta walka na rufie, w mesie palaczy i pomieszczeniach mechaników; walka trwa do godziny 19.00; nie używano broni palnej, lecz jest dwóch zabitych, sześciu ciężko i trzydziestu pięciu do czterdziestu lekko rannych”. - Starr skończył czytać.

Gwałtownym ruchem zgniótł meldunek. - Wiecie, panowie, zaczynam wierzyć, że macie rację... - jego głos był pełen ironii. - Bunt! Trudno to nazwać buntem. Pięćdziesięciu rannych i zabici. Bitwa to bardziej odpowiednie określenie.

Słowa i uszczypliwy ton admirała nie wywołały reakcji. Czterej oficerowie siedzieli bez ruchu, nie kryjąc swej obojętności.

Twarz admirała Starra zlodowaciała.

- Obawiam się, że nie potraficie obiektywnie spojrzeć na sprawy, panowie. Byliście tu przez dłuższy czas, a taka izolacja zniekształca perspektywę. Czy muszę wyższym oficerom przypominać, że podczas wojny osobiste uczucia, przeżycia i cierpienia nie mogą być brane pod uwagę? Liczą się jedynie flota i ojczyzna. - Delikatnie uderzył w stół; gest był rozkazujący w swoim hamowanym zniecierpliwieniu. - Mój Boże, panowie - wykrztusił - ważą się losy świata, a wy w egoistyczny, niewybaczalny sposób dajecie się pochłaniać własnym nieważnym sprawom! Macie czelność powiększać niebezpieczeństwo!

Komandor Turner uśmiechnął się ironicznie.

Piękna mowa, chłopcze, naprawdę piękna, chociaż przypomina wiktoriański melodramat.

Gierka z zaciskaniem zębów z pewnością była niepotrzebna. Jaka szkoda, że nie przemawiasz w parlamencie. Zyskałbyś uznanie w ławach rządowych. - A później z niejakim zdumieniem pomyślał: -

A jeżeli on jest naprawdę szczerzy?

- Przywódcy będą ujęci i ukarani, surowo ukarani. - Teraz głos brzmiał cierpkim, kąśliwym akcentem. - Tymczasem Czternasta Eskadra Lotniskowców ma spotkanie w Cieśninie Duńskiej w środę o godzinie dziesiątej trzydzięci zamiast we wtorek; wysłaliśmy radiogram do hal faksu, aby opóźnić wyjście konwoju. Jutro o godzinie szóstej rano wyruszą na morze. - Spojrzył na kontradmirała Tyndalla. - Proszę wydać rozkaz wszystkim okrętom, admirale!

Tyndall, którego w całej flocie znano pod przydomkiem „Farmer Giles”, nie odpowiedział. Jego grubo ciosana twarz, zwykle pogodna i ruchliwa, wyrażała zawziętość, spojrzenie spod ciężkich powiek spoczęło z niepokojem na kapitanie Vallerym. Admirał zastanawiał się, jakie męki przeżywa

w tej chwili ten uprzejmy, wrażliwy człowiek. Lecz wynędniała od trudów twarz Vallery'ego nie mu nie zdradziła. Wszystko kryło się za delikatną maską opanowania.

- To chyba wszystko, co można na ten temat powiedzieć, proszę panów - ciągnął Starr. - Nie będę udawał, że macie przed sobą łatwy rejs. Sami dobrze wiecie, jaki los spotkał trzy ostatnie duże konwoje: PQ 17, FR 71 i 74, Nie znaleźliśmy jeszcze sposobu na akustyczne torpedy i sterowane bomby. Poza tym nasz wywiad w Bremie i Kolonii (co zresztą potwierdziły ostatnie wypadki na Atlantyku) melduje, że najnowszą taktyką łodzi podwodnych jest atakowanie w pierwszej kolejności eskorty... Może uratuje was pogoda...

Ty stary, mściwy diable - pomyślał bez gniewu Tyndall. - Niech cię szlag trafi! Mów dalej, używaj sobie.

- Przypuśćmy, że choć będzie to wyglądało jak w wiktoriańskim melodramacie, damy

„Ulissesowi” szansę odkupienia popełnionych win... - Starr odczekał niecierpliwie, aż Turner opanuje 3

nagły atak kaszlu. - A potem, panowie, na Śródziemne. Ale najpierw FR 77 popłynie do Murmańska...

bez względu na przeszkody... - Wściekłość przebijała spod cienkiej warstewki uprzejmości. Przy ostatnim słowie głos Starra załamał się i zapiszczał. - „Ulisses” musi zapamiętać, że dowództwo floty w żadnym wypadku nie będzie tolerować niewykonania rozkazów, zaniedbywania służby, zorganizowanej rewolty i buntu!

- Bzdury!

Starr szarpnął się w fotelu, zacisnął dłonie na poręczach. Powiódł wokół wzrokiem i zatrzymał

spojrzenie na komandorze lekarzu Brooksie; jego niezwykle żywe niebieskie oczy dziwnie wrogo błyszczały w tej chwili spod wspaniałej siwej grzywy.

Tyndall, patrząc na te pełne złości oczy, dostrzegł jednocześnie, jak krew napływa do twarzy Brooksa, i westchnął cicho. Zbyt dobrze wiedział, co to znaczy. „Starego Sokratesa” zaraz rozsądzi irlandzki temperament.

Kontradmirał Tyndall chciał się odezwać, lecz pod wpływem gwałtownego gestu Starra opadł na fotel.

- Co pan powiedział, komandorze? - głos admirała brzmiał miękko, bezdźwięcznie.

- Bzdury! - z naciskiem powtórzył Brooks. - Nonsens, powiedziałem. Chciał pan szczerości.

Dobrze, będę szczery. Zaniedbywanie służby, zorganizowana rewolta i bunt. Akurat! Przypuszczam jednak, że musiał pan znaleźć dla tego jakieś określenie, coś dobrze mieszczącego się w granicach pańskiego doświadczenia. Bóg jeden wie, za pomocą jakich dziwnych skojarzeń, dzięki jakiej

ekwilibrystyce myślowej potrafi pan postawić znak równania między wczorajszymi zajściami na pokładzie „Ulissesa” a tak dobrze panu znanymi sformułowaniami kodeksu.

Brooks przerwał. W chwili milczenia wszyscy usłyszeli cienie zawrota bosmańskiego gwizdka. Prawdopodobnie przepływał obok jakiś okręt.

- Niech mi pan powie, admirale - mówił dalej doktor - czy złego ducha szaleństwa mamy wyganiać za pomocą chłosty? To dość stary zwyczaj średniowieczny. Czy może przez pławienie?

Pamięta pan świnię Gaderena w Biblii? A może uważa pan, że dwa lub trzy miesiące zamknięcia w lochu są najlepszym lekarstwem na gruźlicę?

- Brooks, na miłość boską, o czym pan mówi? - ze złością spytał Starr. - Świnię Gaderena, gruźlica! Co pan chce przez to powiedzieć? Proszę się wytłumaczyć! - Niecierpliwie zabębnił palcami po stole, wysoko uniósł brwi. - Mam nadzieję, komandorze Brooks, że pan uzasadni swoje zuchwalstwo, wytłumaczy te impertynencje...

- Jestem przekonany, że komandor Brooks nie miał zamiaru nikomu ubliżyć, panie admirale - po raz pierwszy odezwał się kapitan Vallery.

- Chciał tylko wyrazić...

- Przepraszam, kapitanie Vallery - przerwał mu Starr. - Sam potrafię wydać o tym sąd. Tak mi się przynajmniej zdaje. - Uśmiechnął się cierpko. - No, proszę, komandorze Brooks.

Lekarz spojrzał nań uważnie, z zastanowieniem.

- Usprawiedliwiać się? - uśmiechnął się ze zmęczeniem. - Nie, panie admirale, tego nie potrafię.

- Starr poczerwieniał lekko, słysząc ton tej wypowiedzi. - Lecz postaram się wytłumaczyć moje stanowisko - kontynuował Brooks. - To może przynieść korzyść.

Umilkł. Wsparł łokcie na stole. Przez chwilę charakterystycznym ruchem gładził bujną czuprynę.

Nagle podniósł głowę i spytał:

- Panie admirale, kiedy pan był ostatni raz na morzu?

- Ostatni raz na morzu? - Starr nachmurzył się. - Cóż to pana, u diaska, obchodzi? Co to ma wspólnego z omawianą sprawą?

- O, bardzo dużo wspólnego - stwierdził Brooks. - Czy będzie pan uprzejmy odpowiedzieć na moje pytanie?

- Chyba wie pan i bez tego - odpowiedział spokojnie Starr. - Od początku wojny siedzę w Londynie w Głównym Dowództwie Marynarki Wojennej. O co właściwie chodzi?

- O nic. Pańska prawość i odwaga nie mogą być kwestionowane. Wszyscy o tym dobrze wiemy.

Po prostu chciałem skonstatować fakt.

- Brooks pochylił się do przodu. - Jestem lekarzem marynarki, admirale Starr. Jestem lekarzem od przeszło trzydziestu lat. - Uśmiechnął się ledwie widocznie. - Bardzo możliwe, że marny ze mnie doktor, nie dotrzymuję kroku najnowszym osiągnięciom medycyny, tak jak powinienem... Ze 4

spokojnym sumieniem mogę jednak stwierdzić, że dość zgłębiłem ludzką naturę. Nie czas w tej chwili na skromność. Wiem, jak kształtują się myśli, jak oddziałują na siebie wzajemnie ciało i duch.

„Izolacja zniekształca perspektywę” - to pańskie słowa, admirale. Izolacja oznacza odcięcie, oderwanie od świata. Pański wniosek był częściowo słuszny. Lecz istnieje więcej światów niż jeden i w tym tkwi sedno. Morza północne, Arktyka, trasa wiecznej nocy do Rosji - to wszystko jest inny świat, całkowicie odmienny od pańskiego. To świat, o którym pan nie może mieć pojęcia. W istocie jest pan całkowicie odizolowany od naszego świata. Starr nachmurzył się. Odchrząknął, jak gdyby miał zamiar przemówić, lecz Brooks nie dopuścił go do słowa.

- Jest to coś wyjątkowego, co nie ma precedensu w historii wojen. Rosyjskie konwoje są czymś zupełnie nowym, absolutnie nie spotykanym w historii ludzkości.

Urwał. Przez grube szkło iluminatora patrzył na mokry śnieg, siekący szarą wodę i ciemnobrunatne wzgórza otaczające redę w Scapa. Nikt nie przerwał milczenia. Naczelny chirurg nie skończył jeszcze. Człowiek zmęczony musi mieć czas, by zebrać myśli.

- Ludzkość oczywiście może się przystosować do każdych warunków. - Brooks mówił cicho, jak gdyby do siebie. - Przez całe wieki przystosowywała się zarówno biologicznie, jak i fizycznie, aby nie zginąć. Lecz to wymaga czasu, bardzo dużo czasu. Nie można żądać, żeby przemiany wymagające dwudziestu wieków skrócić do paru lat. Tego nie wytrzyma ani mózg, ani ciało. Niewątpliwie, można próbować. Dzięki wyjątkowej prężności i wytrzymałości człowiek może to znieść przez krótki okres.

Lecz bardzo szybko osiąga granicę, maksymalną możliwość adaptacji. Pchnijcie człowieka poza tę granicę, a za nic nie można ręczyć. Specjalnie powiedziałem „za nic”, ponieważ nie wiemy jeszcze, jak będzie wyglądać załamanie, ale ono nastąpić musi. Może być fizyczne, umysłowe, duchowe, sam nie wiem jakie. Lecz jednego jestem pewien, admirale Starr, załoga „Ulissesa” została zmuszona do przekroczenia owej granicy.

- Bardzo to ciekawe, komandorze - cierpko stwierdził admirał. - Naprawdę bardzo ciekawe...

bardzo pouczające. Niestety, pańska teoria, a jest to tylko teoria, nie może być uwzględniona.

Brooks wpatrywał się w niego.

- Nawet nie może być tematem dyskusji. To są bzdury, doktorze. Pańskie przesłanki są z gruntu błędne. - Admirał pochylił się do przodu. Ruchem ręki podkreślał słowa. - Ta przepaść, ta różnica pomiędzy konwojami do Rosji a normalnymi działaniami na morzu w ogóle nie istnieje. Czy może

pan wymienić jakiegokolwiek czynniki lub warunki istniejące na morzach północnych, których nie spotyka się w innych częściach świata? Czy potrafi pan, komandorze Brooks?

- Nie! - Brooks był zupełnie opanowany. - Lecz mogę wskazać na często przeoczany fakt, że różnice w natężeniu i koncentracji tych czynników i warunków mogą mieć znacznie silniejszy i głębszy wpływ niż różnice w ich rodzaju. Zaraz to wyjaśnię. Strach może zniszczyć człowieka.

Stwierdzam, że strach jest uczuciem naturalnym. Spotykamy się z nim na każdej scenie wojennym.

Stwierdzam jednak, że nigdzie nie spotykamy go tak często i w takim natężeniu, jak w konwojach arktycznych. Niepewność, napięcie mogą załamać każdego człowieka. Widziałem to często, o wiele za często! A jeśli nerwy są napięte do ostateczności, czasem przez siedemnaście dni z rzędu; gdy każdy dzień przypomina, co może cię spotkać; gdy codziennie widzisz rozwalone, tonące okręty, poszarpane ciała; cóż... jesteśmy tylko ludźmi, nie maszynami. Coś musi nawalić. I nawala. Chyba pan wie, admirale, że po dwóch ostatnich rejsach dziewiętnastu ludzi wysłaliśmy do sanatoriów, do sanatoriów dla umysłowo chorych?

Brooks wstał. Grube, mocne dłonie wsparł na polerowanej powierzchni stołu, oczyma świdrował

Starra.

- Głód wypala żywotną energię ludzi. Wysysa siły, osłabia reakcję, niszczy wolę walki, nawet wolę przetrwania. Dziwi to pana, admirale? Pan myśli, że głód jest niemożliwy na nowoczesnym, dobrze zaopatrzonym okręcie? Jest możliwy, panie admirale Starr. Jest nieunikniony. Wysłała pan nas na morze, gdy rosyjski sezon jest zakończony; gdy noce są niewiele dłuższe od dni; gdy na dwadzieścia cztery godziny dwadzieścia spędza się na wachcie lub na stanowiskach bojowych. I sądzi pan, że w tych warunkach można się dobrze odżywiać? - Uderzył dłonią w stół. - Jak, u diabła, można tego dokonać, jeśli kucharze prawie cały czas spędzają w magazynach amunicyjnych, przy obsłudze wież artyleryjskich, w oddziałach remontowych? Jedyne rzeźnik i piekarz są od tego zwolnieni, więc żywimy się kanapkami z konserwą wołową. Przez całe tygodnie! Kanapki z konserwą wołową! - doktor Brooks o mało nie splunął z obrzydzenia.

5

Pocziwy Stary Sokrates - myślał uszczęśliwiony Turner. - Nareszcie mu powiedział!

Tyndall potakiwał z wielkim uznaniem. Tylko Vallery czuł się nieswojo. Nie z powodu treści, ale dlatego, że to Brooks mówił. On, Vallery, jest dowódcą, a ktoś inny bierze na siebie odpowiedzialność.

- Strach, napięcie, głód - Brooks mówił cicho - to są czynniki załamujące ludzi, niszczące ich tak dokładnie, jak może zniszczyć ogień, stal czy zaraza. To są mordercy. Lecz to jeszcze nie wszystko, admirale Starr. To są tylko wykonawcy, można powiedzieć: pomocnicy trzech jeźdźców Apokalipsy

-

chłodu, braku snu i wyczerpania. Czy pan wie, admirale Starr, jak w noc lutową bywa między

wypсами Mayen a Niedźwiedzią? Oczywiście nie! Czy pan wie, jak to bywa przy dwudziestostopniowym mrozie na Oceanie Północnym, który nie zamarza? Czy pan wie, jak przy dwudziestu stopniach poniżej zera wichur pędzący z wyciem od bieguna do grenlandzkich lodowców skalpelem przecina najgrubszą odzież? Gdy na pokładzie spiętrzy się pięćset ton lodu; gdy wystarczy nie osłonić najdrobniejszej cząstki ciała, aby odmrozić ją w pięć minut; gdy dziób okrętu wali się w dolinę między falami, a bryzgi uderzają już jako kawałki lodu; gdy silny mróz niszczy nawet baterie latarek elektrycznych? Czy pan wie, admirale Starr, no... wie pan czy nie?

Brooks cisnął te słowa w admirała, wbił je w niego.

- A czy pan wie, co znaczy wytrzymać długie dni bez snu? Przez całe tygodnie sypiać ledwie po dwie, trzy godziny na dobę? Zna pan te wrażenia, admirale? Owo wyraziste uczucie, gdy każdy nerw, każda komórka w ciele i mózgu napięte są do granic wytrzymałości i spychają człowieka na skraj szaleństwa. Co pan o tym wie, admirale Starr? To najbardziej wyszukany na świecie rodzaj agonii. Wówczas za błogosławiony przywilej zamknięcia oczu i machnięcia ręką na wszystko można by sprzedać swoich przyjaciół, rodzinę, a nawet nadzieję na nieśmiertelność! Wszystkiemu temu towarzyszy zmęczenie, potworne wyczerpanie, które nigdy nie mija. Częściowo jest to osłabiające działanie chłodu, częściowo brak snu, a częściowo skutek złej pogody. Sam pan wie, jak wyczerpujące są zmagania (choćby przez parę godzin) z kołyszącym się, nurkującym pokładem.

Nasi chłopcy żyją w tym przez całe miesiące. Sztormy są zwykłym zjawiskiem podczas arktycznych rejsów. Mogę pokazać panu dziesięciu, dwudziestu starych ludzi, z których żaden nie ma jeszcze dwudziestu lat...

Brooks odepchnął fotel i zaczął niespokojnie spacerować w poprzek kajuty. Tyndall i Turner wymienili spojrzenia, a później zwrócili wzrok na Val ery'ego. Zgarbiony, z pochyloną głową bezmyślnie wpatrywał się w swoje splecione dłonie. Przez chwile wydawało się, że Starr nie istnieje.

- To jest szatański, morderczy krąg. - Oparty o ścianę Brooks, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie, spoglądał niewidzącymi oczyma przez zamglony iluminator. - Im mniej snu, tym większe znużenie. Im większe znużenie, tym łatwiej odczuwa się chłód. I tak wkoło. A przy tym nieustanny głód i straszliwe napięcie. Wszystko oddziałuje na siebie wzajemnie, każdy czynnik sprzymierza się z innymi, aby zniszczyć człowieka, złamać go fizycznie i psychicznie i wydać na łup chorobie. Tak, admirale, chorobie!

- Roześmiał się w twarz Starrowi, ale w śmiechu tym nie było wesołości.

- Ludzie upakowani jak śledzie w beczce, pozbawieni ostatniej szansy obrony, zamknięci na długie dni pod pokładem. Czegóż mogą oczekiwać? Jedyne gruźlicy. Jest nieunikniona. - Wstrząsnął

się. - Tak, do szpitala zabrałem zaledwie paru chorych, lecz wiem, że czynna gruźlica płuc dojrzewa pod pokładem. Już miesiące temu widziałem, jak zbliża się załamanie. Kilkakrotnie alarmowałem naczelnego lekarza floty. Dwa razy pisałem do Admiralicji. Współczuli, i to wszystko. Brak okrętów, brak ludzi... Reszty dokonało ostatnie sto dni, dodatek do poprzednich miesięcy. Sto dni prawdziwego, krwawego piekła, bez jednej godziny na brzegu. Do portu zawijaliśmy dwukrotnie,

tylko po amunicję. Całe zaopatrzenie: paliwo i żywność pobieraliśmy ze statków na morzu. A każdego dnia otchłań zimna, głodu, niebezpieczeństwa i męki. Na miłość boską, nie jesteśmy maszynami! -

krzyknął i ruszył w stronę Starra, nadal trzymając ręce głęboko w kieszeniach. - Trudno mi o tym mówić w obecności dowódcy, lecz każdy oficer na okręcie, z wyjątkiem kapitana Vallery'ego, wiedział, że załoga musi się - jak pan to mówi - zbuntować. Zbuntowałyby się już dawno, gdyby nie kapitan Vallery. Nadzwyczajna osobista lojalność załogi, uwielbienie, rodzaj bałwochwalstwa dla dowódcy jest czymś, czego nie spotkałem w mojej karierze, admirale Starr. Tyndall i Turner zamruczeli z aprobatą. Vallery nadal siedział bez ruchu.

- Lecz nawet i lojalność ma granice. To musiało nastąpić. A teraz pan mówi o karze, o 6

aresztowaniach. Wielki Boże! Z równym powodzeniem może pan wieszać ludzi za to, że są trędowaci, lub skazywać na więzienie, ponieważ chorują na raka! Nasza załoga jest równie niewinna.

Po prostu nie mogli się opanować. Nie potrafią już rozróżnić, co złe, a co dobre. Nie potrafią myśleć logicznie. Chcą tylko odpocząć, mieć trochę spokoju, parę dni błogosławionej ciszy. Daliby za to wszystko, co mają na świecie. Nie są już zdolni myśleć o czymkolwiek innym. Czy pan nie potrafi tego zrozumieć, admirale Starr?... Nie potrafi pan? Naprawdę nie?

Przez dłuższą chwilę w kabinie admirała panowała martwa cisza. Wysokie, delikatne zawodzenie wiatru i szelest gradu wydawały się nienaturalnie głośne. Starr zerwał się nagle z fotela, sięgnął po rękawiczki. Vallery po raz pierwszy uniósł wzrok. Zrozumiał, że Brooks przegrał.

- Kapitanie Vallery, proszę mój kuter pod burzę. Natychmiast! Admirał Starr był znowu spokojny.

- Jak najszybciej należy uzupełnić ropę, żywność i amunicję. Admirale Tyndall, życzę panu i pańskiej eskadrze szczęśliwej podróży. Jeśli chodzi o pana, komandorze Brooks, dostatecznie dobrze zrozumiałem pańską argumentację. - Wargi admirała rozchylił chłodny uśmiech. - Pan jest zupełnie wyraźnie przepracowany i potrzebuje odpoczynku. Zwolnienie z okrętu dostanie pan dziś przed północą. Kapitanie, proszę za mną...

Zwrócił się ku drzwiom, ale zdążył zrobić tylko dwa kroki, gdy zatrzymał go głos Vallery'ego:

- Chwileczkę, panie admirale, jeśli łaska.

Starr zrobił w tył zwrot. Kapitan Vallery nie uczynił żadnego ruchu. Siedział nieruchomo; uśmiechał się. W uśmiechu tym była uprzejmość, wyrozumiałość i przedziwna nieugiętość. Starr poczuł lekkie zakłopotanie. Vallery przemówił:

- Komandor chirurg Brooks jest wyjątkowym oficerem. Jest naprawdę bezcenny, niezastąpiony i bardzo na „Ulissesie” potrzebny. Pragnąłbym nadal korzystać z jego pomocy...

- Decyzja już zapadła - przerwał Starr. - Mam wrażenie, że pan wie, jaką władzę dała mi Admiralicja, polecając przeprowadzić śledztwo...

- Tak jest! - Vallery był nadal spokojny. - Jednak powtarzam, że nie stać nas na to, aby tracić oficera tej miary, co Brooks.

Słowa i ton były grzeczne, pełne szacunku, lecz sens ich nie pozostawiał wątpliwości.

Brooks zrobił krok do przodu. Na twarzy jego malowało się zmieszanie. Nim zdążył otworzyć usta, zrećźnie i wytwornie wtrącił się Turner.

- Przypuszczam, że na konferencje byłem zaproszony nie tylko dla celów dekoracyjnych - mówił sennie, wlepiając oczy w sufit. - Wydaje mi się, że powinienem coś powiedzieć... Bez zastrzeżeń zgadzam się z każdym słowem starego Brooksa...

Starr zeszywniał.

- A pan, admirale? - zwrócił się do Tyndalla.

Całe napięcie i troska zniknęły z twarzy kontradmirała. Wyglądał jak prawdziwy „Farmer Giles” z zachodnich prowincji. Rozmyślał obojętnie, że ważą się losy jego kariery. Śmieszne - powiedział sobie w duchu - jak nagle cała kariera może stać się czymś zupełnie nieważnym.

- Jako dowódca, przede wszystkim troszczę się o utrzymanie najwyższej zdolności bojowej eskadry. Niektórzy ludzie są niezastąpieni. Kapitan Vallery uważa, że doktor Brooks jest jednym z nich. Całkowicie się z nim zgadzam.

- Rozumiem, panowie - z trudem wykrztusił Starr. Twarz mu płonęła. - Konwój wyruszył już z hallfaksu i mam związane ręce. Lecz popełniacie wielki błąd, panowie, przystawiając Admiralicji pistolet do skroni. Tam, w Whitehall, mamy dobrą pamięć. Całą sprawę przedyskutujemy dokładnie... po waszym powrocie. Żegnam panów.

Wstrząsany dreszczami Brooks ciężko stąpał po schodach wiodących z górnego pokładu; minął kuchnię i poszedł w kierunku izby chorych. Johnson, starszy felczer, wyrzwał z gabinetu zabiegowego.

- Jak się mają nasi chorzy? - spytał lekarz. - Trzymają się dzielnie? Johnson ponurym wzrokiem obrzucił osiem łóżek.

- Przekłęci dekownicy. Połowa z nich, cholera, wygląda lepiej ode mnie. Spójrz pan na palacza Rileya; ma złamany palec i kupę numerów „Reader's Digest”. Próbowano już wszystkich sposobów leczenia, drze się ciągle, żeby mu dać sulfatiazol, penicylinę i wszystkie najnowsze antybiotyki. Nie potrafi wymówić połowy nazw. Zdaje mu się, że umiera.

- Wielka strata - mruknął naczelny chirurg. - Nie rozumiem, co też komandor Dodson w nim widzi? A co słyhać w szpitalu? Twarz Johnsona zmieniła wyraz.

- Chodzą całkiem bez głowy - odpowiedział drewnianym głosem. - Pięć minut temu, o trzeciej, zmarł szeregowy marynarz Ralston.

Brooks pochylił głowę. Umieszczenie tego poharatanego chłopca w szpitalu było tylko gestem.

Komandor poczuł się zmęczony. Zwano go Starym Sokratesem, lecz on dopiero teraz odczuł ciężar swoich lat, może nawet więcej niż swoich lat. Być może minęłoby to po dobrze przespanej nocy, lecz nie mógł na nią liczyć. Westchnął.

- Zmartwiła cię ta śmierć, prawda?

- Osiemnaście lat. Miał zaledwie osiemnaście lat - cicho odpowiedział rozgoryczony Johnson. -

Przed chwilą rozmawiałem z Burgessem, tym z sąsiedniego łóżka. Opowiadał, że Ralston stał

właśnie na progu umywalni z ręcznikiem na ramieniu. Obok przebiegał tłum. Nagle wpadł ten przeklęty, wielki jak goryl żołdat i walnął go kolbą w głowę. Chłopak nawet nie wiedział, kto go zdzielił, nie wiedział za co...

Brooks uśmiechnął się smutno.

- Wiesz, że to się nazywa „buntownicze gadanie”, Johnson - powiedział miękko.

- Przepraszam. Wiem, że nie powinienem, ale... tak...

- Daj spokój, chłopcze. Przecież to ja pytałem. Nie można zabronić myśleć. Ale nie trzeba myśleć na głos. To jest... to jest... niebezpieczne dla morskiej dyscypliny. Zdaje się, że woła cię twój przyjaciel Riley. Najlepiej spraw mu słownik.

Odwrócił się i przesunął między zasłonami sali operacyjnej. Nad dentystycznym fotelem widać było czarną czuprynę. Porucznik Johnny Nicholls, młodszy chirurg, zerwał się, trzymając w lewej ręce plik blankietów.

- Halo, komandorze! Może szklaneczkę? - Twarz Brooksa rozjaśniła się.

- Wspaniały pomysł, poruczniku. Bardzo się cieszę, że w dzisiejszych czasach można spotkać młodego oficera, który rozumie, o co chodzi. Dziękuję, dziękuję. - Z westchnieniem usiadł na fotelu.

Poprawił oparcie pod głową. - Gdybyś tak, mój chłopcze, podniósł jeszcze oparcie pod stopy... o tak.

Dziękuję. - Wyciągnął się wygodnie, układając głowę na podpórce. Znów westchnął. - Jestem już stary, mój chłopcze.

- Ależ skąd, komandorze - odparł energicznie Nicholls. - To po prostu lekka niedyspozycja. A teraz, jeśli pan pozwoli, przepiszę panu odpowiednie lekarstwo...

Podszedł do szafki, wyłowił dwie szklaneczki i prążkowaną ciemnozieloną butelkę z napisem

„Trucizna”. Napełnił szklanki i jedną podał Brooksowi. - Moje osobiste zalecenie: na zdrowie!

Brooks najpierw spojrzał na bursztynowy płyn, a potem na Nicholla.

- Na szkockim uniwersytecie uczyli was pogańskich praktyk, mój chłopcze... Wspaniali kompani z tych starych dzikusów. Co mi dajesz tym razem, Johnny?

- Coś pierwszej klasy - śmiał się Nicholl. - Produkt wyspy Coli. Stary chirurg spojrzał na niego podejrzliwie.

- Nie wiedziałem, że i tam mają gorzelnie...

- Nie mają. To ja sobie wymyśliłem Coli. Jak tam sprawy na górze?

- Cholernie źle! Pewien facet groził nam, że wszyscy zawisniemy na reii. Specjalnie uczeplił się mnie. Mówił, że natychmiast powinienem być wyrzucony z okrętu. I mówił prawdę.

- Pan?! - Nicholls szeroko otworzył zaczerwienione od bezsenności, głęboko zapadnięte piwne oczy.

- To żarty!

- Nie. Naprawdę. Ale wszystko jest po dawnemu. Nie odchodzę. Stary Giles, szyper i Turner powiedzieli Starrowi, że jeśli mnie zwolni, może od razu szukać sobie nowego admirała, kapitana i komandora. Wariaci! Naturalnie nie powinni byli tak mówić, ale to wywarło wrażenie. Stary Vincent odszedł głęboko urażony, rzucając nieokreślone pogrożki... nie takie znów nieokreślone, jak się zastanowić.

- Przeklęty stary dureń - powiedział współczująco Nicholls.

- W rzeczywistości nie taki zły, Johnny. Właściwie to wspaniały chłop. Nie zrobią cię dyrektorem departamentu operacyjnego floty za darmo. Giles opowiadał, że to mistrz, jeśli chodzi o strategię i taktykę. Naprawdę nie jest taki zły, jak go malujemy. Nie możemy mieć pretensji do starego Vincenta, że nas znów wypycha na morze. Chłop ma przed sobą zadanie nie do rozwiązania. Dysponuje 8

ograniczonymi środkami, a zapotrzebowanie na okręty i ludzi na innych scenach wojny jest olbrzymie. Nie sposób zaspokoić choćby części. On musi być magikiem. Tylko że zawsze jest nieludzki. Nie rozumie ludzi.

- Jakiż jest ostateczny wynik tego wszystkiego?

- Znów Murmańsk. Wyruszamy jutro o szóstej.

- Co? Znowu? Z tą gromadą żywych trupów? - Nicholls nie ukrywał sceptycyzmu. - Ale dlaczego?

Oni nie mają prawa tego robić! Nie wolno im!

- Mimo to wydali rozkaz, mój chłopcze. „Ulisses” musi, hm... odkupić swoje winy. - Brooks otworzył oczy. - Do licha, przeraża mnie sama myśl o tym. Czy masz jeszcze trochę tej trucizny, chłopcze?

Nichols odstawił do szafy opróżnioną butelkę i oburzonym gestem wyciągnął kciuk w kierunku iluminatora, przez który wyraźnie było widać masywny pancernik obracający się z wiatrem na kotwicy, trzy czy cztery kable od „Ulissesa”.

- Dlaczego zawsze my, doktorze? Zawsze my! Dlaczego od czasu do czasu nie wyślą w morze tych beużytecznych pływających baraków? Kręci się to na swojej głównej zafajdanej kotwicy, miesiąc w tę, miesiąc w drugą stronę.

- W tym rzecz - przerwał uroczyście Brooks. - Zgodnie z tym, co mówił Kapok-Kid1, potworny ciężar blaszanek po skondensowanym mleku i puszek po śledziach w tomacie, gromadzący się na dnie oceanu od przeszło dwunastu miesięcy, całkowicie uniemożliwia wszelkie próby podniesienia kotwicy.

Wydawało się, że Nicholls nie słucha.

- Tydzień w tamtą stronę, tydzień z powrotem, bez przerwy miesiąc po miesiącu wysyłają

„Ulissesa” w morze. Zmieniają lotniskowce, dają odpoczynek niszczycielom osłony, lecz nigdy

„Ulissesowi”. Nie ma wytchnienia. Nigdy. Ani razu. Lecz za to „Duke of Cumberland” jest zawsze gotów wysłać silnych i wielkich chamów z piechoty morskiej tu do nas, aby masakrować chorych, złamanych ludzi, co w ciągu tygodnia zrobili więcej niż...

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie - strofował komandor. - Nie można powiedzieć, że trzech zabitych i gromadka rannych bohaterów, leżących tam na sali, to już masakra. Piechota morska wykonała tylko swoje zadanie. Jeśli chodzi o „Cumberland”, to trzeba się z tym pogodzić. Jesteśmy jedynym okrętem we flocie krajowej z wyposażeniem do dowodzenia lotniskowcami.

Nichols wychylił szklanekę i posepnie spojrział na przełożonego.

- Są chwile, gdy naprawdę kocham Niemców.

- Ty i Johnson powinniście się kiedyś dogadać - poradził Brooks.

- Starr zakuje was razem w kajdany za szerzenie paniki i... Oo!...

- Wyprostował się w fotelu i pochylił do przodu. - Spójrz no, Johnny, na starego „Duke'a"! Na górnym pokładzie cała gala bielizny, a marynarze biegną, naprawdę biegną, na sam dziób.

Niewątpliwy objaw ożywienia. Na Boga, to zaskakujące. Co o tym myślisz, chłopcze?

- Pewnie dowiedzieli się, że idą na urlop! - warknął Nichol s. - Nic innego nie poruszyłoby tej bandy. A kimże my jesteśmy, że żałujemy im nagrody za ich trud? Po długim, trudnym i niebezpiecznym okresie służby na morzach północnych...

Przeraźliwy dźwięk dzwonka alarmowego zagłuszył dalszą część zdania. Rozmawiający instynktownie rzucili okiem na trzeszczący głośnik i wymienili pełne zaskoczenia i niedowierzania spojrzenia. Zerwali się z miejsc. Głos dzwonka wzywający na stanowiska bojowe nie słabł.

- O Boże, nie! - jęknął Brooks. - O nie, nie! Niemożliwe, żeby jeszcze raz! Nie w Scapa Flow!

Owego szarego zimowego wieczora w Scapa Flow te same uczucia przepełniały serca siedmiuset dwudziestu siedmiu wyczerpanych, spragnionych snu, zgorzkniałych ludzi. O tym myślano i o tym jedynie potrafiono myśleć, gdyż terkot dzwonka przerwał nagłe wszystkie zajęcia na pokładach i wewnątrz okrętu - w maszynowni, kotłowni, na barkach amunicyjnych, zbiornikowcach, w kuchniach i biurach. O tym jedynie zdolna była myśleć wachta w głębi okrętu. A myślała z szarpiącą serce rezygnacją, gdy przeraźliwy dźwięk rozdzierał zasłonę błogiego zapomnienia, a pozbawionych zdolności prawidłowego myślenia, ledwie wlokących nogami ludzi stawiał wobec brutalnej 1 Kapok-Kid – przezwisko, dosłownie: „chłopiec z waty kapokowej” (przyp. tłum.) 9

rzeczywistości. Trzeba było powziąć decyzję. Załoga „Ulissesa” mogła załamać się i skończyć na zawsze jako jednostka bojowa. Zgorzkniali, wycieńczeni ludzie odpoczywali w warunkach względnego bezpieczeństwa na otoczonej lądem redzie. Chwilę tę mogli przeznaczyć na nie dający się uniknąć protest wobec władz, przeciwko milczącemu, bezmyślnemu przymusowi, bezlitosnemu uporowi, który mógł ich całkowicie zniszczyć. Jeśli kiedykolwiek była taka chwila, to właśnie teraz.

Chwila nadeszła i minęła. Była niczym więcej, jak tylko zwiewnym cieniem, cieniem myśli, co przemknęła przez umysły i zniknęła, zgubiła się w tupocie nóg biegnących na stanowiska bojowe.

Możliwe, że spowodował to instynkt samozachowawczy. Lecz raczej nie - „Ulisses” od dawna przestał dbać o cokolwiek. Być może była to dyscyplina wojskowa lub lojalność wobec kapitana czy, jak to powiadają psychologowie, odruch warunkowy - słyszysz zgrzyt hamulców i błyskawicznie odskakujesz w bok, ratując życie. A mogło to być coś całkiem innego.

Cokolwiek tego dokonało, cała załoga, z wyjątkiem wachty kotwicznej na lewej burcie, znalazła się na posterunkach bojowych w dwie minuty. Nikt nie wierzył, że coś podobnego jest możliwe w Scapa Flow. Zależnie od temperamentu, jedni zajmowali stanowiska w milczeniu, inni z krzykami.

Szli niechętnie, ponuro, z oburzeniem, pełni desperacji. Lecz szli.

Na posterunku stanął również kontradmirał Tyndall. Nie należał do tych, co milczeli. Klnąc wspiął się na mostek, przecisnął przez drzwi na lewej burcie i zwałił na fotel w lewym przednim rogu platformy kompasowej. Spojrzał na Val ery'ego.

- Co to za idiotyzmy? - spytał. - Wydaje się, że panuje idealny spokój.

- Nic nie wiem. - Vallery zaniepokojonym wzrokiem rozejrzał się po redzie. - Od głównego

dowódcy otrzymałem sygnał alarmowy, rozkaz do natychmiastowej gotowości podróźnej.

- Szykować się do drogi! Ależ człowieku, z jakiego powodu, dlaczego? Vallery potrząsnął głową.

- To wszystko zmowa, wymysł, aby mnie, starszego pana, pozbawić popołudniowej drzemki - jęknął Tyndall.

- Raczej genialny pomysł Starra, aby dać nam szkołę - warknął Turner.

- Nie! - z przekonaniem powiedział Tyndall. - Nie odważyłby się. Poza tym, mimo wszystko, nie jest mściwy.

Zapadło milczenie, cisza przerywana jedynie werblem deszczu ze śniegiem i gradem i niesamowitym, jak z zaświatów, tykaniem azdyku. Nagle Vallery podniósł lornetę.

- Dobry Boże, Tyndall, niech pan tam spojrzy! „Duke” porzucił kotwicę i łańcuch.

Co do tego nie było wątpliwości. Została wybita przetyczka szekli i wielki okręt ruszył, obracając powoli swój dziób.

- Co za cuda? - kontradmirał lustrował niebo. - Nie widać ani samolotu, ani spadochroniarzy; radar nic nie wykrywa; azdyk nie daje kontaktu; ani śladu niemieckiej floty przedzierającej się przez zapory...

- Sygnał! - rozkazał Bentley, dowódca sygnalistów. - Natychmiast przejść na miejsce, gdzie staliśmy na kotwicy. Cumować do północnej beczki.

- Proś o potwierdzenie - rzucił Vallery. Z rąk telefonisty wziął słuchawkę aparatu połączonego z pomieszczeniami na dziobie.

- Mówi kapitan. Czy pierwszy oficer? Wszystko gotowe? Pokład i dół? Dobrze. - Zwrócił się do oficera wachtowego. - Mała naprzód. Ster dziesięć w prawo. - Spojrzał na admirała siedzącego w rogu; podniósł pytająco brwi.

- To pewnie najnowsza gra salonowa - warczał Tyndall. - Wiesz, rodzaj morskich komórek do wynajęcia... - Poczekaj no! Spójrz! Na „Cumberlandzie” wszystkie 5,251 pochyłone do maksimum!

Spotkali się wzrokiem.

- Niemożliwe! Na Boga... pan przypuszcza?... Dźwięk dolatujący z umieszczonego tuż za mostkiem głośnika azdyku dał odpowiedź. Szef hydroakustyków mówił wyraźnie i bez pośpiechu.

- Azdyk do dowódcy. Azdyk do dowódcy. Echo czerwone trzydzieści. Powtarzam: czerwone 302. Nadchodzi. Zbliża się.

- Centralny celownik, alarm! Czerwone trzydzieści. Wszystkie zenitówki maksymalne pochylenie.

Cel podwodny. Torpedyści - to było skierowane do porucznika Marshalla, kanadyjskiego 1 Azdyk - asdic (ang.) urządzenie hydroakustyczne do wykrywania łodzi podwodnych 1 5,25 - armaty o kalibrze 5,25 cala. Cal angielski równa się 2,54 centymetra.

2 Czerwone 30 - namiar z lewej burty, 30 stopni.

10

oficera torpedowego - na stanowiska przy bombach głębinowych.

Zwrócił się do Tyndalla.

- To niemożliwe, po prostu niemożliwe! Łódź podwodna... Łódź w Scapa Flow... Wykluczone!

- Prien?

- Kapitan porucznik Prien. Ten gość, co rozwalił „Royal Oak”.

- To się nie może powtórzyć. Nowe zapory obronne...

- ... mogą zatrzymać zwykłe okręty podwodne - dokończył Tyndall. Zniżył głos do szeptu. -

Pamiętasz, co w zeszłym miesiącu mówiono nam o naszych podwodnych łodziach liliputach, o

„rydwanach”? O tych działających z baz szetlandzkich, co miały być przerzucone do Norwegii na łodziach rybackich? Widocznie Niemcy wpadli na ten sam pomysł.

- Niemożliwe - sceptycznie zgodził się Vallery. - Spójrz na „Cumberlanda”. Idzie prosto na zaporę. - Zamilkł na parę sekund; zastanawiał się. Znow spozrzał na Tyndalla. - Jak się to panu podoba?

- Co, kapitanie?

- Zabawa w ciuciubabkę - Vallery uśmiechnął się łobuzersko. - Nie stać nas na stratę pancernika wartości iluś tam milionów funtów, więc

Duke" zmyka jak zając na pełne morze, gdzie bezpieczniej; my zakotwiczymy się w pobliżu miejsca, gdzie on stał. Mógłbym założyć się, że niemiecki wywiad zna tę pozycję z dokładnością do paru cali. Te łodzie liliputy są uzbrojone w ładunki wybuchowe, które można umocować pod nieprzyjacielskim okrętem. Jeśli komu przylepią, to na pewno nam.

Tyndall spokojnie przyglądał się mówiącemu.

Nadal napływały meldunki z azdyku, wskazując stały namiar z lewej burty i coraz mniejszą odległość.

- Oczywiście, oczywiście - mruknął admirał. - Jesteśmy kozłem ofiarnym. Do licha, to nie jest przyjemne. - Skrzywił się i roześmiał bez cienia wesołości. - Czy mnie się podoba? Dla naszej załogi

będzie to ostatnia kropla przepełniająca miarkę. Ostatni piekielny rejs, bunt, piechota morska z

„Cumberlanda”, alarm bojowy w porcie, a teraz to! Nadstawić karku... i po co... na co?... - Urwał.

Mruczał przez chwilę, klął ze złością. Później mówił cicho: - Co powiesz ludziom, kapitanie? Na Boga, to niesamowite! Czuję, jakbym sam był bliski buntu... - wstrzymał się i spojrzał pytająco ponad ramieniem Vallery'ego.

Kapitan odwrócił się.

- O co chodzi, Marshall?

- Przepraszam. O to echo - Marshall machnął ręką w tył. - Łódź? Chyba wyjątkowo mała? -

Jego kanadyjski akcent był teraz bardzo wyraźny.

- To możliwe. Czemu pan pyta?

- Bośmy z Ralstonem coś wykombinowali - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wpadliśmy na pomysł, jak się z nią rozprawić.

Val ery wyjrzał na siekący deszcz; wydał rozkazy dla steru i maszyny, po czym zwrócił się do oficera torpedysty. Zakasłał z wysiłkiem, boleśnie; wskazał na przykrytą szkłem mapę zatoki. -

Czyżbyś miał zamiar urwać nam rufę bombami na tych płyciznach?

- Nie, komandorze. Wątpię, czy moglibyśmy je w ogóle nastawić na takie głębokości. Nasz pomysł, a właściwie Ralstona, to wziąć motorówkę i kilka dwudziestopięciofuntowych ładunków z osiemnastosekundowymi chemicznymi zapalnikami. Wiem, że nie robią wiele szumu, ale w miniaturowej łodzi podwodnej nie ma co się spodziewać czort wie jakich... to znaczy, chciałem powiedzieć, grubych blach. A jeśli załoga siedzi w skafandrach na pokładzie tej zabawki, a nie głębiej, to oberwą na pewno. Zrobią się z nich placuszki. Vallery uśmiechnął się.

- Całkiem nieźle, Marshal . Przypuszczam, że wystarczy ci to za odpowiedź. A co pan myśli, admirale?

- Warto spróbować - zgodził się Tyndall. - Lepiej niż wyczekiwać jak kura na gnieździe.

- Do diabła. - Vallery badawczo spojrzał na torpedystę. - Kto jest pańskim minerem? - Mam zamiar wziąć Ralstona.

- Tak właśnie myślałem. Ale pan, kolego, nie weźmie nikogo - stanowczo powiedział Val ery. -

Nie puszczę pana. Nie stać mnie na stratę oficera torpedowego.

Marshall wyglądał na zmartwionego; po chwili powiedział z rezygnacją: - Wobec tego wyznaczę 11

matą szefa torpedystów i starszego celowniczego Ralstona. Obaj morowi chłopcy.

- Zgoda. Bentley wyznaczy jednego ze swoich, aby im towarzyszył. Będziemy mu podawać namiary z azdyku. Niech zabierze przenośną lampę sygnalizacyjną. - Zniżył głos. - Marshall?

- Komandorze?...

- Młodszy brat Ralstona zmarł po południu w szpitalu. Czy on już wie o tym?

Porucznik patrzył poza Vallery'ego na stojącego z dala wysokiego, poważnego blondyna, ubranego w wypłowiały kombinezon widoczny spod płaszcza. Klął cicho, siarczyście, bez zajknięcia.

- Marshall! - krzyknął Vallery rozkazującym tonem, lecz oficer nie zwracał na niego uwagi.

Twarz mu zakrzepła, nieczuły był zarówno na przywołujący go do porządku głos kapitana, jak i na siekące strumienie śniegu zmieszanego z deszczem.

- Nie - powiedział po dłuższej chwili. - Nie wie. Lecz otrzymał pewne wiadomości dziś rano. W zeszłym tygodniu było bombardowanie Croydon. Mieszka tam jego matka i trzy siostry. Mieszkały.

Spadła ciężka bomba. Nie było co zbierać. - Zrobił w tył zwrot i szybko opuścił mostek.

Kwadrans później już było po wszystkim.

„Ulisses” stale szedł jeszcze w kierunku beczki kotwicznej, gdy z prawej burty spuszczone welbot¹, a z lewej motorówkę. Welbot z cumą sterował do beczki, a motorówka ruszyła w swoją stronę.

Czteryście jardów¹ od okrętu, na świetlny rozkaz z mostka, Ralston wyłowił z kieszeni kombinezonu płaskoszczypy i zgniótł końcówki chemicznych zapalników. Mat wlepił oczy w stoper.

Po dwunastu sekundach ładunek poszedł za burtę. Motorówka zataczała krąg. Jeszcze trzy ładunki o różnie przypiętych zapalnikach plusnęły w wodę. Pierwsze trzy wybuchy uniosły rufę i wściekle wstrząsnęły całą łodzią. To wszystko. Lecz po czwartym wybuchu na powierzchni zabulgotała wielka bania powietrza, a po chwili ukazały się oleiste plamy. Gdy woda uspokoiła się, cienka warstewka ropy rozpląnęła się po morzu na setki jardów...

Marynarze opuścili stanowiska bojowe i z kamiennymi twarzami obserwowali powracającą do

„Ulissesa” motorówkę. Haki talii założono w ostatniej chwili: urządzenie sterowe typu hotchkiss było niebezpiecznie pocięte, a przez rufę łodzi gwałtownie wdzierła się woda.

A „Duke of Cumberland” zniknął za dalekim przyładkiem, pozostawiając po sobie tylko smugę dymu.

Ralston, trzymając w rękach czapkę, usiadł naprzeciw kapitana. Przez długą chwilę Vallery patrzył na niego w milczeniu. Zastanawiał się, co powiedzieć, jak wyrazić to najlepiej. Nienawidził

takich chwil. Nienawidził również wojny. Zawsze jej nienawidził i przeklinał dzień, który wyrwał go z wygodnego stanu spoczynku na emeryturze. „Wyrwał go”, tak to przynajmniej delikatnie sam określał; jedynie Tyndall wiedział, że kapitan na ochotnika zgłosił się do Admiralicji pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku i przyjęty został z radością.

Mimo to nienawidził wojny. Nie dlatego, że oderwała go od kultywowanych przez całe życie namiętności: muzyki i literatury, w których uchodził za autorytet. Nie dlatego nawet, że wojna nieustannie znieważała jego poczucie estetyki, prawa i celowości. Nienawidził jej, ponieważ był

głęboko wierzący; ponieważ ubolewał, widząc w człowieku dziką bestię z pierwotnej dżungli; ponieważ uważał, że krzyżowa droga życia jest już wystarczająco ciernista, nawet bez niezawinionej męki agonii psychicznej i fizycznej zadawanej przez wojnę. A przede wszystkim dlatego, że widział, jak dzikim i pozbawionym sensu szaleństwem jest wojna - szaleństwem, które nic nie rozwiązuje, niczego nie może dowieść, z wyjątkiem bardzo starej prawdy, że Bóg jest po stronie silniejszych batalionów.

Lecz były sprawy, w których musiał wziąć udział. Vallery dobrze wiedział, że ta wojna musi być także jego wojną. Dlatego też powrócił do służby, postarzał się w ciągu tych lat, stał się mniej twardy, a bardziej uprzejmy, tolerancyjny i wyrozumiały. Był unikatem między kapitanami marynarki wojennej, ba! między ludźmi. W swej dobroci i skromności Richard Val ery był osamotniony. Miarą jego wielkości mogło być to, że nigdy o tym nie myślał.

Westchnął. W tej chwili zastanawiał się, co powinien powiedzieć Ralstonowi. Lecz celowniczy zaczął pierwszy.

1 Welbot – typ szalupy

1 Jard – 91 centymetrów

12

- Wszystko w porządku, panie kapitanie - mówił stłumionym, spokojnym głosem. - Już wiem wszystko. Powiedział mi oficer torpedowy. Vallery odkaszlnął.

- Słowa są tu bezużyteczne, Ralston, naprawdę bezużyteczne. Twój młodszy brat i reszta rodziny. Wszyscy odeszli. Przykro mi, mój chłopcze, straszliwie przykro. - Spojrzał na pozbawioną wyrazu twarz i uśmiechnął się gorzko. - Może przypuszczasz, że są to tylko słowa, rozumiesz, coś oficjalnego, po prostu czcza formułka...

Niespodziewanie Ralston uśmiechnął się.

- Nie, tego nie przypuszczam. Potrafię ocenić, co pan czuje. Wie pan, mój ojciec jest również kapitanem. Kiedyś mi mówił, że odczuwa w podobnej sytuacji...

Val ery przyglądał mu się ze zdziwieniem. - Twój ojciec? Powiedziałeś, że...

- Tak jest. - Vallery mógłby przysiąc, że w tych niebieskich, tak pewnych siebie, tak spokojnych

oczach błysnął ogień zadowolenia. - Jest kapitanem zbiornikowca we flocie handlowej. Szesnaście tysięcy ton.

Val ery nie odezwał się. Ralston mówił cicho dalej.

- A co do Billy'ego, mojego młodszego brata, to tylko ja jestem winien. Ja prosiłem, aby przyszedł na ten okręt. Moja wina, jedynie moja. - Szczupłe, opalone dłonie gniotły brzeg czapki.

Vallery zastanawiał się, o ile gorzej będzie, gdy minie pierwsze oszołomienie po podwójnym ciosie, gdy biedny chłopiec zacznie myśleć normalnie.

- Uważaj, mój chłopcze. Myślę, że przyda ci się parę dni odpoczynku, trochę czasu, abyś wszystko przemyślał.

Boże - zdał sobie nagle sprawę - jakie to niepotrzebne, próżne gadanie.

- W tej chwili podoficer administracyjny wypisuje ci rozkaz wyjazdu. Od dziś masz czternastodniowy urlop.

- A do jakiej miejscowości ma być ten rozkaz wyjazdu? - Gniótł czapkę w dłoniach. - Croydon?

- Oczywiście. Dokąd by jeszcze... - Vallery zamarł. Uderzyła go potworność nietaktu. - Przebacz mi, chłopcze. Zaczynam pleść głupstwa.

- Proszę nie wysyłać mnie nigdzie, panie kapitanie - prosił cicho Ralston. - Wiem, że zabrzmi to pompatycznie, jakbym litował się nad sobą... lecz nie mam dokąd jechać. Moje miejsce jest tu.

Należę do „Ulissesa”. Przez cały czas będę mógł coś robić, być zajęty, pracować, spać. Nie muszę rozważać, mogę działać... - Pewność siebie, jaka emanowała z marynarza, miała tylko ukryć przepełniającą go rozpacz. - Mogę mieć szansę zemsty - pospiesznie mówił Ralston - chociażby przygotowując zapalniki, jak dziś... To, hm... to był zaszczyt. Nawet więcej niż zaszczyt, to było... o...

nie umiem tego wyrazić, panie kapitanie.

Val ery zrozumiał. Czuł się przygnębiony, znużony, bezbronny. Co mógł temu chłopcu ofiarować w zamian za jego nienawiść, ten tak bardzo ludzki, pochłaniający żar zemsty? Wiedział, że nie ma nic, czym by Ralston nie pogardził, czego by nie wyśmiał. Nie była to chwila stosowna do mówienia pobożnych komunałów. Znow westchnął, tym razem jeszcze ciężiej.

- Naturalnie możesz pozostać, Ralston. Zejdź do biura policyjnego i każ podrzeć rozkaz wyjazdu. Jeśli mogę ci być pomocny, w każdej chwili...

- Rozumiem, panie kapitanie. Bardzo dziękuję. Dobranoc.

- Dobranoc, chłopcze.

Drzwi cicho zamknęły się za Ralstonem.

ROZDZIAŁ II

Poniedziałek rano

- Zamknąć wszystkie drzwi wodoszczelne i włazy! Załoga na stanowiska manewrowe, do opuszczenia portu!

Bezdzusny, brutalny, metaliczny dźwięk głośników dotarł w najdalsze zakamarki okrętu.

Na to wezwanie ze wszystkich pomieszczeń ruszyli ludzie, aby wykonać rozkaz. Byli przemarznięci, trzęśli się na lodowatym północnym wietrze. Klęli siarczyście, gdy za kołnierze i do rękawów wciskał się obficie syjący śnieg, gdy zdrętwiałe dłonie przymarzały do lin i żelaza. Byli zmęczeni, gdyż pobieranie ropy, prowiantów i amunicji przeciągnęło się do pierwszej wachty.

Zaledwie paru marynarzy urwało ze trzy godziny snu.

Byli rozdrażnieni i pełni buntu. Rozkazy wykonywali z mechaniczną sprawnością dobrze wyszkolonej złogi. Lecz pozorne posłuszeństwo, wymuszone dyscypliną, ledwie cienką warstewką pokrywało niechęć i opór. Oficerowie i podoficerowie obchodzili się z ludźmi delikatnie. Vallery był

czuły na tym punkcie.

Dość nielogiczne, lecz do szczytowego punktu niezadowolenia omal nie doprowadziła ostrożna ucieczka „Cumberlanda”. Załączek tkwił w służbowym komunikacie nadanym poprzedniego dnia:

„Pocztę zamyka się o 20.00”. Listy! Ci, którzy nie pracowali cały dzień bez przerwy, spali jak zabici.

Nie mieli ani głowy, ani chęci do pisania. Starszy marynarz Doyle, szef mesy „B” i dostojny żołnierz z trzema krokiewkami na rękawie (sam o tym mówił skromnie, że naszywki za nienaganną służbę oznaczają, iż przez trzynaście lat nie nakryto go na żadnym wykroczeniu), zwięźle zreferował

sprawę:

- Jeśli moja stara byłaby skrzyżowaniem Heleny Trojańskiej i Jane Rüssel - a wy wszyscy, coście widzieli zdjęcie mojej kochanej kobity, wiecie, że porównanie takie jest straszną zniewagą dla wyżej wymienionych dam - to i tak nie napisałbym nawet zasmarkanej pocztówki. Trzeba wiedzieć, gdzie się zatrzymać. Ja zawsze przed pisaniem.

Po czym ściągnął z wieszaka hamak, zawiesił go z dokładnością co do milimetra pod nawietrznikiem gorącego powietrza i zasnął w dwie minuty. Wachta lewej burty co do jednego uczyniła to samo. Worek z pocztą powędrował na breg prawie pusty...

Dokładnie o godzinie 6.00 H.M.S.1 „Ulisses” oddał cumę i powoli ruszył w kierunku zapory. W

szarym półmroku, pod niskimi ołowianymi chmurami, sunął przez redę jak eteryczny duch, co chwila znikając za gwałtownymi, gęstymi falami śnieżycy. Już po chwili trudno byłoby go wykryć. Nie posiadał już potęgi, ciężaru, określonej sylwetki. Stał się czymś niestałym, zwiewnym. Oczywiście było to złudzenie, lecz złudzenie zgodne z legendą, „Ulisses” bowiem w swym krótkim życiu stał się legendą. Zнали go i witali radośnie marynarze ze statków handlowych, żeglarze, co przemierzali okrutne morza Północy od St. John do Archangielska, od Szetlandów do Jana Mayena, od Grenlandii do dalekich brzegów Spitsbergenu, zagubieni na krańcach świata... Gdzie groziło niebezpieczeństwo, gdzie hasała śmierć, mogłeś znaleźć „Ulissesa”. Wynurzał się z mgły jak zjawia lub po prostu jakimś cudem tkwił tam w zimnym brzasku arktycznego poranka, który przynosił jedynie groźbę, a czasem prawie pewność, że nigdy nie ujrzy się następnego.

Okręt widmo, prawie legenda. „Ulisses” był nowym okrętem, lecz się postarzał w rosyjskich konwojach i na arktycznych patrolach. Był tam od pierwszej chwili. Nie znał innego życia.

Początkowo działał w pojedynkę, eskortując statki lub grupy złożone z dwóch, trzech frachtowców.

Później współdziałał z korwetami i fregatami, a obecnie nie ruszał się bez swojej eskadry Czternastej Grupy Lotniskowców Osłonowych.

Lecz naprawdę „Ulisses” nigdy nie żeglował samotnie. Śmierć - nieodstępna jego towarzyszka -

była przy nim. Kładła swój palec na zbiornikowcu i wyzwała piekło wybuchu wysokooktanowej benzyny; dotykała frachtowca, łamiąc mu kręgosłup niemiecką torpedą i posyłała na dno wraz z ładunkiem wojennego sprzętu; przechodziła nad niszczycielem i ten na pełnych obrotach maszyn wrzynał się w szaroczarne głębiny Morza Barentsa; sięgała po niemiecką łódź podwodną, wyrzucała ją na powierzchnię pod niszczący ogień dział lub spychała powoli pod wodę.

1 H.M.S. (His Majesty's Ship) – Okręt Jego Królewskiej Mości.

14

Załoga, przerażona myślą o powolnej agonii z braku powietrza w żelaznym grobowcu na dnie oceanu, miała nadzieję, że nadwerężony kadłub zostanie zgnieciony i nastąpi natychmiastowy, jak cios łaski, zgon.

Gdziekolwiek płynął „Ulisses”, tam szła śmierć. Lecz jego nie miała się. Miał szczęście.

Szczęśliwy okręt, okręt widmo, którego domem był Ocean Lodowaty.

Owa widmowość to oczywiście złudzenie, lecz złudzenie przygotowane. „Ulisses” był bowiem specjalnie przystosowany do określonego zadania, przeznaczony na jeden ocean, i specjaliści od maskowania dokonali wspaniałego dzieła. Dzięki specjalnemu arktycznemu kamuflażowi, połamanym, skośnym, białym i szarym pasom, spłowiałemu błękitowi, pięknie, niedostrzegalnie wtapiał się w równie szare i białe, niewyraźne cienie, w zimny a ponury mrok pustynnych mórz północnych.

Kamuflaż był jedynie zewnętrzną, powierzchowną cechą jego kwalifikacji do walki na morzach

północnych. Jeśli chodzi o stronę techniczną, „Ulisses” był lekkim krążownikiem. Jedynym w swej klasie zmodyfikowanym typem słynnego „Dido” o wyporności pięciu i pół tysiąca ton, poprzednikiem klasy „Black Prince”. Miał pięćset dziesięć stóp¹ długości, był wąski przy swoich pięćdziesięciu stopach szerokości, ze skośnie ściętym ku wodzie dziobem i prostokątną rufą krążownika, z przednim pokładem długim na przeszło dwieście stóp, sięgającym daleko poza mostek.

Wykryj - wstąp do walki - zniszcz! - oto trzy zadania, jakie stawia się przed okrętem podczas wojny. „Ulisses” był doskonale wyposażony, aby wykonać każde z nich jak najszybciej i najskuteczniej.

Na przykład zdolność wykrywania wroga. Oczywiście czynnika ludzkiego nie da się niczym zastąpić i Val ery był zbyt doświadczonego i znającym się na wojnie dowódcą, aby nie doceniać znaczenia nieustannej czujności obserwatorów i sygnalistów. Oko ludzkie w przeciwieństwie do urządzeń technicznych nie psuje się wskutek przerwania prądu elektrycznego, technicznych wstrząsów czy awarii. Naturalnie znaczenie miały również meldunki radiowe i azdyk - jedyna obrona przeciwko łodziom podwodnym.

Lecz zasadnicza zdolność wykrywania wroga opierała się na czymś innym. „Ulisses” był

pierwszym na świecie okrętem posiadającym całkowite wyposażenie radarowe. Dzień i noc bez przerwy na przednim i głównym maszcie obracały się anteny radarowe, omiatając pełny krąg trzystu sześćdziesięciu stopni, lustrując horyzont, szukały, szukały, szukały.

Pod pokładem, w ośmiu kabinach radarowych, wyćwiczone, wyczulone na najlżejszą niedokładność oczy ani na chwilę nie odrywały się od świecących ekranów. Dokładność i zasięg radaru były fantastyczne. Producenci sądzili, że bardzo optymistycznie określają skuteczny zasięg urządzeń na czterdzieści do czterdziestu pięciu mil². A „Ulisses” podczas pierwszych prób wykrył

condora - którego później zestrzelił blenheim - w odległości sześćdziesięciu pięciu mil.

Wstąp do walki - to drugi krok. Czasem nieprzyjaciel sam nadchodził, lecz najczęściej trzeba było go tropić. A wówczas liczyło się jedno - szybkość...

„Ulisses” był nadzwyczaj szybki. Cztery potężne turbiny Persona z pojedynczym reduktorem, umieszczone w dwóch maszynowniach (przedniej i tylnej), dawały czterem śrubom moc, o jakiej stare pancerniki nie mogły nawet marzyć. Teoretycznie mógł rozwinąć szybkość 33,5 węzła¹.

Podczas próby maszyn w pobliżu Arran², idąc pełną parą (uniósł wysoko dziób, zarył się rufą w wodę jak ślizgacz, wibrował każdym nitem; woda u burt wrzała, kłębiła się, spieniona z dziesięć stóp wyżej niż pokład rufowy), osiągnął na dystansie mili pomiarowej zawrotną szybkość 39,5 węzła, co odpowiada 71,154 kilometra na godzinę. „Dude” - komandor inżynier Dodson uśmiechał się tajemniczo i twierdził, że nie wykorzystał nawet połowy możliwości.

- Poczekajcie tylko na „Abdiel” i „Manxman”, a wówczas zobaczycie, co potrafię!

Wiadomo było, że obydwie krążowniki stawiacze min mogły wyciągnąć 44 węzły, i oficerowie lekceważyli przechwałki Dodsona, wyczuwając w nich zawodową zazdrość. Nie zdradzając się z

tym, byli równie dumni z potężnych maszyn jak Dodson.

Wykryj - wstąp do walki - zniszcz. Zniszczenie. To jest podstawowe, ostateczne zadanie. Wziąć 1 Stopa angielska równa około 30,5 centymetra.

2 Mila morska – 1852 metry

1 Węzeł – miara szybkości (1 mila morska na godzinę)

2 Arran – baza szkoleniowa brytyjskiej marynarki wojennej w zachodniej Szkocji, niedaleko ujścia rzeki Clyde (przyp. tłum.) 15

przeciwnika na cel i zniszczyć. Również i do tego „Ulisses” był wyposażony należycie.

Na przednim i tylnym pokładzie na wieżach stały podwójne armaty kalibru 5,25 cala -

szybkostrzelne, uniwersalne, nadające się zarówno do walki z celami powietrznymi, jak i nawodnymi.

Ustawiano je z wież centralnych celowników, z których główna umieszczona była w przedniej części okrętu, nieco w tyle nad mostkiem, i pomocnicza - bliżej rufy. Z tych wież podawano do centrali przeliczników niezbędne dane, jak: namiar celu, szybkość wiatru, dryf, odległość, szybkość własną i nieprzyjaciela, kąty kursowe. Wielkie przeliczniki elektronowe w centrali umieszczonej dość niezwykle we „wnętrzościach” okrętu, nisko pod linią wody, przekazywały do wież artyleryjskich proste składowe - kąt pionowy i poziomy. Oczywiście obie baterie mogły prowadzić ogień niezależnie. Takie było główne uzbrojenie. Pozostałe działa to wyłącznie zenitówki: baterie sprzężonych pom-pomów^{w3} strzelające dwufuntowymi pociskami, szybkim, ale niezbyt precyzyjnym ogniem tworzącym zaporę, która przerazi każdego nieprzyjacielskiego pilota; odizolowane gniazda oerlikonów^{w4}, nadzwyczaj celnych, o pociskach z dużą szybkością początkową, złośliwych i rażących śmiertelnie, jeśli kierują nimi dobre ręce.

Wreszcie „Ulisses” miał na pokładzie bomby głębinowe i torpedy. Załedwie trzydzieści sześć bomb - drobiazg, jeśli porównać z korwetami czy niszczycielami. Maksymalna liczba, którą mógł

wyrzucić w jednej wiązce, to sześć. Lecz jedna bomba zawierała czterysta pięćdziesiąt funtów amatu^{u5}. Ubiegłej zimy „Ulisses” zniszczył nawet duże łodzie podwodne. Każda dwudziestojednocalowa torpeda posiadała głowicę bojową z siedmiuset pięćdziesięcioma funtami TNT⁵. Torpedy, smukłe i groźne, leżały w potrójnych wyrzutniach na głównym pokładzie, po obu burtach tuż za drugim kominem. Czekwały na walkę. Taki był „Ulisses”. Całość - doskonała bojowa maszyna - jak dotychczas najwyższe osiągnięcie myśli ludzkiej, stapiającej wiedzę i pierwotne instynkty w jedno narzędzie, zniszczenia, lecz jedynie wówczas, gdy kieruje nią i obsługuje idealnie zgrany, działający bez zakłóceń zespół ludzi. Żaden okręt nie może być lepszy niż jego załoga. A załoga „Ulissesa” rozpadała się teraz i załamywała; na wulkan nałożono pokrywę, lecz wstrząsy nie ustawały.

W trzy godziny po wyjściu z portu dały się zauważyć pierwsze niepokojące oznaki. Jak zwykle

trałowce przeczesywały morze przed krążownikami, lecz również jak zwykle Vallery nie liczył na los szczęścia. Dzięki temu „Ulisses” dotychczas nie zginął. O godzinie szóstej dwadzieścia wypuścił

parawany - obłe, podobne do torped pływaki, umocowane na stalowych linach, odchodziły pod kątem po obu stronach dziobu. W teorii liny kotwiczne min ześlizgiwały się po stalowym kablu parawanu, oddalały od okrętu i były przecinane przez urządzenie przy pływakach. Wypływały wówczas na powierzchnię i zatapiano je lub eksplodowano za pomocą pocisków karabinowych.

O dziewiątej kapitan rozkazał podnieść parawany. „Ulisses” zmniejszył szybkość. Pierwszy oficer, komandor porucznik Carrington, poszedł na dziób, aby kontrolować manewr. Marynarze, obsługa windy i młodszy oficerowie kierujący manewrem zajęli stanowiska po obu burtach.

Szybko podniesiono bomby dźwigów z ich podstaw tuż za światłami pozycyjnymi, wychylono za burty i uzbrojono linami do wyciągania parawanów. Trzytonowe windy na artyleryjskim pokładzie „B”

bez zakłóceń zaczęły pracę pełną mocą. Parawany wychyliły się z wody.

I wtedy z winy marynarza Ferry'ego nastąpił wypadek. Pech chciał, że lewa winda była uszkodzona, kabel doprowadzający prąd miał zepsuty wyłącznik; pechowe było i to, że obsługiwał ją Ralston - milczący, zgnębiony Ralston, którego nie obchodziło nic, a najmniej to, co mówił lub robił.

Lecz za to, co nastąpiło, odpowiedzialność ponosił Carlake.

Podporucznik Carlake stojący na pływakach Carleya¹ kierował wybieraniem liny lewego parawanu. On był winien całej serii omyłek.

Pierwszą było to, że jego ojciec (emerytowany kontradmirał, który widział w synalku człowieka własnej miary) w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym zabrał go z uniwersytetu w Cambridge, w poważnym jak na studenta wieku dwudziestu sześciu lat, i po prostu zmusił do 3 Pam-pomy – 40-milimetrowe działka przeciwlotnicze

4 Oerlikony – 20-milimetrowe działka używane przez lotnictwo i obronę przeciwlotniczą 5 Amatoł, TNT – rodzaje materiałów wybuchowych – kruszących (przyp. tłum.) 1 Pływaki Carleya – rodzaj tratw ratunkowych zastępujących szalupy.

16

wstąpienia do marynarki wojennej. Następną była słabość jego pierwszego dowódcy, który znał

kontradmirała i przedstawił Carlake'a do promocji na oficera; rzadko spotykana omyłka komisji selekcyjnej na okręcie „King Alfred”², która promocję zatwierdziła; błąd popełnił dowódca, wyznaczając go do tej pracy, mimo iż wszyscy wiedzieli, że Carlake nie potrafi kierować ludźmi.

Carlake miał twarz przerasowanego konia wyścigowego - długą, chudą, wąską - wybałuszone, jasnoniebieskie oczy i wystające przednie zęby. Brwi pod rzadką czupryną był stale uniesione jakby w zdziwieniu. Obrazu dopełniała pyszałkowato skrzywiona górna warga i długi nos. Podporucznik mówił językiem, który był karykaturą wzorowej angielszczyzny: przeciągał krótkie samogłoski,

połykał

długie, z gramatyką też bywało nie najlepiej. Nienawidził marynarki, irytowało go zbyt długie wyczekiwanie awansu na porucznika; nie znosił ludzi tak samo jak oni jego. Krótko mówiąc, podporucznik Carslake był uosobieniem najgorszego produktu, jaki opuszczał szkoły dla bogaczy.

Próżny, zarozumiały, nieokrzesany, niedokształcony - po prostu osioł.

I teraz robił z siebie osła. Stał rozkraczony, starając się utrzymać równowagę na tratwach; wrzeszczał bez przerwy, bez potrzeby wydawał rozkazy. Starszy bosman Hartley wzdychał, lecz milczał, żeby nie podważać autorytetu podporucznika. Marynarz Ferry nie przejmował się tym.

- Gwiżdż na jego lordowską mość. Zgrywa się. Wszystko na cześć szypra - mruknął do Ralstona i wskazał głową Vallery'ego, który wychylał się z mostka dwadzieścia stóp ponad głowę Carslake'a.

- Nie zwracaj uwagi na Carslake'a, lepiej uważaj na liny - poradził Ralston. - Ściągnij te przekłete rękawice. Któregoś dnia...

- Tak, tak, wiem - drwił Ferry. - Wplączą się w linę i owiną mnie wokół windy. - Po mistrzowsku podawał linę. - Nie bój nic, bracie, mnie się nic nie stanie.

Lecz stało się. Właśnie wtedy. Ralston, obserwując huśtający się blisko parawan, rzucił okiem na pokład. Spostrzegł naderwaną pokrętkę liny tuż obok ręki Ferry'ego, widział, jak gwałtownie zahaczyła o ubraną w rękawicę dłoń i zanim Ferry zdążył krzyknąć, wciągnęła go do obracającego się bębna windy.

Ralston działał błyskawicznie. Nożny hamulec znajdował się o sześć cali od stopy, lecz było to zbyt daleko. Gwałtownie obrócił koło regulatora z „całej naprzód” na „całą wstecz”. W tej samej chwili, gdy Ferry wrzasnął z bólu, rozległ się huk eksplozji i ukazały się kłęby gryzącego dymu. Elektryczny motor windy wartości pięciuset funtów wybuchnął jaskrawym płomieniem. Lina odwijająca się ze wzrastającą szybkością pod ciężarem spadającego w wodę parawanu. Ciągnęła za sobą Ferry'ego.

Dwadzieścia stóp od windy lina przechodziła przez blok przymocowany do pokładu. Jeśliby Ferry miał szczęście, straciłby tylko rękę. Ralston gwałtownie nacisnął hamulec, gdy Ferry'ego dzieliło od bloku cztery stopy. Wirujący bęben stanął z przeraźliwym zgrzytem. Parawan urwał się, grzmotnął w wodę i uwolniona od ciężaru lina zakołysała się w takt przechyłów okrętu. Carslake zeskoczył z tratw.

Jego ziemistą twarz wykrzywiła złość. Podbiegł do Ralstona.

- Ty przekłety durniu! - ryknął z furją. - Przez ciebie straciliśmy parawan. Wy tłumacz się! Kto ci rozkazał robić cokolwiek? Ralston zacisnął wargi, lecz odpowiedział dość oględnie.

- Przepraszam. Nie mogłem inaczej postąpić. Ręka Ferry'ego...

- Do diabła z jego ręką! - Carslake prawie piał z wściekłości. - Ja tu dowodzę! Ja rozkazuję!

Spójrz! Spójrz! - wskazał rozkołysaną linę. - To twoja robota, kretynie! Przepadł, rozumiesz...

przepadł!

Ralston spojrział za burtę z wyrazem zdziwienia.

- Rzeczywiście. - Spojrzenie miał wrogie, mówił prowokacyjnym tonem; zerkając na Carslake'a, pogłaskał windę. - Wydaje mi się, że to również wysiadło, a kosztuje znacznie więcej niż jakikolwiek parawan...

- Nie życzę sobie żadnych głupich impertynencji - krzyknął Carslake. Głos drżał mu z wściekłości. - Trzeba cię nauczyć karności i, na Boga, już ja się o to postaram, ty bezczelny sukinsynu!

Ralstonowi krew napłynęła do twarzy. Rzucił się do przodu, zamachnął pięścią i nagle zwolnił mięśnie. Jego wzniesioną rękę pochwycił starszy bosman Hartley. Ale fakt był faktem. Czekala ich rozprawa na mostku.

Val ery spokojnie i cierpliwie słuchał pełnego złości raportu Carslake'a. Był daleki od spokoju.

2 „King Alfred” – mieściła się tam szkoła podchorążych marynarki wojennej (przyp. tłum.) 17

Myślał, że i bez tego miał już dość zmartwień. Ale nieporuszona, zawodowa maska obojętności nie zdradzała jego uczuć.

- Czy to prawda, Ralston? - spytał cicho, gdy Carslake skończył swą tyradę. - Nie wykonałeś rozkazu, skłąłeś porucznika i obraziłeś go?

- Nie, panie komandorze. - W głosie Ralstona brzmiało zmęczenie podobne do tego, jakie odczuwał kapitan. - To nieprawda. - Obojętnym wzrokiem spojrział na Carslake'a i ciągnął dalej: - Nie mogłem nie wykonać rozkazu, gdyż go nie było. Wie o tym starszy bosman Hartley. - Skinął głową w stronę masywnej, nie biorącej udziału w rozmowie postaci. - Nie skłąłem porucznika. Nie chcę adwokatów, ale jest dość świadków, aby potwierdzić, że to właśnie podporucznik Carslake skłął

mnie, i to wielokrotnie. A jeśli chciałem go uderzyć - uśmiechnął się mgliście - to tylko we własnej obronie.

- Tu nie ma miejsca na lekkomyślność - ostrym głosem powiedział Vallery. Był zaskoczony; ten chłopiec intrygował go. Rozumiał jego rozgoryczenie, opanowanie, lecz nie przebłycki humoru. - Tak się złożyło, że widziałem całe zajście. Twój pośpiech, twoja pomoc uratowała rękę, a może nawet życie marynarza. W porównaniu z tym strata parawanu i zepsucie windy są niczym.

Carslake pobladł, słysząc lekką naganę.

- Za to ci dziękuję. A jeśli chodzi o resztę, jutro rano sąd kapitański. Odmaszerować, Ralston.

Ralston zacisnął usta, przez dłuższą chwilę przyglądał się Vallery'emu, zasalutował sprężyście i

opuścił mostek.

- Panie kapitanie... - odezwał się prosząco Carslake i urwał, widząc, że Vallery podnosi rękę.

- Nie teraz. Porozmawiamy później. - Vallery nie ukrywał niechęci.

- Może pan odejść, poruczniku. Chwileczkę, Hartley...

Czterdziestoczteroletni starszy bosman reprezentował to, co marynarka królewska miała najlepszego. Bezwzględny, bardzo uprzejmy i doświadczony, we wszystkich budził podziw, którego wyrazem z jednej strony był strach najmłodszych szeregowych marynarzy, a z drugiej

- serdeczny szacunek kapitana. Od początku byli razem.

- A więc, szefie, mówcie!

- Po prawdzie, to nie ma co - wzruszył ramionami. - Ralston zachował się znakomicie.

Podporucznik Carslake stracił głowę. Być może Ralston trochę się rozgorączkował, ale go sprowokowano. Choć to dopiero dzieciuch, ale już zawodowiec, i nie lubi, jak byle amator popycha go w tę i we w tę.

- Przerwał na chwilę, spojrzał na niebo. - A zwłaszcza taki amator, patałach.

Val ery pohamował śmiech.

- Czy mam to rozumieć jako, hm, krytykę, szefie?

- Chyba tak, panie kapitanie - przytaknął. - Załoga nastroszyła pióra. Ludzie są bardzo rozgoryczeni tym zajściem. Czy mogę...

- Dziękuję, szefie. Uspokójcie załogę, o ile się da. Gdy Hartley odszedł, Vallery zwrócił się do Tyndalla.

- No, słyszał pan wszystko! Jedna kropla więcej.

- Kropla? - Tyndall był w złym humorze. - Setki kropel... Raczej cała beczka... Sprawdził pan, kto kręcił się pod moimi drzwiami ubiegłej nocy?

Podczas pierwszej wachty Tyndall usłyszał jakieś niezwykle szelesty za drzwiami wiodącymi z jego kabiny do mesy oficerskiej. Postanowił sprawdzić, kto hałasował. Spiesząc do drzwi, przewrócił

krzesło, w sekundę później zadudniły kroki. Ktoś uciekał korytarzem. Gdy otworzył drzwi, korytarz był

pusty. Nie spostrzegł nic, zupełnie nic... prócz pilnika na podłodze pod skrzynką z coltem. Łańcuch zabezpieczający był prawie przecięty.

Val ery potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia - powiedział zatroskany. - Jest coraz gorzej. Lodowata zamieć wywoływała u Tyndalla dreszcze. Łobuzersko wyszczerzył zęby.

- Prawdziwa historia kapitana Teocha, co? Pistolety i szable, piraci atakują mostek... Kapitan niecierpliwie potrząsnął głową.

- Nie, nie to. Pan wie dobrze. To może być pogróżka, ale chyba nic więcej. Rzecz w tym, że przy tablicy rozdzielczej zaraz za zakrętem korytarza stoi wartownik z piechoty morskiej... Stoi dzień i noc. Powinien był go widzieć, ale mówi, że nie...

18

- Czyżby rozkład sięgał już tak głęboko? - Tyndall gwizdnął cicho. - Straszliwy dzień, kapitanie.

A co na to powiada nasz młody zuch, kapitan piechoty morskiej?

- Foster? Zżyma się na samą myśl i szarpie wąsy. Martwi się jak sto diabłów. Tak samo Evans, jego sierżant szef. - Tak samo i ja - dodał współczująco Tyndall. Patrzył w przestrzeń. Oficer wachtowy znalazł się na linii jego wzroku i poruszył, czując się nieswojo.

- Ciekaw jestem, co o tym wszystkim myśli teraz Stary Sokrates - ciągnął. - Niby tylko łapiduch, lecz w rzeczywistości najtęższa głowa, jaką marny... Proszę, o wilku mowa...

Właśnie otwarły się szeroko drzwi i na mostek weszła tęga postać. Ubrana była w wełniany płaszcz, sztormowe ubranie i rosyjski „szlem” z bobrowego futra. Wyglądała jak podstarzały szary niedźwiedź zlanym deszczem. Doktor Brooks stanął przy ekranie Kenta - okrągłym wycinku szyby, obracającym się z olbrzymią szybkością, co zapewniało dobrą widoczność w najgorszych warunkach atmosferycznych, podczas deszczu, gradu czy śnieżyicy. Przez pół minuty zerkał żałośnie i najwyraźniej nie zachwycił się widokiem.

Głośno pociągnął nosem i odwrócił się, zabijając z zimną ręką.

- Ha, oficer pokładowy na mostku krążownika Jego Królewskiej Mości. Romantyzm, sława! Ha! -

Zgarbił okryte sztormanką ramiona. Wyglądał żałośnie jak nigdy. - Tu nie jest miejsce dla tak cywilizowanego człowieka jak ja. Lecz wiecie, panowie, jak to bywa! „Trąbka do boju wzywa nas...”

Tyndall zachichotał.

- Daj mu czas do namysłu, kapitanie. Ci medycy rozkręcają się powoli, wiesz o tym, ale...

Brooks przerwał mu, twarz i głos nagle spowaźniały.

- Nowe zmartwienie, kapitanie. Nie mogłem zameldować telefonicznie. Nie mam pojęcia, co z tym

zrobić.

- Zmartwienie? - Val ery zakaszał ochryple w chusteczkę. - Przepraszam. .. Zmartwienie? Nic prócz nich nie mamy, stary druhu. I my przed chwilą...

- Ten nadęty dureń Carslake? O, wiem o tym. Wszędzie mam swoich szpiegów. Taki facet to przekleństwo... Wracając jednak do sprawy: wczoraj późno w nocy młody Nicholls pracował w gabinecie zabiegowym nad okazami zarazków gruźlicy. Siedział tam dwie, może trzy godziny.

Chorzy albo nie wiedzieli, że tam jest, albo zapomnieli. Nicholls usłyszał, jak palacz Riley, typowy rozrabiacz, wraz z kilkoma innymi planował, że po wyjściu ze szpitala zorganizują strajk. Zamkną się w kotłowni i będą siedzieć. Włoski strajk w kotłowni! Wielki Boże, to potworne! Nichol s nie zareagował. Udał, że nie słyszał.

- Co? - Nabrzmiały gniewem głos Val ery'ego dźwięczał ostro. - Nicholls zignorował to, nie zameldował mi? Mówisz, że to było wczoraj w nocy. Dlaczego nie powiadomiono mnie od razu?

Natychmiast wołaj tu Nichollsa. Albo nie. Daj spokój. - Wyciągnął rękę do telefonu. - Sam go zawołam. Brooks położył dłoń na ramieniu Vallery'ego.

- Nie robiłbym tego, kapitanie. Nicholls to sprytny chłopak, bardzo sprytny. Wiedział, że gdyby zdradził się przed marynarzami, że ich podsłuchał, oni z kolei wiedzieliby, iż musiałby panu o wszystkim zameldować. A pan byłby wówczas zmuszony do podjęcia jakichś kroków. Jawne sprowokowanie zamieszek to ostatnia rzecz, na jaką może sobie pan pozwolić. Tak sam pan mówił wczoraj w mesie oficerskiej.

Val ery zawahał się.

- Tak, tak, oczywiście, mówiłem, lecz to coś innego, doktorze. To może stać się punktem zwrotnym, z którego rozprzestrzeni się myśl o...

- Mówiłem panu - cicho przerwał Brooks - że Johnny Nichol s to bardzo sprytny chłopak. Na drzwiach izby chorych wywiesił wypisane olbrzymimi literami ostrzeżenie: „Nie zbliżać się. Epidemia szkarlatyny!”. Można zdechnąć ze śmiechu, gdy się na nich patrzy. Wszyscy omijają izbę chorych jak zadżumioną. Buntownicy nie mogą mieć nadziei na szybki kontakt z kumplami z mesy palaczy.

Tyndall wybuchnął śmiechem, a nawet Val ery rozchmurzył się.

- To już lepiej, doktorze. Mimo to powinienem był dostać meldunek wczoraj w nocy.

- A po cóż budzić pana pośród nocy dla takiego drobiazgu? - szybko odpowiedział Brooks. -

Byłoby to z mojej strony szczytem egoizmu. Cóż byśmy zyskali? Gdy sprawy przyjmą zły obrót, pan będzie taskał okręt na swoim grzbiecie, a my wszyscy będziemy na panu polegać. Musimy dbać, aby pan był zdrow i jak najsilniejszy. Czy nie mam racji, admirale?

Tyndall przytaknął uroczyście.

19

- Racja, Sokratesie! W dość oryginalny sposób powiedziałeś kapitanowi, że życzysz mu spokojnej nocy. Ale masz rację. Brooks uśmiechnął się.

- To wszystko, panowie. Mam nadzieję, że spotkamy się przed sądem wojskowym. - Niechętnie zerknął przez ramię na gęstniejącą śnieżycę. - Czyż medycy nie są wspaniali? - Westchnął i zaczął

mówić swoją ojczystą gwarą z Galway. - Malta wiosną. Plaża w Sliema, za nią białe domy, gdzie przed wiekami urządzaliśmy pikniki. Delikatne powiewy... tak, moi mili, ciepły wietrzyk, błękit nieba i chianti pod pasiastym parasolem.

- Precz! - ryknął Tyndall. - Zwiewaj z mostku, Brooks, bo cię...

- Już mnie nie ma! Włoski strajk w kotłowni! Ha! Wiecie, jak się zacznie? Męskie sufrażystki będą się przykuwać do barierek! - Drzwi zatrasnęły się za nim.

Val ery zwrócił zatroskaną twarz do admirała.

- Wydaje się, że miał pan rację: to już nie kropla, lecz beczka.

- Być może - mruknął Tyndall bez przekonania. - Lecz najgorsze jest to, że ludzie nie mają nic do roboty poza męczeniem, narzekaniem i czepianiem się byle czego. Później wszystko będzie w porządku. Może...

- Gdy zacznie się... hm... robota? O to chodzi?

- Hm... Gdy się walczy o życie, o utrzymanie okrętu na powierzchni, wówczas nie ma czasu na spiskowanie i walkę z niesprawiedliwościami losu. Instynkt samozachowawczy jest pierwszym prawem natury... Przemówi pan do załogi, kapitanie?

- Tak. Zwykła regulaminowa audycja. Po pierwszej zmianie kursu, gdy wszyscy będą na wieczornych stanowiskach bojowych. Będę miał gwarancję, że nikt nie śpi.

- Dobrze. Wyłóż pan wszystko: dobre i złe. Niech mają o czym rozmyślać. A jeśli dobrze pojąłem aluzję Vincenta Starra, będziemy się nieźle głowić w tym rejsie. Starczy zajęcia dla wszystkich.

Val ery roześmiał się. Ten śmiech odmienił wyraz jego szczupłej, wrażliwej twarzy. Wyglądał, jakby się naprawdę cieszył.

Tyndall pytająco uniósł brwi.

- Ot, przelotna myśl, admirałe. Musi być źle, jeśli może uratować nas tylko nieprzyjaciel -

tłumaczył ze śmiechem dowódca.

ROZDZIAŁ III

Poniedziałek po południu

Nieprzerwanie przez cały dzień dał N.N.W. 1 Był silny i tężał coraz bardziej. Zimny, siekący jakby tysiącem małych noży wiatr niósł śnieg i lód, stęchły zapach starych lodowców, leżących za granicami wiecznej krainy mrozów. Nie był on porywisty, szarpiący. Wiał uparcie, wytrwale i od świtu do zmroku nacierał od dziobu na prawą burtę. Powoli, podstępnie podnosił coraz wyższą falę.

Ludzie, którzy opłynęli wszystkie morza i porty świata, tacy jak Vallery, Carrington i Hartley, niespokojnie przyglądali się temu i milczeli. Barometr spadał, sypał lepki śnieg. Maszty i reje upodobniły się do olbrzymich choinek przybranych wełniastymi łańcuchami - ośnieżonymi sztagami i falami.

Na głównym maszcie od czasu do czasu pokazywał się brązowy kopeć, niknące natychmiast lekkie maźnięcie puszką dymu z tylnego komina, raczej wyczuwalne niż widoczne.

Na dziobie śnieg zmienił łańcuchy kotwiczne w miękkie, puszyste liny z waty, zasypał falochron przed wieżą „A”. Gromadził się na wieżach artyleryjskich, na nadbudówkach, przedostawał na mostek, gdzie tajał pod nogami. Zalepił wszystkie oczy dalmierza centralnego celownika, przemyczał się po korytarzach, bezgłośnie prószył do włazów. Wyszukiwał najmniejsze nie osłonięte szczeliny w metalu i drewnie, przez co pokłady mieszkalne stawały się mokre, ośliżłe i nieprzytulne.

Przezwyceżał prawo ciężkości i bez trudu wlatywał do nogawic spodni, pod poły kurtek i ubrań sztormowych, pod kapiszony płaszczy; dręczył ludzi. Świat udręczony, mokry, lecz przede wszystkim biały, puszysty świat piękna i dziwnie stłumionych głosów.

Śnieg padał cały dzień. Sypał wytrwale. „Ulisses” przemyczał się po falach - widmowy okręt w widmowym świecie. Lecz nie samotny. W owych dniach nigdy nie był samotny. Miał towarzyszy, na których można polegać: Czternastą Eskadrę Lotniskowców - twardą, doświadczoną, zahartowaną w bojach grupę osłonową, otoczoną prawie taką samą legendą, jak sławna Grupa Ósma, ostatnio przerzucona na południe, gdzie przemierzała jeszcze jedną drogę śmierci, osłaniała konwoje na Maltę.

Podobnie jak „Ulisses”, eskadra przez cały dzień płynęła kursem N.N.W. bez kluczenia czy zwykle stosowanych zmian kursu. Tyndall nie cierpiał zygzakowania i rzadko je stosował z wyjątkiem rejsów w osłonie konwoju, i to tylko w rejonach zagrożonych przez łodzie podwodne. Jak wielu kapitanów uważał, że zygzakowanie jest potencjalnie większym wrogiem niż przeciwnik. Widział, jak 4200-tonowy krążownik „Curasao”, skręcając w przepisowym zygzaku, dostał się pod potężną stewę

„Queen Mary”. Nigdy o tym nie wspominał, lecz nie potrafił zapomnieć.

„Ulisses” płynął na swojej zwykłej pozycji, przysługującej flagowemu okrętowi eskadry, to jest starał się trzymać dokładnie w środku grupy trzynastu jednostek.

Na wprost przed nim sunął „Stirling”, krążownik starej klasy „Cardiff”. Był to solidny okręt, o wiele starszy i wolniejszy od „Ulissesa”, dobrze uzbrojony w pięć pojedynczych sześciocalowych armat, lecz nie przystosowany do zmagania się z arktycznymi sztormami. Jego „nurkowanie” podczas dużej fali było powszechnie znane. Głównym zadaniem „Stirlinga” była obrona konwoju, a dodatkowym - w razie uszkodzenia lub zatopienia „Ulissesa” - objęcie dowództwa nad eskadrą.

Lotniskowce - „Defender”, „Invader”, „Wrestler” i „Blue Ranger” szły po lewej i po prawej stronie.

„Defender” i „Wrestler” nieco przed „Ulissesem”, pozostałe trochę za nim. Nazwy tego typu lotniskowców osłonowych nieodzownie musiały kończyć się na „er”. Fakt, że we flocie był już

„Wrestler” - niszczyciel w Grupie Ósmej, a niedawno pod Tobrukiem zatonął „Defender”, nie miał

znaczenia. Lotniskowce osłonowe nie były gigantami regularnej floty wojennej o trzydziestu pięciu tysiącach ton wyporności, jak „Indefatigable” i „Illustrious”, lecz okrętami pomocniczymi o piętnastu do dwudziestu tysiącach ton. Pogardliwie zwano je „statkami do bananów” [1](#). Były to przebudowane w Pensacoli czy Missisipi amerykańskie frachtowce i przeszły Atlantyk z mieszanymi, anglo-amerykańskimi załogami.

Okręty te mogły wyciągnąć osiemnaście węzłów - szybkość stosunkowo duża jak na 1 N.N.W – wiatr wiejący z północno-północnego zachodu.

1 W rzeczywistości niektóre z nich były kiedyś szybkobieżnymi statkami chłodniami do przewożenia m.in. owoców południowych (przyp. tłum.)

21

jednośrubowe okręty. „Wrestler” miał dwie śruby, lecz inne jednostki posiadały aż po cztery diesle firmy Bush-Sulzer, pracujące na jeden wał. Ich mocno kanciaste pokłady-lotniska, długości czterystu dziesięciu stóp, umieszczone były tak, że z mostku kapitańskiego można było swobodnie patrzeć pod nimi naprzód, na dziób okrętu. Zabierały naraz po trzydzieści myśliwców typu grumman, seafire, najczęściej jednak corsairy lub po dwadzieścia lekkich bombowców. Były to dziwaczne statki: brzydkie, niekształtne i zupełnie niepodobne do jednostek bojowych. Mimo to w ciągu miesięcy służby wykonywały dobrą robotę, tworząc osłonę powietrzną, wykrywając i niszcząc wrogie okręty i łodzie podwodne. Lista zniszczonych przez lotniskowce nieprzyjaciół powietrznych, nawodnych i podwodnych była imponująca i często wywoływała wątpliwości Admiralicji.

Oslona niszczycieli również nie mogła budzić zaufania wśród morskich strategów z Whitehal .

Była to niesamowita zbieranina, przez kurtuazję tylko nazwana niszczycielami.

„Nairn” był fregatą klasy „River” o półtora tysiąca ton wyporności; „Eager” to trałowiec wielkiej floty; „Gannet” (lepiej znany jako „Huntley i Palmer”[2](#)) był w istocie podstarzałą i wysłużoną korwetą typu „Kingsfisher”, podobno przeznaczoną wyłącznie do rejsów przybrzeżnych. Pochodzenie

przezwiśka nie kryło w sobie żadnych niezwykłych tajemnic, wystarczyło rzucić okiem na sylwetkę rysującą się na tle zachodzącego słońca. Wątpliwe, czy konstruktor korwety pracował według wskazań Admiralicji, ale jeśli nawet tak było, to musiał mieć zły dzień.

Dwuśrubowce „Vectra” i „Viking” - zmodyfikowane niszczyciele klas „V” i „W” - obecnie były już przestarzałe; nie miały szybkości ani siły ognia, lecz były mocne i trwałe.

„Baliol”, mały niszczyciel - jeden z początkowych typów klasy „Hunt” - nie miał właściwie co robić na wielkich wodach Północy.

„Portpatrick”, cienki jak szkielet czterokominowiec, był jednym z pięćdziesięciu niszczycieli pamiętających pierwszą wojnę światową, a dostarczonych przez Stany Zjednoczone w ramach pomocy. Nikt nawet nie próbował zgadywać, ile ma lat. Okręt ten zawsze intrygował wszystkich, a gdy tylko psuła się pogoda, stawał się ośrodkiem zainteresowania całej floty. Chodziły pogłoski, że dwa takie bliźniacze okręty wywróciły się podczas sztormu na Atlantyku. Taka już jest ludzka natura, że każdy chciał być świadkiem podobnego widoku, gdy tylko pogoda była na tyle zła, że stwarzała możliwość potwierdzenia owych pogłosek. Co o tym myślała załoga „Portpatricka”, trudno powiedzieć.

Ta siódemka eskorty - niewyraźna, ledwie widoczna przez śnieg - trwała na swoich stanowiskach osłonowych przez cały dzień: fregata i trałowiec na czele, niszczyciele po bokach, a korweta z tyłu. Ósmy okręt eskortowy - szybki, nowoczesny niszczyciel klasy „S”, pod komendą dowódcy niszczycieli, komandora Orra, bez wytchnienia krążył wokół eskadry.

Każdy dowódca w zespole zazdrościł Orrowi jego ruchliwego zajęcia. Tyndall powierzył mu tę służbę, broniąc się przed jego nieustannymi naleganiami. Lecz nikt nie miał nic przeciwko tej nominacji. Nikt nie uważał, że Tyndall zrobił nieodpowiedni wybór. „Sirrus” miał nieomylnego nosa do bitki i prawie magnetyczną łączność z łodziami podwodnymi czekającymi w zasadzce.

Johnny Nicholls spoglądał z ciepłej mesy oficerskiej, mieszczącej się przy lewej burcie przedniego pokładu, na przyprószone śniegiem świat. Zdał sobie sprawę, że nawet ten wielce uprzejmy śnieg, pobielaający tysiąc grzechów, niewiele mógł uczynić dla dziwacznych, kanciastych, niezgrabnych i wyraźnie przestarzałych jednostek.

Wydało mu się, że powinien mieć pretensje do lordowskich mości z Admiralicji - posiadaczy limuzyn i miękkich foteli - którzy przesuwają maleńkie chorągiewki po wielkich mapach ściennych i wysyłają taką byle jak skleconą eskadrę, aby mierzyła się z gromadami doborowych łodzi podwodnych, podczas gdy oni sami siedzą wygodnie w luksusowych apartamentach. Lecz myśl umarła w załączku. Wiedział, że była potwornie niesprawiedliwa. Admiralicja dałaby z tuzin nowiuteńkich niszczycieli - gdyby je miała. Orientował się, jak bardzo źle wygląda sytuacja, a zapotrzebowanie Atlantyku i Morza Śródziemnego miało pierwszeństwo.

Zdawał sobie sprawę, że na te wysłużone graty może patrzeć z cynizmem i ironią. Wiedział

jednak, co one potrafią i czego już dokonały. Jeśli czuł do nich cokolwiek, było to uczucie niezwykle bliskie podziwu - może nawet dumy. Nichol s odwrócił się od iluminatora. Spojrzał na zaspanego

Kapok-Kida, wyciągniętego w fotelu, na jego olbrzymie, podbite futrem buty, oparte o elektryczny piecyk.

2 Huntley i Plamer – firma okrętowa znana z eksploatawania starych statków.

22

Kapok-Kid, porucznik Hon.[1](#) Andrew Carpenter R.N.[2](#), był nawigatorem „Ulissesa”.

To raczej on ma prawo do dumy - pomyślał kwaśno Nicholls.

Kapok-Kid był najbardziej towarzyskim człowiekiem, jakiego spotkał Nichol s. Czuł się on równie dobrze na dansingu, jak na pokładzie regatowego jachtu, przyjęciu, korcie tenisowym czy za kierownicą swego szkarłatnego, wielkiego bugatti, gdy przez opuszczoną przednią szybę powiewał końcami dwumetrowego szala. Lecz nic bardziej nie wprowadzało w błąd, jak jego powierzchowność.

Kapok-Kid uznawał jedynie marynarkę wojenną. Napuszoną miną próbował maskować swój prawie elżbietański romantyzm. Sądził, że koledzy nie widzą, jakim kultem otacza wszystko, co jest związane z morzem i okrętami. Dla wszystkich było to jednak zupełnie oczywiste i nikt nawet o tym nie wspominał.

Nichol s zastanawiał się nad swoją dziwną przyjaźnią z Kapok-Kidem. Była jakby przyciąganiem się przeciwieństw. Przyjaznej wylewności Carpentera przeciwstawiał swoją wrodzoną rezerwę i małomówność. Do wszystkiego, co Kapok-Kid tak gorąco podziwiał - do bałwochwalczego uwielbienia morza - czuł niechęć. Być może wyrastała ona z jego wybujałej indywidualności, a być może - z ukochania swobody i wrodzonej przekory szkockich górali.

Buntował się przeciwko tysiącnym złośliwościom dyscypliny, przeciwko autorytetowi i biurokratycznej głupocie regulaminów marynarki wojennej, które uwłaczały jego godności. Już przed trzema laty, gdy wojna wyrwała go z wielkiego szpitala w Glasgow (ledwie zdążył ukończyć pierwszy rok praktyki na internie), miał poważne podejrzenia, że współpraca z przełożonymi będzie raczej trudna. Tak się też okazało. Lecz pomimo swej antypatii, a może właśnie dzięki niej i kalwińskiemu sumieniu [u3](#) Nichol s został pierwszorzędnym oficerem. Stale jednak złościło go, że odkrywał w sobie dumę z okrętów swojej eskadry.

Westchnął. W kącie mesy zatrzeszczał głośnik. Nichol s z doświadczenia wiedział, że komunikaty rzadko zwiastują coś dobrego.

- Uwaga! Uwaga! - brzmiał bezosobowy, metaliczny głos. Kapok-Kid spał dalej w błogiej nieświadomości. - Dziś o siedemnastej trzydzieści kapitan będzie przemawiał do załogi. Powtarzam: dziś o siedemnastej trzydzieści kapitan będzie przemawiał do załogi. To wszystko.

Nichol s trącił Kapok-Kida końcem buta.

- Wstawaj, [Vasco1](#). Czas, żebyś napił się herbaty i poszedł trochę ponawigować.

Carpenter poruszył się, otworzył zaczerwienione oczy. Nichol s uśmiechnął się do niego zachęcająco.

- Na pokładzie jest pięknie. Fale rosną, temperatura spada, szaleje kolejna zawierucha. Coś akurat dla ciebie, Andy!

Kapok-Kid, mrużąc oczy, wracał do przytomności, zgięty we dwoje z trudem usiadł. Odgarnął z twarzy lniane włosy.

- Co takiego? - mruknął kłótliwym, jeszcze zaspanym głosem, potem uśmiechnął się niewyraźnie i spytał: - Wiesz, gdzie byłem? Na Tamizie, koło Grey Goose, troszkę powyżej Henley.

Było to późne lato, Johnny... Ciepło i bardzo cicho. A ona... była w zielonej sukience...

- Niestrawność - stwierdził Nicholls. - Wynik zbyt spokojnego życia. Za godzinę będzie przemawiał nasz stary. Lada chwila alarm wieczorny. Trzeba by coś przekąsić...

Carpenter smutnie potrząsnął głową.

- Żadnych szlachetnych uczuć! Ten człowiek nie ma duszy. - Wstał i przeciągnął się. Jak zwykle miał na sobie kapokowy, pikowany kombinezon, otulający go od stóp do głowy. W ten jedwabny pokrowiec wszyta była wata z japońskich i malajskich krzewów jedwabnej bawełny. Na prawej górnej kieszeni widniała wyhaftowana litera „J”. Jej znaczenia można się było domyślić. Porucznik zerknął

przez iluminator i otrząsnął się.

- Ciekawe, jaki szlagier szykuje stary na wieczór?

- Nie mam pojęcia. Sam jestem ciekaw, jakie zajmie stanowisko, jakim tonem będzie mówić, jak się weźmie do *rzeczy*. Mówiąc ostrożnie, sytuacja jest trochę... hm... delikatna... - Nicholls 1 Hon. (Honourable) – tytuł przysługujący szlachcicowi.

2 R.N. – Royal Navy. Tak określano oficerów zawodowych marynarki wojennej w odróżnieniu od R.N.V.R. – Royal Navy Volunteer Reserve – oficerów rezerwy (przyp. tłum.)

3 Tak w Anglii i Szkocji określa się ludzi bardzo sumennych.

1 Vasco – imię wielkiego podróżnika de Gamy.

23

uśmiechnął się półgębkiem. - Pomijając fakt, że załoga nie wie, iż znów idziemy do Murmańska. A może się domyśla?

- Tak - półprzytomnie przytaknął Kapok-Kid. - Nie sądzę, żeby nasz stary próbował

pomniejszać... niebezpieczeństwo lub tłumaczyć się. Rozumiesz, żeby starał się zwalić to wszystko na tych, co za to odpowiadają.

- Ach, nie - Nicholls zdecydowanie pokręcił głową. - Nasz stary tak nie postępuje. To po prostu nie leży w jego naturze. Nigdy się nie tłumaczy i nigdy siebie nie oszczędza. - Przez długą chwilę patrzył w ogień. - Szyper jest bardzo chory... Naprawdę, Andrew, bardzo chory.

- Co? - Kapok-Kid był zaskoczony. - Bardzo chory?... Na Boga, żartujesz. Na pewno żartujesz...

Dlaczego?...

- Nie żartuję - stanowczo, lecz bardzo cicho odpowiedział Nicholls. W kącie mesy siedział

kapelan Winthrope - silny, pełen entuzjazmu i radości życia młodzieniec o niezłomnych poglądach w każdej materii. Na razie jego witalność pozostawała niezauważona, trwał bowiem w otępiełej drzemce. Nicholls lubił go, lecz nie chciał, żeby usłyszał o chorobie kapitana, gdyż księżulo był gadatliwy. Nicholls często myślał, że Winthrope nigdy nie zostanie dobrym księdzem. Tajemnica spowiedzi byłaby dla niego nie do utrzymania.

- Stary Sokrates uważa, że kapitan jest prawie gotów, a on wie, co mówi - ciągnął dalej. -

Ubiegłej nocy stary wzywał go do siebie. W kabinie było pełno krwi. Gwałtowny krwotok. Stary wykaszliwał resztkę płuc. Brooks od dawna podejrzewał chorobę, ale kapitan nie pozwalał się badać.

Jeszcze parę dni, a wykończy się. - Przerwał i zerknął na Winthrope'a. - Za dużo gadam - powiedział gwałtownie. - Robię się równie nieznośny jak kapelan. Nie powinienem być nic gadać. Przypuszczam, że poderwałem zawodowe zaufanie i te tam... Andy, o tym wszystkim ani mru-mru.

- Oczywiście, oczywiście... Więc uważasz, Johnny, że on umiera?

- Właśnie... Chodźmy coś przekąsić...

Po dwudziestu minutach Nicholls poszedł do izby chorych. Zapadł zmrok. „Ulisses” ciężko pracował na fali. Brooks znajdował się w sali operacyjnej.

- Dobry wieczór, sir. Lada chwila alarm wieczorny. Nie ma pan nic przeciw temu, że wezmę dyżur w izbie? Brooks spojrzał nań uważnie.

- Nic z tego. Regulamin mówi, że podczas alarmu miejsce młodszego lekarza jest na rufie w pomieszczeniach mechaników.

- Bardzo proszę...

- Czemu? Samotnik, leń czy po prostu zmęczony? - Wesoły ruch brwiami pozbawił słowa ich

uszczypliwej treści.

- Nie. Ciekawy. Chciałbym zobaczyć, jak Riley i... jego konfederaci zareagują na przemówienie kapitana. To może być bardzo ciekawe...

- Sherlock Nicholls, co? Zgoda, Johnny. Zadzwoń do oficera z kontroli awaryjnej na rufie.

Powiedz mu, że masz tu zajęcie. Większa operacja, co chcesz. Frajerskie towarzystwo. Łatwo dają się nabrać. Wstyd!

Nicholls roześmiał się i chwycił za słuchawkę. Gdy trąbka zagrała na alarm, siedział w gabinecie zabiegowym. Światła były pogaszone, a kotary przysłonięte. Mógł dojrzeć każdy kącik jasno oświetlonej izby chorych.

Pięciu chorych spało. Dwaj pozostali - małomówny olbrzym Petersen, pół Norweg, pół Szkot, i czarniawy, maleńki cockney¹ Burgess - siedzieli na łóżkach i cicho rozmawiali, przyglądając się śniademu, potężnie zbudowanemu człowiekowi leżącemu między nimi. Na tym podwórku panował palacz Riley.

Alfred O'Hara Riley jeszcze w młodym wieku wybrał karierę kryminalisty i osiągnął ją. Chociaż nieraz liczne koleje losu zmuszały go do chwytania się różnych zawodów, trwał przy swoim. Taka wytrwałość na prawie każdym innym polu przyniosłaby mu sukcesy, a może nawet zyski. Tu jednak sukcesy i zyski go omijały.

Każdy człowiek jest taki, jakim uczyni go otoczenie i pochodzenie. Riley nie był wyjątkiem i Nicholls, który wiedział coś niecoś o jego życiu, uważał, że los nigdy nie dał ogromnemu palaczowi żadnych szans. Syn analfabetki, alkoholiczki - urodził się w brudnych, zatłoczonych, wyniszczonych przez choroby zaułkach Liverpoolu. Od samego początku był wyrzutkiem. Sprzymierzył się z tym 1 Cockney – miszkaniec robotniczych dzielnic Londynu. Słowo to oznacza również gwarę londyńską (przyp. tłum.) 24

jego wygląd. Obrośnięte, goryłowate ciało, wielka wystająca szczeka, wykrzywione usta, rozplaszczony nos; czarne chytne oczka zerkające z ukosa pod niskim czołem, ledwie rozdzielającym linię brwi i włosów, co zresztą zdradzało jego możliwości umysłowe. Ta powierzchowność doskonale harmonizowała z powołaniem Rileya. Nicholls przyglądał się mu i osądzał nie potępiając. Zdawał

sobie sprawę z sytuacji, w której postawił go los.

Riley nie był kryminalistą, któremu sprzyja szczęście. Jego inteligencja ledwie przewyższała poziom kretyństwa. Palacz mgliście zdawał sobie z tego sprawę i nie tykał wyższych, bardziej subtelnych form przestępstwa. Uprawiał rabunek - jeśli się dało, rabunek z użyciem siły.

Sześciokrotnie siedział w więzieniu, ostatni raz dwa lata.

W jaki sposób trafił do marynarki wojennej, było tajemnicą, która intrygowała zarówno jego samego,

jak i dowódców. Lecz Riley przyjął obojętnie ten ostatni wybryk losu. Przewiął się przez nadwerżone bombardowaniami baraki bazy wojennej w Portsmouth, znacząc swoją obecność porozcinanymi walizami i opróżnionymi portfelami. Aresztowano go bez trudu. Dostał sześćdziesiąt dni paki i skierowanie jako palacz na „Ulissesa”. Jego kariera kryminalna na „Ulissesie” była krótka i bolesna. Pierwsza próba kradzieży - nieudolne, potwornie głupie włamanie do szafki w kabinie sierżantów piechoty morskiej - była ostatnią. Na gorącym uczynku przyłapali go sierżant szef Evans i sierżant Macintosh. Nie zrobili z tego użytku i Riley przez trzy dni leżał w izbie chorych. Mówił, że zaczepił o szczebel trapu i zleciał z wysokości dwudziestu stóp do kotłowni. Ale i tak wszyscy znali prawdę. Turner polecił zwolnić go z okrętu. Ku zdziwieniu wszystkich, a najbardziej ku zdziwieniu samego Rileya, komandor inżynier

Dodson upart się, aby mu dać ostatnią szansę, i Riley pozostał. Od tej chwili, przez cztery miesiące, ograniczał swą działalność do wywoływania zamieszek. Skończył się jego apatyczny i tolerancyjny stosunek do marynarki wojennej - zrodziła się paląca nienawiść. Jako wichrzyciel osiągnął sukcesy, których nie zdobył jako przestępca. Trzeba przyznać, że miał podatny grunt do działania. Szacunek, jeśli można użyć tego słowa, zdobył dzięki swej zaciętości, zwierzęcej sile, chytrności i umiejętności imponowania. Ochryply, donośny głos i zapalczywość sprawiały, że podporządkował sobie kolegów. Wykorzystał to do maksimum, aby przyspieszyć wybuch buntu. Bez wątpienia był współwinnym śmierci młodego Ralstona, palacza i żołnierza z piechoty morskiej, któremu w tajemniczy sposób skręcono kark. Nie ulegało również żadnej wątpliwości, że nie można mu niczego dowieść. Nichol s próbował odgadnąć, jakie nowe diabelstwo kłuje się pod niskim, porytym zmarszczkami czołem. Nie mógł pojąć, jak to się dzieje, że ten sam Riley stale narażał się na nieprzyjemności, gdyż przynosił na „Ulissesa” i otaczał troskliwą opieką każdego zabłąkanego kotka, każdego znalezionego ze złamanym skrzydłem ptaka.

Głośnik zaskrzeczał, przecinając bieg myśli lekarza i przerywając szepty w izbie chorych. Nie tylko tam. Na całym okręcie: w wieżach i magazynach, w maszynowniach i kotłowniach, na pokładzie i pod pokładem zamilkły rozmowy. Tylko wiatr wył, a dziób uderzał o rosnące fale. Głucho warczały wentylatory kotłowni i szumiały elektryczne motory.

Przeszło siedmiuset trzydziestu oficerów i marynarzy czekało w napięciu, prawie namacalnym w swej sile.

- Mówi kapitan. Dobry wieczór. - Spokojny głos był dobrze ustawiony, bez cienia wysiłku czy zmęczenia. - Jak wiecie, mam zwyczaj jak najwcześniej na początku każdego rejsu mówić wam, co przyszłość ma dla nas w zanadru. Uważam, że macie do tego prawo i że jest to moim obowiązkiem.

Nie zawsze przyjemnym. Szczególnie w ostatnich miesiącach nigdy to nie było przyjemne. Tym razem jestem jednak prawie zadowolony. - Przerwał i następne słowa odmierzał powoli. - To nasza ostatnia akcja w ramach Home Fleet¹. Za miesiąc, jeśli Bóg da, będziemy na Śródziemnym.

Masz rację - myślał Nicholls. - Osłódź pigułkę, a potem wał prosto z mostu. Lecz kapitan miał inne plany.

- Teraz mamy robotę równie trudną jak poprzednim razem. Znowu Murmańsk. W środę o dziesiątej

trzydzieści na północ od Islandii spotykamy konwój z hallfaksu. Składa się on z osiemnastu dużych i szybkich statków. Wszystkie robią po piętnaście i więcej węzłów. To nasz trzeci szybki rosyjski konwój, koledzy - FR 77. Mówię to na wszelki wypadek, gdybyście zechcieli opowiadać wnukom - dodał sucho. - Statki wiozą czołgi, samoloty, benzynę lotniczą i ropę. Nic więcej.

Nie będę próbował umniejszać niebezpieczeństwa. Wiecie, w jak rozpaczliwej sytuacji znajduje 1 Home Fleet – główna flota brytyjskiej marynarki wojennej, bazująca w portach Wysp Brytyjskich.

25

się w tej chwili Rosja, jak bardzo potrzebuje tej broni i paliwa. Możecie być pewni, że Niemcy również wiedzą o tym i że agenci ich wywiadu już zdążyli zameldować o rodzaju ładunku i dacie wyruszenia konwoju - urwał i po całym milczącym okręcie niósł się jego szarpiący kaszel tłumiony chusteczką.

Powoli mówił dalej:

- Nasz konwój wiezie dość samolotów i paliwa, aby całkowicie zmienić charakter wojny w Rosji.

Hitlerowcy nie cofną się przed niczym, powtarzam: przed niczym, aby nie dopuścić konwoju do Rosji.

Nigdy nie wprowadzałem was w błąd ani nie oszukiwałem. Nie uczynię tego i teraz. Wiadomości są złe. Na naszą korzyść działają jedynie: szybkość i, mam taką nadzieję, moment zaskoczenia.

Będziemy próbowali przedrzeć się wprost do Przylądka Północnego.

Cztery ważne czynniki działają przeciw nam. Zauważyliście, jak bez przerwy pogarsza się pogoda. Obawiam się, że zbliżamy się do strefy wyjątkowych warunków atmosferycznych, wyjątkowych nawet dla Arktyki. To może, powtarzam: może przeszkodzić atakom łodzi podwodnych.

Z drugiej zaś strony możemy zgubić niektóre mniejsze jednostki eskorty. Nie mamy czasu na ucieczkę lub ominięcie złej pogody. FR 77 będzie szedł prosto do celu. A to oznacza, że lotniskowce prawie na pewno nie będą mogły użyć do osłony swoich myśliwców.

Mój Boże, czyżby on stracił rozum? - zastanawiał się Nicholls. - Odbiera tę resztkę ducha, która pozostała. Jeśli w ogóle pozostała. Cóż, do diabła...

- Po drugie - głos brzmiał spokojnie, nieugięte - nie zabieramy z konwojem statków ratowniczych. Nie będzie czasu na zatrzymanie się.

Zresztą wiecie, co spotkało „Stockport” i „Zafaaran”¹. Bezpieczniej jest w szyku.

Po trzecie, wiemy, że dwie, a możliwe, że i trzy grupy niemieckich łodzi podwodnych rozlokowane są wzdłuż siedemdziesiątego równoleżnika, a nasi agenci wywiadu donoszą z Norwegii o intensywnych przygotowaniach niemieckich bombowców.

W końcu mamy powody przypuszczać, że „Tirpitz” przygotowuje się do wyjścia w morze. - Znow przerwał. Wydawało się, że na czas dłuższy. Wiedział, jak wielkim wstrząsem są jego słowa, i dawał

czas, aby sobie uzmysłowiono ich sens. - Nie potrzebuję wam mówić, co to znaczy. Niemcy mogą zaryzykować wysłanie „Tirpitz”, by zatrzymał konwój. Admiralicja przypuszcza, że tak właśnie postąpią. W końcowej części rejsu główne jednostki naszej floty - możliwe, że będą to lotniskowce

„Victorious” i „Furious” oraz trzy krążowniki - będą szły równolegle do nas, w odległości dwunastu godzin żeglugi. Nasze dowództwo długo czekało na taką okazję. My mamy być przynętą, która zwabi zwierza do pułapki.

...Możliwe, że coś się nie uda. Najdoskonalsze plany... może pułapka nie zatrzaśnie się na czas. Mimo to konwój musi się przedrzeć. Jeśli samoloty nie będą mogły wystartować z lotniskowców, „Ulisses” osłoni ucieczkę konwoju. Wiecie, co to znaczy. Myślę, że wszystko jest jasne...

Nowy atak kaszlu, nowa długa przerwa. Gdy kapitan znow zaczął mówić, głos miał zupełnie zmieniony. Mówił bardzo cicho.

- Wiem, czego od was wymagam. Wiem, że jesteście zmęczeni, pozbawieni nadziei, złamani na duchu. Nikt nie wie lepiej, co przeszliście, jak bardzo potrzebujecie odpoczynku, jak bardzo na niego zasłużyliście. Będziecie mieli odpoczynek. Osiemnastego cała załoga idzie w Portsmouth na dziesięć dni urlopu, potem stajemy w Aleksandrii celem dokonania przeróbek. - Powiedział to mimochodem, jakby słowa te nie miały żadnego znaczenia. - Lecz przedtem, wiem, że brzmi to okrutnie, nieludzko, przedtem wymagam od was, żebyście jeszcze raz przeszli przez wszystko najgorsze, może nawet gorsze niż kiedykolwiek. Nie mogę tego odmienić. Nikt nie może. - Każde zdanie było podkreślone długą pauzą. Trudno było chwycić te słowa, tak ciche i odległe. - Nikt nie ma prawa żądać tego od was, a najmniej ja, najmniej ja... Lecz wiem, że podołacie. Wiem, że nie zawiodę się na was. Wiem, że wy przeprowadzicie „Ulissesa” przez wszystko. Życzę powodzenia. Niech was Bóg błogosławi.

Dobranoc.

Wyłączono głośniki. Milczenie trwało nadal. Nikt nie odzywał się, nikt nie poruszał. Nawet powieki nie drgnęły. Ci, którzy patrzyli na głośniki, nadal wpatrywali się w nie lub spoglądali na własne ręce, na żarzące się niedopałki zakazanych papierosów, nieczuli na dym gryzący zmęczone oczy.

Wydawało się, że każdy pragnął samotności, aby zajrzeć do własnej duszy, uporządkować 1 Statki ratownicze przeznaczone do wyławiania rozbitków w pierwszych konwojach. „Zafaaran” zginął w jednym z najgorszych konwojów wojny. „Stockport” został storpedowany i zatonął z całą załogą i uratowanymi ludźmi)przyp. tłum.) 26

myśli, a wiedział, że jeśli spotka czyjś wzrok - już nie będzie sam. Dziwny spokój, nienaturalna cisza, milczące porozumienie tak rzadko spotykane wśród ludzi. Zasłona unosi się i opada. Nie można zapamiętać, co się ujrzało. Każdy wie, że coś zobaczył, lecz wie również, że to nigdy się nie powtórzy w tej samej formie. Zdarza się to rzadko, nazbyt rzadko; niezwyklej piękności zachód słońca, urywek wielkiej symfonii, przerażająca cisza na rozległych arenach Madrytu i Barcelony, gdy szpada największego z matadorów zadaje nieunikniony cios. Hiszpanie mają na to określenie:

„moment prawdy”.

Zegar w izbie chorych niezwykle głośno cykał minutę, może dwie. Z głębokim westchnieniem, jakby wieki całe nie oddychał, Nicholls poszedł za zasłonę do rozsuwanych drzwi i przekręcił kontakt.

Spojrzał na Brooksa, znów się odwrócił.

- Cóż, Johnny? - zabrzmiał cichy i prawie kpiący głos.

- Nic nie rozumiem - pokręcił głową Nicholls. - Początkowo myślałem, że ma zamiar zrobić z tego... no... nastraszyć ich tak, żeby mieli dusze na ramieniu. I na Boga - mówił z podziwem - właśnie to uczynił. Zebrał na kupę: sztormy, „Tirpitz”, hordy łodzi podwodnych, a mimo to... - głos mu się załamał.

- A mimo to - jak echo przedrzeźniał Brooks. - Właśnie o to chodzi. Nadmiar inteligencji, oto co w dzisiejszych czasach dokucza młodym lekarzom. Widziałem cię, jakieś siedział niby jaki psychiatra, z całych sił analizując możliwe efekty, jakie to przemówienie wywoła w umysłach zranionych rycerzy, nie próbując nawet samemu zastanowić się nad jego treścią... - urwał i ciągnął spokojniej: - To było świetne przemówienie, Johnny. Nie, te słowa są nieodpowiednie, nie było tam nic wystudiowanego.

Nie widzisz? Najczarniejszy obraz, jaki można namalować. Wskazał, jak można w najwyszukańszy sposób popełnić samobójstwo. Bez srebrnych obić, bez obietnic, nawet Aleksandrię wspomniał mimochodem, jak jakąś uboczną myśl. Podnosił na duchu, a potem strącał w dół. Żadnych wezwań, żadnej nadziei ani próśb. A mimo wszystko to był potężny apel. Co to było, Johnny?

- Nie wiem. - Zaniepokojony Nichol s gwałtownie podniósł głowę, uśmiechnął się niewyraźnie. -

Może to nie był apel? Słuchaj pan! - bezszelestnie rozsunął drzwi, zgasił światło.

Trudno było nie poznać dudniącego, chropowatego głosu Rileya, który brzmiał nisko i mocno.

- ...po prostu bzdury. Aleksandria? Śródziemne? Nie w naszym życiu, bracie. Nigdy nie zobaczymy. Nawet nigdy już nie ujrzymy Scapa. Kapitan Richard Vallery, D.S.O.1 Drugi raz chce zdobyć ten order! A może nawet V.C. 22 Chce. Ale, na Boga, nie zdobędzie! W każdym razie nie na mój koszt. Jeśli tylko będę mógł, to przeszkodzę! „Wiem, że się na was nie zawiodę” - przedrzeźniał

kapitana, piejąc cienkim głosem.

- Płaczliwy głupiec - przerwał i po chwili mówił dalej: - „Tirpitz”, Jezu Chryste, „Tirpitz”! My go mamy powstrzymać! My - podniósł głos.

- Powtarzam wam, chłopcy: o nas nikt się nie troszczy. Prosto na Przylądek Północny! Rzucają nas przed wściekłe wilki. A ten stary głupiec tam na górze...

- Zamknij się - to Petersen odezwał się cichym, wściekłym szeptem. Wyciągnął rękę. Brooks i Nicholls drgnęli, słysząc, jak w potężnej łapie olbrzyma chrzęści przegub dłoni Rileya. - Często

zastanawiałem się nad tobą, Riley - ciągnął wolno. - Ale nie teraz, już nigdy... Patrząc na ciebie, chce mi się rzygać. - Puścił rękę palacza i odwrócił się.

Przerażony Riley rozcierał bolący przegub i zwrócił się do Burgessa.

- Na miłość boską, co się z nim dzieje? Co do diabła... - urwał gwałtownie. Burgess wpatrywał się w niego uparcie przez długą chwilę.

Powoli, z rozmysłem ułożył się na łóżku, naciągnął na głowę koce i odkręcił się plecami do Riley'a. Brooks wstał, szybko zasunął drzwi i zapalił światło.

- Akt pierwszy. Scena druga. Przerwa! Światło! - mruzczał. - Wiesz, o co mi chodzi, Johnny?

- Tak - wolno przytaknął Nicholls. - Chyba wiem.

- Pamiętaj, chłopcze, że takie napięcie nie może trwać długo. - Roześmiał się. - Ale może wytrzyma aż do Murmańska... Kto wie?

- Mam nadzieję. Dziękuję za widowisko. - Nichol s sięgnął po płaszcz. - Pójdę na rufę.

- Więc w drogę! I... Johnny...

- Słucham?

1 D.S.O. – wysokie odznaczenie bojowe (Distinguish Service Order) 2 V.C. – Victoria Cross.
Najwyższe odznaczenie bojowe.

27

- To ostrzeżenie o szkarlatynie. Wyrzuć je za burtę. Myślę, że już nie będzie potrzebne. Nicholls uśmiechnął się szeroko i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

28

ROZDZIAŁ IV

Poniedziałek w nocy

Wieczorny alarm bojowy trwał niekończącą się godzinę. Tej nocy (jak i podczas tysiąca innych) był tylko dodatkową przyczyną ogólnego rozdrażnienia. Zdawało się, że to zupełnie pozbawiony sensu środek ostrożności. Nieprzyjaciel z reguły atakował o świcie. O atakach wieczornych w ogóle nie słyszano.

Na innych statkach alarmy takie urządzano bardzo rzadko.

„Ulisses” dotychczas miał szczęście. Wiedział to każdy, nawet Vallery. Lecz on znał również

przyczyny tego wyjątkowego szczęścia - żeglarskim credo kapitana była czujność.

Zaraz po zakończeniu przemówienia dowódca radar zameldował, że zbliża się jakiś samolot.

Mógł to być jedynie samolot nieprzyjacielski. Komandor Westcliffe, dowódca myśliwców eskadry osłonowej, miał przed sobą na ścianie sali radiolokacji mapę z trasami dywizjonów lotnictwa transportowego i obrony wybrzeża, a radar wykrył samolot na czystej przestrzeni. Nikt nie przywiązywał do meldunku najmniejszej wagi, tylko Tyndall kazał zmienić kurs na północno-wschodni. Była to taka sama reguła jak wieczorny alarm bojowy.

Leciał stary przyjaciel „Charlie”, aby złożyć swoje wyrazy szacunku.

„Charlie”, przeważnie czteromotorowy focke-wulf condor, był po prostu częścią składową rosyjskich konwojów. Dla marynarzy na trasie murmańskiej stał się tym, czym dla dawnych żeglarzy przemierzających ryczące czterdzieste szerokości południowej półkuli był albatros - zwiastunem złych wieści. Wprawdzie „Charliemu” - jak i albatrosom – nie robiono krzywdy, lecz z całkiem z innych powodów. W początkowej fazie wojny, przed pojawieniem się okrętów z katapultami i lotniskowców,

„Charlie” nieraz krążył nad konwojem od brzasku do zmroku, nadając do swej bazy meldunki o jego dokładnej pozycji.

Zdarzało się, że brytyjskie okręty i niemiecki samolot wymieniały depesze i na ten temat krążyły setki niesprawdzonych historyjek. W wielu wypadkach „Charlie” zapytywał o pozycję i w odpowiedzi otrzymywał dokładną długość i szerokość geograficzną, którą można by odnaleźć gdzieś na południowym Pacyfiku. Naturalnie z tuzin statków przyznaje się do historii z wysłaniem przez dowódcę konwoju depeszy: „Już nam się w głowie kręci. Prosimy krążyć w przeciwnym kierunku”, po której „Charlie” uprzejmie zastosował się do prośby.

Ostatnio jednak te „przyjazne” stosunki skończyły się. Z biegiem czasu wzrastała ostrożność, zjawiały się morskie myśliwce i „Charlie” pokazywał się przeważnie wieczorem. Zwykle zataczał nad konwojem jeden krąg i znikał w ciemnościach.

Ta noc była wyjątkiem. Poprzez śnieżycę dostrzeżono jedynie nikły cień condora, który rozpląnął się w gęstniejącym mroku. „Charlie” na pewno poda siłę, rodzaj i kierunek poruszania się eskadry, chociaż Tyndall wątpił, czy udało się zmylić niemiecki wywiad zmianą kursu.

Wiadomość o eskadrze brytyjskich okrętów wojennych, znajdujących się na sześćdziesiątym stopniu szerokości północnej, trochę na wschód od Wysp Owczych, idących kursem N.N.E., nie miałyby dla Niemców sensu, tym bardziej że ich wywiad prawie na pewno wiedział o wyjściu z hallfaksu. Dwa plus dwa, oczywiście równa się cztery.

Nie zaryzykowano wysłania myśliwców seafire, które mogłyby dogonić condora, zanim zniknie w mroku. W panujących prawie całkowitych ciemnościach, nawet przy prowadzeniu radiowym, z trudnością mogłyby odnaleźć lotniskowce. Lądowanie nocą jest bardzo niebezpieczne, a lądowanie pi razy oko podczas śnieżycy, na nurkującym, kołyszącym się pokładzie byłoby samobójstwem.

Seafire, morski myśliwiec o smukłym kadłubie, wyposażony w ciężki silnik Rolls-Royce-Merlin, podczas lądowania stawał się prawdziwą śmiertelną pułapką. Gdy uderzał w wodę, po prostu gładko wślizgiwał się w głębię. Najmniejsza niedokładność, najdrobniejszy błąd w ocenie wysokości i odległości oznaczały stratę samolotu i śmierć pilota.

Znów „Ulisses” parł na ślepo po starym kursie, prosto w narastający sztorm. Załoga opuściła stanowiska bojowe i zaczęły się zwykłe wachty, cztery godziny służby, cztery odpoczynku.

1 Statek ze wzmocnionym przednim pokładem, na którym ustawiano katapultę. Z katapulty wyrzucano zmodyfikowany typ myśliwca hurricane, którego pilot po stoczeniu walki albo lądował na morzu, albo wyskakiwał ze spadochronem. „Hazard” to słowo zbyt słabe na określenie tego rodzaju zadań. Szansę ratunku były minimalne (przyp. autora).

29

Wydawałoby się, że to nic okropnego. Dwanaście godzin pracy przy dwunastu wytchnienia w ciągu doby. Można wytrzymać. Można? Więc wytrzymywano. Lecz załoga spędzała również przepisowe trzy godziny na stanowiskach bojowych. Co drugi dzień służba przedpołudniowa (to już poza zwykłymi wachtami), a Bóg jeden wiedział, ile godzin pójdzie na prawdziwe alarmy bojowe. Przy tym wszystkim posiłki, jeśli kuchnia je wydawała, spożywano w czasie wolnym od służby. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że na sen zostawało trzy, cztery godziny, a zdarzało się, iż marynarze nie sypiali nawet po czterdzieści osiem godzin.

Krok po kroku, stopień po stopniu termometr i barograf spadały w niebezpiecznym duecie. Fale rosły i stawały się bardziej strome. Przeszywający do szpiku kości wiatr tworzył ze śniegu oślepiającą zasłonę. Zła, bezsenna noc, zarówno dla tych na pokładzie, jak wewnątrz okrętu; dla tych, co czuwali, i dla tych, co mogli odpoczywać.

Na mostku pierwszy oficer, Kapok-Kid, sygnaliści, podoficer przy reflektorze i wpatrzeni w białą noc obserwatorzy zastanawiali się, jak to jest, gdy się czuje ciepło. Wszyscy mieli na sobie swetry, kurtki, płaszcze mundurowe i wachtowe ubrania sztormowe, szaliki, wełniane szlemy, kominiarki; byli całkowicie opatuleni, w wełnianym oprzędzie pozostawili tylko szpary na oczy, a mimo to drżeli z zimna. Marzli, choć obejmowali otaczające mostek gorące rury i opierali na nich zziębnięte nogi.

Obsługi pom-pomów, skulone żałośnie w osłonach sprzężonych armatek, tupwały, zabijały ręce i klęły bez przerwy.

Osamotnieni celowniczy oerlikonów (każdy zamknięty w jednoosobowym stanowisku) opierali się o wbudowane tam grzejniki i walczyli z najbardziej podstępny wrogiem - snem.

Wachta, odpoczywająca pod pokładem w pomieszczeniach mieszkalnych, nie czuła się lepiej.

Na „Ulissesie” nie było koi dla załogi, do spania służyły hamaki, lecz rozwieszano je tylko w porcie.

Były po temu poważne i całkiem uzasadnione powody. W marynarce wojennej wymagania higieniczne stały na wysokim poziomie, nawet w porównaniu z cywilnym mieszkaniem. Przeciętny

marynarz nie pomyślałby nawet o tym, że jest możliwe spocząć w hamaku w ubraniu. W konwojach do Rosji nikt przy zdrowych zmysłach nie marzył nawet o rozbieraniu się. Przemęczonych ludzi odstraszała już sama perspektywa zawieszania hamaka. Kilka dodatkowych sekund potrzebnych na wyskoczenie z hamaka w razie niebezpieczeństwa mogło stanowić o życiu lub śmierci. Ponadto zawieszony hamak stanowił niebezpieczeństwo dla wszystkich, gdyż przeszkadzały w szybkim poruszaniu się po międzypokładach. Wreszcie przy silnej fali od dziobu spanie w zawieszonych równoległe do osi statku hamakach nie należało do przyjemności.

Załoga ubrana w płaszcze, a nawet rękawice spała więc, gdzie się dało. Na stołach, pod stołami, na wąskich dziewięciocalowych ławkach, na podłodze, na stojakach z hamakami - byle gdzie. Najprzyjemniejszym miejscem na okręcie były ciepłe stalowe płyty w korytarzu koło kuchni, który nocą w oświetleniu jaskrawoczerwonej żarówki robił wrażenie niesamowitego, upiornego tunelu. Popularności tej nocnej kwaterze dodawał fakt, że od górnego pokładu dzieliło ją jedynie parę stóp. Gdzieś w głębi ludzkich mózgów stale tkwił strach przed uwięzieniem w tonącym okręcie.

Nawet pod pokładem panowało okrutne zimno. System rur tłoczących gorące powietrze działał dobrze tylko w salach „B” i „C”, lecz temperatura była i tak niewiele wyższa od zera. Skroplona para, spływająca drobnymi strumyczkami po ścianach, tworzyła kałuże na podłodze. Wilgoć, brak powietrza i przejmujący chłód stwarzały idealne warunki dla gruźlicy, której tak bardzo obawiał się komandor Brooks.

To wszystko, w połączeniu z nieustanną chwiejbą okrętu, gdy przy każdym uderzeniu fali kadłub gwałtownie trzeszczał i wibrował, prawie uniemożliwiała sen; co najwyżej udawało się przez chwilę poleżeć.

Prawie cała załoga spała lub starała się spać, mając pod głową nadmuchane pasy ratunkowe.

Wydęte, złożone we dwoje, przymocowane taśmą izolacyjną pasy stawały się całkiem wygodnymi poduszkami. Używano ich jedynie do tego celu, chociaż regulamin mówił, że podczas akcji na wodach zagrożonych przez nieprzyjaciela pasy trzeba stale nosić na sobie. Rozkaz ten lekceważyli nawet oficerowie, których zadaniem było pilnować jego wykonania. W grubej, wielowarstwowej masie ubrania, jaką noszono w tych szerokościach geograficznych, było dość powietrza, aby utrzymało człowieka na powierzchni przez trzy minuty. Jeśli nie wyłowiono go w tym czasie, i tak umierał.

Zabijał go wstrząs, szok, jaki odczuwał organizm o temperaturze trzydzieści siedem stopni zanurzony gwałtownie w wodzie zimniejszej o jakieś czterdzieści stopni, trzeba bowiem pamiętać, że wody w 30

Oceanie Lodowatym często mają temperaturę niższą od zera. Jeszcze niebezpieczniejszy był mroźny wiatr; tysiącem ostrzy przenikał ubranie wyłowionego, a wówczas natychmiastowe ochłodzenie ciała było tak wielkie, że serce przestawało bić. Mówiono, że jest to śmierć szybka, dobra i litościwa.

Na dziesięć minut przed północą komandor i Marshal wyszli na mostek. Pomimo tak późnej pory i fatalnej pogody komandor był taki jak zwykle - spokojny i wesoły. Szczupły, zwinny - wyglądał na potomka korsarzy z czasów królowej Elżbiety, jeśli ci w ogóle pozostawili po sobie potomków - posiadał nie dający się stłumić entuzjazm życia. Kapiszon płaszcza jak zwykle zarzucił na plecy; wyłożony daszek czapki sterczał z fasonem pod jakimś niezwykłym kątem. Komandor szarpnął klamkę drzwi, wszedł na mostek, przez chwilę przyzwyczajał oczy do ciemności. Wreszcie dostrzegł pierwszego oficera, głośno klepnął go po ramieniu.

- O, wachtowy! Cóż to za noc! - huknął radośnie. - Podniecająca! Tak, podniecająca.

Przypuszczam, że nikt nie wie, co się dzieje? Gdzie się znajdują nasze kurczęta w tak miły wieczór?

- Poprzez śnieg uważnie oglądał widnokrąg. - Wszyscy rozleźli się po piekle i hen, poza jego granice.

- Wcale nie tak źle - roześmiał się Carrington, oficer rezerwy, były kapitan marynarki handlowej, na którym Vallery polegał całkowicie. Komandor porucznik Carrington był małomówny, ponury i nieskory do uśmiechów, lecz z Turnerem łączyły go specjalne więzy, więzy wzajemnego zawodowego szacunku. - Od czasu do czasu udaje się dostrzec lotniskowce. A zresztą Bowden i jego pomocnicy znają pozycję każdego okrętu z dokładnością do jednego cala. Przynajmniej tak mówią...

- Lepiej niech Bowden tego nie słyszy - ostrzegął Marshal. - Zdaje się, że radar to pierwszy prawdziwy krok naprzód, jaki zrobił człowiek od chwili zejścia z drzewa. - Nie mogąc opanować dreszczu, odwrócił się plecami do wichru. - W każdym razie chciałbym mieć jego robotę - dodał marząco. - To tu gorsze jest niż zima w Albercie.

- Nonsens, chłopcze. Lipa i bzdura! - zagrzmiął komandor. - Całe zmartwienie w tym, że wy, młodzieńcy, wyrosliście na dekadentów. „To tu” jest jedynym rodzajem życia godnym szanującego się człowieka. - Delektując się wciągał mroźne powietrze. - Kto jest dziś z panem? - spytał Carringtona.

Ciemna sylwetka oderwała się od kompasu i podeszła bliżej.

- Ach, jesteś! Niech mnie gęś kopnie, jeśli to nie oficer nawigacyjny, wielce szanowny pan Carpenter, jak zwykle zatopiony w marzeniach; wystrojony w swój wymuskany garniturek. Czy wie pan, pilocie, że w tym ubranku wygląda pan jak nurek lub reklama opon Michelin?

- Ha - tragicznym głosem odparł Kapok-Kid - niech pan używa, póki można, komandorze -

gestem pełnym zadowolenia pogłaskał się po piersi. - Zobacz pan, co będzie, gdy znajdziemy się razem w kąpieli. Wszyscy toną albo zamarzają na śmierć, a ja sobie pływam wygodnie, suchutki,

może nawet kurząc papieroska.

- Dość. Odmaszerować. Pierwszy oficer, jaki kurs?

- Trzy-dwadzieścia. Piętnaście węzłów.

- Gdzie kapitan?

- W schronie - Carrington ruchem głowy wskazał pancerną okrągłą kabinę w tylnej części mostku. Podpierała ona wieżę centralnego celownika, do której biegły przez nią elektryczne kable.

Wewnątrz ustawiono dla kapitana koję, spartańską, prostą sofkę. - Mam nadzieję, że śpi - dodał. -

Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo w to wierzę. Rozkazał, żebym zawołał go o północy.

- Odwołuję rozkaz - krótko powiedział Turner. - Kapitan, jak każdy, musi wykonywać rozkazy, a zwłaszcza rozkazy doktora. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Dobranoc...

Drzwi zatrasnęły się i Marshal niepewnie zwrócił się do komandora.

- Chodzi o dowódcę, panie komandorze. Wiem, że to nie mój interes, ale... - zawahał się - czy on jest zdrow? Turner przyjrzał się mu. Po namyśle powiedział niezwykle cicho:

- Gdyby Brooks mógł postawić na swoim, stary byłby w szpitalu. Ale nawet i to już by nie pomogło.

Marshall nic nie odpowiedział. Pokręcił się niepewnie i poszedł w kierunku rufy - do lewego stanowiska reflektorów. Przez pięć minut do uszu komandora dolatywała urywana wymiana słów.

Gdy Marshall wrócił, spojrzał na niego pytająco.

- Znow ten Ralston - wyjaśnił oficer torpedowy. - Myślałem, że może ze mną zechce 31

rozmawiać...

- I rozmawia?

- Tak, ale tylko o tym, o czym sam chce. Gwiżdże na resztę. Po prostu można wyobrazić sobie wielki napis zawieszony na jego szyi: „Sprawy prywatne: nie dotykać!”. Jest bardzo uprzejmy, bardzo grzeczny i całkowicie nieprzystępny. Do diabła! Nie mam pojęcia, co z nim robić.

- Zostawić w spokoju - poradził Turner, potrząsając głową. - Nikt mu w niczym nie pomoże.

Życie zadało mu straszny cios.

Zapanowało milczenie. Śnieg nie walił tak gęsto, lecz wichura stale się wzmagala; była przerażająco w masztach i olinowaniu, zlewając się w dziką harmonię z niesamowitym, dźwięcznym tykaniem azdyku. Obydwa głosy, jak nie z tego świata - straszliwe, pierwotne, odrażające - szarpały nerwy i

wzbudzały nieokreślony, chociaż od dawna tłumiony przez cywilizację atawistyczny lęk, jak przed tysiącami lat. Diabelska orkiestra. Od wieków człowiek wyrastał w nienawiści do niej. W

śmiertelnej nienawiści.

Minęła dwunasta trzydzieści, pierwsza, pierwsza trzydzieści. Myśli Turnera skupiły się czule na kawie i kakao.

Kawa czy kakao? Kakao - zdecydował - gorący, mocny napój, gęsty od rozpuszczonej czekolady i cukru. Już zwrócił się do Chryslera, gońca na mostku kapitańskim, brata starszego hydroakustyka.

- Radio do dowódcy!

Głośnik nad kabiną azdyku skrzeczał nagłaco, uparcie, mówiący spieszył się. Turner podskoczył do telefonu, mruknął pokwitowanie odbioru.

- Depesza z „Sirusa”. Echo w lewo od dziobu, trzysta, silne, zbliża się. Powtarzam, echo w lewo od dziobu, silne, zbliża się.

- Echo? Powiedzieliście „echo”?

- Echo, sir. Powtarzam: echo.

Jeszcze słuchając, Turner włączył fosforyzujący kontakt sygnału alarmowego.

Żaden dźwięk na świecie nie upamiętni się tak na całe życie, jak sygnał alarmowy. Nie ma żadnego dźwięku, który byłby chociaż trochę do niego podobny. Nie ma w nim nic szlachetnego, wojowniczego czy podniecającego. To po prostu gwizd tak wysoki, że prawie na granicy słyszalności; zmienny, przenikliwy, niby bezdźwięczny, a jednocześnie żywy, desperacko nagłący krzyk o niebezpieczeństwie. Jak nóż wcina się w najbardziej oszołomiony sennością mózg i w kilka sekund podrywa na nogi ludzi bez względu na to, jak bardzo są wyczerpani, osłabieni, jak głęboko zatopieni w niebycie. Tętno natychmiast zaczyna bić mocniej, szykując się na spotkanie niewiadomego.

Adrenalina już płynie w żyłach.

W dwie minuty załoga „Ulissesa” była na stanowiskach bojowych. Komandor przeniósł się do drugiej wieży centralnego celownika. Val ery i Tyndall stanęli na mostku. „Sirus”, znajdujący się o dwie mile w lewo, od pół godziny utrzymywał kontakt podwodny. Do pomocy został wyznaczony

„Viking”. W głębi kadłuba „Ulissesa” marynarze w regularnych odstępach wyraźnie słyszeli delikatne stuknięcia wybuchów bomb głębinowych. Wreszcie „Sirus” zameldował:

„Bez powodzenia. Kontakt zgubiony. Mam nadzieję, że was nie zaczepiono”. Tyndall rozkazał

odwołać obydwu niszczyciele i dać sygnał „odtrąbiono”.

Gdy komandor wrócił na mostek, kazał podać spóźnione kakao. Chrysler ruszył do kuchni marynarzy (komandor nie tknąłby wodnistego napoju podawanego oficerom) i wrócił z parującym dzbankiem i wianuszkami ciężkich kubków, nanizanych za ucha na drut.

Turner z aprobatą przyglądał się, jak gęsty, lepki płyn spływa przez dziobek dzbanka. Z satysfakcją i zadowoleniem kiwnął głową, gdy tylko spróbował. Cmoknął i westchnął z zadowoleniem.

- Doskonale, synku, doskonale! Masz zdolności. Pilnuj wszystkiego, Marshal. Idę zobaczyć, gdzie jesteśmy.

Odszedł do kabiny nawigacyjnej, znajdującej się na lewej burcie, tuż za głównym kompasem.

Dokładnie zamknął za sobą drzwi i zwałił się na fotel. Postawił kubek na stole nawigacyjnym, a obok oparł nogi. Zaciągnął się papierosem. Nagle zerwał się, klnąc. Znow skrzeczał głośnik radiowy.

Tym razem meldował „Portpatrick”. Jego meldunki były zwykle z tego czy innego powodu bardzo ostrożne, lecz tym razem meldował bardzo zdecydowanie. Komandor Turner nie miał wyboru, znow sięgnął do kontaktu sygnału alarmowego.

32

Dwadzieścia minut później zagrano „odtrąbiono”, lecz tej nocy komandor nie napił się kakao. Do świtu jeszcze trzykrotnie cała załoga zrywała się na stanowiska. Wydawało się, że od zakończenia ostatniego alarmu minęło zaledwie parę minut, gdy trąbka grała już alarm poranny.

Nie było brzasku. Gdy ludzie jeszcze raz wlekli się ociężale na stanowiska bojowe, na niebie pojawiła się słabiutka, ledwie dostrzegalna, zimna i przejmująca szarość. Taka była wojna na morzach północnych. Bez bohaterskiej śmierci i chwały, bez ryku armat i trzasku oerlikonów, bez uniesień ducha, bez sławy zwycięstwa nad wrogiem. Po prostu pozbawieni sił, znużeni bezsennością, odrętwiali z chłodu, w wybrudzonych płaszczach, szarzy i zrezygnowani ludzie potykali się z osłabienia i głodu, braku wytchnienia, wlokąc za sobą wspomnienia, napięcie, narastające fizyczne wyczerpanie przez setki takich niekończących się nigdy nocy.

Kapitan Vallery jak zwykle był na mostku. Wytworny w obejściu, uprzejmy, rozważny; wyglądał upiornie: twarz wynędzniała, pożółkła, oczy zapadnięte i przekrwione, wargi zbieleły. Ciężki krwotok i nieprzespana noc w straszliwy sposób nadwerężyły jego i tak już nadwątlone siły.

Rozjaśniający się półmrok odsłaniał stopniowo eskadrę. Jakimś cudem większość okrętów stale zajmowała swoją pozycję. Fregata i trałowiec szły razem, w dużej odległości przed flotyllą. Całkiem zrozumiałe, że nie chciały, aby jakiś krążownik czy lotniskowiec pogruchotał im rufy w ciemnościach.

Tyndall uznał to za słuszne i nic nie powiedział.

„Invader” zgubił swoją pozycję i płynął daleko w lewo za osłoną. Otrzymał on bardzo soczystą depezę i pełną parą, zataczając się na fali, pędził na swoje miejsce w szyku.

O godzinie ósmej nadano sygnał „odtrąbiono”. O ósmej dziesięć wachta lewej burty zeszła na pokład. Marynarze prali, parzyli herbatę, z tacami na śniadanie stali w kolejce przed kuchnią, gdy przytłumiony wybuch wstrząsnął „Ulissesem”.

Marynarze rzucili ręczniki, mydło, kubki, talerze, tace i nim Vallery zdążył włączyć sygnał alarmowy, klnąc biegli na stanowiska.

Nie dalej niż w odległości pół mili „Invader” gwałtownie zataczał półkole; pokład-lotnisko sterczał pod jakimś dzikim kątem. Znów sypał śnieg, lecz nie tak gęsty, aby przesłonić wielkie kłęby czarnego dymu, buchające z kadłuba gdzieś przed mostkiem. Okręt zataczał się i niebezpiecznie przewalał na wielkich falach.

- Durnie, głupi durnie! - Tyndall czuł okrutną gorycz. Nawet Vallery'emu nie przyznał się, jak bardzo odczuwał ciężar i wysiłek dowodzenia, który rozniecał chroniczne już teraz rozdrażnienie. -

Oto co się dzieje, gdy okręty nie są na swoim miejscu! To nie tylko ich wina, ale również moja.

Powinienem był posłać niszczyciel, aby osłaniał go podczas dołączania do szyku. - Patrząc przez lornetę, zwrócił się do Val ery'ego. - Proszę nadać depezę: „Określić uszkodzenie - meldować...” Ta przeklęta łódź podwodna tropiła go od brzasku, czekała na okazję...

Kapitan milczał. Zdawał sobie sprawę, co się dzieje z Tyndallem, gdy widzi, jak jeden z jego okrętów jest ciężko uszkodzony i może nawet tonie.

„Invader” pozostawał w niezwykłym przechyle, a dym wznosił się równą kolumną. Płomieni nie było widać.

- Podpłyniemy sprawdzić? - spytał Vallery. Tyndall zagryzł wargi. Wahał się.

- Tak, lepiej zrobmy to osobiście. Niech pan wyda rozkaz. Eskadra idzie tym samym kursem i szybkością. Depesza do „Baliola” i „Nairna”, aby osłoniły „Invadera”.

Val ery, obserwując migotanie chorągiewek kodu na rei, czuł, że obok ktoś stoi. Odwrócił się lekko.

- To nie była łódź podwodna, panie kapitanie - z przekonaniem powiedział Kapok-Kid. -

„Invader” nie został storpedowany.

Słowa te usłyszał Tyndall. Obrócił się w fotelu i wpatrywał się w nawigatora.

- Skąd pan o tym wie, u diabła - warknął.

Gdy admirał zwracał się do swoich oficerów przez „pan”, należało schodzić mu z drogi. Kapok-Kid zaczerwienił się po uszy, lecz przyjął wyzwanie.

- A więc po pierwsze: od chwili, gdy lotniskowiec dostał rozkaz powrotu do szyku, „Sirrus”, chociaż wysunięty do przodu, osłaniał jego lewą stronę. Ten sektor mam pod obserwacją od dłuższego czasu. Jestem przekonany, że komandor Orr wykryłby łódź podwodną. Poza tym hula zbyt wysoka fala, aby można było utrzymać peryskopową głębokość, nie mówiąc o dokładnym celowaniu.

Jeśliby nawet łódź podwodna wyrzuciła torpedę, nie ograniczyłaby się do jednej, posłałaby raczej ze
33

sześć. Z tamtego miejsca eskadra tworzyła za „Invaderem” nieprzerwaną ścianę. Jednak żaden okręt nie został trafiony... Trzy lata zajmowałem się taką robotą...

- Ja dziesięć - warknął Tyndall. - Domysły, pilocie, domysły.

- Nie - upierał się Carpenter. - To nie są domysły. Mogę przysiąc na to - spojrział przez lornetkę.

- Jestem prawie pewien, że „Invader” płynie wstecz. Na pewno dlatego, że jego dziób poniżej linii wodnej został uszkodzony lub rozerwany. To musiała być mina, najprawdopodobniej mina akustyczna.

- Oczywiście, oczywiście - ironizował Tyndall - zakotwiczona na sześciu tysiącach stóp głębokości! To bez wątpienia mina!

- Dryfująca mina - cierpliwie tłumaczył Kapok-Kid. - Mogła to również być stara akustyczna torpeda; niemieckie torpedy nie zawsze toną. Lecz raczej mina.

- Obawiam się, że zaraz powiesz mi, jakiego była typu i kiedy postawiona - warczał Tyndall.

Widać było, że słowa nawigatora zrobiły na nim wrażenie. „Invader” rzeczywiście płynął wstecz, powoli, nie mając dość szybkości, aby utrzymać sterowność. Nadal przewalał się na wielkich falach.

Aldis1 nadał pokwitowanie na mrugającą depezę z „Invadera”. Bentley wyrwał kartkę z bloku meldunkowego i podał Vallery'emu. Kapitan czytał: „«Invader» do admirała. Bardzo głęboko z lewej strony dziobu mam wielką dziurę. Podejrzewamy dryfującą minę. Badamy rozmiary uszkodzenia.

Wkrótce złożę meldunek”.

Tyndall wziął depezę do ręki i czytał powoli. Spojrział przez ramię i uśmiechnął się niewyraźnie.

- Wydaje się, że masz rzeczywiście słuszość, chłopcze. Stary złośnik bardzo cię przeprasza.

Carpenter odmruknął coś, odwrócił się zmieszany, spiekł raka. Tyndall uśmiechnął się do kapitana i zamyślił.

- Myślę, że trzeba z nim porozmawiać osobiście, kapitanie. Nazywa się Barlow? Tak? Rozkaz: dać

połączenie.

Zeszli dwa piętra niżej, do centrali radiolokacyjnej myśliwców. Westcliffe ustąpił swego miejsca admirałowi.

- Czy kapitan Barlow? - pytał przez radiotelefon Tyndall.

- Przy telefonie. - Głos dolatywał z głośnika nad głową admirała.

- Mówi admirał. Jak stoją sprawy?

- Damy radę. Straciliśmy prawie cały dziób. Niestety, mamy trochę strat w ludziach. Zapaliła się ropa. Pożar zlokalizowano. Wszystkie drzwi wodoszczelne trzymają. Mechanicy i drużyny awaryjne wzmacniają poprzeczne grodzie.

- Czy może pan płynąć, kapitanie?

- Mógłbym, ale to ryzykowne, szczególnie teraz.

- Czy mógłby pan wrócić do bazy?

- Przy tym wietrze od rufy - tak. Zajęłoby to ze trzy, cztery dni.

- Więc dobrze - szorstko powiedział Tyndall. - W drogę. Na nic się zdacie bez dziobu.

Cholerne szczęście, kapitanie Barlow. Wyrażam współczucie. I... e... do osłony przydzielam panu

„Baliola" i „Nairna". Zamawiam holownik oceaniczny, aby wyszedł na spotkanie, tak na wszelki wypadek.

- Dziękuję. Doceniamy to. Jeszcze ostatnia sprawa. Proszę o zezwolenie opróżnienia zbiorników z zapasami ropy dla eskadry. Nabieramy dużo wody, nie damy rady wypompować.

Jedyny sposób, aby odzyskać równowagę, to wypuścić ropę.

Tyndall westchnął.

- Tak przypuszczałem. Nic nie poradzimy, a przy tej pogodzie nie możemy nawet zabrać jej od was. Życzę powodzenia, kapitanie. Do widzenia.

- Dziękuję. Do widzenia.

Dwadzieścia minut później „Ulisses" był z powrotem na swym miejscu w szyku. Po chwili zobaczono, jak „Invader", już bez tak wielkiego jak przedtem przechyłu, skierował się powoli na południowy wschód. Maleńki niszczyciel klasy „Hunt" i korweta przewalały się straszliwie z burty na burtę, idąc obok niego.

Po następnych dziesięciu minutach stracono z oczu „Invadera” i jego eskortę; zakrył je śnieżny szkwał. Trzy jednostki odeszły, pozostało jedenaście i może się wydać dziwne, ale właśnie tych 1 Aldis - reflektor sygnalizacyjny.

34

jedenaście okrętów poczuło się nagle osamotnionych.

35

ROZDZIAŁ V

Wtorek

Czternasta Eskadra wkrótce zapomniała o „Invaderze” i jego niepowodzeniach. Zbyt szybko sama znalazła się w tarapatkach. Miała aż nadto własnych kłopotów. Musiała przewycięzać trudności, mierzyć się z nieprzyjacielem bardziej pierwotnym i niebezpiecznym niż miny czy łodzie podwodne.

Tyndall mocniej zaparł się na swoim stanowisku, aby przeciwstawić się kołysaniu i przechyłom okrętu. Przyglądał się Vallery'emu. Po raz dziesiąty tego ranka pomyślał, jak bardzo widać, że jest on chory.

- Co pan o tym sądzi, kapitanie? Widoki na przyszłość wcale nie są różowe...

- Taki los! Wszystko sprzymierza się przeciw nam. Carrington spędził sześć lat w Indiach Zachodnich, przeżył z tuzin huraganów i powiada, że widział niższe ciśnienie. Ale żeby pod tymi szerokościami i przy tak niskim ciśnieniu barometr jeszcze spadał, o tym nie słyszał. Ale to dopiero uwertura.

- Dziękuję. Mnie całkowicie wystarcza - oschle odparł Tyndall. - Całkiem nieźle, jak na uverturę.

Było to wielkoduszne bagatelizowanie sytuacji. Uwertura brzmiała już jak potężny koncert. Wiatr był dość stały, o sile dziewięciu stopni według skali Beauforta. Śnieg przestał padać. Było jasne, że to chwilowa przerwa. Daleko przed eskadrą, na północnym zachodzie, niebo przybrało zadziwiająco żywe kolory. Żarzyło się matową purpurą, nie zapalając się ani nie gasnąc. Świeciło lekko, trochę niepokojąco w swej niezmiennej jednostajności.

Nawet dla ludzi, którzy widzieli wszystko, czym dysponuje arktyczne niebo - od nieprzenikniętych ciemności w sinawe południe poprzez wspaniałe iluminacje zórz podbiegunowych do owych spłowiałych błękitów, co uśmiechają się podczas niezwykłych cisz na mlecznobiałych morzach, obmywających granice wiecznych lodów - to, co widzieli teraz, było zupełnie nowe. Lecz uwagi admirała tyczyły morza. Przez całe przedpołudnie fale rosły nieustannie, wytrwale. Teraz, w południe, wszystko wyglądało jak obraz z osiemnastego wieku: okręt podczas burzy, szereg zielonoszarych fal, prostych, regularnych, sunących równo jak pod sznurek, a każda przybrana w biały czepek piany. Tu i tam odległość między wierzchołkami fal wynosiła pięćset stóp. Eskadra, idąca prosto pod wiatr, otrzymywała ciężkie ciosy.

Małe jednostki cierpiały mocno od tego, że co piętnaście sekund waliły się na nie ryczące kaskady spienionego morza. Jednak bardziej niebezpiecznym od fal, bardziej podstępny wrogiem był mróz. Temperatura już dawno spadła poniżej zera, a rtęć nie przestawała się kurczyć, zbliżając się ku dwudziestu stopniom mrozu.

Było potwornie zimno. W kabinach i na pokładach mieszkalnych tworzył się lód. Rury dostarczające słodką wodę zamarzały, metal kurczył się, zacinały pokrywy włazów, zawiasy drzwi zostały unieruchomione przez lód, olej w hydraulicznych urządzeniach reflektorów stężał tak, iż stały się one bezużyteczne. Wachta, a szczególnie wachta na mostku była torturą. Pierwsze uderzenie mroźnego wichru paraliżowało płuca, kazało człowiekowi ciężko walczyć o oddech. Jeśli ktoś zapomniał włożyć rękawice (najpierw cienkie jedwabne, na to wełniane bez palców, a na wierzch -

grube, podszyte baranem) i gołą dłonią chwycił za metalową poręcz, zostawiał na niej skórę. Ciało piekło jak przysmalone rozpalonym do białości żelazem. Jeśli nie zdążyło się przykucnąć za osłoną mostku, gdy dziób uderzał o falę, piana zamieniona w jednej chwili w kawałki lodu przecinała do kości policzki i czoło. Ręce zamarzały, drętwiał szpik w kościach; straszliwe dreszcze przebiegały od stóp do łydek i ud. Nos i podbródek bieleły i trzeba było natychmiast je rozcierać. A wreszcie najgorsze ze wszystkiego: po skończonej wachcie, już pod pokładem, gdy krew na nowo zaczynała krążyć, człowiek zwijał się w bolesnej jak tortura męce.

Tego nie da się wyrazić słowami. Są one jak bezużyteczne, wyblakłe cienie rzeczywistości.

Istnieją sprawy leżące poza zasięgiem pojęć, poza doświadczeniem większości ludzi; wtedy wyobraźnia gubi się w nieznanym.

Wszystkie wymienione plagi były jednak tylko indywidualną przykrością, którą można odsunąć na bok. Prawdziwym zagrożeniem był lód.

„Ulisses” niósł na sobie już ponad trzysta ton tego balastu, a przybywało go w każdej chwili.

36

Grubą warstwą pokrywał główny pokład, dziób, pokłady artyleryjskie i mostki. Długimi, poszarpanymi soplami zwiślał z osłon luków, z wież i poręczy. Wysmukłe maszty zamienił w potworne drzewa, niekształtne i nieprawdopodobne. Wszechobecny lód przysparzał wielu niebezpieczeństw. Jednym z najgorszych była jego śliska powierzchnia. Łatwiej byłoby dać sobie z tym radę na handlowym parowcu opalonym węglem, gdzie do posypywania pokładów można użyć popiołu i żużlu. Na

„Ulissesie” - nowoczesnym okręcie opalonym ropą - posypywano lód piaskiem z solą i czekano na lepszy los. Wielkie niebezpieczeństwo niosła ze sobą waga lodu. Okręt - używając terminologii technicznej - może być „twardy” lub „miękki”. „Twardy” - ma środek ciężkości osadzony nisko, łatwo się przechyla, lecz natychmiast powstaje. Jest bardzo stateczny i bezpieczny. „Miękki” - ze środkiem ciężkości umieszczonym wysoko - przechyla się niechętnie i powraca do pionu jeszcze bardziej niechętnie; jest niebezpieczny. Gdy na „miękkim” okręcie narastają na pokładzie tony lodu, środek ciężkości podnosi się na niebezpieczną wysokość. Skutki tego mogą być tragiczne...

Lotniskowce i niszczyciele, a zwłaszcza „Portpatrick”, były bardzo czułe na tym punkcie.

Lotniskowce, i tak dość niestateczne z powodu ciężkich i wysokich pokładów-lotnisk, miały jeszcze tę wadę, że na wielkiej przestrzeni pokładów gromadziło się dużo śniegu, tworząc idealne warunki do formowania się lodu.

Początkowo udawało się utrzymać na pokładach względną czystość. Drużyny robocze uwijały się po nich ze szczotkami, miotłami, solą i węzami doprowadzającymi gorącą parę. Lecz pogoda pogorszyła się do tego stopnia, że posyłać ludzi na dziko rozkołysany we wszystkich kierunkach pokład o śliskiej, zdradzieckiej powierzchni znaczyło tyle, co posyłać ich na śmierć.

„Wrestler” i „Blue Ranger” posiadały najnowszy system ogrzewania pokładów-lotnisk. W

odróżnieniu od lotniskowców brytyjskich pokłady ich były kryte deskami. Lecz i to w tych wyjątkowych warunkach nie zdawało egzaminu.

Na niszczycielach działo się jeszcze gorzej. Musiały walczyć nie tylko z lodem formującym się ze śniegu, lecz także z lodem z morskiej wody. Gdy dzioby waliły się w wodne doliny i potężnie uderzały o wyskakujące fale, nad niszczycielami regularnie wyrastały kłęby piany. Zamarzała ona natychmiast po dotknięciu pokładu, a nawet jeszcze przedtem, pokrywając grubą na stopę zwartą warstwą lodu cały dziób od stewy aż po falochron.

Po każdym zanurzeniu się w fale dzioby niszczycieli opadały głęboko, wypływały na powierzchnię wolniej, z coraz większym wysiłkiem. Tak samo jak kapitanowie lotniskowców, dowódcy niszczycieli nie mogli uczynić nic więcej, jak stać bezradnie na mostkach i nie tracić nadziei.

Minęły dwie godziny. Dwie godziny, podczas których temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Rtęć zawahała się i popęzła dalej w dół, a jakby w ślad za nią spadało ciśnienie.

Dziwne, ale śnieg nadal nie padał. Barwne niebo na północnym zachodzie było niezmacone, a uwolniło się od chmur również na wschodzie i zachodzie.

Eskadra tworzyła teraz fantastyczny obraz: małe, lukrowane okręciki-zabawki, oślepiająco białe, jaśnieją i błyszczą w bladym zimowym słońcu, jak szalone kołyszą się na coraz dłuższych, coraz wyższych falach szarego i zielonego Morza Norweskiego, prac w stronę odległego widnokregu -

dalekiego, niesamowitego, gorejącego purpurą horyzontu innego świata. Wspaniałe widowisko.

Kontradmiral Tyndall nie widział w tym nic pięknego. Człowiek, który twierdził, że nic go nie martwi, poważnie się teraz zaniepokoił. Był opryskliwy w stosunku do obecnych na mostku i nie pozostało w nim nic z dawnego towarzyskiego Farmera Gilesa, tego chociażby sprzed dwóch miesięcy.

Bez ustanku wodził wzrokiem po eskadrze. Bez przerwy kręcił się nieswojo w fotelu. Wreszcie wstał i zszedł do schronu kapitana.

Schron pozostawał w półmroku, gdyż Val ery nie zapalił światła. Przykryty paru kocami leżał na

kozetce. W cieniu twarz jego wyglądała upiornie jak twarz trupa. W prawej dłoni ścisnął zwiniętą chusteczkę, brudną i zaplamioną. Próbował ją ukryć. Zanim Tyndall zdołał go powstrzymać, bolesnym wysiłkiem zrzucił nogi z kozetki i podsunął admirałowi fotel. Tyndall zdusił w sobie słowa protestu i usiadł.

- Sądzę, że uwertura już się kończy, a zaczyna widowisko, Dick... Cóż za licho skusiło mnie, żeby zostać dowódcą eskadry? Vallery uśmiechnął się współczująco.

- Wcale panu tego nie zazdroszczę. Co pan zamierza teraz czynić?

- A jak pan by postąpił? - smutno zapytał Tyndall.

37

Kapitan wybuchnął śmiechem. Na chwile twarz jego zmieniła się, stała się prawie chłopięca.

Nagle uśmiech przeszedł w gwałtowny atak ochrypłego, suchego kaszlu. Plama na chusteczce powiększyła się. Wreszcie podniósł wzrok i odpowiedział z uśmiechem:

- To kara za wyśmiewanie starszego oficera. Jak bym postąpił? Ominąłbym burzę. Zawsze lepiej podwinąć ogon i zmykać... Kontradmiral pokręcił głową.

- Nigdy nie potrafiłeś kłamać zbyt przekonująco, Dick. Obydwaj milczeli przez chwilę, po czym Vallery spojrzał poważnie na zwierzchnika.

- Ile jeszcze do celu? Ile dokładnie?

- Carpenter liczy, że mniej więcej sto siedemdziesiąt mil.

- Sto siedemdziesiąt - Vallery zerknął na zegarek. - Dwadzieścia godzin przy tej pogodzie.

Musimy to przebyć... Tyndall przytaknął ponuro.

- Siedzi tam osiemnaście statków, nie, dziewiętnaście, licząc i trałowiec z Hvalfiord... nie mówiąc już o nadciśnieniu, na które cierpi stary Starr... - urwał, gdyż uchyliły się drzwi i ukazała się w nich głowa radioofficera.

- Dwie depesze, kapitanie...

- Proszę je przeczytać, Bentley...

- Pierwsza z „Portpatricka”: „Nadwerężone poszycie dziobu; bierzemy dużo wody; pompy dają sobie radę. Obawiam się dalszych uszkodzeń. Proszę o radę”.

Tyndall zaklął, Vallery spytał spokojnie:

- A następna?

- Z „Ganneta”: „Rozlatuję się”.

- Tak, tak, a dalszy ciąg?

- Tylko tyle. „Rozlatuję się”.

- Ha! Jeden z tych małomównych typków - cicho syknął kontradmirał. - Czekaj no, szefie, chwileczkę! - Zagłębił się w fotelu, pocierając dłonią szczękę patrzył na swoje nogi, zmuszając zmęczony mózg do myślenia.

Val ery mruknął coś cicho i Tyndall spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Morze jest wzburzone, panie admirale. Gdyby tak lotniskowce... Tyndall trzasnął dłonią w kolano.

- Dwa mózgi, a jedna myśl. Bentley, nadaj dwie depesze. Pierwszą do wszystkich okrętów osłony. Powiedz im, żeby zajęły pozycję tuż za rufami lotniskowców. Druga do lotniskowców:

„Wypuścić węże od ropy po jednym z każdej burty...” i... ile pan myśli dać, kapitanie?

- Dwadzieścia galonów na minutę?

- Niech będzie dwadzieścia galonów. Zrozumiano, szefie? Nadawaj natychmiast. Bentley odszedł, a Tyndall zwrócił się do Val ery'ego:

- Pobierzemy paliwo później, teraz nie damy rady. Wygląda na to, że to będzie ostatnia przed Murmańskim okazja, aby skorzystać ze schronienia. A jeśli przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie tak źle, jak przepowiada Carrington, to niektóre z naszych małych jednostek nie wytrzymają... Eh! Nawigator, sam tu! Pokaż no, gdzie jesteśmy. Co z wiatrem?

- Dziesięć stopni. - Starając się utrzymać równowagę, Kapok-Kid rozłożył mapę na kapitańskiej koi.
- Trochę zachodzi...

- Czy chcesz powiedzieć, że już wieje N.W.? - kontradmirał zacierał ręce. - Świetnie. A teraz, chłopcze, jaka jest nasza pozycja?

- 12,40 długości zachodniej, 66,15 szerokości północnej - odpowiedział dokładnie Kapok-Kid, nie trudząc się nawet, aby spojrzeć na mapę. Tyndall uniósł brwi, lecz nie zrobił żadnej uwagi.

- Kurs?

- Trzysta dziesięć stopni.

- A na przykład, gdybyśmy byli zmuszeni szukać schronienia, żeby pobrać paliwo...

- Dokładny kurs dwieście dziewięćdziesiąt stopni, zaznaczyłem go ołówkiem, o... tu. W przybliżeniu cztery i pół godziny żeglugi.

- Cóż to, u diabła! - wybuchnął Tyndall. - Kto ci kazał, żebyś... - zająknął się i umilkł.

- Obliczyłem to pięć minut temu... To... no... wydało mi się nieuniknione. Kurs dwieście dziewięćdziesiąt stopni zawiezie nas parę mil za półwysep Langenes. Tam będzie świetne schronienie. - Carpenter mówił poważnie, bez uśmiechu.

38

- Wydało się nieuniknione! - ryknął Tyndall. - Słyszysz go, kapitanie Val ery. Nieuniknione! A ja dopiero teraz o rym pomyślałem! Na wszystkich... Precz! Zabieraj się razem ze swoim operetkowym strojem...

Kapok-Kid nie odezwał się słowem. Z miną urażonej niewinności zabrał mapę i wyszedł. Przy drzwiach zatrzymał go głos Tyndalla.

- Nawigator!

- Sir? - Kapok-Kid wlepił wzrok w jakiś punkt tuż nad głową admirała.

- Gdy tylko okręty osłony sformują szyk, niech Bentley nada im nowy kurs.

- Tak jest. Rozkaz.

Zawahał się. Tyndall chrząknął.

- Dobrze, już dobrze - powiedział z rezygnacją. - Powtórzę to jeszcze raz: jestem stary, niezdolny, złośliwiec... i zamknijże, do cholery, te drzwi. Zmarzniemy tu.

Teraz wiatr tężał szybciej i na morzu układały się białe wstęgi piany. Fale rosły gwałtownie; stawały się bardziej strome; wicher spłaszczał ich szczyty i zrywał z nich grzebienie. Stopniowo, lecz wyczuwalnie cienkie zawodzenie olinowania stawało się wyższe, podnosiło się w tonacji. Od czasu do czasu z masztów spadały na pokład duże kawałki lodu, strząśnięte wzrastającą wibracją.

Długie oleiste pasma pozostające za lotniskowcami sprawiły cud. Ukryte za ich rufami niszczyciele, śmiesznie poplamione ropą, nadal kołysały się, lecz ciśnienie powierzchniowe ropy nie pozwalało falom wdzierać się na ich pokłady. Tyndall z całkiem uzasadnionych powodów był z siebie bardzo zadowolony.

Około czwartej trzydzieści po południu, o piętnaście mil od osłoniętej zatoki, skończyło się dobre samopoczucie. Szalał tu pełny sztorm i Tyndall musiał nakazać zmniejszenie szybkości.

Z wysokości pokładu morze wyglądało imponująco. Było potężne, straszliwe. Nicholls z wolnym już od służby Kapok-Kidem stali na głównym pokładzie obok szalupy, kryjąc się po zawietrznej stronie. Aby utrzymać równowagę, oparli się o szlupbelkę i od czasu do czasu uskakiwali w bok przed atakami bryzgów. Obserwowali, jak „Defender”, „Vectra” i „Viking”, wlokąc się z tyłu, tańczyły wściekle i jednocześnie śmiesznie pod niewinnie błękitnym niebem. W kontraście tym było coś szatańskiego, coś, co podnosiło włosy na głowie.

- Nigdy nie mówiono mi o tym w szkole medycznej - zauważył wreszcie Nichol s. - Mój Boże, Andy - dodał przerażony. - Czyś ty kiedy widział coś podobnego?

- Raz. Tylko raz. Niedaleko Nikobarów przyłapał nas tajfun. Nie wydaje mi się jednak, że było aż tak źle. Pierwszy oficer mówi, że to wszystko lipa w porównaniu z tym, co będzie w nocy, a on się zna... Na Jowisza, wolałbym siedzieć w Henley!

Nichol s przyglądał się mu z zaciekawieniem.

- Nie twierdzę, że dobrze znam pierwszego oficera. To niezbyt... no... przystępny facet. Ale wszyscy - stary Giles, szyper, komandor i ty sam - mówicie o nim z jakąś bojaźnią. Cóż w nim jest tak niezwykłego? Szanuję go, każdy go szanuje... Ale, do nagłej śmierci, to przecież nie nadczłowiek.

- Fale zaczynają się łamać - mruknął półprzyciemnie Kapok-Kid. - Zwróć uwagę, jak co pewien czas dostajemy falę z półtora raza większą. Co siódma, jak mawiają starzy żeglarze. Nie, Johnny, on nie jest nadczłowiekiem. To po prostu największy żeglarz, jakiego możesz spotkać. Ma dwa patenty kapitańskie, jeden na żaglowce, drugi na parowce. Gdy my byliśmy jeszcze w kołyskach, on już okrążył przylądek Horn na fińskich fregatach. Komandor mógłby ci opowiedzieć o nim tyle historii, że starczyłoby na powieść. - Przerwał na chwilę i cicho mówił dalej: - On jest naprawdę jednym z nielicznych obecnie wielkich żeglarzy. Stary Turner - „Czarna Broda” to taki sam wyga. Wiesz, że nie uprawiam kultu bohaterów. Lecz o Carringtonie można powiedzieć to, co mawiano o Shackletonie: gdy wszystko się wali i straciłeś wszelką nadzieję, padaj na kolana i módl się o takiego człowieka.

Wierz mi, Johnny, cholernie się cieszę, że on jest z nami.

Nichol s milczał. Był zaskoczony. Kapok-Kid po prostu uwielbiał impertynencje, a jego drugą naturą był brak szacunku dla autorytetów.

Nichol s zastanawiał się więc, jakim naprawdę człowiekiem jest Carrington.

Było wściekle zimno. Wicher porywał z czubków fal masy wody, rozpylone bryzgi z szybkością pocisków biły o dziób i burty. Nie sposób było oddychać bez odwracania się tyłem do wiatru, bez owinięcia ust i nosa grubymi warstwami wełny. Ludzie o zbielełych lub sinych twarzach drżeli z zimna i nawet nie myśleli schronić się pod pokład. Zahipnotyzowani, urzeczeni potęgą morza, piętrzącymi 39

się falami wysokości tysiąca do dwóch tysięcy stóp, falami, które wicher pędził z szybkością sześćdziesięciu węzłów. Fale po zawietrznej wydawały się łagodniejsze, za to po nawietrznej były straszne, przerażające. W dolinach między nimi skryłaby się chyba wieża kościelna.

Obaj rozmówcy odwrócili się, słysząc, że za nimi otworzyły się z trzaskiem ciężkie pancerne drzwi. Człowiek w płaszczu wachtowym usiłował zamknąć je, walcząc z przechyłami i klnąc siarczyście. Wreszcie udało mu się ta sztuka. Był to starszy marynarz Doyle. Chociaż trzy czwarte jego twarzy pokrywał zarost, można było dostrzec, jak bardzo obrzydło mu takie życie.

Carpenter uśmiechnął się do niego. Służyli kiedyś razem w chińskiej bazie. Doyle cieszył się tam specjalnymi względami.

- Otóż i „Stary Żeglarz”. Jak sprawy stoją na dole?

- Cholernie źle. - Żałosny głos pasował do wyrazu twarzy. - Zimno jak w grobie. Wszystko porozwalane po całym okręcie. Kubki, spodeczki, talerze pomieszane razem. Połowa załogi... -

Przerwał nagle i wytrzeszczył oczy, jakby nie wierząc w to, co zobaczył. Spoglądał na morze.

- No dobrze, ale co z tą połową załogi? Co się stało, Doyle?

- O Jezu! - ciągnął stłumionym głosem, jakby się modlił. - O Jezu! - wykrzyknął.

Oficerowie zrobili w tył zwrot. „Defender” wspinał się, wypełzał całą swoją pięćsetstopową długością na falę, której rozmiary przechodziły ludzką wyobraźnię; po prostu nie mieściły się w niej.

Zanim zdolali ochłonąć i zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, „Defender” był już na grzbiecie fali i po chwili wahania zwałił się w dół, unosząc rufę tak, że ster i śruby ukazały się nad wodą.

Nawet z odległości dwóch kabli i pomimo wichru uderzenie dziobu okrętu o falę rozległo się jak grzmot. Zdawało się, że to trwa wieki.

„Defender” zsuwał się w białe od piany morze coraz głębiej, zanurzony aż po nadbudówki mostku. Nikt później nie potrafił powiedzieć, jak długo wciskał się w głębiny, zanim powoli, nieoczekiwanie wynurzył się na powierzchnię, a kaskady wody spływały z jego przedniego pokładu.

Wynurzył się, aby ukazać nie mogącym tego zrozumieć ludziom jedyny w swoim rodzaju obraz.

Potężna, błyskawicznie działająca siła niezliczonych ton wody rozerwała, wyrwała z okuć, aż do mostku wygięła pokład-lotnisko w kształt litery „U”. Patrzący na to ludzie zastanawiali się, czy są przy zdrowych zmysłach; byli całkowicie odurzeni, nie potrafili wykrztusić słowa - wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Kapok-Kida. Ten wyprostował się z godnością i po namyśle rzekł:

- Daję słowo! To jest niezwykle.

Jeszcze jedna taka fala, jeszcze jeden podobny cios, a byłoby po „Defenderze”. Najlepsze okręty, najmocniejsze, najtrwalsze statki budowane są tylko z cienkich, strasznie cienkich blach; stal

„Defendera” skrzyta, poddana torturze, nie mogłaby wytrzymać jeszcze jednego ciosu.

Lecz nie nadeszła już ani taka fala, ani cios. Był to kaprys morza, jedna z wielkich niewyjaśnionych konwulsji wód, które na szczęście nie zdarzają się często, lecz od niepamiętnych czasów przypominają zarozumiałemu, zbyt pewnemu siebie człowiekowi, że Natura, gdy tylko zechce, może udowodnić, jak niedołączny, jak żałośnie bezsilny jest on w zderzeniu z nią.

Nie było już takich fal i o godzinie piątej eskadra, chociaż nadal znajdowała się osiem do dziesięciu

mił od brzegu, weszła na trochę spokojniejsze wody, kryjąc się za półwyspem Langenes.

Kapitan „Defendera” udawał, że sytuacja, w jakiej się znalazł, bawi go niezmiernie. Słał do admirała depesze, zapewniając, że chociaż bierze wodę, daje sobie radę. Nowy kształt pokładu-lotniska uważał za ostatni krzyk mody, bardziej doskonały od starych typów. Twierdził, że poziomy pokład świadczy o braku fantazji, i pytał, czy admirał nie jest tego samego zdania. Dodawał, że jeśli wiatr powieje z odpowiedniego kierunku - pokład stanie się doskonałym żaglem. W ostatniej depeszy meldował, że starty samolotów będą raczej trudne, i Tyndall, obarczony nadmiarem kłopotów, odpowiedział mu tak dosadnie, że wszelkie meldunki urwały się natychmiast.

Tuż przed szóstą eskadra ukryta się całkowicie za Langenes, podchodząc na dwie mile od brzegu. Półwysep Langenes jest nizinny i wciąż przybierający na sile wiatr przelatywał nad nim swobodnie. Lecz morze na szczęście było spokojniejsze niż przed godziną, chociaż okręty nadal się zataczały.

Krażowniki i okręty osłony, z wyjątkiem „Portpatricka” i „Ganneta”, natychmiast podeszły do lotniskowców i zaczęły brać paliwo.

Tyndall po długim namyśle zdecydował, że „Portpatrick” i „Gannet” nie nadają się do dalszej podróży, że potencjalnie są stracone, wobec czego będą osłaniały powrót „Defendera” do Scapa 40 Flow.

Wyczerpanie legło prawie namacalnym ciężarem w pomieszczeniach załogi i oficerów

„Ulissesa”. Mieli za sobą jeszcze jedną bezsenłą noc, jeszcze jedną pozbawioną spokoju i wytchnienia dobę. W otępieniu słuchali komunikatu, że „Defender”, „Portpatrick” i „Gannet” powrócą do Scapa Flow, gdy tylko polepszy się pogoda. Sześć okrętów już odpadło, pozostało osiem - połowa eskadry. Nic dziwnego, że czuli się załamani na duchu, jakby ktoś ich zdradził, jakby (mówiąc słowami Rileya) zostali rzuceni wilkom na pożarcie.

A przy tym było bardzo mało rozgoryczenia, wprost zaskakujący brak niezadowolenia.

Przeważała zupełnie bierna rezygnacja.

Brooks zdawał sobie z tego sprawę. Nie pojmował, co spowodowało taką martwość uczuć, to nienaturalne uspokojenie podnieconych umysłów. Czyżby to był punkt szczytowy? Granica, poza którą chore umysły chorych ludzi przestają w ogóle działać i następuje zamieranie procesów życiowych? A może to już ostateczna apatia? Intelkt podpowiadał mu, że to prawda, że tak musi być... Lecz przez cały czas jakaś ukryta intuicja, jakieś przebłyski jasnowidzenia zmuszały go do czujności. Niewyraźnie uświadamiał sobie, że coś jest nie tak. Lecz mózg miał zbyt znużony, aby taką myśl rozwinąć.

Jakiegolwiek były to nastroje, na pewno nie wynikały z apatii. Przez krótką chwilę gwałtowna fala gniewu przebiegała po okręcie jak błyskawica, pozostawiając oburzenie na fakt, który ją wywołał.

Że istniały powody do gniewu, wiedział nawet Vallery, lecz nikomu nie pobrażał. Wszystko stało się bardzo zwyczajnie. Podczas zwykłej wieczornej kontroli okazało się, że światła sygnalizacji bojowej

na dolnej rei nie działają. Zrazu przypuszczano, że przyczyną tego jest lód.

Dolna reja - w tej chwili pokryta oślepiającą warstwą śniegu i lodu - wznosiła się sześćdziesiąt stóp nad pokładem i osiemdziesiąt nad powierzchnią morza. Światła sygnalizacyjne zwisały z jej końców. Reperuje się je siedząc nadzwyczaj niewygodnie, okrakiem na rei, gdyż tam jest przymocowana stalowa antena radiowa. Można również pracować siedząc na stołku bosmańskim zawieszonym na rei, jednak przygotowania do tego zawsze nastęrczały wiele trudności. Tej nocy praca musiała być wykonana w błyskawicznym tempie, aby nie przerwać łączności radiowej. Przed przystąpieniem do pracy należało wyjąć bezpiecznik wyłączający napięcie trzech tysięcy woltów, który do zakończenia reperacji musiał się znajdować u oficera wachtowego.

Ta precyzyjna, delikatna praca musiała być wykonana na oślizłej, gładkiej jak szkło rei, przy temperaturze poniżej dwudziestu stopni mrozu. Robota trudna, naprawdę niebezpieczna, gdyż przechyły „Ulissesa” regularnie osiągały trzydzieści stopni. Marshal nie chciał wyznaczyć do niej służbowego torpedysty, tym bardziej że był to marynarz w średnim wieku, grubawy rezerwista, który już dawno miał poza sobą szczyty formy sportowej. Spytał o ochotników. Zgłosił się Ralston.

Praca trwała pół godziny. Dwadzieścia minut zajęło wdrapywanie się na maszt, przepęłnienie na koniec rei i umocowanie stołka bosmańskiego, właściwa reperacja pochłoneła resztę. Ze dwie setki zmęczonych marynarzy, wykradając sobie minuty snu, wyszło na pokład i nie bacząc na wicher, z podziwem obserwowało Ralstona.

Na ciemniejącym niebie marynarz zataczał szerokie łuki, a wiatr szarpał jego wachtowy płaszcz i kapiszon. Dwukrotnie wicher i fale rzuciły go wraz ze statkiem tak, że zawisł równolegle do rei.

Musiał obydwoma rękami chwycić za reję, aby nie zwalić się w dół. Za drugim razem wydało się, że uderzył twarzą o antenę, gdyż na parę chwil opuścił głowę jak zamroczony. Wtedy właśnie zgubił rękawice. Widocznie położył je na kolanie, gdy wykonywał jakąś wymagającą precyzji czynność.

Spadły i zniknęły za burzą.

Parę minut potem Vallery i Turner oglądali uszkodzoną w Scapa Flow motorówkę. Nagle niski i barczysty marynarz wybiegł z opancerzonych drzwi i szybko podążył w ich stronę. Na widok dowódcy i komandora zatrzymał się gwałtownie. Oficerowie rozpoznali profosa Hastingsa.

- Co się stało, Hastings? - spytał krótko Vallery. Zawsze z trudem ukrywał swoją niechęć do profosa - niechęć do jego szorstkości, do niepotrzebnej bezwzględności.

- Kłopoty na mostku, panie kapitanie - jednym tchem odkrzyknął Hastings. Val ery mógłby przysiąc, że zauważył błysk zadowolenia w jego oczach.

- Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ledwie co mogłem usłyszeć przez ten wiatr... Myślę, że...

lepiej, gdyby pan... tam poszedł.

Na mostku było tylko trzech ludzi: Etherton - oficer artylerzysta - zakłopotany, zmartwiony 41

ściskał w rękę słuchawkę telefoniczną; Ralston stał z bezwładnie opuszczonymi rękami o dłoniach skrwawionych, obdartych ze skóry, z twarzą upiora, gdyż odmrożony podbródek zbieleł, a czoło pokrywały zmarznięte skrzepy krwi; podporucznik Carslake leżał w kącie, jęcząc jak w agonii; przewracając oczyma, bezmyślnie obmacywał potłuczone wargi, krwawiące dziury po wybitych zębach.

- Na Boga! - wykrzyknął Vallery. Zatrzymał się, opierając dłonie o drzwi. Próbował pojąć, co znaczy ten widok. Zaciskając wargi, zwrócił się do oficera artylerzysty.

- Co się tu dzieje, u diabła? - spytał szorstko. - Cóż to jest? Czy Carslake...

- Pobił go Ralston - wtrącił Etherton.

- Nie bądźże durniem - warknął Turner.

- Właśnie! - Vallery zniecierpliwił się. - Widzimy to! Za co?

- Goniec radiotelegrafista przyszedł po bezpiecznik. Carslake oddał go dziesięć minut temu...
zdaje się...

- Zdaje ci się! Etherton, pan był na mostku. Dlaczego pozwolił pan oddać? Wie pan dobrze... -

kapitan urwał w pół zdania, przypominając sobie, że słucha go Ralston i profos.

Etherton bąknął coś pod nosem. Sztorm zagłuszał jego słowa. Vallery podszedł do niego.

- Co pan mówi?

- Byłem wtedy na dole. - Etherton patrzył w ziemię. - Zszedłem na chwilę, tylko na chwilę...

- Aha! Zszedł pan na dół! - powtórzył Vallery opanowanym, spokojnym i równym głosem; jego spojrzenie nie wróżyło Ethertonowi nic dobrego. Zwrócił się do Turnera: - Czy ciężko pobity, komandorze?

- Wyliże się - odparł krótko Turner.

Postawił Carslake'a na nogi, chociaż ten jęczał i zasłaniał dłonią usta.

Wydało się, że kapitan dopiero teraz dostrzegł Ralstona. Patrzył na niego przez parę sekund -
to cała wieczność na smaganym przez sztorm mostku. Wypowiedział jedną wielce mówiącą sylabę.

Za tym słowem kryła się praktyka trzydziestu lat dowodzenia.

- Więc?

Zmarznięta twarz Ralstona była bez wyrazu. Nie spuszczał wzroku z Carslake'a.

- Tak, panie kapitanie. Zrobiłem to. Pobiłem podstępnego, zbójckiego sukinsyna!

- Ralston! - jak biczem ciął profos.

Ralston zgarbił się. Z wysiłkiem oderwał wzrok od Carslake'a i spojrzał na Vallery'ego.

- Przepraszam. Zapomniałem. On ma dystynkcje oficerskie. Tylko szeregowcy są sukinsynami.

Vallery aż się ugiął, słysząc tyle goryczy.

- Ale on...

- Rozetrzyj sobie podbródek - wtrącił ostro Turner. - Jest odmrożony.

Powoli, mechanicznie Ralston wykonał rozkaz. Rozcierał wierzchem dłoni. Vallery cofnął się, widząc poranioną dłoń, z której skóra zwisała płatami - potworny skutek złażenia z masztu bez rękawic.

- Chciał mnie zamordować. Z rozmysłem - mówił z wysiłkiem Ralston.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - głos Vallery'ego był lodowaty jak wichur wiejący nad Langenes. Kapitan poczuł pierwsze delikatne dreszcze przerażenia.

- Chciał mnie zamordować - bezdźwięcznie powtórzył Ralston. - Wkręcił bezpiecznik na pięć minut przed moim zejściem z rei. Radiostacja zaczęła pracować w momencie, gdy przedostałem się na maszt.

- Ralston, to niemożliwe. Jak śmiesz...

- Mówi prawdę - odezwał się Etherton, odłożywszy słuchawkę telefoniczną. - Przed chwilą sprawdziłem...

Przerażenie dosięgło mózgu Vallery'ego. Prawie desperackim tonem powiedział:

- Każdy może się mylić. Omyłki mogą pachnąć kryminałem, lecz...

- Omyłki! - Znużenie Ralstona minęło, jakby nigdy go nie czuł. Zrobił szybko dwa kroki. - To ja wręczyłem mu bezpiecznik. Pytałem o oficera wachtowego, powiedział, że to on... Nie wiedziałem, że służbę pełni pan Etherton. Gdy zwróciłem uwagę, że bezpiecznik może być zwrócony tylko mnie, odpowiedział: „Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich przeklętych impertynencji. Wiem, co mam robić, a ty rób, co do ciebie należy. Właż tam na maszt i dokonaj bohaterstwa". On wiedział, co 42 robić...

Carslake wyrwał się podtrzymującemu go komandorowi i błagalnym tonem zwrócił się do dowódcy.

- To kłamstwo! To przeklęte, łajdackie kłamstwo! - seplenił rozbitymi wargami. - Nigdy nie

mówiłem...

Słowa zmieniły się w chrypliwy wrzask. Pięść Ralstona trzasnęła wściekle w okrutnie pokiereszowane, sepleniące usta.

Carslake jak pijany zatoczył się i przez otwarte drzwi wpadł do kabiny nawigacyjnej. Błady, bezwładny osunął się na pokład i zmarł bez ruchu. Turner i profos rzucili się, żeby powstrzymać Ralstona, lecz on nie ruszył się z miejsca.

Mimo że wokół huczał wicher, wydawało się, że na mostku panuje cisza.

Przemówił Val ery, spokojnie, bez podniecenia.

- Komandorze, proszę zatelefonować po dwóch żołnierzy, żeby zabrali Carslake'a do kabiny.

Niech go Brooks opatrzy. Profos!

- Na rozkaz!

- Tego marynarza zabrać do izby chorych, założyć opatrunki i do aresztu. Postawić uzbrojoną wartę. Zrozumiano?

- Tak jest!

Trudno było nie dostrzec satysfakcji w głosie Hastingsa.

Gdy profos i Ralston odeszli, Vallery, Turner i Etherton stali w milczeniu. Milczeli, gdy dwóch rośli żołnierzy piechoty morskiej wyniosło nadal nieprzytomnego Carslake'a.

Val ery ruszył za nimi. Stał zatrzymany głosem Ethertona.

- Panie kapitanie!

- Zobaczymy się później, Etherton.

- Nie. Proszę teraz. To bardzo ważne. - W głosie oficera było coś, co zatrzymało kapitana.

Zawrócił zniecierpliwiony. - Nie mam zamiaru wykręcać się. Jestem winien. - Etherton patrzył na dowódcę. - Stałem przy drzwiach kabiny hydroakustyków, gdy Ralston wręczał bezpiecznik Carslake'owi. Słyszałem, co mówili. Słyszałem każde słowo...

Twarz Val ery'ego stężała. Spojrzał na Turnera, zauważył, że i on słucha uważnie.

- A to, co powiedział nam Ralston? - mimo woli odezwał się brutalnym, pełnym napięcia tonem.

- Wszystko prawda - biegły ledwie dosłyszalne słowa. - We wszystkich szczegółach. Ralston powtórzył całą prawdę.

Val ery na chwilę zamknął oczy. Powoli odszedł ciężkim krokiem. Nie zaprotestował, gdy poczuł, że Turner podtrzymuje go, pomagając zejść po stromych schodkach. Stary Sokrates mówił mu nieraz, że na jego barkach spoczywa okręt. W tej chwili czuł jego wagę, każdy gram druzgocącego ciężaru.

43

*

W chwili gdy przyszła depesza, Val ery z Tyndallem siedzieli przy kolacji w admiralskim salonie.

Val ery pochłonięty własnymi myślami patrzył na nietknięte jedzenie, a Tyndall rozwinął blankiet.

Odchrząknął i czytał: „Kurs i szybkość, jak przewidziano. Fala umiarkowana. Wiatr przybiera na sile.

Spodziewam się spotkania, jak przewidziano. Dowódca 77". Odłożył depeszę.

- Mój Boże, fala umiarkowana, silny wiatr. Czy pan może uwierzyć, że on płynie po tym samym oceanie, co i my?

- A jednak tak jest - uśmiechnął się Vallery.

- Tak jest - jak echo powtórzył Tyndall. Zwrócił się do gońca: - Oddepeszować: „Zbliżacie się do rejonu silnego sztormu. Spotkanie bez zmian. Możliwe, że się spóźnicie. Czekamy na wyznaczonym miejscu". Czy dość wyraźnie powiedziane, kapitanie?

- Wystarczy. A cisza radiowa?

- Aha, dodaj: „Cisza radiowa. Admirał 14 A.C.S.". Nadać to natychmiast. Powiedz, żeby zaraz potem wyłączono nadajniki.

Cicho zamknęły się drzwi. Tyndall nalał sobie kawy, spojrzał na kapitana.

- Stale myślisz o tamtym chłopcu, Dick?

Val ery uśmiechnął się niewyraźnie. Zakaszłał ochryple.

- Przepraszam - powiedział. Przez chwilę panowała cisza.

- Cóż za głupia ambicja pchnęła mnie na stanowisko kapitana krążownika - rzekł smutno i jakby ze zdziwieniem. Tyndall rozweselił się.

- Nie zazdrozczę panu... Miałem już takie rozmowy. Ale powiedz, Dick, co zrobimy z Ralstonem?

- Co byś ty zrobił? - odparował pytaniem Vallery.

- Jeśli chcesz, trzymaj go o chlebie i wodzie zakutego w kajdany aż do naszego powrotu z Rosji. Val ery śmiał się.

- Nigdy nie umiałeś dobrze kłamać, John. Z kolei admirał wybuchnął śmiechem.

- Touche!

Tyndall był nieco wzruszony, cieszył się skrycie. Richard Val ery nieczęsto łamał własne, ustalone dla siebie przepisy etykiety.

- Wszyscy wiemy, jakie to okropne przestępstwo stłuc oficera Jego Królewskiej Mości, ale jeśli Etherton mówił prawdę, to żałuję mocno, że Ralston nie postarał się, aby Brooks miał naprawdę porządną robotę z przemodelowaniem twarzy tej młodej świni.

- Obawiam się, że mówił prawdę - rzeczowo odparł Val ery. - Ale w grę wchodzi dyscyplina wojenna. Wyobrażam sobie, jakby to przypadło do gustu Starrowi. Zmuszałby mnie, abym ukarał ofiarę niedoszłego mordercy! - przerwał w nowym paroksyzmie kaszlu.

Tyndall odwrócił się. Miał nadzieję, że nie zdradził się z uczuciami rozpacz, żalu i gniewu, które opanowały go na myśl, że taki wspaniały, szlachetny żołnierz, dżentelmen w każdym calu i najlepszy, jakiego miał, przyjaciel musi być tu, kaszląc do utraty tchu, musi umierać na posterunku tylko dlatego, że w odległym o dwa tysiące mil Londynie wydano ślepy, nieludzki rozkaz.

- ...tak, ofiarę - mówił dalej Val ery - człowieka, co już stracił matkę, trzy siostry i brata... do tego ojciec jego jest również gdzieś na morzu.

- A Carslake?

- Wezwę go do siebie jutro. Chciałbym, abyś był przy tym. Powiem mu, że pozostanie oficerem do chwili naszego powrotu do Scapa, po czym musi zrezygnować ze stopnia... Nie wydaje mi się, żeby chciał stanąć przed sądem, nawet jako świadek - zakończył oschle.

- Oczywiście, jeśli jest normalny, w co jednak wątpię - przytaknął admirał. Nagle przyszła mu do głowy ta myśl. - Czy uważasz, że on jest przy zdrowych zmysłach?

- Carslake? - Vallery zawahał się. - Tak, tak sądzę. Przynajmniej był. Brooks nie miał tej pewności. Mówił, że dziś w nocy Carslake nie podobał mu się. Był jakiś dziwny. Brooks przypuszcza, że w tych nienormalnych warunkach najmniejsza prowokacja może urosnąć do niezwykłych rozmiarów... - uśmiechnął się. - Nie twierdzę, że to była drobna prowokacja, gdy Carslake, który dwukrotnie obraził godność osobistą...

Tyndall przytaknął kiwnięciem głowy.

44

- Będzie pełnił wachty... O, do licha! Żeby chociaż okręt nie huśtał. Wylałem na obrus połowę kawy. Spencer - skinął głową w kierunku kredensu - będzie zły jak diabli. Ma dziewiętnaście lat, a już jest prawdziwym tyranem... Spodziewam się, że to będzie osłonięta zatoka... Jest osłonięta. W

porównaniu z tym, co nas czeka. Posłuchaj! - Nadstawił ucha. Na zewnątrz wyła wichura. - Warto dowiedzieć się, co nasz łowca pogody ma do powiedzenia.

Sięgnął po słuchawkę telefoniczną i odłożył ją po krótkiej rozmowie.

- Powiadają, że wiatromierz zwariował. Szybkość wiatru w porywach dochodzi do osiemdziesięciu węzłów. Nadal wieje z północnego zachodu. Temperatura stała: dwadzieścia trzy stopnie poniżej

zera - wstrząsnął się. - Minus dwadzieścia trzy! - popatrzył z namysłem na admirała.

- Barometr stoi na siedmiuset sześciu.

- Co?!

- Siedemset sześć i jedna dziesiąta. To niemożliwe, ale tak meldują.

- Spojrzał na zegarek. - Czterdzieści pięć minut... To bardzo skomplikowany sposób popełnienia samobójstwa.

Milczeli dobrą minutę. Tyndall zaczął pierwszy, odpowiadając na pytania kołaczące się w myślach własnych i Val ery'ego.

- Musimy ruszyć, Dick. Musimy. Aha, przy okazji: nasz zuchowaty kapitan, dzielny Orr, chce nam towarzyszyć ze swoim „Sirrusem”... hm... Pozwólmy mu wlec się za nami przez jakiś czas. Jest młody, niech się uczy...

O dwudziestej dwadzieścia okręty kończyły pobieranie ropy. Stojąc za cyplem, z trudem utrzymywały swoje stanowiska w szyku, lecz były bezpieczniejsze niż na pełnym morzu. Otrzymały rozkaz, aby ruszyć w drogę, gdy wichura osłabnie. „Defender” z osłoną do Scapa Flow, eskadra na miejsce spotkania - sto mil w kierunku E.N.E.1 Należy zachować bezwzględną ciszę radiową.

O dwudziestej trzydzieści „Ulisses” i „SIRRUS” ruszyły na wschód. W ślad za nimi zamigotały światła sygnalizacyjne - życzenia szczęśliwej drogi. Tyndall zwymyślał eskadrę za nieprzestrzeganie zaciemnienia okrętów. Zdał sobie sprawę, że nikt na świecie prócz nich samych nie mógł ich dostrzec, i rozkazał nadać podziękowanie.

O dwudziestej czterdzieści pięć jeszcze na dwie mile przed końcem półwyspu Langenes

„SIRRUS” desperacko nurkował w górach wodnych, a masy wody bez przerwy spływały po jego pokładzie. Wyglądał raczej jak wynurzająca się łódź podwodna niż jak niszczyciel.

O dwudziestej pięćdziesiąt „SIRRUS” na małej szybkości zbliżył się do lądu, aby trochę skorzystać z jego wątpliwej osłony. Zamigotał jego sześciocalowy reflektor sygnalizacyjny. „SIRRUS” meldował:

„Drzwi pancerne uszkodzone. Wieża artyleryjska «A» nie da się obracać. Przez wentylatory leje się woda do lewej kotłowni”.

Po otrzymaniu odpowiedzi z „Ulissesa” kapitan Orr klął z irytacji. Depesza brzmiała: „Lekcja nr 1

- Nauczka bez słów. Natychmiast dołączyć do eskadry. Nie możesz się jeszcze bawić z dorosłymi chłopcami”. - Orr przełknął pigułkę i odpowiedział: „Rozkaz, ale poczekajcie, jak podrosnę!”. Zawrócił

„SIRRUSA”, z wściekłością zataczając półkole, i z uczuciem ulgi wrócił na osłoniętą redę.

Okręt flagowy natychmiast stracił go z oczu.

O dwudziestej pierwszej „Ulisses” sterował do Cieśniny Duńskiej.

1 E.N.E. - kurs wschodnio-północno-wschodni.

45

ROZDZIAŁ VI

Wtorek w nocy

Był to najgorszy sztorm od początku wojny. Bez wątpienia, gdyby Admiralicja przechowywała wszystkie kroniki, można by dowieść, że takiego sztormu, tak silnej konwulsji przyrody nie było od chwili, gdy zaczęto notować obserwacje meteorologiczne.

Na pokładzie „Ulissesa” nie znalazł się tej nocy nikt, kto (nawet posiadając rozległe doświadczenie zebrane ze wszystkich zakątków świata) mógłby przypomnieć sobie coś choćby trochę podobnego. Tej burzy nie można było z niczym porównać.

O dziesiątej wszystkie drzwi i włazy zostały zabite na głucho. Po raz pierwszy od chwili, gdy

„Ulisses” rozpoczął swą służbę we flocie, został wydany rozkaz, że nikomu nie wolno wychodzić na pokład. Cała załoga - od wież artyleryjskich do magazynów amunicyjnych, łącznie z wachtą pokładową - przerwała służbę. Nawet milczek Carrington zaczął opowiadać, że huragany, jakie przeżywał na Morzu Karaibskim w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery i tysiąc dziewięćset trzydzieści siedem, nie były groźniejsze od tego. Wówczas, znajdując się pośród wysp, nie mógł

umknąć ze szlaku tych śmiercionośnych cyklonów i zmuszony był przedzierać się przez nie.

Pierwszy huragan przeżył na frachtowcu o wyporności trzech tysięcy ton; drugi na przestarzałym zbiornikowcu wiozącym asfalt do Nowego Jorku. Statki te nie miały oczywiście takiej dzielności morskiej jak okręty wojenne, ale i „Ulisses” niewiele pozostawiał nadziei, że wyjdzie zwycięsko ze zmagania.

Lecz pierwszy oficer nie wiedział, a nikt nawet nie przypuszczał, że ten sztorm był zaledwie przygrywką. Na okręt czyhała gotowa do skoku, bezmyślna, okrutna polarna bestia. Uderzyła o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści, gdy „Ulisses” przekroczył linię koła podbiegunowego.

Uderzyła wichurą o porywach przekraczających szybkość stu dwudziestu węzłów.

Nic, co stworzył człowiek, nie mogło się ostać. „Ulisses” powinien był zginąć. Wydawało się, że zostanie wgnieciony pod wodę, przewrócony do góry dnem, rozbity na kawałki potężnymi jak uderzenia młotów ciosami wichru i morza.

Bóg jeden wie, jak okręt wytrzymał pierwszy atak. Wichur uderzył w dziób, odwrócił go o czterdzieści pięć stopni, położył, dosłownie położył, i zrzucił w głąb doliny pomiędzy falami.

Zwalając się, z taką siłą uderzył o następną falę, że zadrgała każda płyta stalowa, zawibrował każdy nit. Stal wytrzymała napięcie znacznie przekraczające wszystkie przewidziane normy. Jakimś cudem

„Ulisses” trzymał się. Mijały sekundy; leżał na prawej burcie, zanurzony aż po pokład. Z odległości nie większej niż pół mili sunęła następna ściana wody.

Bohaterem tego dnia został „Dude”, zwany również „Persilem”, a oficjalnie - inżynier komandor Dodson. W chwili gdy uderzyła wichura, stał przy maszynie ubrany w śnieżnobiały kombinezon. Nie mógł wiedzieć, co się stało. Nie domyślał się, że statek zostanie na chwilę pozbawiony dowództwa, gdyż nikt na mostku nie zdążył ochłonać po takim ciosie. Nie wiedział, że sternik stracił przytomność, rzucony w kąt sterówki, a jego pomocnik - zupełny dzieciuch - był zbyt przerażony, aby rzucić się na wściekle obracający się szturwał. Wiedział jednak, że „Ulisses” leży na burcie, i domyślał się przyczyny. Na wołanie przez tuby akustyczne nikt z mostku nie odpowiadał. Ryknął więc w ucho chorążemu mechaników stojącemu przy lewej turbinie: „mała naprzód”, a sam obrócił koło regulatora prawej. Gdyby spóźnił się o piętnaście sekund, mogłoby być za późno. Zwiększone obroty prawej śruby odchyliły okręt na tyle, że gdy uderzyła następna fala, „Ulisses” natarł na nią dziobem. Zanurzył

się rufą aż po wyrzutnie bomb głębinowych, a czterdzieści stóp obnażonego przy dziobie kilu zawisło nad wodną przepaścią. Gdy dał drugiego nurka, drząc całą konstrukcją, przedni pokład zniknął

głęboko pod powierzchnią. Fale zalały go aż po pancerną wieżę „A”. Lecz „Ulisses” stał dziobem do fal.

„Dude” natychmiast kazał chorążemu zwiększyć obroty lewej śruby i zwolnił bieg prawej turbiny.

Pod pokładami panował straszny chaos. W pomieszczeniach mieszkalnych stalowe szafki miały się jak żywe we wszystkich kierunkach, rozbijając zamki, łamiąc zasuwki, wyrzucając swoją zawartość. Jak z katapulty wylatywały hamaki ze schowków. Skorupy potłuczonych naczyń 46

pokrywały podłogę. Połamane stoły i rozbite taborety walały się w najdziwniejszych pozycjach. Nie wiadomo, skąd wzięło się tyle rozrzuconych w dzikim nieładzie książek, gazet, spodeczków, czajników i talerzy. Wśród tych pomieszanych, jeżdżących po podłodze rupieci setki przerażonych i wyczerpanych ludzi wrzeszczało, klęło, starało się powstać, uklęknąć lub usiąść. Niektórzy po prostu leżeli bez ruchu.

Lekarz komandor Brooks i porucznik Nichols, w asyście niestrudzonego kapelana (przydatnego w tej chwili jako trzeci doktor), urobili już ręce po łokcie. Felczer, weteran Johnson, był bezużyteczny

- prawie bez przerwy cierpiał na morską chorobę i wydawało się, że zupełnie upadł na duchu.

Do izby chorych przynoszono dziesiątki ludzi; kolejka nie zmniejszała się przez całą noc, w czasie której „Ulisses” walczył o swoje istnienie. Chorzy wkrótce zapelnili ciasne pomieszczenie i trzeba było urządzić prowizoryczny szpital w jadalni oficerskiej. Przemęczeni lekarze opatrywali tej nocy stłuczenia, rany, zwichnięcia, kontuzje, złamania. Poważnych wypadków było na szczęście niewiele.

Po kilku godzinach zostało w izbie chorych tylko dziewięciu pacjentów, łącznie z marynarzem Ferrym, który zranioną już rękę dodatkowo rozbił w dwóch miejscach.

Mimo gorących protestów usunięto z izby chorych Rileya i jego kompanów buntowników, aby zwolnić miejsca dla poważnie zranionych.

Około godziny dwudziestej trzeciej trzydzięci Nicholls został wezwany do Kapok-Kida.

Zataczając się, przewracając i znów podnosząc, dotarł wreszcie do kabiny nawigatora. Kapok-Kid wyglądał na zrozpaczonego. Nicholls zmierzył badawczym spojrzeniem leżącego na koi kolegę, zauważył głębokie, brzydkie rozcięcie na czole. Spuchnięta kostka wyglądała z nogawicy

„ratunkowego” kombinezonu, który robił wrażenie ubrania Marsjan. Rana niby nieprzyjemna, lecz nie upoważniająca do wzywania lekarza. Gdyby jednak sądzić według zatroskanej miny nawigatora, można by spodziewać się czegoś poważniejszego. Nicholls uśmiechnął się.

- No, Horatio - spytał obojętnie - co się z tobą dzieje? Znów piłeś? Carpenter jęknął żałośnie.

- Moje plecy, Johnny - wymamrotał i położył się na brzuchu. - Spójrz! Wyraz twarzy Nicholla zamienił się. Zrobił dwa kroki i stanął.

- Jak, u diabła, mam cię zbadać - krzyknął z irytacją - przez ten twój ohydny kostium?

- O to chodzi - mówił niespokojnie Kapok-Kid. - Rzuciło mnie na tablicę rozdzielczą reflektorów.

Same tam kontakty i inne ostre kanty. Czy porwany? Rozpruty albo może przecięty? Czy szwy?..

- Na miłość boską! Czy chcesz powiedzieć?... - Nicholls zupełnie zaskoczony opadł na kuferek.

Kapok-Kid patrzył na niego wzrokiem pełnym nadziei.

- Czy to znaczy, że jest cały?

- Naturalnie, że cały. Dlaczego u licha mnie wzywasz, jeśli potrzebny ci krawiec?!

- Dość! - Kapok-Kid zerwał się zwawo, usiadł na brzegu koi, ostrzegawczo podniósł rękę i dotknął krwawiącego czoła. - Jest i dla ciebie robota, chirurgu. Zaszuj to, nie trać czasu! Człowiek o takim jak ja znaczeniu jest niezbędny na mostku. Ja jeden mam jakie takie pojęcie, gdzie znajduje się okręt.

Zakładając opatrunek, Nicholls wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A gdzie jesteśmy?

- Żebym to wiedział! - odparł szczerze Kapok-Kid. - Dlatego się spieszę... Ale za to wiem, gdzie byłem! Znów w Henley. Czy mówiłem ci?...

„Ulisses” nie zginął. Nastawiał pod uderzenia wichury prawą stronę dziobu. Uderzał w fale, nikał w

ich objęciach i zdawało się, że nigdy nie zrzuci z siebie olbrzymiego ciężaru wody. Raz po raz powtarzał tę sztukę, drżąc i dygocąc z wysiłku. Zanim nastąpił świt, oficerowie i marynarze tysiące razy błogosławili geniusz budowniczych znad rzeki

Clyde. Tysiące razy klęli ślepy szal potężnego sztormu, który przewracał „Ulissesa” na burtę.

Może słowo „ślepy” jest niewłaściwe. Sztorm działał z dziką nienawiścią, z prawie ludzką chytrą i podstępnością. Zaraz po pierwszym ataku wiatr szybko zmienił kierunek i, jakby przecząc wszelkim prawom przyrody, jeszcze raz odwrócił się i znów wiał z północy. „Ulisses”, mając za sobą ład, musiał wytrwale przebijać się przez olbrzymie fale. Olbrzymie - w tym też jest podstęp. Olbrzymi grzywacz, ryczący obok „Ulissesa”, załamał się nagle i skręcił, zwałając na pokład, rozłupując w 47

drzazgi szalupę. W ciągu godziny został zniszczony barkas, motorówka i dwie szalupy.

Pogruchotane szczątki spłynęły do wrzącego, piekielnego kotła. Zdradliwe fale odrywały tratwy ratunkowe Carleya i unosiły precz. W ten sposób zniknęły cztery tratwy z drzewa balsa. Lecz najbardziej zdradliwy cios otrzymał pokład rufowy. Podczas największego nasilenia sztormu rozległa się seria silnych eksplozji. Sześć wybuchów w sześć sekund uniosło rufę prawie nad powierzchnię morza. W rufowych pomieszczeniach mieszkalnych wybuchła panika. Zgasły prawie wszystkie światła za tylną maszynownią. Poprzez pokłady niosły się w ciemnościach rozdzierające krzyki:

„Torpeda!”, „Mina!”, „Okręt tonie!”.

Ludzie mimo wycieńczenia i ran zerwali się jak porażeni prądem. Nawet ci, co już zobojętnieli na wszystko pod wpływem morskiej choroby (a była ich przeszło połowa), rzucili się w szaleńczym biegu do drzwi i luków po to tylko, aby stwierdzić, że są one zakute na głucho przez lód. Tu i tam, gdzie został przerwany prąd, zapalały się automatycznie lampy zasilane z akumulatorów. Gdy szukający drogi ludzie przebiegali przez żółte plamy jasności, maleńkie żarzące się punkciki oświetlały poblądłe, wykrzywione twarze o zapadniętych oczach. Gdy panika doszła już do szczytu, ponad ogólny harmider wyrosło ochryple, drwiące wołanie: to wołał Ralston. Przed dziewiątą został

na rozkaz kapitana zwolniony z aresztu, gdyż warunki w celach znajdujących się na samym dziobie były nie do zniesienia. Mimo to Hastings, wypuszczając marynarza na wolność, nie omieszkął uczynić tego w sposób jak najbardziej niemiły.

- To nasze bomby głębinowe! Słuchajcie, przekłęci durnie, to nasze własne bomby głębinowe!

Wrażenie uczyniły nie tyle słowa, ile zawarta w nich gryząca ironia.

Panika ustąpiła nagle. Bezmyślnie pędzący ludzie stanęli.

- Mówię wam, że to nasze bomby głębinowe! Zmyło je za burtę!

Miał rację. Cały stojak z bombami zerwał się z umocnień. Bomby wytoczyły się z łożysk i z kolejną falą poszły za burtę. Przez jakieś przeoczenie wszystkie były nastawione na małą głębokość.

Widocznie jeszcze w Scapa Flow przygotowano je do walki z podwodną łodzią-liliputem. Wybuchły tuż pod okrętem. Wyrządziły jednak niewiele szkody.

Na pokładzie „A” po prawej stronie dziobu działo się jeszcze gorzej. Większe były zniszczenia i więcej cierpiących na morską chorobę - nie taką, jak podczas przejażdżki po kanale La Manche, gdzie wystarczy pozieleniała twarz i lekkie mdłości. Tu ludźmi targaly konwulsje, rzygali krwią. Dziób unosił się i opadał - trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt stóp w górę i w dół, bez przerwy, przez niekończące się godziny. Do tego przyłączył się jeszcze jeden wróg, który uniemożliwiał przebywanie na pokładzie.

Przed komorą, gdzie mieściły się maszyny windy kotwicznej, był magazyn akumulatorów.

Przechowywano tam lub ładowano setki różnych akumulatorów. Jedne ciężkie, kwasowe z ołowianymi płytami, ważące ponad sto funtów, inne maleńkie niklowo-kadmowe do oświetlania awaryjnego. W różnych kątach stały kominkowe kadzie z przygotowanym kwasem i duże balony w koszach ze stężonym kwasem siarkowym. Były porządnie umocowane na stałe, a wielkie akumulatory przywiązane nieruchomo.

Nikt nie wiedział, jak się to stało. Prawdopodobnie podczas skoków okrętu wylało się trochę kwasu, który poprzepalał umocowania i liny. Później oderwał się zapewne jeden akumulator, uderzył i stłukł następny, i już poszło... akumulatory, kadzie, balony... dopóki cała podłoga (na szczęście kryta kwasoodpornym materiałem) nie została pokryta pięcio- czy sześciocalową warstwą kwasu siarkowego.

Młody torpedysta, kontrolując podczas wachty pomieszczenia na dziobie, otworzył drzwi magazynu i ujrzał pryskające na wszystkie strony jezioro kwasu. Wpadł w panikę. Pamiętał, że kwas siarkowy można zneutralizować sodą kaustyczną, której znaczne ilości stały tuż przed drzwiami.

Wysypał więc do kwasu cały czterdziestofuntowy worek. Teraz leżał ślepy w izbie chorych.

Opary kwasu wypełniły pomieszczenia windy kotwicznej. Wejść tam można było tylko w aparacie tlenowym. Gaz przedostawał się do wnętrza okrętu, powoli, natarczywie, aż do pomieszczeń mieszkalnych. Na domiar złego, poprzez nadwerężone spojenie blach pokładu i uszkodzone rury akustyczne, do forpiku wlewała się morską wodą. W powietrzu zawisł zapach chloru. Na pokładzie, tuż nad magazynem, zabezpieczeni linami Harley i dwaj marynarze dokonali krótkiej, aczkolwiek równie bohaterkiej, co beznadziejnej próby załatania szczelin i dziur.

Po minucie udało się ich ściągnąć w bezpieczne miejsce, potłuczonych, prawie nieprzytomnych 48 od ciosów.

Ludzie pod pokładami cierpieli niewygody, niebezpieczne fizyczne uderki. Garstka pełniąca służbę na mostku znajdowała się w najprawdziwszym piekle. Nie w wyobrażonym na wzór wschodni piekle biblijnym, lecz w piekle naszych północnoeuropejskich praszczurów: wikingów, Danów, Jutów; w piekle Beowulfa i jezior zamieszkałych przez duchy; w piekle wiecznego mrozu. Termometr wskazywał minus trzydzieści stopni, a wiadomo, że ludzie żyli i pracowali przy temperaturach

znacznie niższych. Lecz mało kto zdaje sobie sprawę, że przy silnej wichurze ciało traci ciepło tak szybko i intensywnie, jakby mróz był o dziesiątki stopni silniejszy.

Tej nocy wiatromierz nieraz wskazywał podmuchy dochodzące do stu dwudziestu pięciu mil na godzinę; przygniatały one wierzchołki fal, szarpały takielunek, ledwie nie zrywały kominów. Ludzie na mostku, wytrzymując stałe ciśnienie wiatru o szybkości stu mil na godzinę, czuli się jakby na stustopniowym mrozie. Nawet najsilniejsi mogli wytrzymać najwyżej pięć minut i kryli się do schronu kapitana. I tak praca na mostku sprowadzała się wyłącznie do czuwania. Niemożliwe byłoby choćby spojrzeć na wiatr. Ciśnienie powietrza wgniatało oczy, a siekące bryzgi lodu mogły je z łatwością wybić.

Na nic również nie zdały się wirujące z olbrzymią szybkością ekrany Kenta. Nabrzmiały lodem sztorm jak piachem sypał na szkło i rysował je, aż stało się mleczne.

Noc nie była ciemna. Nad okrętem zjawiało się niekiedy granatowe niebo i migocące gwiazdy, natychmiast przysłaniane postrzępionymi łachmanami chmur. Po bokach i za rufą morze było czarne jak tusz, pomazane smugami białej kipieli. Zniknęły wczorajsze wyrównane szeregi fal, przepadły również ich ozdobne białe grzywy. Pozostały jedynie potężne góry wodne, spękane i zmieszane, łamiące się w różnych kierunkach, lecz stale pędzące na południe. Niektóre łańcuchy wodnych gór mogły od biedy zasłużyć na miano fal: były małe, niepokaźne, wielkości podmiejskiego domku, inne piętrzyły się groźnie na siedemdziesiąt, osiemdziesiąt stóp, niosły miliony ton wody, wznosiły nad widnokrąg i mogły śmiało zatopić kościół katedralny wraz z wieżą.

Kapok-Kid uważał, że najlepiej nie patrzeć na takie fale. Prawie nigdy nie omijały one okrętu.

Wgniatały „Ulissesa” w głębiny; czasem zwijały się i załamywały wierzchołki nad mostkiem, zalewając nieszczęsnego oficera na wachcie. Natychmiast musiano go zastępować kim innym, gdyż w jednej chwili zmieniłby się w bryłę lodu.

Wbrew wszelkim przypuszczeniom okręt trzymał się jeszcze na powierzchni. Płynęli na ślepo i nie opuszczała ich obawa, czy nie zdarzy się coś jeszcze gorszego; czy następna fala będzie jak jedna z wielu jej poprzedniczek, czy jakiś nieznany bóg nie zgniecie ich jak święty wóz boga Wisznu.

Ani na chwilę nie malało napięcie, tym większe że „Ulisses” stawał dęba i opadał bezgłośnie, niewidocznie. Siłę uderzeń można było ocenić jedynie po ruchach okrętu i jego wibracji - wszelkie głosy pochłaniała kakofonia wichru wyjącego w takielunku i nadbudówkach.

Około drugiej nad ranem, tuż po wybuchu bomb głębinowych, niektórzy starsi oficerowie podnieśli bunt. Przed godziną za pomocą perswazji zmusili kapitana, aby zszedł do kabiny, ponieważ trząsał się ze zmęczenia i chłodu. Zbudzony eksplozją wrócił na mostek. Drogę zagrodzili mu komandor i Westcliffe. Spokojnie, lecz stanowczo odprawili go do schronu. Turner z trudem otworzył

drzwi i zapalił światło. Val ery był bardziej zdziwiony niż zły.

- Co... Cóż to u licha znaczy? - spytał ostro.

- Bunt! - huknął wesoło Turner. Na posiekanej odpryskami lodu twarzy miał krew. - Wydaje się, że tak określa się to na morzach. Prawda, admirale?

- Dokładnie tak! - zgodził się admirał. Val ery szarpnął się zaskoczony. Tyndall leżał w mundurze na koi.

- Proszę pamiętać, że nie mam władzy nad kapitanem na jego okręcie, lecz w tej chwili nie jestem w stanie nic dostrzec. - Opadł na koję, zamknął oczy z wyraźnym wyczerpaniem. Sam jedynie wiedział, że nie udaje.

Val ery milczał. Stał trzymając się kurczowo poręczy. Twarz miał pobladłą, wynędzniałą, zaczerwienione oczy zamroczone bezsennością. Turner patrząc na niego czuł się tak, jakby mu wbijano nóż. Gdy odezwał się, głos brzmiał tak niezwykle cicho, serdecznie, że przykuł uwagę Vallery'ego.

- Panie kapitanie, dzisiejsza noc nie wymaga obecności dowódcy wojskowego. Nie grozi żadne niebezpieczeństwo wojenne, tylko sztorm. *Zgadza się pan?*

49

Val ery przytaknął bez słowa.

- Tej nocy na mostku potrzebny jest żeglarz. Nie uwłaczając nikomu, uważam, że nikt z nas nie dorósł do klasy Carringtona. Jest on po prostu człowiekiem innego gatunku.

- To ładnie, panie komandorze, że i siebie zaliczył pan do naszej kompani - szepnął Vallery. -

Całkiem zresztą niepotrzebnie.

- Przez całą noc na mostku zostanie pierwszy oficer, Westcliffe i ja.

- I ja. Ale teraz idę spać - burknął Tyndall. Wyglądał na równie zmęczonego jak Vallery. Turner uśmiechnął się.

- Dziękuję. Tak więc, kapitanie, dzisiejszej nocy będzie tu trochę ciasno... Zobaczymy pana po śniadaniu.

- Ale...

- Żadnych „ale” - mruknął Westcliffe.

- Bardzo proszę - upierał się Turner. - Niech pan to dla nas zrobi. Vallery popatrzył na niego.

- Jako dowódca „Ulissesa”... - głos mu uwiązł w gardle - nie wiem, co powiedzieć!

- Ale ja wiem - szybko stwierdził Turner, biorąc kapitana pod rękę. - Chodźmy na dół.

- Czy pan się obawia, że sam nie dam rady? - z niepewnym uśmiechem spytał Vallery.

- Nie. Lecz nie ma potrzeby ryzykować. Chodźmy!

- Już dobrze, dobrze - westchnął zmęczony. - Królestwo za chwilę spokoju... i dobry sen!

Z wielkim wysiłkiem Nicholls próbował się otrząsnąć z ciężkiego, wyczerpującego snu. Powoli, niechętnie otworzył oczy. Zdawał sobie sprawę, że „Ulisses” nadal zatacza się ciężko, nurkuje jak poprzednio. Upstrzona kroplami krwi, z zabandażowanym czołem twarz Kapok-Kida pochylała się nad Nichollsem.

- Ledwie skowronki, srebrzyste dzwonki i tak dalej, i tak dalej - naigrawał się nawigator. - Jak się mamy? - przedrzeźniał z uroczystą miną. Carpenter z niewielkim szacunkiem odnosił się do zawodu lekarskiego.

Nichol s wlepił w niego nieprzytomne jeszcze oczy.

- Co się dzieje, Andy? Czy coś się stało?

- Gdy panowie Carrington i Carpenter pełnią służbę - odparł wyraźnie Kapok-Kid - nic złego stać się nie może. Chciałbyś wyjść na pokład i zobaczyć, jak działa Carrington? Ma zamiar zrobić okrętem

„w tył zwrot”. Przy takiej pogodce rzecz godna oglądania!

- Co? Do stu diabłów! Więc zbudziłeś mnie tylko po to...

- Gdy okręt będzie zawracał i tak byś się zbudził, tylko zapewne na podłodze i ze złamanym karkiem. A ponadto, Johnny, potrzebuję twojej pomocy. Chciałbym mieć parę kwadratowych szklanych płytek, których, jak wiem, masz niezgorszy zapas. Ale twój gabinet zamknięty, próbowałem... - dodał bez żenady.

- Po co... po co ci te płytki?

- Chodź i sam się przekonaj po co - zaproponował Kapok-Kid.

Był świt, dziki, straszliwy świt, doskonałe zakończenie potwornego snu. Przedziwne, mglistobiałe smugi wodnego pyłu niosły się nie wyżej czubków masztów. Niebo nad nimi było czyste.

Fale, nadal olbrzymie, stały się krótsze; znacznie krótsze i bardziej strome. „Ulisses” zwolnił tak, aby tylko utrzymać sterowność i stawać dziobem do fali. Lecz nawet i to nie mogło osłabić ciosów zadawanych przez morze. Szybkość wiatru spadła do pięćdziesięciu węzłów, co równa się sile sztormu. Mimo to, gdy tylko Nicholls wyszedł na odsłonięty pokład, wichura płomieniem przeniknęła jego płuca, oślepiła mrozem i lodem. Pospiesznie owinał szalem całą twarz. Po omacku, instynktownie znalazł drogę na mostek. Kapok-Kid szedł za nim, niosąc szklane płytki. Wspinając się, słyszeli, że głośniki podawały jakiś komunikat, którego niepodobna było zrozumieć.

Turner i Carrington samotnie tkwili na mostku oświetlonym pierwszym brzaskiem. Byli opatuleni jak

mumie. Nawet oczy osłonili lotniczymi okularami.

- Dzień dobry, Nichol s - huczał komandor. - To Nicholls czy nie Nichol s? - Zdjął okulary, odwracając się przedtem plecami do wiatru. Odrzucił je ze wstrętem. - Nic nie widać przez te 50 cholery... Hej, Pierwszy, przynieśli nam płytki szklane!

Nichol s, szeroko stawiając nogi, zbliżył się do zawietrznego rogu mostka. Na kratownicy pokładu wałały się okulary, maski przeciwgazowe, osłony na oczy...

- Cóż to, wyprzedaż?

- Robimy zwrot, doktorze - odpowiedział Carrington. Mówił spokojnie, rzeczowo, bez śladu znużenia. - Ale musimy wiedzieć, dokąd płyniemy, a jak już rzekł komandor, te cholery są do niczego... natychmiast zachodzą mgłą, gdy tylko je założysz: zbyt wielki mróz. Proszę, potrzymaj płytkę szklaną... o tak... i przecieraj ją, Andy!

Nichol s spojrział na wielkie fale. Wzdrygnął się.

- Przepraszam za ignorancję, lecz dlaczego mamy w ogóle zawracać?

- Ponieważ wkrótce będzie to całkiem niemożliwe - odparł krótko Carrington. W sekundę później zachichotał. - Ten manewr sprawi, że stanę się najbardziej nielubianym człowiekiem na okręcie.

Właśnie podaliśmy ostrzeżenie. Gotowe?

- Uwaga maszyny, uwaga ster. Gotowe! - Minęło trzydzieści sekund, czterdzieści pięć sekund, cała minuta. Carrington bez mrugnięcia powieką patrzył przez szklaną płytkę. Kapok-Kid przecierał ją gorliwie.

Nagle padł rozkaz:

- Lewa turbina - średnia naprzód!

- Lewa - średnia naprzód - jak echo powtórzył Turner.

- Ster w prawo dwadzieścia

- Ster w prawo dwadzieścia.

Nichol s ze strachem zerknął przez ramię. W ułamku sekundy przed oślepieniem, wypełnianym się łzami oczyma ujrzał wielką falę idącą na nich. Dziób już odwracał się od niej. O

Boże! Czemuż Carrington nie poczekał, aż ich minie? Wielka fala uniosła dziób, pchnęła „Ulissesa”

daleko w prawo i przeszła pod nim. Okręt ociężale wdrapał się na jej wierzchołek i zataczając dziko, stoczył się w dół; maszty, olbrzymie błyszczące pnie, pogrubiałe i ciężkie od lodu, opisały łuk,

gdy

„Ulisses” pochylił się, nurzając lewą burtę aż po relingi w wyrastającej stromiźnie następnej fali.

- Lewa, pełna naprzód!

- Lewa, pełna naprzód.

- W prawo trzydzieści!

- W prawo trzydzieści.

Fala przechodząc pod kadłubem po prostu zlikwidowała przechył. I wtedy Nicholls pojął

wreszcie, o co chodziło. Trudno zrozumieć jak, ponieważ nie można było zobaczyć, co się dzieje daleko w przodzie, lecz Carrington przewidział, że te dwa rodzaje fal muszą spotkać się, tworząc stosunkowo spokojną przestrzeń. Nikt, nawet sam Carrington, choć był wielkim żeglarzem, nie wiedział ani nie mógł się dowiedzieć, jakim sposobem to przewidział. Przez piętnaście czy dwadzieścia sekund morze wyglądało jak biała kipiela zderzających się, gwałtownie skłóconych fal.

Zwykle takie zjawisko spotyka się na małą skalę przy odpływach lub koło wodospadów. „Ulisses” z gracją wykonał zwrot. Olbrzymia fala, piętrząc się prawie do wysokości mostku, pochwyciła okręt w ostatniej ćwiartce skrętu. Po raz pierwszy uderzyła w całą długość burty. Zwaliła „Ulissesa” na bok, zatapiając zawietrzne relingi. Nicholls stracił grunt pod nogami, upadł ciężko w kąt mostka. Mógłby przysiąc, że słyszał śmiech Carringtona. Wypelzł na środek platformy kompasowej.

Wielka fala jeszcze nie przeszła. Nadal piętrzyła się nad doliną, w którą rozpaczliwie staczał się pochyłony o czterdzieści stopni „Ulisses”; spoglądała nań bezlitośnie z góry i czekała na moment, aby pogrzebać go pod sobą. Pochyłomierz nieustępliwie wskazywał czterdzieści pięć stopni, pięćdziesiąt stopni, pięćdziesiąt trzy stopnie... Okręt wisiał tak całe wieki, podczas gdy ludzie utrzymywali się na jego bokach, wpijali palcami w pokład; ośpiałe mózgi z trudem mogły pojąć to, co wydawało się nieuniknione. Koniec. „Ulisses” nie podniesie się nigdy.

Zegar życia tykał ostatnie sekundy. Nicholls i Carpenter spojrzeli na siebie. Twarze mieli blade, bez wyrazu. Pochylony pod tak zwariowanym kątem mostek osłaniał od wiatru. Rozległ się niezwykle czysty, spokojny jak podczas towarzyskiej rozmowy głos Carringtona.

- Pochyli się aż do sześćdziesięciu pięciu stopni i powstanie! - stwierdził jak coś zupełnie naturalnego. - Trzymajcie kapelusze, panowie. To będzie ciekawe.

Ledwie skończył, a „Ulisses” niewyczuwalnie, potem powoli, aż wreszcie gwałtownie szarpnął

51

się, zatoczył łuk dziewięćdziesięciu stopni i znów pochylił. Jeszcze raz Nicholls znalazł się w kącie mostka. Lecz „Ulisses” prawie zakończył zwrot.

Uśmiechnięty Kapok-Kid z ulgą podniósł się i dotknął ramienia Carringtona.

- Proszę tam nie patrzeć. Straciliśmy główny maszt!

Była to lekka przesada. Zniknął tylko piętnastostopowy wierzchołek z tylną anteną radarową.

Ów podstępny, dwukrotny przechył jak biczem zamachnął masztem, który nie wytrzymał ciężaru lodu.

- Obie mała naprzód. Ster na środek.

- Obie mała naprzód. Ster na środek.

- Tak trzymać... „Ulisses” wykonał zwrot.

Kapok-Kid uchwycił spojrzenie Nichollsa, skinął głową w kierunku Carringtona.

- Rozumiesz, o co chodzi?

- Tak! - Nicholls był bardzo spokojny. - Tak, wiem. - Nagle roześmiał się. - Na przyszły raz uwierzę ci na słowo. To demonstrowanie faktów jest dla człowieka zbyt męczące!

Uciekając prosto przed falami, „Ulisses” był nadzwyczaj stateczny. Wiatr dał prosto w rufę, a mostek stanowił cudowną osłonę. Poszarpane mgły nad głowami stały się rzadsze, prawie zniknęły.

Daleko na południowym wschodzie po bezchmurnym niebie wspinało się oślepiająco białe słońce.

Długa noc minęła.

W godzinę potem wiatr zwolnił do trzydziestu węzłów, a radar wykrył okręty na zachodzie. Po jeszcze jednej godzinie, gdy wiatr prawie ustał i po morzu toczyła się tylko ciężka fala, nad widnokregiem mignęły tylko chmurki dymu.

Punktualnie o dziesiątej trzydzieści „Ulisses” spotkał się z konwojem na wyznaczonej pozycji.

52

ROZDZIAŁ VII

Środa w nocy

Konwój nadciągał prosto z zachodu. Po nierównej fali ciężko przewalały się bogato załadowane statki - wspaniały i łakomy łup dla niemieckich łodzi podwodnych. Osiemnaście statków tworzyło tę flotyllę; piętnaście dużych nowoczesnych frachtowców i trzy zbiornikowce po szesnaście tysięcy ton.

Niosły ładunek o wartości większej, bezwzględnie bardziej pożądanej niż jakiegokolwiek statki najbogatszych kupców Wschodu. Czołgi, samoloty, benzyna - cóż wobec nich znaczy złoto i drogocenne kamienie, jedwabie i najwyszukańsze zamorskie korzenie? Dziesięć milionów,

dwadzieścia milionów funtów szterlingów - trudno określić ogólną wartość konwoju. W każdym razie nie można było jej mierzyć pieniędzmi.

„Ulisses” pędził między lewą wewnętrzną a środkowymi kolumnami konwoju. Załogi frachtowców stłoczyły się na pokładach. Wyległy, aby patrzeć i podziwiać go - aby dziękować Stwórcy, że z dala ominęli straszliwy sztorm.

„Ulisses” oglądany z innego statku przedstawiał dziwny obraz: był ogołocoony z tratw ratunkowych, miał złamany maszt, talie szalup napięte nad pustymi podstawkami, na których powinny spoczywać łodzie. W blasku poranka statek lśnił jak kryształ. Wichura zmiotła wszystek śnieg, wyczyściła, wytarła, wypolerowała lód tak, że stał się gładki jak jedwab, szklisty jak lustro. Po obu stronach dziobu i przed mostkiem spod odartej farby kamuflażu czerwieniły się wielkie plamy minii - skutki huraganu siekącego ostrym jak piasek lodem przez całą noc.

Amerykańska osłona konwoju była nieliczna. Ciężki krążownik z samolotem obserwacyjnym, dwa niszczyciele, dwa okręty przybrzeżne typem zbliżone do fregat.

Nieliczna, lecz wystarczająca. Luftwaffe nie sięgała tak daleko na zachód, nie było więc potrzeby wysyłania lotniskowców, chociaż czasami dołączano je do osłony konwojów atlantyckich.

Niemieckie łodzie podwodne przesunęły się ostatnio bardziej na północ i na wschód od Islandii, dzięki czemu znalazły się bliżej swoich baz i łatwiej mogły brać w kleszcze zbiegające się tam trasy konwojów zmierzających do Murmańska.

Frachtowce, okręty amerykańskie i „Ulisses” płynęły kursem E.N.E. aż do momentu, gdy spoza widnokregu wynurzyła się kanciasta, podobna do skrzyni sylwetka lotniskowca. Pół godziny później, o szesnastej, osłona amerykańska zwolniła, pozostała w tyle i zawróciła, sygnalizując światłami ostatnie pożegnalne życzenia szczęśliwej drogi.

Rozstanie to budziło wśród załogi „Ulissesa” bardzo różne uczucia. Wiedzano, że Amerykanie muszą odejść, że gdzieś przy ujściu Rzeki Świętego Wawrzyńca zbiera się następny konwój. Nie było uczuć zazdrości czy - jakby można się spodziewać - goryczy, chociaż jeszcze przed paru tygodniami wśród tych wyczerpanych ludzi, co dźwigali ciężar wojny, było to zjawisko dość powszechne. Zrodziło się natomiast uczucie pełnej lekceważenia aprobaty istniejącego stanu *rzeczy*, rodzaj cynicznej brawury, często dziwacznej, nieokreślonej dumy, maskowanej głupimi dowcipami i niekończącym się gderaniem.

Czternasta Eskadra Lotniskowców, a raczej to, co z niej zostało, zbliżyła się już na dwie mile.

Tyndall, wchodząc na mostek, zaklął szpetnie, gdy zauważył brak lotniskowca i trałowca. Do dowódcy „Stirlinga” - Jeffriesa pomknęła pełna gniewu depesza z pytaniem, dlaczego nie wykonano rozkazu i gdzie znajdują się nieobecne okręty. W odpowiedzi zamigotał aldis. Bentley głośno odczytywał depeszę. Tyndall siedział ponury i milczący. Depesza stwierdzała, że nocą zepsuło się urządzenie sterowe „Wrestlera”. Nawet za przyłądkiem Langenes sztorm dobrze dawał się we znaki, a warunki pogorszyły się jeszcze bardziej, gdy wiatr zaczął dąć z północy. Pomimo dwóch śrub

„Wrestler” stracił zdolność manewrowania. Starając się utrzymać pozycję przy tak złej widzialności, poszedł zbyt daleko naprzód i utknął na mieliźnie Veile. Wjechał na ławicę przy najwyższym poziomie przyływu. Pozostał tam pod osłoną trałowca „Eagera”, gdy przed świtem eskadra ruszyła w drogę.

Przez parę minut Tyndall siedział w milczeniu. Podyktował do „Wrestlera” depeszę, potem wycofał ją, obawiając się naruszyć ciszę radiową, i postanowił osobiście sprawdzić, co się stało.

Ostatecznie to tylko trzy godziny drogi. Zadepeszował do „Stirlinga”: „Objąć dowództwo, wrócę nad ranem”. Val ery’emu rozkazał zawrócić do Langenes.

Kapitan zgodził się bez entuzjazmu i wydał odpowiednie rozkazy. Był bardzo zmartwiony, lecz 53 dokładał wszelkich starań, aby tego nie uzewnętrzniać. Najmniej troszczył się o stan swego zdrowia.

Chociaż wiedział o swej chorobie, nikomu o niej nie wspominał. Z goryczą zdawał sobie sprawę, że nie miał potrzeby o tym mówić. Wzruszyło go i cieszyło, że oficerowie starali się niby przypadkowo pomagać mu w dźwiganiu ciężaru obowiązków, że poświęcali mu tyle uwagi.

Martwił się również o załogę. Marynarze nie byli już zdolni do wykonywania najlżejszej nawet pracy, do stawiania oporu zabójczemu działaniu mrozu, nie mówiąc już o prowadzeniu okrętu i wywalczeniu sobie drogi do Rosji. Przygnębienie spowodowała seria niepowodzeń, jakie spadły na okręt od chwili opuszczenia Scapa Flow. Była to zła zapowiedź na przyszłość. Vallery nie miał złudzeń co do dalszych losów nadwątlonej eskadry. Przez cały czas uporczywym bólem dręczyła go myśl o Ralstonie. Ralston - rosły potomek skandynawskich praszczurów. Jasnowłose, błękitnooki Ralston, którego nikt nie rozumiał, z którym nikt nie zawarł prawdziwej przyjaźni, bez uśmiechu kroczył swoimi ścieżkami i znalazł się pod kluczem. A przy tym znalazł się tam za to, czego żaden zdrowo myślący człowiek nie mógł uznać za jego winę.

Pod kluczem i za kratami - to jest bolesne. Ubiegłej nocy Val ery z radością skorzystał ze sztormu, aby go wypuścić na wolność. Miał zamiar zapomnieć o sprawie, zakłajstrować ją, lecz profos Hastings przesadził w swej służbistości i zaraz po przedobiedniej wachcie zamknął chłopca z powrotem. Profosowie - chorążowie dyscyplinarni - nigdy nie wyróżniali się humanizmem; nie stać ich było na tolerancję, na życzliwy stosunek do życia w ogóle, a do niższych stopniem w szczególności.

Lecz Hastings nawet wśród nich był wyjątkiem. Był żywym mechanizmem, całkiem wyraźnie pozbawionym ludzkich uczuć. Kamienny, nieugięty, dokładny, we własnym pojęciu sprawiedliwy, ale całkowicie pozbawiony serca i życzliwości.

Gdyby Hastings nie miał się na bacności, mógłby spotkać go los Listera, który do niedawna był najbardziej nielubianym profosem na „Blue Rangerze” - myślał Vallery. - Nikt nie wiedział, co się stało z Listerem. Pewnej ciemnej, bezgwiezdnej nocy wybrał się na spacer po pokładzie-lotnisku...

Val ery westchnął. Jak już wyjaśnił Fosterowi, miał związane ręce. Kapitan piechoty morskiej

Foster, wraz ze stojącym za nim zatroskanym sierżantem szefem Evansem, skarżył się, że jego żołnierze muszą pełnić dodatkową wartość przy areszcie, chociaż każdą wolną minutę powinni wykorzystać na sen. Osobiście Vallery zgadzał się z kapitanem, lecz nie mógł cofnąć wydanego rozkazu - przynajmniej do chwili sądu kapitańskiego, po którym można by trzymać Ralstona w areszcie domowym.

Znów westchnął, posłał po Turnera i polecił mu przygotować na rufie liny roślinne, manilę i pięciocalową stalówkę¹. Przypuszczał, że wkrótce będą one potrzebne. Jak się później okazało, miał rację. Było już ciemno, gdy zbliżyli się do ławicy Veile, lecz „Wrestlera” znaleźli z łatwością.

Przedtem odebrali jego sygnał rozpoznawczy i określili pozycję - teraz na tle bladej poświaty niedawnego zachodu wznosił się przed nimi kanciasty kształt, ostro zarysowana sylwetka.

Pokład-lotnisko sterczał dziobem do góry, stromo pochylony ku rufie. Nie wróżyło to nic dobrego. „Eager” prawdopodobnie rzucił kotwicę. Morze było tu prawie zupełnie gładkie - toczyła się tylko lekka martwa fala.

Na „Ulissesie” zaczął migotać maleńki reflektor sygnalizacyjny.

„Nasze gratulacje! Jak mocno uwięźliście?”.

Z „Westlera” odpowiedziało równie maleńkie światełko. Bentley głośno odczytywał depeszę.

„Sto stóp licząc od dziobu”.

- Wspaniale - rzekł z goryczą Tyndall. - Po prostu wspaniale. Spytaj go: „Jak się ma urządzenie sterowe?”.

Odpowiedź brzmiała:

„Nurek pod wodą. Poprzeczne pęknięcie trzonu steru. Robota stoczniowa”.

- O Jezu - jęknął kontradmirał. - Stoczniowa robota! To bardzo na czasie! Spytaj go: „Jakie podjęliście kroki?”.

„Wszystka ropa i woda przepompowana do tylnych zbiorników. Zawieszono małą kotwicę¹.”

«Eager» holował. Pełna wstecz od 12.00 do 12.30”.

Tyndall wiedział, że to czas najwyższego poziomu przypląwu.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - warczał. - Nie, nie, ty głupi durniu, nie sygnalizuj tego!

1 Manila - lina z włókien palmy manilskiej; pięciocalową stalówką - lina stalowa o obwodzie 5 cali (przyp. tłum.).

1 Zawieszono kotwicę - rzucono ją z dala od statku, zawieszono łodzią lub kutrem (przyp. tłum.).

54

Powiedz mu, żeby przygotował się do przyjęcia stalowego holu. Niech poda do tyłu swój łańcuch holowniczy.

- „Depesza zrozumiana” - odczytał Bentley.

- Spytaj go: „Jaki zapas dodatkowego paliwa dla eskadry?”.

- „Osiemset ton”.

- Pozbyć się tego! Bentley czytał:

- „Proszę potwierdzić!”.

- Powiedz mu, niech wyleje to cholerne świństwo za burtę! - ryknął Tyndall.

Światelko „Wrestlera” zamigotało i zamarło obrażone. O północy „Eager” płynął powoli przed

„Ulissesem”, ciągnąc stalową linę, która biegła od przedniego kabestanu krążownika.

Po dwóch minutach „Ulisses” zaczął drżeć od obrotów czterech wielkich turbin, które meły śrubami płytką wodę, zmieniając ją we wrzącą, zmaconą kipieli. Łańcuch z tylnego pokładu krążownika do rufy „Wrestlera” miał najwyżej piętnaście sążni i napręzał się pod kątem trzydziestu stopni i w ten sposób ciągnął rufę lotniskowca w dół. Było to niewiele, ale w tej sytuacji liczyła się każda odrobina, która choć trochę pomagała unieść tkwiący w mieliźnie dziób. Znacznie ważniejsze było to, że chociaż wirujące śruby pracowały płytko i dawały zaledwie część swej siły, dzięki małej odległości między obu okrętami pomagały śrubom „Wrestlera” przemywać w ile i piasku kanał pod stępką lotniskowca.

Dwadzieścia minut przed najwyższym poziomem przyływu „Wrestler” lekko i gładko spłynął z mielizny.

Na „Ulissesie” kowal natychmiast wybił przetyczkę szekli łączącej linę holowniczą trałowca i

„Ulisses” szerokim łukiem sterował na wschód, holując lotniskowiec, który zgasił motory.

Około pierwszej „Wrestler” odpłynął w towarzystwie „Eagera”. Holownik był gotów w każdej chwili udzielić uszkodzonemu „Wrestlerowi” pomocy. Z mostku „Ulissesa” Tyndall obserwował, jak nierówno płynie znikający lotniskowiec. Widocznie kapitan próbował utrzymać kurs tylko za pomocą motorów.

- Nie wątpię, że zanim dotrą do Scapa, napsują sobie dość krwi - mamrotał. Był zmarznięty i wyczerpany. Tylko tak może czuć się admirał, który stracił trzy czwarte swej eskadry. Westchnął

ciężko i zwrócił się do Vallery'ego:

- O której dogonimy konwój?

Val ery zawahał się. Lecz nie zawahał się Kapok-Kid.

- O ósmej zero pięć - odpowiedział szybko i dokładnie. - Przy szybkości dwadzieścia siedem węzłów, na kursie, który przed chwilą wykreśliłem.

- O mój Boże! - jęknął Tyndall. - Znów ten młokos. Cóż zawiniłem, że muszę go cierpieć! Jeśli tak mówisz, kawalerze, rozkazuję dogonić ich przed świtem.

- Tak jest - odparł najspokojniej w świecie Kapok-Kid. - Pomyślałem i o tym! Na drugim kursie, przy szybkości trzydziestu trzech węzłów, dogonimy konwój pół godziny przed świtem.

- Pomyślałem i o tym! Zabierzcie go! - wrzasnął Tyndall. - Zabierzcie go albo wbiję w niego jego własne cyrkle... - urwał, sztywno wstał z krzesła, wziął Vallery'ego pod rękę. - Chodźmy, kapitanie, pod pokład. Po kiego diabła my, para starsuszków, mamy zawadzać młodym? - Wyszedł z kapitanem, smutno się uśmiechając.

Gdy w rozwidniającej się ponurej szarzyźnie, niespełna milę przed dziobem, ukazały się sylwetki statków, na „Ulissesie” trwał alarm poranny. Trudno było nie poznać wielkiego cielska „Blue Rangera” po prawej stronie konwoju.

Kołysała martwa fala, ale taka słaba, że płynęło się spokojnie. Od zachodu dał lekki wiaterek, temperatura trzymała się koło dwudziestu stopni poniżej zera, niebo było mroźne, bezchmurne. Była dokładnie godzina siódma rano.

O siódmej zero dwie „Blue Ranger” dostał torpedę. „Ulisses” był oddalony od niego o dwa kable z prawej strony. Obecni na mostku poczuli uderzenie podwójnego wybuchu, usłyszeli, jak rozdziera on spokój poranka, widzieli, jak dwa huczące słupy ognia trysnęły w niebo, wysoko ponad mostek lotniskowca. „Blue Ranger” otrzymał cios blisko rufy. W sekundę później usłyszeli niezrozumiały krzyk obserwatora, który wskazywał na morze pod okrętem. Była to następna torpeda. Przeszła za rufą lotniskowca. Przecięła morze groźną fosforyzującą smugą tuż za konwojem i zniknęła w ciemnościach Arkyki.

55

Val ery przez tubę akustyczną wykrzykiwał rozkazy. „Ulisses” pędząc z szybkością dwudziestu węzłów, żeby uniknąć zderzenia ze zmieniającym kurs lotniskowcem, skręcił przechylając się szaleńczo. Trzy lampy aldisa i światła bojowe podawały do konwoju zaszyfrowany sygnał: „Utrzymać szyk”. Marshall telefonicznie wydał starszemu torpedyście rozkaz gotowości bojowej przy bombach głębinowych. Lufy armat chyliły się ku wodzie, lustrując zdradzieckie morze. Depesza do „Sirusa”

urwała się nagle. Była zbyt cicha. Niszczyciel - ledwie widoczna w mroku plama - gnał między statkami konwoju. U dziobu kłębiły się białe odkosy. Sterował ku miejscu, gdzie mogła kryć się łódź

podwodna.

„Ulisses” ominął płynący lotniskowiec na równoległym kursie, w odległości mniejszej niż piętnaście stóp. Na dużej szybkości przy wielkim przechyle z tak bliska można było jedynie utrwalić w pamięci niewyraźne wrażenia, zaćmione obrazy nieprzeniknionego czarnego dymu, obramowanego huczącymi kolumnami płomieni, potwornie jasnymi w półmroku; chylący się pokład; grummany i corsairy kołujące do skraju pasa startowego i z pluskiem, wśród bryzgów piany, wpadające do lodowatej wody; twarze przerażone tym, że „Ulisses” się oddala. „Ulisses” zawracał, sterując na południe - do walki.

W ciągu minuty reflektor sygnalizacyjny z „Vectry” idącej na czele konwoju zaczął mrugać:

- „Kontakt. Zielone [701](#) Zbliża się. Kontakt. Zielone 70. Zbliża się”.

- Podać, że przyjęto - krótko rozkazał Tyndall. Ledwie aldis zaczął klekotać, gdy „Vectra”

przerwała mu w pół słowa:

- „Kontakty, powtarzani: kontakty. Zielone 90, zielone 90. Zbliża się. Bardzo blisko. Powtarzam: kontakty”. Tyndall zaklął cicho.

- Zrozumiano. Śledzić dalej. - Zwrócił się do Vallery'ego: - Dołączymy do niego, kapitanie. To właśnie to. Pierwsze wilcze stado i do tego wielkie... do jasnej cholery, przecież nie ma prawa być tu... - dodał ze złością - przynajmniej według informacji Intel [igence1!](#)

„Ulisses” zawrócił i sterował do „Vectry”. Powinno się rozjaśnić, ale płonące na „Blue Rangerze”

zbiorniki ropy, świecące na widnokręgu jak potężna pochodnia, wywoływały złudzenie, że całe otaczające morze jest pogrążone w ciemności.

Lotniskowiec stał prawie na kursie okrętu flagowego. Rósł z każdą chwilą. Tyndall trzymał przy oczach nocną lornetę i mrucał:

- Biedne chłopaki, biedne chłopaki...

„Blue Ranger” dopalał się. Leżał martwy, przechylony na prawą burtę. Głośno dawał znać o tym seriami wybuchów amunicji i zbiorników benzyny. Nagle zabrzmiało kilka szybko po sobie następujących gwałtownych i silnych eksplozji. Cała konstrukcja nadbudówek zakołysała się, zatrzymała, a potem wolniutko, ociężale, jakby z rozmysłem, majestatycznie zagłębiła się w lodowatą czerń morza. Bóg jeden wie, ilu uwięzionych wśród stalowych ścian ludzi zniknęło wraz z nią. Ci mieli szczęście.

„Vectra” ledwie ze dwie mile przed „Ulissesem” zataczała ciasny krąg. Val ery miał ją na oku i zmienił kierunek, aby przeciąć jej kurs. Słyszał, że Bentley woła coś niezrozumiałego z kąta platformy kompasowej. Vallery potrząsnął głową, znów usłyszał wołanie, głos brzmiał desperacko z niewysłowionym natręctwem, ręka gwałtownie wskazywała coś za burtą. Kapitan skoczył do

wołającego.

Morze stało w płomieniach. Równe, spokojne, pokryte setkami ton ropy, przypominało rozległy kobierzec pełzającego, wijącego się ognia. Tylko tyle dojrzał w ciągu sekundy kapitan. Potem jednak zobaczył coś, od czego serce w nim zamarło i porwały go gwałtowne mdłości: płonące morze żyło -

pływali w nim, walczyli o życie ludzie. Nie garstka, nawet nie dziesiątki, lecz całe setki ludzi. Krzyczeli bezgłośnie. Umierali w barbarzyńskim połączeniu żywiołów ognia i wody.

- Depesza z „Vectry”, panie kapitanie - meldował Bentley głosem nienaturalnie rzeczowym. -

„Rzucam bomby głębinowe. Trzy kontakty, trzy kontakty. Proszę o natychmiastową pomoc”.

Tyndall natychmiast był u boku Val ery'ego. Słyszał meldunek Bentleya. Przez długą sekundę patrzył na kapitana, później spojrział tam, gdzie Vallery utkwiał nieprzytomny, urzeczony czymś wzrok.

Dla ludzi na morzu ropa jest przekleństwem. Hamuje ruchy, wyżera oczy, przepala płuca, wydziera żołądek w paroksyzmach nie dających się pohamować wymiotów; płonąca ropa jest 1 Zielone 70 - namiar z prawej burty 70 stopni.

1 Intelligence - wywiad angielski (Intelligence Service).

56

piekłem, niesie śmierć powolną, podczas której tonący, a zarazem spalający się ludzie krzyczą przeraźliwie, śmierć przez uduszenie, gdyż płomienie pożerają z powierzchni morza wszystkie życiodajny tlen. Nawet w lodowatej wodzie nie można skorzystać z miłosierdzia mrozu i zamarznąć bezboleśnie - nasiąknięta ropą odzież izoluje ciało, układa w kołysce wieczności, pieczołowicie chroni człowieka, zanim nadejdzie okrutne, wymyślne konanie.

Val ery wiedział o tym. Wiedział również, że zatrzymanie „Ulissesa” na tle płonącego lotniskowca byłoby samobójstwem. Nawet gdyby skręcił trochę, aby ominąć miotających się w wodzie ludzi, straciłby drogocenne minuty; dałby niemieckim łodziom podwodnym czas na ponowne zajęcie pozycji do wysłania torped w statki konwoju. O tym wszystkim wiedział doskonale. Lecz w tej chwili na decyzji Vallery'ego zaważyło najzwyczajniejsze poczucie człowieczeństwa. Na lewo, tuż koło lotniskowca było najwięcej ropy, płomienie szalały tam najzacieklej, pływających było najwięcej.

Kapitan spojrział przez ramię na oficera wachtowego.

- W lewo dziesięć.

- W lewo dziesięć, sir.

- Ster na środek.

- Ster na środek.

- Tak trzymać.

Przez dziesięć, piętnaście sekund „Ulisses” trzymał kurs, tnąc płonące morze w kierunku dwustu ludzi związanych w skłębioną, kotłującą się masę, chwytających się życia w potwornej agoni .

Przez sekundę wielki jęzor ognia jak olbrzymia świeca magnezjowa wytrysnął pośrodku grupy; wypalił ten obraz w sercach i mózgach ludzi na mostku, utrwalił go tam tak mocno i wyraźnie, jak nie da się utrwalić na żadnej kliszy fotograficznej: płonący ludzie, żywe pochodnie nieprzytomnie tłukące ogień, który lizał, zwęglął i spalał ubrania, włosy, skórę; ludzie wyskakujący z wody jak ryby; groteskowi w konwulsjach męki ludzie leżący martwo na powierzchni; nic nie znaczące, bezosobowe, maleńkie, nasiąkłe ropą wzgórki na równinie z ropy; grupy o wykrzywionych nieludzkim strachem twarzach, ludzie, którzy dostrzegli „Ulissesa” i wiedzieli, co ma nastąpić, a mimo to dziko tłukli rękoma, próbując odpłynąć w bezpieczne miejsce. Zdobywali jeszcze kilka krótkich sekund nie dającej się opisać męki, zanim mogli umrzeć z ulgą.

- W prawo trzydzieści. - Val ery mówił cicho, nieledwie szeptem, lecz było go wyraźnie słychać wśród śmiertelnej ciszy panującej na mostku.

- W prawo trzydzieści, sir.

Po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut „Ulisses” skręcił szaleńczo przy dużej szybkości. Taki skręt powoduje, że okręt nie płynie równo dziobem naprzód, lecz sunie bokiem. Im większa szybkość i gwałtowniejszy skręt, tym większy jest poślizg w bok. Burta „Ulissesa” pochylona pod ostrym kątem zawadziła lewą stroną dziobu o grupę ludzi; prawie natychmiast cała długość obracającego się kadłuba uderzyła w środek ognia, w największą gęstwą umierających.

Dla większości z nich było to po prostu przejście do nicości, błyskawiczne i miłosierne. Potężny wstrząs i ciśnienie fal wyrwały życie, zepchnęły je głęboko w dół pod wiry czterech wielkich śrub, w błogosławiony niebyt...

Na pokładzie „Ulissesa” ci, dla których śmierć i zniszczenie były już chlebem powszednim i nie robiły wrażenia, a witane były obojętnymi żarcikami, dzięki czemu pomagały utrzymać się przy zdrowych zmysłach - zaciskali teraz bezsilnie dłonie, wyrzucali z siebie bezużyteczne, puste przekleństwa, powtarzali je w nieskończoność, płakali, nie krępując się, jak małe dzieci. Płakali, gdy zwęglone twarze zwracały się do „Ulissesa” z radością i nadzieją, a później kamieniały w nie dającym się opisać przerażeniu, gdy tonący pojmowali, że zbliża się koniec i woda zamyka się nad nimi; gdy opanowani wściekłością płonący ludzie rzucali obłąkane przekleństwa, wygrażali pięściami bielejącymi na tle czarnej ropy - i gdy „Ulisses” tratował ich ciała. Płakali, gdy dwóch chłopców wsysanych przez prąd pod śruby podnosiło kciuki na szczęście. Płakali, gdy ujrzeli obraz bardziej wstrząsający od innych: człowiek wyglądający jak zwęglony pień, który już nie miał prawa żyć, uniósł

spaloną rękę do czarnego otworu, tam, gdzie kiedyś były usta, i przestał im pełen wyrazu wdzięczności pocałunek... Płakali, gdy jakiś nieśmiertelny kawalarz uniósł futrzaną czapę i kłaniał się nią, schylając twarz ku wodzie, która go miała pochłonać.

Nagle morze niemiłosiernie opustoszało. Powietrze było spokojne i ciche, lecz przepełnione dławiającym smrodem spalonych ciał i płonącej ropy. „Ulisses” właśnie zarzucił rufą pod czarnym, 57 żalobnym całunem, zwisającym nad „Blue Rangerem”, gdy uderzyły weń pociski.

Trzy pociski kalibru 3,75 cala wystrzelone zostały z lotniskowca. Oczywiście nie mógł strzelać żywy człowiek, na pewno odpaliły od gorąca załadowane armaty. Pierwszy granat rozerwał się bez szkód, uderzając o pancierz, drugi rozbił magazyn bosmański, trzeci przez pokład wleciał do pomieszczenia generatorów niskiego napięcia. Znajdowało się tam dziewięć osób - oficer, siedmiu marynarzy i dowódca strzelców przeciwlotniczych Noyes. W zamkniętej przestrzeni wszyscy zginęli natychmiast.

Dopiero po paru sekundach silny, przeciągły wybuch wyrwał dziurę wzdłuż linii wodnej „Blue Rangera” i lotniskowiec powoli, ociężale upadł na prawy bok; pokład-lotnisko sterczał prostopadle do wody. Okręt umierał jakby zadowolony, że przed śmiercią zemścił się na krążowniku, który zniszczył

jego załogę.

Val ery nie ruszył się z platformy sygnalistów na mostku. Stał oparty o popękany, zmatowiały wiatrochron. Zwiesił głowę i z zamkniętymi oczyma rzygał pienistą krwią, tętniczą krwią - niepokojąco jasną i czerwoną w szkarłatnym blasku tonącego lotniskowca. Obok bezradnie stał Tyndall. Nie wiedział, co robić. Jego mózg był chory i oślepiały.

Nagle zjawił się komandor Brooks, bezceremonialnie odsunął admirała, przytknął do ust Vallery'ego ręcznik i ostrożnie sprowadził go w dół. Wszyscy wiedzieli, że stary Brooks powinien być na swoim stanowisku w izbie chorych, lecz nikt nie odważył się powiedzieć słowa.

Carrington naprowadził „Ulissesa” na kurs, nie czekając, aż Turner, znajdujący się w wieży centralnego celownika, przyjdzie na mostek objąć dowództwo. Po trzech minutach krążownik sunął

koło „Vectry”, systematycznie szukając kontaktu z łodziami podwodnymi. Okręty dwukrotnie chwyciły kontakt, dwukrotnie rzuciły wiązki bomb głębinowych. Gruba warstwa ropy wypłynęła na powierzchnię. Możliwe, że zniszczyli łódź, ale mógł to być także zwykły wybieg wroga, a okręty w żadnym wypadku nie mogły pozostać na miejscu, aby to sprawdzić. Konwój oddalił się już o dwie mile i do jego osłony pozostały tylko „Stirling” i „Viking” - osłona całkiem niewystarczająca, jeśli chodzi o zabezpieczenie przed zdecydowanym atakiem.

Właściwie to „Blue Ranger” uratował konwój FR 77. Na tych szerokościach geograficznych świt nadchodzi wolno, nieskończenie wolno. Mimo to było już dość widno i wyciągnięte w rząd statki konwoju rysowały się wyraźnie na tle bezchmurnego widnokręgu, kołyszając się na delikatnej fali. Dla dowódcy niemieckiej łodzi podwodnej byłaby to wymarzona chwila, gdyby mógł cokolwiek zobaczyć.

Lecz konwój był całkowicie zasłonięty przed wzrokiem czyhającego na południu nieprzyjaciela - lekki zachodni wiatr niósł wzdłuż południowego skraju szyku ciężkie chmury dymu z płonącego lotniskowca, niósł je tuż nad wodą, tworząc doskonałą zasłonę dymną, gęstą i nieprzeniknącą.

Niemcy zwykle atakowali konwoje od północy, aby mieć cel na tle jutrzeńki. Dlaczego teraz odstąpili od tego tradycyjnego już zwyczaju, można się było tylko domyślać. Taktyczne zaskoczenie? Możliwe!

Lecz jakkolwiek był powód - to uratował on konwój.

Po godzinie obracające się szybko śruby statków pozostawiły daleko za sobą wilcze stado łodzi podwodnych i konwój FR 77 umknął. Był zbyt szybki, aby można go było dopędzić.

Na okręcie flagowym nadajnik radiowy trzeszczał, przekazując szyfrową depeszę. Tyndall uznał, że teraz już nie ma sensu zachowywać ciszy radiowej. Nieprzyjaciel znał ich pozycję co do mili. Uśmiechnął się ponuro na myśl, jaka radość musiała zapanować w dowództwie niemieckim na wieść, że FR 77 nie ma już osłony lotniczej. Teraz w ciągu najbliższej godziny należało się spodziewać wizyty „Charliego”.

Depesza do Londynu brzmiała:

„Admirał Czternastej Eskadry Lotniskowców do dowódcy operacyjnego floty - Londyn.

Spotkanie z FR 77 wczoraj o 10.30. Pogoda wyjątkowo zła. Ciężkie uszkodzenia lotniskowców

«Defender», «Wrestler». Nie nadają się do akcji. Skierowane do bazy pod osłoną. «Blue Ranger»

storpedowany dziś o 07.02 - zatonał o 07.30. Osłona konwoju: «Ulisses», «Stirling», «Sirus»,

«Vectra», «Viking». Brak trałowców. «Eager» odszedł do bazy, a trałowiec z Hvalfiord nie stawiał się na spotkanie. Proszę o natychmiastowe przysłanie posiłków. Czy możecie przydzielić eskadrę lotniskowców liniowych - jeśli nie, proszę o zezwolenie na powrót do bazy. Proszę o natychmiastową odpowiedź”.

Tyndall uważał, że można by lepiej ułożyć treść depeszy, a szczególnie zakończenie. Dawła ona dość wyraźnie obraz porażki i mogła przyprawić admirała Starra o atak furii. Zapewne dopatrzy 58

się w niej potwierdzenia własnych sądów o „Ulissiesie” i tego, że Tyndall nie nadaje się na zajmowane stanowisko... Poza tym prawie od dwóch lat, od chwili, gdy „Bismarck” zatopił „Hooda”, Admiralicja uważała, że nie należy rozbijać głównej floty, wydzielając z niej pancerniki czy lotniskowce.

Stare pancerniki, takie jak „Ramil ies” i „Malaya”, zbyt powolne, aby brać udział w nowoczesnych bitwach morskich, były przeznaczone do osłony konwojów atlantyckich. Oficjalna strategia polegała na utrzymaniu koncentracji głównej floty, wyjąwszy te dwa okręty, i miała na celu szachować flotę niemiecką, wystawiając na ryzyko konwoje...

Tyndall jeszcze raz obejrzał dokładnie konwój, westchnął ciężko i zszedł z mostku.

Do diabła - myślał - niech się dzieje, co chce! I tak zmarnowałem czas, wysyłając depeszę, Starr również tylko zmarnuje parę chwil na jej przeczytanie.

Ciężko zląził po schodach. Przecisnął się przez drzwi kapitańskiej kabiny. F.D.R. Val ery leżał

na koi, na bardzo białych prześcieradłach, których mocno zarysowane zagięcia tworzyły niesamowity kontrast ze szkarłatnymi plamami. Vallery - pod ciemnymi kępkami zarostu widniały trupio zapadnięte policzki, pod czołem tonęły zaczerwienione oczy - wyglądał jak nieżywy. Z kącika ust po pergaminowej skórze sączyła się krew. Zanim Tyndall zatrzasnął drzwi, kapitan powitalnym ruchem uniósł bezwładną rękę - palce jak z kości słoniowej i błękitne linie żył.

Admirał zamknął drzwi ostrożnie, cichutko. Robił to powoli, chciał mieć chwilę czasu, aby ochłonać z wrażenia, jakie sprawił ten widok. Gdy zwrócił się do Val ery'ego, opanował już wyraz twarzy, lecz nie próbował ukryć troski.

- Dzięki Bogu, że zjawił się Stary Sokrates - rzekł ciepło Tyndall.

- Jest to jedyny na okręcie człowiek, który potrafi przemówić ci do rozsądku. - Usadowił się na skraju łóżka. - Jak się czujesz, Dick?

Val ery uśmiechnął się, nadrabiając miną, lecz w uśmiechu tym nie było wesołości.

- Wszystko zależy od tego, co masz na myśli... Fizycznie czy psychicznie? Czuję się nieco wyczerpany... właściwie nie całkiem chory. No, wiesz... Doktor mówi, że mnie podreperuje - w każdym razie na pewien czas. Ma zamiar zrobić transfuzję plazmy. Powiada, że straciłem dużo krwi.

- Plazmy?

- Plazmy! Pełna krew bardziej przyspieszyłaby krzepnięcie, lecz plazma podobno zapobiega...

czy zmniejsza ryzyko nowych ataków... - Zrobił pauzę, starł z wargi pianę i uśmiechnął się równie niewesoło jak poprzednio. - Właściwie nie jest mi potrzebny doktor ani lekarstwa, tylko ksiądz i przebaczenie.

Zamilkli. Tyndall zaczął kręcić się niespokojnie, odchrząknął głośno. Rzadko kiedy był on tak świadom faktu, że jest przede wszystkim człowiekiem czynu.

- Przebaczenie? Co masz na myśli, Dick? - Nie miał zamiaru mówić tak głośno i brutalnie.

- Do diabła, przecież wiesz dobrze, o co mi chodzi - odpowiedział łagodnie Val ery. Nieczęsto można było z jego ust usłyszeć nawet tak niewinne przekleństwo. - Byłeś przecież ze mną na mostku kapitańskim.

Przynajmniej przez dwie minuty żaden z nich nie mówił słowa, a po chwili kapitan dostał

nowego ataku kaszlu. Ręcznik przyłożony do ust czerwienił się coraz bardziej. Gdy chory opadł na poduszki, Tyndall poczuł ostry jak pchnięcie nożem przyływ strachu. Pochylił się nad przyjacielem i odetchnął z ulgą, słysząc szybki, słabiutki oddech.

Val ery, nie otwierając oczu, zaczął mówić:

- Nie chodzi tak bardzo o tych, co zginęli w pomieszczeniu generatorów niskiego napięcia -

wydawał się mówić sam do siebie. Głos ścichł do szeptu. - Prawdopodobnie to moja wina, gdyż podszedłem „Ulissesem” zbyt blisko „Rangera”. To nierozsądne podchodzić do tonącego okrętu, zwłaszcza gdy płonie... To właśnie jedna z tych rzeczy, tych ryzykanckich aktów... zdarza się... -

reszta słów zamieniła się w niezrozumiałe szept umierającego. Tyndall nie mógł pojąć ani słowa.

Zerwał się nagle i wciągnął rękawice.

- Przepraszam, Dick - szepnął. - Nie powinienem był przychodzić. Nie powinienem siedzieć tak długo. Stary Sokrates urządzi mi piekło.

- Chodzi o innych... o tych w morzu... - Vallery zapewne w ogóle nie słyszał Tyndalla. - Nie miałem prawa... to znaczy... być może niektórzy z nich mogliby... - znów głos stał się ledwie słyszalny, po czym wybuchnął silniej: - Kapitan Richard Vallery, D.S.O., sędzia, ławnicy i wykonawca 59

wyroku. Powiedz mi, John, co powiem, gdy przyjdzie moja kolej?

Tyndall zawahał się, usłyszał energiczne pukanie do drzwi. Szarpnął się w bok i wraz z długim, niedosłyszalnym, lecz pełnym wdzięczności westchnieniem zawołał:

- Wejść!

Wszedł Brooks. Ubrany w biel sanitariusz niósł podstawki, butle, rurki i inne przybory. Na widok admirała lekarz stanął jak wryty.

- Poczekaj na korytarzu, Johnson! - poprosił. - Zawołam cię, gdy będziesz potrzebny.

Zamknął drzwi, przysunął krzesło do koi dowódcy. Trzymając Vallery'ego za puls, zimnym spojrzeniem mierzył Tyndalla. Pamiętał, jak Nichols twierdził, że admirał również nie czuł się najlepiej. Wyglądał na zmęczonego, w rzeczywistości był może bardziej zgnębiony niż zmęczony...

Puls Vallery'ego bił szybko, nierówno.

- Pan go czymś zaniepokoił - rzekł Brooks.

- Ja? Dobry Boże! Nie! - Tyndall poczuł się urażony. - Niech mnie, doktorze, żebym chociaż jedno słowo...

- On nic nie winien, doktorze - powiedział kapitan trochę silniejszym głosem. - Nie rzekł ani słowa. To ja jestem winien... winien jak wszyscy diabli...

Brooks patrzył na niego przez chwilę. Uśmiechnął się ze zrozumieniem i współczuciem.

- Przebaczenie? O to chodzi? - spytał.

Tyndall oniemiał ze zdumienia i z podziwem wpatrywał się w Brooksa.

Val ery otworzył oczy.

- Sokrates - szepnął. - Pan wie.

- Przebaczenie - mówił w zamyśleniu Brooks. - Przebaczenie. Kto ma przebaczyć? Żywi, umarli czy Sędzia? Tyndall zdumiał się znowu.

- Czy pan... czy pan podsłuchiwał z korytarza? Jak pan mógł?...

- Wszyscy, doktorze - rzekł Val ery. - Niestety, mam duże wymagania pod tym względem.

- Jeśli żąda pan tego od zmarłych, to ma pan rację. Nie będzie przebaczenia, lecz błogosławieństwo, ponieważ nie mają co wybaczać. Proszę nie zapominać, że jestem lekarzem.

Widziałem tych chłopców w morzu... to tylko skróciło im dalszą drogę. Jeśli chodzi o Sędziego, to...

„Pan dał, Pan wziął. Niech będzie błogosławione imię Jego”. Takie jest wyobrażenie Boga w Starym Testamencie. Sam bierze w swoim czasie, co do niego należy, i w sposób, jaki uważa za stosowny, do diabła więc z litością i dobroczynnością! - Uśmiechnął się do Tyndalla. - Proszę nie patrzeć z takim zgorszeniem, admirale. Ja nie bluźnię. Gdyby taki miał być Sędzia, kapitanie, ani pan, ani ja, ani admirał nie chcielibyśmy mieć z nim nic wspólnego. Lecz pan wie, że tak nie jest...

Val ery uśmiechnął się lekko, poprawił się na poduszkach.

- Jesteś dobrym medykiem, doktorze. Jaka szkoda, że nie możesz tak przemawiać również do żyjących.

- Co? Nie mogę? - Brooks klepnął się dłonią po udzie; nagle przypomniał sobie coś, wybuchnął śmiechem. - Daję słowo, to wspaniałe! - Śmiał się z prawdziwym zachwytem.

Tyndall patrzył na Val ery'ego z udaną desperacją.

- Wybaczcie - przeprosił Brooks - ale dopiero przed kwadransiem paczka miłych palaczy dostarczyła do izby chorych wykończone i całkiem pozbawione przytomności cielsko jednego z kolegów. Zgadnijcie kogo. Po prostu naszego wytrwałego nihilistę, naszego starego przyjaciela Riley'a. Niewielkie kontuzje i parę ran twarzy. Myślę jednak, że przed nocą będzie na tyle zdrowy, aby wrócić na łono swego oddziału. Przynajmniej tego się sam domaga. Twierdzi, że potrzebują go jego kocięta.

Val ery spojrział na Brooksa, nie kryjąc wesołości i zdziwienia.

- Przypuszczam, że znów spadł do kotłowni...

- O to samo go pytałem, chociaż wyglądał raczej tak, jakby wpadł do pracującej betoniarki. „Nie, panie doktorze - odparł jeden z tych, co go przynieśli - potknął się o okrętowego kota”. „Okrętowego kota? - pytam. - Jakiego kota?”. Chłopak zwraca się do swego kumpla i mówi: „Powiedz, Nobby, nie

mamy na okręcie kota?" Nobby nie skapował, o co chodzi, spojrzał tylko żałośnie i powiada:

„Wszystko pokręcił, sir. Biedaczek Riley stał się jakiś dziwny, wlaź tam, gdzie nie trza... Mam nadzieję, że nie potłukł się zbytnio?". W tym pytaniu brzmiała prawdziwa troska.

- Co się więc stało? - dopytywał się Tyndall.

60

- Nie dowiedziałem się niczego więcej. Nicholls wziął obydwu na stronę i w dwie minuty wiedział wszystko. Obiecał, że nie wyciągnie konsekwencji. Wygląda na to, że Riley miał zamiar wykorzystać poranne wydarzenia dla swoich celów i sprowokować zamieszki. Sklął pana za nieludzkie, popełnione z zimną krwią morderstwo. Z przykrością stwierdzam, że rzucił pewne całkiem poważne obelgi na pańskich bezpośrednich przodków. Proszę zwrócić uwagę, że działo się to wśród jego najbliższych kolegów, gdzie był pozornie całkiem bezpieczny. A ci o mały włos nie zatłukli go na śmierć... Wie pan, zazdroszczę panu...

Urwał i wstał gwałtownie.

- A teraz, kapitanie, proszę leżeć równo i zawinąć rękaw. O, dobrze.

- Wejść! - zawołał Tyndall w odpowiedzi na pukanie. - Depesza do mnie, Chrysler? Dziękuję! -

Spojrzał na Vallery'ego. - Z Londynu. Odpowiedź na mój meldunek. - Dwa, trzy razy obrócił blankiet w palcach. - Obawiam się, że jednak będę to musiał otworzyć - rzekł ze wstrętem.

Komandor Brooks uniósł się nieco.

- Czy mam...

- Nie, nie, Brooks. Dlaczego? Poza tym to od wspólnego przyjaciela, admirała Starra.

Przypuszczam, że jest pan ciekaw, co on pisze! Nie?

- Nie! - odparł krótko Brooks. - Nie wyobrażam sobie, żeby pisał coś przyjemnego. Tyndall rozerwał i rozwinął blankiet.

- „Dowódca operacyjny floty do admirała dowódcy Czternastej Eskadry Lotniskowców - czytał powoli. - Są meldunki, że «Tirpitz» szykuje się do wyjścia w morze. Nie mogę przydzielić lotniskowca floty. FR 77 niezwykle ważny. Dążyć do Murmańska pełną parą. Życzę powodzenia. Starr". - Tyndall skrzywił się. - „Życzę powodzenia". Mógłby nam tego oszczędzić!

Przez długą chwilę trzech oficerów spoglądało na siebie w milczeniu, nie zdradzając żadnych uczuć. Charakterystyczne, że to właśnie Brooks przerwał ciszę.

- Mówiliśmy tu o przebaczeniu - szepnął cicho. - A chciałbym wiedzieć, kto na tej ziemi, w niebie czy w piekle przebaczy temu mściwemu draniowi?

61

ROZDZIAŁ VIII

Czwartek w nocy

Było jeszcze wczesne popołudnie, lecz szary arktyczny półmrok gęstniał już nad morzem.

„Ulisses” powolutku zostawał za konwojem. Wiatr zamarł całkowicie. Śnieg sypał miarowo i gęsto.

Widoczność zmalała do jednego kabla. Panował przejmujący chłód.

Oficerowie i marynarze szli małymi grupkami po trzech, po czterech na prawą stronę tylnego pokładu. Zmęczeni, przeziębieni do szpiku kości, zagłębieni we własnych, niewesołych myślach, sunęli w milczeniu, wlekli nogami kopiąc po drodze kupki sypkiego śniegu. Na tylnym pokładzie bezgłośnie ustawiali się wokół dowódcy i szeregu pokrytych śniegiem podłużnych kopców, które leżały na białej równinie pokładu.

Obok Vallery'ego stało trzech oficerów: Carlake, Etherton i komandor Brooks. Carlake stał

przy relingu. Połowę jego twarzy pokrywały bandaże. Po raz drugi w ciągu doby zadręczał kapitana, błagał, aby jeszcze raz przemyślał swoją decyzję i nie degradował go. Za pierwszym razem Vallery był twardy, zachowywał się prawie wzdorczywie; przed dziesięcioma minutami - lodowaty i nieprzystępny - groził podporucznikowi aresztem, jeśli ośmielił się jeszcze raz go napastować. W tej chwili Carlake po prostu gapił się ślepo na śnieg i mrok. Wyblakłe niebieskie oczy pociemniały ze złości.

Etherton, stojący tuż za lewym ramieniem kapitana, nie mógł opanować dreszczy. Nad białą, ostro zarysowaną linią zaciśniętych warg drgały wszystkie mięśnie twarzy. Tylko oczy wpatrzone były nieruchomo z chorobliwym podnieceniem w dziwaczny wzgórek u jego stóp.

Brooks również zacisnął usta, lecz na tym kończyło się podobieństwo. Twarz miał czerwoną, a niebieskie oczy pełne złości. Dygotał z gniewu, jak każdy doktor, którego polecenie otwarcie nie chcą słuchać ciężko chorzy.

W sposób gwałtowny i całkiem niesubordynowany zabronił Vallery'emu wychodzić na pokład, a za opuszczenie łóżka - wyzwiał go od przeklętych wariatów. Lecz ten łagodnie wytłumaczył mu, że ktoś musi dokonać ceremonii pogrzebu. Jeśli kapelan nie może tego uczynić, obowiązek spada na kapitana. Tego dnia kapelan nie mógł odmówić modlitwy za umarłych, ponieważ spoczywał między nimi...

U jego stóp, u stóp Ethertona - człowieka, który był przyczyną ich śmierci.

Kapelan zginął przed czterema godzinami, w chwilę potem jak odleciał „Charlie”. Tyndall źle

przewidział czas jego odwiedzin. Samolot nie zjawił się po godzinie. Przyleciał dopiero wczesnym popołudniem, lecz gdy nadleciał, miał ze sobą trzech towarzyszy. Długi to lot - od wybrzeży Norwegii do dziesiątego stopnia zachodniej długości, lecz dla olbrzymich condorów focke-wulf 200 - które od świtu do zmroku latały na półkolu od Trondheim do okupowanej Francji, wokół zachodnich brzegów Wysp Brytyjskich - była to drobnostka.

Grupa condorów zawsze zwiastowała niebezpieczeństwo. Przeleciały prosto nad konwojem, atakując od tyłu. Zapora ogniowa ze statków handlowych i okrętów osłony była silna. Atak prowadzony był bez widocznego entuzjazmu. Condory bombardowały z wysokości siedmiu tysięcy stóp. W czystym, mroźnym powietrzu widać było bomby od momentu, gdy wyleciały z samolotów. Był

czas na prowadzenie akcji unikowej. Prawie natychmiast condory zmieniły kurs i odleciały na wschód. Gorące przyjęcie, jakiego doznały, musiało zrobić na nich wrażenie, chociaż nie uczyniło im szkody.

W takich warunkach atak wydał się mocno podejrzany. Ostrożny „Charlie” zwykle dokonywał rozpoznania, lecz gdy niekiedy decydował się na atak, czynił to przeważnie z odwagą i determinacją.

Ten nalot był po prostu nieśmiały, taktyka beznadziejna. Być może uzupełnienia Luftwaffe nie posiadały doświadczenia swych poprzedników; możliwe także, iż lotnicy mieli ścisły rozkaz nie narażać na niepotrzebne ryzyko cennych maszyn albo też nieudany atak miał za zadanie odwrócić uwagę od głównego, z innej strony czyhającego niebezpieczeństwa. Nasilenie czujności zarówno przeciwlotniczej, jak podwodnej zostało zwiększone.

Minęło pięć, dziesięć minut. Minął kwadrans i nic nie nastąpiło. Ekrany radaru i azdyku pozostały niezmaczone. Tyndall zdecydował wreszcie, że nie ma sensu trzymać dłużej na posterunkach całej załogi, która tak bardzo potrzebowała wypoczynku, i rozkazał odwołać alarm.

62

Na stanowiskach pozostała tylko wachta. Odwołano wszelkie zajęcia przedpołudniowe.

Oficerowie i marynarze wolni od wachty pospiesznie wykorzystali ten czas, aby uszczknąć trochę snu. Nie wszyscy mieli to szczęście. Brooks i Nicholls musieli zająć się pacjentami. Nawigator poszedł do swej kabiny na mostku. Marshal i oficer celowniczy Peters rozpoczęli codzienny przegląd. Etherton - przewrażliwiony, podniecony i pełen zapалу - pragnął ze wszech sił nadrobić swój błąd, który sprowokował zajście między Carlake'em a Ralstonem.

Skulony w wieży centralnego celownika, był jedynym czujnym okiem okrętu. Marshall i Peters rozmawiali właśnie ze starszym elektrykiem pełniącym dyżur w warsztacie, gdy usłyszeli gwałtowne i niecierpliwe wołanie z pokładu. Warsztat znajdował się po lewej stronie przecinających się pod przednim pokładem korytarzy, biegnących w poprzek okrętu, tuż przed mesą oficerską i łukiem obejmującym kolumnę wieży artyleryjskiej „B”. Cztery duże kroki wystarczyły im, aby wybiec z warsztatu przez drzwi wiodące na pokład. Poprzez sypiący śnieg zobaczyli żywo gestykulującego

żołnierza piechoty morskiej. Marshall poznał go natychmiast. Był to Chartris - jedyny szeregowiec, którego osobiście znali wszyscy oficerowie, albowiem w porcie pełnił obowiązki drugiego barmana w mesie oficerskiej.

- Chartris, co się dzieje? - zapytał Marshal . - Coś widział? Mów prędko!

- O tam. Niech pan patrzy! O tam - nie, trochę w prawo! Łódź podwodna, łódź!...

- Co? Gdzie? Łódź podwodna? - Marshal posunął się trochę, gdyż kapelan Winthrop wcisnął się pomiędzy reling a Chartrisa.

- Gdzie? Gdzie? Pokaż i mnie...

- Prosto przed nami. Widzę ją... ale ma cholernie śmieszny kształt, proszę wybaczyć mój słownik - zawołał Marshall. Dostrzegł bojowy, niechrześcijański błysk w oczach kapelana. Zdusił

uśmiech i wytrzeszczył oczy przez śnieżycę na dziwaczny kanciasty kształt, który przesunął się prawie na ich wysokość.

Wysoko w wieży niespokojne, myszujące oczy Ethertona dostrzegły ją również. Nawet jeszcze przed Chartristem. Podobnie jak i on Etherton natychmiast zdecydował, że to jest łódź podwodna zaskoczona w śnieżycy podczas wynurzenia - dalszy ciąg ataku zaczętego przez condory. Nie pomyślał nawet, że powinny ją również wykryć azdyk i radar. Teraz, zanim łódź zniknie, liczyły się tylko czas i szybkość. Bez namysłu porwał słuchawkę telefonu do sprzężonych pom-pomów.

- Centralny celownik do pom-pomów - warknął pospiesznie. - Łódź podwodna: lewo sześćdziesiąt, odległość sto jardów, przesuwa się ku rufie. Powtarzam, lewo sześćdziesiąt. Czy widzicie ją? Nie, nie, lewo sześćdziesiąt-siedemdziesiąt - krzyczał rozpaczliwie. - Dobrze, dobrze!

Celować!

- Cel uchwycony - szcęknięła do ucha słuchawka.

- Ogień ciągły - ognia!

- Sir, nie ma Kingstona. Wyszedł...

- Po co wam Kingston! - z wściekłością krzyknął Etherton. Wiedział, że Kingston jest dowódcą działa. - Ognia! Ognia, idioto! Natychmiast! Na moją odpowiedzialność! - Rzucił słuchawkę na widełki i skoczył do wyziernika obserwacyjnego.

Nagle zorientował się, co zrobił. Dławiący, odurzający strach objął mózg. Rzucił się do telefonu.

- Odwołuję rozkaz! - krzyknął dziko. - Przerwij ogień! Przerwij ogień! O Boże, Boże, Boże!

W słuchawce dźwięczało staccatowe naszczekiwanie dwufuntówek. Słuchawka wypadła mu z ręki,

uderzając o stalową płytę. Za późno!

Było za późno! Popęłnił podstawowy błąd: zapomniał polecić, by zdjęto z wylotu luf pokrowce - metalowe zasłony zakrywające tłumiki płomieni, gdy działa nie były używane. Pociski miały zapalniki natychmiastowe... Pierwszy wybuchł w lufie zabijając celowniczego i ciężko raniąc amunicyjnego.

Następne trzy opuściły lufy, lecz wybuchły parę stóp przed czterema ludźmi obserwującymi łódź z przedniego pokładu.

Cała czwórka została nietknięta. Jakimś cudem nie zawadził o nich ani jeden z tysięcy lecących, wyjących odłamków. Przeleciały za burtę jak ognisty grad, z sykiem siekąc wodę.

Lecz gdy w odległości wyciągniętego ramienia wybuchnie nawet parę funtów materiału kruszącego, skutek jest śmiertelny. Kapelan zginął na miejscu. Peters i Chartris zmarli po paru sekundach - wszyscy wskutek pęknięcia czaszek. Wybuch rzucił ich w tył, tak że każdy uderzył tyłem głowy o stalowe blachy, rozbijając czaszkę jak skorupę jajka. Po białym pokładzie sączyła się ciemna 63 krew, którą natychmiast zasypywał śnieg.

Marshall miał wprost fantastyczne szczęście. Opowiadał później, że eksplozja pchnęła go z siłą tłoku pospiesznego parowozu, rzuciła przez otwarte tuż za nim drzwi, zrywając obcasy obu butów, którymi zaczepił o wysoki próg. Został wyrzucony w powietrze, wykonał pełne salto, pojechał wzdłuż korytarza i uderzył mocno plecami w kolumnę wieży „B” pomiędzy cztery sterzące bolce z motylkowymi zakrętkami, mocującymi zasłonę wjazdu inspekcyjnego. Gdyby stał o stopę w lewo czy w prawo, gdyby obcasy uniosły się ze dwa cale wyżej, gdy przelatywał przez drzwi, gdyby uderzył o wieżę o włos w jedną lub w drugą stronę - porucznik Marshall nie miałby już prawa żyć.

Prawo przypadku potwierdzało swoje. Marshall siedział sobie w izbie chorych obandażowany, z połamanymi żebrami, odczuwając ból przy każdym oddechu, ale poza tym cały.

Wywrócona do góry dnem szalupa, smętna pozostałość po jakiejś tragedii na trasie rosyjskich konwojów, już dawno zniknęła w białym półmroku.

Cichy i ochrypy głos kapitana Vallery'ego gubił się miękko w oddali. Kapitan cofnął się o krok, zamknął modlitewnik; beztroskie dźwięki trąbki odbiły się urywanym echem i zniknęły pod całunem śniegu. Ludzie stali w milczeniu, bez ruchu, podczas gdy trzynaście ciał owiniętych w hamaki, z balastem u nóg, zsuwało się po desce spod bandery brytyjskiej i z ciężkim pluskiem wpadało do Oceanu Lodowatego... Przez długie sekundy nikt nie drgnął. Nierealne, hipnotyczne wrażenie upiornego rytuału trzymało znużone, przytępione umysły w pełnej uległości niewoli. Ludzie stali niepomni chłodu i zmęczenia. Nawet gdy Etherton zrobił pół kroku w przód, westchnął i niezgrabnie, cicho osunął się na śnieg, trans trwał. Niektórzy nie zwrócili na to uwagi, inni bez zaciekawienia spoglądali w bok. Był to absurd, lecz stojącemu w tyle Nicholowi wydało się, że mogą tak trwać bez końca; zatrzymać bieg myśli i krwi w żyłach, zdrętwieć, zamarznąć, zamienić się w słup lodu.

Wtem z bolesną gwałtownością prysnął niesamowity nastrój - zapadający zmrok rozdarł

przejmujący jęk gwizdka wzywający na stanowiska bojowe. Val ery stracił dobre trzy minuty, żeby dostać się na mostek dowódcy. Odpoczywał często, zatrzymywał się co parę sekund na czterech kondygnacjach schodów, które wiodły na jego stanowisko. Mimo to wdrapał się tam resztkami sił.

Brooks musiał go prawie przenieść przez drzwi na mostek. Val ery chwycił za szafkę kompasu, z trudem łapał oddech ustami, które wypełniała pienista flegma. Lecz oczy były pełne życia, czujności - jak zwykle przenikały wirującą śnieżycę.

- Kontakt, zbliża się, zbliża się. Trzyma kurs. Kurs zbieżny z nami. Szybkość stała.

Dźwięk głośnika oficera radarowego był stłumiony, bezosobowy, lecz trudno było nie poznać, że tak spokojnie i dobitnie mówi tylko porucznik Bowden.

- Dobrze, dobrze! Przyłapiemy go. - Tyndall zwrócił do kapitana swoją promieniującą nadzieją twarz, która ostatnio stale była znużona i skrzywiona. Widoki na walkę zawsze zachwycały Tyndalla.

- Kapitanie! Coś zbliża się z S.S.W. Ale bój się Boga, co ty tu robisz? - zawołał przerażony wyglądem Vallery'ego. - Brooks! Na miłość boską?...

- Mam nadzieję, że właśnie pan spróbuje mu wytłumaczyć - warknął ze złością Brooks.

Zatrzasnął za sobą drzwi i sztywno, jakby połknął kij, zszedł z mostku.

- Co mu się stało? - spytał Tyndall nie wiadomo kogo. - Cóż do diaska! O co się tu mnie posądza?

- O nic - uspokoił go Vallery. - To moja wina: nie wykonuję rozkazów doktora... a tu co się dzieje? Mówiłeś, że?...

- A tak. Obawiam się, że będą kłopoty. - Val ery uśmiechnął się dyskretnie, gdy na twarzy admirała dostrzegł wyraz zadowolenia i oczekiwania. - Radar melduje o zbliżaniu się okrętu, dużego, szybkiego, mniej więcej na zbieżnym z nami kursie.

- To nie nasz okręt? - szepnął Val ery i nagle podniósł wzrok na Tyndalla. - Na Jowisza, to chyba nie...

- „Tirpitz”? - skończył za niego Tyndall. Zdecydowanie pokręcił głową. - Taka była i moja pierwsza myśl, lecz nie. Admiralicja i lotnictwo czuwają nad nami jak kura nad jajkiem. A ten...

zobaczymy... dowiemy się... jak zaczną strzelać. Prawdopodobnie to jakiś ciężki krążownik.

- Zbliża się. Zbliża się. Kurs bez zmian. - Bowden mówił wytwornie i lekko. Przypominał nieco sprawozdawcę z meczu krykietowego. - Przypuszczalna szybkość dwadzieścia cztery węzły. - Głos urwał się z lekkim trzaskiem głośnika. Włączył się radiotelegrafista.

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! Meldunek z konwoju: „«Stirling» do admirała.

64

Zrozumiano. Rozkaz wykonuję".

- Doskonale. Doskonale! To od Jeffriesa - wyjaśnił Tyndall - posłałem mu depezę z rozkazem, żeby wraz z konwojem zmienił kurs na N.N.W. Powinni odskoczyć dość daleko od naszego zbliżającego się przyjaciela.

Val ery przytaknął.

- Jak daleko przed nami jest konwój?

- Nawigator! - zawołał Tyndall i pochylił się wyczekująco.

- Sześć. Sześć i pół mili - z pokornym wyrazem twarzy odpowiedział Kapok-Kid.

- Zająknął się - ponuro zauważył Tyndall. - Zmęczenie bierze górę. Przed paru dniami podały nam odległość z dokładnością do jednego jarda. Sześć mil to wystarczy. Nigdy ich nie odnajdzie.

Bowden mówi, że nawet nas jeszcze nie zauważył. Ten zbieżny kurs to musi być czysty przypadek...

Wydaje mi się, że Bowden niezbyt wysoko ceni niemiecki radar.

- Wiem o tym i mam nadzieję, że się nie myli. Jeśli chodzi o ten kurs, to nie ma nawet co dyskutować.

- Vallery popatrzył na południe przez lornetę; widział tylko morze i drobny śnieżek. -

Przynajmniej spotkało nas to we właściwej chwili.

Tyndall uniósł krzaczaste brwi.

- Wtedy na tylnym pokładzie było jakoś dziwnie - niepewnie mówił Vallery. - W powietrzu wisiało coś niesamowitego, tajemniczego. To mi się nie podobało. Było w tym coś rozpaczliwego, hm, prawie straszliwego. Śnieg, cisza, zabici. Trzynastu zabitych - mogę tylko zgadywać, co myśleli nasi ludzie o Ethertonie, o wszystkim. To było niedobre... sam nie wiem, jak się mogło skończyć.

- Pięć mil - wtrącił głośnik. - Powtarzam: pięć mil. Kurs i szybkość bez zmian.

- Pięć mil - z ulgą powtórzył Tyndall. Poczucie nieuchwytności „Ulissesa" dodawało mu otuchy. -

Trzeba trochę zmylić ślady. Chyba ruszamy prosto na wschód? Będzie się wydawało, że osłaniamy z tyłu konwój idący na Przylądek Północny.

- Ster prawo dziesięć - rozkazał Vallery.

Krażownik zatoczył łuk, wyrównał i ustalił kurs. Obroty maszyn zmniejszono, dopóki „Ulisses"

nie robił dwudziestu sześciu węzłów. Minęła minuta, pięć minut i znów zaszumił głośnik.

- Radar do dowódcy: odległość bez zmian, zmienił kurs na zbieżny.

- Wspaniale! Naprawdę wspaniale! - Admirał mrucał jak zadowolony kot. - Prowadzić ogień za pomocą radaru! Vallery sięgnął do telefonu centralnego celownika.

- Centralny? A, to ty, Courtney... dobrze... dobrze... Możesz to teraz zrobić. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Tyndalla. - Sprytny chłopak. Od dziesięciu minut trzyma go na celowniku. Wieże „X” i „Y”

gotowe do prowadzenia ognia. Powiada, że teraz wystarczy nacisnąć guzik.

- To równie niezwykle, jak u tego... - Tyndall ruchem głowy wskazał Kapok-Kida i spojrzał zdumiony. - Courtney? Powiedziałaś: Courtney? Gdzie oficer artyleryjski?

- W swojej kabine. Zemdlął wtedy na tylnym pokładzie. I tak nie nadaje się teraz do roboty...

Dzięki Bogu, że nie jestem na jego miejscu. Wyobrażam sobie...

„Ulisses” zadrżał. Jak cięcie biczem trzasnęły armaty wieży „X”, głuszac słowa kapitana. Pociski 5,25 wyjąc poleciały w szarugę. W sekundę później okręt zatrząsł się ponownie, gdy przyłączyła się wieża „Y”. Potem armaty strzelały już na przemian po jednym pocisku co pół minuty. Nie ma sensu marnować amunicji, gdy nie można obserwować, gdzie padają pociski. Lecz to chyba wystarczało, aby doprowadzić nieprzyjaciela do wściekłości i odwrócić jego uwagę od wszystkiego poza ściganym okrętem.

Śnieg sypał rzadszy i mglista przesłona raczej zamazywała niż przesłaniała widnokrąg. Na zachodzie chmury podniosły się wyżej i niebo błyskało czerwienią. Vallery rozkazał wieży „X”

przerwać ogień i załadować pociski oświetlające.

Niespodziewanie śnieg przestał padać i nieprzyjaciel ukazał się tuż - wielki i groźny, czarny i niewyraźny kształt wykrzesywał z morza migotliwe złote błyski, pełgające na piennej, podnoszonej dziobem fali.

- Ster prawo trzydzieści - zawołał Vallery. - Pełna naprzód! Zastłona dymna!

Tyndall aprobował skinieniem głowy. W jego planach nie leżało wikłanie się w walkę z niemieckim ciężkim krążownikiem czy kieszonkowym pancernikiem... zwłaszcza z odległości czterech mil.

Na mostku z pół tuzina lornetek skierowało się w tył, aby rozpoznać nieprzyjaciela. Lecz 65

widoczna od przodu sylwetka, nadzwyczaj zwiewna i niewyraźna na tle czerwieniejącego nieba, była trudna do identyfikacji. Nagle ze środka sylwetki buchnęły białe snopy ognia. Jednocześnie wysoko w powietrzu rozerwały się pociski oświetlające - dokładnie nad przeciwnikiem - oblewając go

mocnym, bezlitosnym blaskiem, tak że wydał się nagle dziwnie goły i bezbrony.

Złudzenie! Wszyscy przykucnęli instynktownie, gdy tuż nad głowami jęknęły przelatujące pociski i uderzyły w morze. Przykucnęli wszyscy prócz Kapok-Kida. Spokojnym wzrokiem zmierzył admirała, który powoli wyprostował się.

- Typ klasy „Hipper” - stwierdził. - Dziesięć tysięcy ton, armaty ośmiocalowe, ma na pokładzie samolot.

Tyndall podejrzliwie spojrzął na pełną rozwagi twarz. Szukał odpowiednio druzgocącej odpowiedzi, zerknął na artyleryjskie wieże niemieckiego krążownika, nad którymi w blasku gasnących pocisków oświetlających snuł się jeszcze dym.

- Daję słowo! - krzyknął - nie tracą czasu! Diabelnie dobre strzały! - dodał z zawodowym zachwytem, gdy pocisk zasyczał w spienionym za rufą „Ulissesa” morzu, nie dalej niż sto pięćdziesiąt stóp z tyłu.

- Wzięli nas w widły po pierwszych dwóch salwach. Następna może nas zdeptać.

„Ulisses” nadal skręcał pochylony, a czarny dym zaczął walić z tylnego komina, gdy Val ery wyprostował się i przytknął do oczu lornetę. Duża chmura dymu uniosła się na chwilę nad prawą stroną pokładu przeciwnika, tuż przed mostkiem.

- Dobry strzał, Courtnay! - zawołał. - Naprawdę dobry!

- Dobry strzał - jak echo powtórzył Tyndall. - Śliczniutki! Mimo to myślę, że zaprzestaniemy wymian tak ważkich argumentów... Oo! Udało się ponownie. Ależ to było bliźniutko!

Rufa „Ulissesa” patrzyła już prawie prosto na północ, gdy salwa uderzyła w morze tuż za nią.

Jeden z pocisków wybuchnął wznosząc wulkan wody, który na moment przykrył cały tył okrętu.

Następna salwa. Najwyraźniej celna. Pociski „Ulissesa” nie zmniejszyły siły ognia przeciwnika -

padły w odległości kabla za rufą. Niemiec strzelał teraz na ślepo. Inżynier komandor Dodson z nienawiścią dodawał dymu, tak że ciężka oleista chmura słała się po morzu grubą nieprzeniknącą zasłoną. Val ery klucząc wrócił na poprzedni kurs i na pełnych obrotach sterował na wschód.

Następne dwie godziny bawili się w kotka i myszkę. Krążownik klasy „Hipper” strzelał od czasu do czasu, ukazywał się irytująco na moment, to nikał za zasłoną dymną, która prawie nie była potrzebna w gęstniejącym mroku. Przez cały czas radar zastępował oczy i uszy - i nie zawodził. W

końcu Tyndall zadowolony, że niebezpieczeństwo dla konwoju minęło, położył podwójną zasłonę w kształcie litery „U” i umknął na południowy zachód, oddając parę strzałów, nie tyle na pożegnanie, ale żeby wskazać kierunek własnej ucieczki.

Po półtorej godzinie, wykonawszy wielki półkolisty skręt w lewo, „Ulisses” legł na kurs północny, a

Bowden z towarzyszącymi nadal śledził ruchy nieprzyjaciela. Meldował, że idzie on na wschód, później (zanim stracił z nim kontakt), że zmienił kurs na południowy wschód.

Tyndall powstał z krzesła, odrętwiały i skostniały. Przeciągnął się z rozkoszą.

- No cóż, kapitanie, niezła nocna robótka, całkiem niezła. Założę się, że nasz przyjaciel spędzi noc skręcając to na wschód, to na południe, pędząc całą parą, mając nadzieję, że o świcie wyskoczy przed konwój? - Pomimo zmęczenia Tyndall był w prawie radosnym nastroju. - A przez ten czas konwój FR 77 odejdzie od niego dwieście mil na północ... Nawigator, przypuszczam, że obliczył pan kurs zbieżny z konwojem na wszystkie szybkości aż do stu węzłów?

- Sądzę, że nie będziemy mieli wielkich trudności, aby nawiązać z nim kontakt - uprzejmie odparł Kapok-Kid.

- W nastroju skromnisia - stwierdził Tyndall - działa na mnie najgorzej!... O nieba, przecież zmarzę tu na śmierć... Do licha! Spodziewam się, że chyba nie będzie więcej burd?

Szeregowiec łączności pochwycił słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Do pana kapitana - zameldował Val ery'emu. - Mówi porucznik lekarz.

- Przyjmij, Chrysler.

- Upiera się, żeby mówić z panem kapitanem - powiedział Chrysler, podając słuchawkę. Vallery zdusił okrzyk irytacji i podniósł słuchawkę do ucha.

- Mówi kapitan. Tak, o co chodzi? Co? Co? Nie, niemożliwe! Dlaczego mi nie zameldowano?

Aha! Dziękuję.

66

Oddał słuchawkę i ociężale obrócił się do Tyndalla. Admirał wyczuł raczej niż zobaczył nagły atak znużenia, jaki zwał się na barki kapitana.

- Meldował Nicholls, że porucznik Etherton zastrzelił się w swej kabine pięć minut temu -

powiedział Vallery głucho.

O czwartej rano, podczas gęstej śnieżycy, ale na gładkim morzu „Ulisses” dogonił konwój.

Jeszcze przed południem, dokładnie po sześciu godzinach, admirał Tyndall stał się nagle starym, zniszczonym, wynędzniałym, prześladowanym przez wyrzuty sumienia człowiekiem. Był

bardzo bliski rozpaczy. Jakimś cudem, w ciągu paru godzin, pełne policzki zapadły się i sflaczały, krew opuściła różową zwykle twarz, która poszarzała jak pergamin. Oczy zapadły, stały się zamglone, zaczerwienione i znużone. Rozmiary i szybkość klęsk przygięły tego zahartowanego i

jowialnego żeglarza - żeglarza, który wydawał się nieczuły na najbardziej złośliwe okrucieństwa wojny.

Trudno było pojąć te klęski, jak również ocenić ich wpływ na resztę załogi. Każde sklepienie opiera się na jednym kamieniu wiążącym - przynajmniej tak musi mniemać większość ludzi.

Sprawiedliwy sąd uniewinniłby Tyndalla całkowicie, zwolniłby go bez rozprawy. Uczynił to, co uważał za słuszne; to, co uczyniłby na jego miejscu każdy dowódca. Lecz Tyndall zasiadł przed bezlitosnym sądem własnego sumienia. Nie mógł odpędzić myśli, że to właśnie on zmienił marszrutę konwoju tak daleko na północ, że to on zlekceważył oficjalny rozkaz przedzierania się wprost do Przylądka Północnego, że to właśnie tam, na 70 równoleżniku, co zapowiedziały ich lordowskie moście, konwój FR 77 dostał się owego mroźnego, jasnego i bezwietrznego ranka w sam środek największej koncentracji łodzi podwodnych, jaką zaobserwowano na Oceanie Arktycznym podczas całej wojny.

Wilcza zgraja uderzyła o swej ulubionej porze, o świcie, z ulubionej pozycji - z północnego zachodu, mając konwój na tle jutrzeńki. Uderzyła bezlitośnie, z wprawą i wyrachowaną zaciekłością.

Warto zaznaczyć, że era kapitana Priena minęła. Posłał go na dno wraz z całą załogą niszczyciel

„Wolverine”. Minęła era jego świetnych kamratów, sławne dni wielkich dowódców łodzi podwodnych, błyskających indywidualnymi wyczynami i rycerskością. Ich miejsce zajęły (a ogólnie przyznawano, że były bardziej niebezpieczne) skoncentrowane ataki doskonale zgranych grup. Metodyczne, działające, jak maszyny, ścisłe jak matematyczny wzór - pod jednym dowództwem.

„Cochella” - trzeci statek w lewej kolumnie poszedł pierwszy. Był to bliźniaczy statek „Vytury” i

„Varelli”, również idących w FR 77. „Cochella” wiozła trzy miliony galonów [w1](#) stuoktanowej benzyny.

Trafiły co najmniej trzy torpedy - dwie pierwsze rozłamały ją prawie na połowy, trzecia spowodowała ogłuszający wybuch, który dosłownie zmiotł statek z powierzchni morza. Przed chwilą „Cochella”

płynęła spokojnie w czystym brzasku, teraz zniknęła. Zniknęła całkowicie, bez śladu. Tylko ocean wrzał i drgał pod białą kipiela, wskazując miejsce, gdzie poszła na dno. Zniknęła, podczas gdy oszołomione umysły bezskutecznie próbowały pojąć to, co się stało. Zniknęła, gdy ślepy, instynktowny odruch rzucił ludzi za jakiegokolwiek zasłony, gdy grad śmiertelnych odłamków posypał się na konwój.

Dwa statki przyjęły na siebie pełną siłę wybuchu. Duży kawał metalu - być może winda -

przeleciał przez nadbudówkę „Sirusa” i zniszczył kabinę radarową. Trudno powiedzieć, co stało się na statku o przedziwnej nazwie „Tennessee Adventurer”, lecz było prawie pewne, że została na nim uszkodzona sterówka i mostek, gdyż stracił sterowność. Trzymał się jednak szyku.

Tragizm sytuacji polegał na tym, że początkowo nie spostrzeżono tego. Tyndall, ochłonawszy po

pierwszym fizycznym wstrząsie, jaki wywołała eksplozja, rozkazał wykonać natychmiastowy zwrot w lewo. Zgrupowanie łodzi podwodnych kryło się po lewej stronie konwoju i jedynie taka zmiana kursu mogła zmniejszyć straty do minimum. Aby przeciwstawić się taktyce przeciwnika, należało ruszyć wprost na niego. Admirał był prawie pewien, że łodzie stanowią zwartą grupę - zwykle ustawiały się w tyralierę jedynie na trasie bardzo powolnych konwojów. Poza tym tego rodzaju taktykę stosował niejednokrotnie z dużym powodzeniem. W końcu cel dla łodzi zmniejszył się dziesięciokrotnie, był nieuchwytny i jednocześnie zmuszał nieprzyjaciela albo do krycia się w głębinie, albo do narażania na stratowanie.

1 Galon - 4,55 litra.

67

Z najwyższą dokładnością i koordynacją godną olimpijskich jeźdźców statki konwoju pochyliły się na prawe burty i równo zatoczyły łuk, ciągnąc za sobą wygięte, białe ślady. Zbyt późno dostrzeżono, że „Tennessee Adventurer” był pozbawiony zdolności manewrowania. Powoli, a potem z przerażającą szybkością skręcił na wschód, mierząc prosto w pobliski frachtowiec - „Tobacco Planter”. Ledwie starczyło czasu, aby zdać sobie sprawę z nieuniknionego. Na „Planterze” położono ster za burtę, żeby ominąć dziób „Adventurera”, który znów zatoczył się dziko, wyraźnie pozbawiony kontroli, i ścigał „Plantera” idącego w ostrym skrucie, stopa po stopie, jakby przy jego sterze stał

ślepy szaleniec. Z wściekłą siłą uderzył „Plantera” tuż pod mostkiem. Dziób pękł, wbijając się głęboko w burtę, może na piętnaście, dwadzieścia stóp, drąc i łamiąc żelazo. Siła uderzenia dziesięciu tysięcy ton masy poruszającej się z szybkością piętnastu węzłów jest wprost niewyobrażalna. Rana była śmiertelna i „Planter”, uwalniając się od śmiertelnościanego dziobu, uniósł ją i otworzył dla zgłodniałego morza, czym przyspieszył swój koniec. Natychmiast się pochylił. Na pokładzie „Adventurera” ktoś musiał objąć dowództwo - zatrzymano maszynę i statek, trochę przechylony do przodu, prawie nieruchomo stanął obok tonącego towarzysza. Reszta konwoju ominęła dryfujące statki i legła na kurs: zachód ku północy. Daleko po prawej komandor Orr zwinął swego uszkodzonego „Sirusa” w gwałtownym skrucie i sterował do stojących statków. Przeszedł już z połowę drogi, gdy niecierpliwe sygnały z okrętu flagowego zawróciły go z kursu. Tyndall nie miał żadnych złudzeń. „Adventurer”

mógł pozostać na miejscu nietknięty przez cały dzień, a „Planter” - co do tego nie było wątpliwości - zatonie w ciągu paru minut. Lecz to nie dawało pewności, że nie ma tam łodzi podwodnych lub że nieprzyjaciel zdobędzie się nagle na jakiś rycerski gest. Wróg będzie tam, będzie czatował do ostatniej chwili przed zapadnięciem ciemności, żywiąc nadzieję, że jakiś niszczyciel podejmie akcję ratowniczą i zatrzyma się przy „Adventurerze”.

Z tego punktu widzenia Tyndall miał racje, „Adventurer” został storpedowany tuż przed zachodem słońca. Trzy czwarte załogi wraz z rozbitkami z „Plantera” uratowało się na szalupach.

Miesiąc później znalazła ich fregata „Esher” u niegościnnych brzegów Wysp Niedźwiedzych.

Trzy szalupy, powiązane jedna za drugą, zmierzały na północ. Kapitan siedział wyprostowany i

czujny przy szotach, pustymi oczodołami omiatając jakiś zagubiony widnokrąg, wyschnięta dłoń trwała zaciśnięta na rumplu. Reszta załogi siedziała lub leżała, jeden stał obejmując ramieniem maszt, a wszyscy mieli twarze pomarszczone, szerniały od słońca, wargi ściągnięte w straszliwym uśmiechu. Obok kapitana leżał nie zapisany dziennik okrętowy. Wszyscy zamarli już pierwszej nocy.

Młody kapitan fregaty pozostawił ich na morzu i patrzył, jak zniknęli pod północnym skrajem świata, sterując do granicy wiecznych lodów. A tam panuje już wielka cisza, niewysłowny spokój mórz, tak bezwietrznych i gładkich, tak mroźnych, że zmarli, którzy nie mogli znaleźć miejsca spoczynku, może tam trwają dotychczas. Złośliwy i marny koniec dla ludzi tak wielkich duchem... Nie wiadomo, czy Admiralicja pochwaliła decyzję kapitana fregaty.

Jeśli chodzi o przewidywania dotyczące rozmieszczenia nieprzyjaciela, admirał pomylił się zupełnie. Dowódca zgrupowania niemieckich łodzi podwodnych przechytrzył go i można byłoby dyskutować, czy Tyndall mógł to przewidzieć. Nieprzyjaciel dobrze znał jego taktykę - skierowanie całego konwoju frontem do spodziewanego ataku torpedowego. Wróg wiedział również, że jego okrętem jest „Ulisses”, jedyny w swej klasie. Sylwetkę „Ulissesa” dobrze pamiętali wszyscy dowódcy łodzi podwodnych w całej flocie niemieckiej, a prócz tego meldunki doniosły oczywiście o tym, że

„Ulisses” prowadził konwój FR 77 do Murmańska. Tyndall powinien był to przewidzieć. Przewidzieć i uprzedzić kontratak.

Łódź podwodna, która storpedowała „Cochellę” była ostatnią, a nie pierwszą w nieprzyjacielskim szeregu. Pozostałe czatowały na południowy zachód od tej, która zatrzasnęła pułapkę - całkiem poza zasięgiem azdyku. Gdy konwój skręcił na zachód, łodzie bez pośpiechu zajęły pozycje bojowe do wypuszczenia torped, a statki defilowały przed ich dziobami. Morze było spokojne, gładkie jak sadzawka, niebieskie jak Śródziemne. Szkwaly śnieżne ustały jeszcze nocą.

Daleko na południowym wschodzie słońce wspierało się o horyzont, jego poziome promienie malowały w poprzek oceanu srebrną smugę, oświetlając okręty i statki pokryte bielą śniegu. Na tle ciemnego morza i nieba rysowały się one jak na ekranie. Warunki były idealne, jeśli można użyć słowa „idealne”, aby opisać wstęp do długotrwałej masakry.

Masakra, prawie całkowite zniszczenie byłoby nieuniknione, gdyby nie alarm w ostatniej chwili; ostrzeżenie podane nie przez radar ani azdyk, ani żaden z nowoczesnych aparatów, lecz po prostu 68

dzięki bystrym oczom osiemnastoletniego marynarza - i zesłanym przez Boga promieniom wschodzącego słońca.

- Panie kapitanie! Panie kapitanie! - zawołał Chrysler. Głos załamywał się mu w niezwykłym podnieceniu, oczy miał przyklepione do lornety umocowanej przy swej tablicy rozdzielczej reflektorów.

- Tam na południu coś błyska! Błysnęło dwa razy... o znów!

- Gdzie, chłopcze? - krzyknął Tyndall. - No, pokaż, gdzie? Gdzie? W podnieceniu Chrysler zapomniał o złotym prawidle, że przy meldowaniu spostrzeżeń najpierw podaje się namiar.

- Lewo pięćdziesiąt, nie, lewo sześćdziesiąt... Zgubiłem to... - Wszystkie lornety na mostku zwróciły się we wskazanym kierunku. Nie było nic do oglądania, po prostu nic. Tyndall wolniutko złożył swą lornetę, wzruszył wymownie ramionami, pełen niedowierzania.

- Może tam i jest coś - wątpiącym głosem orzekł Kapok-Kid. - A może to peryskop, który wynurzył się na chwilę, aby rozejrzeć się po morzu?

Tyndall spojrział na niego bez słowa, bez wyrazu. Odwrócił się i popatrzył przed siebie. Kapok-Kidowi wydawał się dziwny, jakiś inny. Wyraz twarzy napięty, kamiennie obojętny. Twarz człowieka, który ma pod opieką dwadzieścia statków i pięć tysięcy istnień ludzkich, a który już podjął o jedną za dużo nieprawidłową decyzję.

- Znów się pokazało! - wrzasnął Chrysler. - Dwa błyski, nie... trzy błyski! - Z podniecenia prawie wyskakiwał ze skóry, po prostu tańczył z bezsilności. - Widziałem je, sir. Widziałem, widziałem.

Naprawdę, sir, proszę uwierzyć!

Tyndall odwrócił się jeszcze raz. Przez dziesięć długich sekund patrzył na Chryslera, który odszedł od lornety i zaciskał dłonie na barierce, potrząsając ją w niemej prośbie. Nagle Tyndall podjął decyzję.

- Lewo na burt, kapitanie! Bentley: sygnał!

Na nie poparte niczym słowa osiemnastolatka FR 77 skręcił na południe, powoli, zbyt powoli.

Niespodziewanie morze ożyło. Przecinały je torpedy - trzy, pięć, dziesięć. Vallery naliczył trzynaście w ciągu pół minuty. Szły płytko, a ich groźne pienne trasy kreśliły na szklistym morzu coraz dłuższe, białe jak mleko linie, podobne do śmiercionośnych strzał.

Był to niesamowity obraz - nikt z konwoju nie widział przedtem nic podobnego. Przez chwilę zaskoczenie było całkowite. Nie starczyło czasu na podawanie rozkazów. Każdy statek na własną rękę unikał zniszczenia. Atak stał się znacznie bardziej groźny dla statków idących w środkowych i ostatnich kolumnach - nie mogły one jeszcze dojrzeć śladów pędzących torped. Nie było mowy, aby wszyscy mogli zrobić unik. Torpedy szły zbyt blisko siebie. Krążownik „Stirling” był pierwszą ofiarą.

Wydawało się, że już uniknął niebezpieczeństwa - był bowiem daleko przed największą gęstwą torped - gdy zadrzał jakby pod ciosem jakiegoś niewidzialnego młota, zakręcił po wariacku i odpłynął

na wschód, ciągnąc nad rufą chmurę gęstego dymu. „Ulisses”, kierowany wspaniale, przechylił się mocno, mając ster położony na burtę i śruby obu burt pracujące na przeciwnych obrotach, prześliznął

się wąskim przesmykiem między czterema blisko idącymi torpedami. Dwie z nich przeszły po obu stronach nie dalej, niż wynosi szerokość szalupy - ten okręt nadal miał szczęście. Niszczyciele, szybkie i zwrotne, kierowane bezbłędnie, kluczyły między śmiercią i życiem prawie z lekceważącą

łatwością, wyrównały i na pełnych obrotach gnały na południe.

Statki handlowe, wielkie i niezaradne, stosunkowo wolne, miały mniej szczęścia. Dwa z lewej kolumny - zbiornikowiec i frachtowiec - otrzymały ciosy, cudownym przypadkiem zachwiały się tylko od wstrząsów i popłynęły dalej. Inaczej było z frachtowcem, który znajdował się tuż za nimi.

Ładownie miał wypełnione czołgami; czołgi stały również na pokładzie. Dostał trzy torpedy w ciągu trzech sekund. Nie było ani dymu, ani ognia, ani też efektownego wybuchu - przecięty i rozerwany od dziobu do rufy, zatonął w mgnieniu oka, cicho, bez przechyłu ściągnięty w dół ciężarem metalu. Nikt spod pokładu nie miał najmniejszej szansy.

Handlowiec w środkowej kolumnie - „Belle Isle” - dostał torpedę w śródkręcie. Rozległy się dwa wybuchy (być może uderzyły weń dwie torpedy) - i statek natychmiast objęły płomienie. Po paru sekundach pochylił się znacznie na lewo i chylił coraz bardziej. Szalupy wiszące na zewnątrz prawie dotykały wody. Dwunastu, może piętnastu marynarzy zjeżdżało po spadzistym pokładzie, po lukach, do połowy już pogrążonych, zmiierzając do najbliższej łodzi. Desperackimi ruchami uwolnili ją z haków talii, z komicznym pośpiechem wdarli się do środka, odepchnęli od szlupbelek, chwycili za wiosła i wściekle wiosłowali, aby odpłynąć jak najdalej. Cała scena nie trwała dłużej niż minutę.

69

Sześć uderzeń wiosłami wystarczyło, aby minęli rufę statku, dwa następne cisnęły ich pod dziób

„Waltera A. Baddeleya” - najbliższego zbiornikowca z prawej kolumny. Wypróbowana sprawność załogi „Baddeleya”, dzięki której statek uniknął zniszczenia, nie przydała się tu na nic. Małeńka łódź

została strzaskana w drzazgi, a wrzeszczący ludzie wyrzuceni do lodowatego morza. Wielki szary kadłub statku sunął gładko obok, a oni miotali się w szaleńczym wysiłku, aby oddalić się od niego. Na nic się to przydać nie mogło, gdyż ciężkie podbiegunowe odzienie hamowało ruchy. W takich chwilach rozsądek nie działa. Nikt z nich nie pomyślał nawet, że jeśli uniknie zgilotynowania przez dużą śrubę parowca, za parę minut i tak umrze w lodowatej wodzie. Lecz śmierci nie przyniosła im stal śruby ani mróz. Bez przerwy walczyli z wsysającymi pod kadłub wirami, gdy „Baddeleya” trafiły dwie torpedy. Jedna obok drugiej uderzyły w tylną część statku tuż przed śrubą. Ludzie utrzymujący się na powierzchni nie mogli mieć nawet iskierki nadziei. Skutki podwodnej eksplozji są straszniejsze, bardziej odrażające i wstrząsające, niż można sobie wyobrazić. W takich wypadkach nawet zahartowani lekarze patolodzy z trudem mogą zmusić się do patrzenia na strzępki, które przed chwilą były ludzkim ciałem... Lecz śmierć, jak to się często zdarza na morzach północnych, była dla tonących łaskawa. Zmarli bez świadomości umierania.

Rufa „Waltera A. Baddeleya” była prawie całkiem urwana. Setki ton wody wdzierały się przez rozwarły pod nawisem rufy otwór. Parła ona przez podziurawione wybuchem grodzie, wyłamując wodoszczelne drzwi kotłowni. Statek zanurzał się równo, bezlitośnie, dopóki tylne relingi nie zagłębiły się, jakby pozdrawiając oczekujący nań ocean. Na chwilę statek pozostał w tej pozycji. Gdy stanął

dęba, głęboko wewnątrz kadłuba zadudniły stłumione wybuchy; rozdzierający uszy, przenikliwy

świszt pary i potworny trzask zrywającego się z fundamentów kotła.

Prawie natychmiast pogruchotana rufa zagłębiła się jeszcze bardziej, zapadając coraz niżej.

Tylny pokład zalała woda, a stewa unosiła się coraz wyżej. Stopa po stopie wzrastał kąt przechylenia statku. Rufa pogrążyła się sto, dwieście stóp. Dziób sterczał w niebo, utrzymywany na powierzchni przez miliony sześciennych stóp zamkniętego wewnątrz powietrza.

Statek tkwił ze cztery stopnie od pionu, gdy przyszedł koniec. Kąt ten można było ustalić dokładnie, gdyż właśnie wtedy otworzyła się migawka aparatu fotograficznego porucznika Nichollsa.

Zrobione zostało niezapomniane zdjęcie - zwykły obraz tonącego statku, który na tle błękitnego nieba stoi pionowo dziobem do góry. Obraz bez wielu szczegółów, z wyjątkiem dwóch kanciastych brył, w niezwykle sposób zawieszonych w powietrzu. Były to pięćdziesięcotonowe czołgi, oderwane z umocnień na przednim pokładzie, uchwycone podczas lotu, zanim uderzyły o nadbudówki mostku pogrążające się już w wodzie. Na tylnym planie widoczna była rufa „Belle Isle”: śruba wysoko nad wodą i czerwony kur unoszący się nad spokojnym morzem.

Dosłownie w sekundę po tym, jak pstryknęła migawka, gwałtowny podmuch wyrwał aparat z rąk Nichollsa i rozbił go o nadbudówkę, lecz film nie został uszkodzony. Nic dziwnego, że przed chwilą marynarze z płonącego „Belle Isle” uciekali w panice. Mieli po temu powody. W ładowni numer dwa statek wiozł tysiąc ton amunicji czołgowej... Wybuch rozłamał go na dwoje - zatonął w ciągu minuty, a dziób „Baddeleya” posiekany odłamkami cichutko podążył za nim.

Po morzu nadal przetaczało się echo wybuchów, gdy łkające diminuendo huków doleciało z południa. Nie dalej niż o dwie mile „Sirrus”, „Vectra” i „Viking” - oślepiająco białe w porannym słońcu -

rysowały na wodzie zawiłe wzory. Z ruf i tylnych pokładów sypały się bomby głębinowe. Od czasu do czasu któryś z okrętów zniknął za kolumną wyrzucanej w powietrze wody i bryzgów, zjawiając się jak za dotknięciem różdżki magicznej, gdy woda opadła.

Pierwszym odruchem Tyndalla było ruszyć do walki, zaspokoić palącą, prymitywną żądzę zemsty. Kapok-Kid spoglądał na niego ukradkiem i podziwiał zaciśnięte wargi, twarz wykrzywioną we wścieklej, zajadłej pasji. Wydawało się, że admirał jest wściekły nawet na siebie. Nagle Tyndall poruszył się w fotelu.

- Bentley! Nadajcie do „Stirlinga”: „Określić uszkodzenie”. „Stirling” był teraz milę za nimi, lecz szybko zataczał łuk, robiąc co najmniej dwadzieścia węzłów. „Woda dostaje się do tylnej maszynowni

- czytał po chwili Bentley.

- Magazyny zalane. Uszkodzenia kadłuba niewielkie. Panuję nad sytuacją. Zacięte urządzenie sterowe. Sterujemy za pomocą urządzenia awaryjnego. Wszystko w porządku”.

- Dzięki Bogu i za to! Nadawaj: „Obejmuj prowadzenie. Kurs na wschód”. Kapitanie, idziemy pomóc

Orrowi w rozprawieniu się z tymi wściekłymi psami!

70

Kapok-Kid spojrział na niego zaniepokojony.

- Panie admirale...

- O co chodzi, nawigatorze? - spytał Tyndall krótko, niecierpliwie.

- A co będzie z tą pierwszą łodzią podwodną? - zaczął Carpenter.

- Musi znajdować się nie dalej niż o milę na północ. Czy nie powinniśmy?...

- O Boże wszechmocny! - zaklął Tyndall i twarz zabłysła mu gniewem. - Czy chcesz powiedzieć?... - Urwał gwałtownie. Przez chwilę wpatrywał się w Carpentera. - Coś powiedział, nawigatorze?

- Że ta łódź, co zatopiła zbiornikowiec, panie admirale - ostrożnie mówił Kapok-Kid - miała czas załadować wyrzutnie i znajduje się w idealnej pozycji...

- Oczywiście, oczywiście - mruknął Tyndall. Przesunął dłonią po oczach, zerknął na Vallery'ego.

Kapitan patrzył w inną stronę. Admirał znów przetarł zmęczone oczy. - Masz rację, nawigatorze, zupełną rację - przerwał, uśmiechnął się. - Jak zwykle, u licha!

Na północy „Ulisses” nic nie znalazł. Łódź podwodna, która zatopiła „Cochellę” i zatrzasnęła pułapkę, już uciekła. Podczas przeszukiwania morza słyszał tylko ogień dział i ujrzał dym wylatujący z armat „Sirusa”.

- Spytaj go, po co robi takie cholerne zamieszanie - z irytacją zażądał Tyndall. Kapok-Kid uśmiechnął się. Stary był jeszcze w formie.

- „«Vectra» i «Viking» uszkodziły, a możliwe, że i zniszczyły łódź. Wspólnie z «Vectra» zatopiłem jedną na powierzchni. A co wy?”.

- A co wy? - wybuchnął Tyndall. - Do diabła z taką przekłętą bezczelnością! A co wy? Na przyszły raz będzie dowodził najstarszym, zafajdanym trałowcem w Scapa... Nawigator, to wszystko twoja wina!

- Tak jest! Bardzo mi przykro. A może on pyta tylko w duchu... no... czystej, serdecznej troski.

- A nie zechciałbyś zostać jego nawigatorem na przyszły raz? - groźnie spytał Tyndall. Kapok-Kid wycofał się do kabiny nawigacyjnej.

- Carrington!

- Słucham, panie admirale! - Pierwszy oficer był zawsze taki sam

- spojrzenie miał bystre, był gładko ogolony, pewny siebie, czujny. Śniada cera - szczególny znak wszystkich ludzi, co zbyt wiele lat spędzili pod tropikalnym słońcem - nie zdradzała zmęczenia, choć Carrington nie spał trzy doby.

- Co pan sądzi o tym? - Tyndall wskazał na północny zachód. Dziwaczne, wełniste, szare chmury zaćmiewały widnokrąg, przed nimi nadciągały zagony obłoków, morze przybrało kolor indygo.

- Trudno przewidzieć - powoli odparł Carrington - jedno jest pewne: to nie wróży sztormu...

Widywałem to już. Niskie, skłębione chmury unoszą się przy ładnej pogodzie i wyższej temperaturze.

Bardzo pospolite zjawisko na Aleutach i Morzu Beringa, lecz tam zapowiada mgły, gęste mgły.

- A co pan sądzi, kapitanie?

- Nie mam pojęcia - Val ery zdecydowanie pokręcił głową. Transfuzja plazmy wyraźnie mu pomogła.

- To coś nowego... nigdy przedtem tego nie widziałem.

- Tak przypuszczałem - burknął Tyndall. - Ja też nie, dlatego najpierw spytałem „pierwszego”...

Jeśli pan uważa, że nadejdzie mgła, niech pan mówi. Nie mogę sobie pozwolić, aby konwój i osłona hasały po połowie oceanu, gdy nas otoczy ciemność. Chociaż trzeba przyznać - dodał zgryźliwie -

byliby znacznie bezpieczniejsi bez nas.

- Teraz mogę już powiedzieć. - Carrington miał rzadko spotykany dar wypowiedziania przekonywających, nie podlegających dyskusji opinii bez urażania rozmówcy. - To mgła!

- Jasne. - Tyndall nigdy w niego nie wątpił. - A teraz piorunem do dzieła! Bentley! Podawaj do niszczycieli: „Przerwać walkę. Dołączyć do konwoju”. Aha, Bentley, dodaj jedno słówko:

„Natychmiast”. - Zwrócił się do Vallery'ego: - To specjalnie dla komandora Orra.

Po godzinie statki handlowe i okręty osłony zajęły miejsce w szyku i początkowo szły kursem północno-wschodnim, aby ominąć zgrupowanie łodzi podwodnych na 70 równoleżniku. Na południowym wschodzie nadal jasno świeciło słońce, lecz pierwsze, pozwijane jęzory mgły, zimne i mokre, omotywały konwój. Szybkość zmniejszono do sześciu węzłów - wszystkie jednostki wlokły za 71

sobą bójki mgłowe^{el}.

Tyndall wstrząsany dreszczami wstał z fotela, gdy podano sygnał odwołujący alarm. Minął drzwi i wszedł do zewnętrznego korytarzyka. Obciśniętą rękawicą dłoń położył na ramieniu Chryslera i nie ruszył jej, póki chłopiec nie odwrócił się zdumiony.

- Po prostu chciałem zajrzeć w te oczy, chłopcze. - Tyndall uśmiechnął się. - Zawdzięczamy im bardzo dużo. Dziękuję ci, bardzo dziękuję, nie zapomnimy tego. - Długą chwilę wpatrywał się w młodzieńską twarz, zapomniał o swoim wyczerpaniu i zaklął łagodnie w nagłym przypiływie współczucia, gdy zauważył w zaczerwienionych oczach, na wyblakłych policzkach cienie zażenowania i zadowolenia. - Chrysler, ile masz lat? - spytał gwałtownie.

- Osiemnaście... za dwa dni... - odparł prawie zuchwale, z miękkim akcentem zachodnich prowincji.

- Będzie miał osiemnaście lat... za dwa dni - powtórzył wolniutko Tyndall. - Dobry Boże! Dobry Boże! - Opuścił rękę, ociężale ruszył do schronu. Wszedł i zatrzasnął drzwi. - Za dwa dni będzie miał

osiemnaście lat - powtarzał jakby oszołomiony.

Val ery uniósł się na kozetce.

- Kto? Chrysler?

Tyndall przytaknął smutno.

- Wiem - Vallery mówił bardzo cicho. - Wiem, jak to bywa... Wykonał dziś dobrą robotę. Tyndall osunął się na fotel. Z goryczą wykrzywił wargi.

- Tylko on jeden... O Boże, co za jatka! - Głęboko zaciągnął się papierosem, wlepił wzrok w podłogę. - Dziesięć zielonych butelek wisi na ścianie - mamrotał półprzytomnie.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Czternaście statków wyszło ze Scapa, osiemnaście z St. John - dwie części FR 77 - mówił cicho Tyndall. - Razem trzydzieści dwie jednostki.

A teraz., teraz pozostało siedemnaście... z tych trzy uszkodzone. „Tennessee Adventurer” uważam za ustrzeloną kaczkę. - Zaklął siarczyście.

- Cholerny świat, nienawidzę zostawiania statków w takiej sytuacji. Nieruchomy cel dla byle jakiego zbrodniarza... - urwał, znów zaciągnął się głęboko dymem. - Źle postępuję! Prawda?

- Nonsens - przerwał mu Vallery niecierpliwie, prawie ze złością.

- To nie była twoja wina, że lotniskowce musiały zawrócić.

- To znaczy, że reszta to moja wina? - Admirał uśmiechnął się niewyraźnie i podniósł rękę w milczącym, mechanicznym proteście.

- Przepraszam, Dick, wiem, że nie to miałeś na myśli, lecz to jest prawda. To jest prawda!

Sześć statków handlowych w dziesięć minut... Sześć! Kontradmiral Tyndall, mistrzowski strateg -

ciągnął cicho - zmienia kurs konwoju, aby dostać prztyczka od ciężkiego krążownika, znów zmienia kierunek i pakuje się prosto na największe ze znanych zgrupowań łodzi podwodnych. I to tam, gdzie zapowiada je Admiralicja... Wszystko jedno, co zrobi Starr po moim powrocie! Po co w ogóle wracać?

Nie teraz, nie po tym wszystkim...

Powstał z wysiłkiem. Padł nań blask pojedynczej żarówki. Vallerym wstrząsnęła zmiana, jaką w nim dostrzegł.

- Dokąd idziesz teraz? - spytał.

- Na mostek. Nie, nie, ty zostań tu, Dick. - Próbował uśmiechnąć się, ale zrobił tylko grymas, który pojawił się i zniknął natychmiast. - Zostaw mnie w spokoju, zanim podejmę nową błędną decyzję.

Otworzył drzwi i stanął jak wryty, gdy usłyszał świst przelatujących nad nimi pocisków. Słyszał huczący we mgle sygnał alarmu bojowego. Odwrócił się powoli i spojrzał do schronu.

- Wydaje się - rzekł z goryczą - że już ją podjąłem.

1 Bójki na długich linach wlecze się za statkiem. Idący z tytu najpierw widzi bójki, potem poprzednika (przyp. tłum.).

72

ROZDZIAŁ IX

Piątek rano

Tyndall ujrzał, że konwój otoczony jest mgłą. Po zesłonocej śnieżycy temperatura podnosiła się szybko i równomiernie. Lecz pogoda zwodziła tylko i oszukiwała, mokre śnieżynki wirującej ruchliwej mgły jakby podwajały siłę przejmującego chłodu.

Wbiegł na mostek, Vallery tuż za nim. Turner ze stalowym hełmem w ręku ruszył właśnie do tylnej wieży centralnego celownika. Tyndall zatrzymał go gestem.

- Co się dzieje, komandorze? - spytał ostro. - Kto strzelał? Gdzie? Skąd?

- Nie wiem, panie admirale. Pociski nadleciały mniej więcej od strony rufy, ale nie mam najmniejszego pojęcia, kto strzelał. - Przez długą chwilę spoglądał na zwierzchnika z namysłem. -

Pewnie wrócił nasz przyjaciel z ubiegłej nocy.

Zrobił w tył zwrot i zbiegł z mostku.

Tyndall wstrząśnięty, nic nie pojmując, patrzył w ślad za nim. Zaklął cicho, siarczyście i skoczył do telefonu centrali radarowej.

- Mówi admirał. Dawać porucznika Bowdena, natychmiast! Głośnik ożył w tejże sekundzie.

- Mówi Bowden.

- Co tam robisz, do diabła? - cichy głos Tyndalla nabrzmiewał wściekłością. - Śpisz czy co?

Jesteśmy pod obstrzałem, poruczniku, pod ogniem nieprzyjacielskiego okrętu. Może to dla ciebie nowina? - urwał i przykucnął, gdyż nowa seria pocisków zawyła mu nad głową i uderzyła w wodę nie dalej niż pół mili przed dziobem „Ulissesa”. Statki handlowe wyłoniły się na chwilę w wolnym od skotłowanej mgły pasie. Na pokłady ich spadały potoki wyrzucanej pociskami wody. Tyndall powstał

szybko i warknął do telefonu: - On zna odległość bardzo dokładnie. Na Boga, gdzie on jest?

- Bardzo mi przykro - zrównoważenie i chłodno meldował Bowden - wydaje się, że nie możemy go dostrzec. Mamy na ekranie „Adventurera” i na tym kierunku obraz jest nieco zniekształcony -

namiar około trzystu stopni... Przypuszczam, że nieprzyjacielski okręt skrył się za „Adventurerem” lub jeśli jest bliżej niż on, znajduje się na jednej z nim linii.

- W jakiej odległości? - warknął Tyndall.

- Niezbyt blisko. Gdzieś koło „Adventurera”. Nie możemy określić ani odległości, ani jego rozmiarów.

Tyndall opuścił słuchawkę, która zahuśtała się na sznurze, i zwrócił się do Vallery'ego.

- Czy Bowden naprawdę sądzi, iż uwierzę w te brednie? - spytał ze złością. - Przypadek jeden na milion! Nieprzyjacielski okręt przypadkowo wybrał i trzyma jedyny kurs, na którym może skryć się przed naszym radarem. Fantastyczne!

Val ery spojrzał na niego spokojnie.

- No? - niecierpliwił się Tyndall. - Czy nie tak?

- Nie! - cicho odpowiedział kapitan. - Nie tak! Naprawdę nie tak! To nie przypadek. Łodzie podwodne zawiadomiły okręt przez radio, podały nasz namiar i kurs. Reszta jest łatwa.

Tyndall patrzył na niego przez chwilę. Zrozumiał. Zacisnął mocno oczy i gwałtownie potrząsnął

głową. W geście tym zawarł całą samokrytykę, utracone złudzenia; próbował obudzić nieruchomy, znużony mózg. Do diabła, sześciolatek to pojmie... Pocisk uderzył w morze pięćdziesiąt jardów w lewo. Tyndall nie drgnął. Zapewne go nie słyszał.

- Bowden? - Znów uniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Są jakieś zmiany na ekranie?

- Nie, nie ma żadnych.

- Nadal twierdzisz to samo?

- Tak jest! Nie mogę stwierdzić nic innego.

- Mówisz, że trzyma się blisko „Adventurera”?

- Powiedziałbym: bardzo blisko.

- Leczn Boga, człowieku, „Adventurer” jest z dziesięć mil za nami!

- Tak jest, wiem. Bandyta jest równie daleko...

- Co? Dziesięć mil? Ale, ale...

73

- Strzela za pomocą radaru - przerwał Bowden i jego dźwięczny głos nagle wydał się zmęczony.

- Nie mógłby inaczej. Tropi nas również za pomocą radaru i dlatego może utrzymać się na jednej linii z „Adventurerem”. Robi to bardzo dokładnie. Obawiam się, panie admirale, że ich radar jest co najmniej tak dobry, jak nasz.

Głośnik wyłączył się. Na mostku zapanowała pełna napięcia cisza. Trzask padającej z rąk Tyndalla słuchawki wydał się niezwykle głośny. Admirał pochylił się w przód, uchwycił za przewód pary, jakby w ten sposób chciał zachować równowagę. Vallery wyciągnął ręce, aby go podtrzymać, lecz Tyndall odsunął go. Jak pozbawiony sił starzec, którego mięśnie zwiotczały już dawno, włókł się przez mostek, nie bacząc na kilka par zdziwionych oczu, aż dobrnął do fotela.

Głupiec - myślał o sobie z goryczą i wściekłością. - Stary, przeklęty głupiec! Nigdy sobie tego nie wybaczę... nigdy, nigdy... Nieprzyjaciel przez cały czas, na każdym kroku lepiej przewidywał, lepiej oceniał, lepiej działał. Zabawił się w chowanego. Zrobił ze mnie jeszcze gorszego durnia, niż to zamierzał sam Stwórca. Radar! Oczywiście, że radar!

Ślepo wierzył w założenie, że niemiecki radar to aparat prymitywny, ograniczony - tak przecież jeszcze w ubiegłym roku twierdził wywiad Admiralicji i lotnictwa. A tu okazuje się, że wcale nie gorszy od brytyjskiego. Równie dobry jak na „Ulissiesie”... A przecież wszyscy byli pewni, że „Ulisses”

posiada najlepszy, jaki istnieje; że właściwie jest jedynym okrętem na świecie posiadającym takie

urządzenia.

„Nie gorszy od naszego”. Chyba nawet lepszy. Lecz czy mogła mu kiedykolwiek przyjść do głowy taka myśl? Tyndall skręcał się z rozpacz, w zupełnym upadku ducha. Poczł smak nienawiści do samego siebie. Tak więc dzisiejszy dzień był dniem rozrachunku - sześć statków, trzystu ludzi poszło na dno.

Niechaj ci Bóg wybaczy, admirale - myślał w otępieniu. - Niechaj ci Bóg wybaczy. Tyś ich tam posłał... Radar!

Na przykład ubiegła noc: „Ulisses” chciał zmylić ślad i płynął na wschód, a niemiecki krążownik grzecznitko włókł się za nim. Wspaniałe odznaczenie dla geniuszu Tyndalla. Jęknął z upokorzenia.

Włókł się za nimi, strzelając beładnie, niedokładnie, za każdym razem, gdy „Ulisses” zniknął za zasłoną dymną. Postępował tak, aby maskować dokładność swego radaru, aby ukryć fakt, że przynajmniej przez pół godziny śledził ruchy uciekającego konwoju, zanim ten zniknął na północno-północnym zachodzie. Sprawa była o tyle prosta, że Tyndall stanowczo zabronił zygzakowania.

A wówczas, gdy „Ulisses” tak wspaniale kluczył, płynąc najpierw na południe, potem znów na północ, nieprzyjaciel miał go przez cały czas na swoim ekranie. Później, na dobitkę, owo mściwe, zwodnicze wycofanie się na południowy wschód. Prawie na pewno Niemiec natychmiast skręcił na północ, uchwycił na skraj radaru znikający już brytyjski krążownik, obliczył zbieżny kurs pościgowy, porównał z kursem konwoju i przez radio podał go dowódcy zgrupowania łodzi podwodnych, ustawiając zasadzkę co do metra.

A teraz ostatnia zniewaga, ostatni, najboleśniejszy cios, który odebrał resztkę dumy. Przeciwnik otworzył ogień z wielkiej odległości, lecz z niezwykłą dokładnością - można założyć się o głowę, że za pomocą radaru. I to tylko dlatego, że nieprzyjaciel doszedł wreszcie do wniosku, że „Ulisses”

musiał już wiedzieć, jak dokładnie dysponuje on radarem. Nie dający się uniknąć wniosek! A Tyndall nie myślał o tym nawet przez chwilę. Powoli, nie zważając na ból, uderzał pięścią w kant balustrady.

Ślepy, ogłupiały dureń!... sześć statków, trzystu ludzi. Rosja straciła setki czołgów i samolotów, miliony galonów benzyny, a ile tysięcy Rosjan, żołnierzy i cywilnych zginie przez to? A te rozbite, oplakujące poległych rodziny, rozrzucone po całej Brytanii? - myślał beładnie. Chłopcy powiozą na rowerach telegramy do małych domków w dolinie Walii, wzdłuż obramowanych drzewami dróg Surrey, do opalanych torfem chat na odległych wyspach zachodnich, do białych willi w Donegal i Antrium. Opustoszeją domy w dalekim Nowym Świecie, od Nowej Fundlandi i Maine, aż hen, do brzegów Pacyfiku. A pewność, że żadna z tych rodzin nie dowie się nigdy, że to on - Tyndall - w zbrodniczy sposób strwonił życie ich mężów, braci i synów, przynosi więcej męki niż ulgi.

- Kapitan Vallery? - Tyndall mówił ledwie dostrzegalnym ochrypłym szeptem.

Val ery podszedł i stanął obok. Kaszlał boleśnie, gdyż mgła podrażniła chore płuca. Miara tego, jak głęboko rozmyślenia wstrząsnęły Tyndallem, był fakt, że nie zwrócił uwagi na atak kaszlu, który

męczył Vallery'ego.

- O, już pan jest, kapitanie. Musimy zniszczyć ten nieprzyjacielski krążownik. Vallery przytaknął: 74

- Tak jest. Ale jak?

- Jak? - Obramowana kapturem wachtowego płaszcza, na którym osiadły kropelki rosy, twarz Tyndalla była wynędzniała i szara, lecz admirał próbował wykrzesać cień uśmiechu. - Proponuję zebrać osłonę i przygwoździć go. - Patrzył ślepo w mgłę, zagryzając wargi. - Proste ćwiczenie taktyczne, które można wykonać nawet naszymi ograniczonymi środkami...

Przerwał nagle, spojrzął na morze i pospiesznie przykucnął. Rzadko się to zdarza, ale pocisk wybuchł w wodzie zaledwie parę jardów od burty. Lawina bryzgów spadła na mostek.

Tyndall mówił dalej:

- My, „Stirling” i my, znajdziemy go od południa. Orr i jego zuchy z dewizą „śmierć albo chwała” zaatakują go od północy. W tej mgłę będą mogli podejść dostatecznie blisko, aby wyrzucić torpedy.

Wszystko sprzymierza się przeciw samotnemu okrętowi. Nie ma żadnych szans.

- Zebrać osłonę? - sucho spytał Vallery. - Czy pan zechce zebrać całą osłonę?

- Właśnie to powiedziałem, kapitanie.

- Lecz... lecz... możliwe, że jemu właśnie o to chodzi - zaprotestował Vallery.

- Samobójstwo? Śmierć za Vaterland na polu chwały? Niech pan w to nie wierzy! - fuknął

Tyndall. - To skończyło się wraz z Langesdorffem i Middelmanem.

- Nie, panie admirał - zniecierpliwił się Vallery. - Po prostu chce, abyśmy zostawili konwój bez osłony!

- No i co z tego? - spytał ostro Tyndall. - Kto ich znajdzie w tym...

- szerokim ruchem ręki wskazał toczące się zwichrzone fale mgły.

- Diabła tam, człowieku! Gdyby nie bójki mgłowe, nasze własne statki nie widziałyby się nawzajem. Jestem całkowicie przekonany, że nie dostrzeże ich również nikt inny.

- Nie? - bystro kontratakował Vallery. - A jeśli w okolicy czatuje jeszcze inny niemiecki krążownik, wyposażony w radar albo nowe zgrupowanie łodzi podwodnych? Mogą mieć łączność radiową z naszym przyjacielem, a on zna nasz kurs co do jednego stopnia!

- Łączność radiową? Czy nasz podsłuch nie działa?

- Działa, lecz na ultrakrótkich falach to sprawa niełatwa.

Tyndall mruknął coś bez przekonania i zamilkł. Czuł się straszliwie zmęczony i przygnębiony.

Nie miał chęci ni siły, by prowadzić dalszą dyskusję. Lecz tym razem ciszę przerwał Vallery. Pionowe linie przecinające czoło wyrażały zaniepokojenie.

- Dlaczego więc nasz przyjaciel następuje nam na pięty i strzela tylko od czasu do czasu, jeśli nie po to, by zmusić nas do jakiejś określonej zmiany kursu? W tej chwili ma przynajmniej o dziewięćdziesiąt procent mniejsze możliwości trafienia i może używać tylko połowy dział.

- Zapewne spodziewa się, że właśnie takie są nasze domysły. - Tyndall próbował zmusić się do myślenia, przedrzeć przez mgławicę myśli, nie mniej gęstą i zdradliwą niż okrywająca świat szaruga.

- Może liczy na to, że zmienimy kurs na północ, oczywiście tam, gdzie czeka zasadzka.

- Być może, być może - ustępował Vallery. - Z drugiej strony jednak może chodzi mu o co innego. Może chce, abyśmy przechytrzyli dla naszego własnego dobra; a może liczy na to, że jego chytryść uznamy za oczywistą. Nie damy się oszukać, nie zmienimy kursu - a on tylko na to czeka...

wiemy już, że nie jest głupi.

Tyndall zastanawiał się, co Brooks powiedział Starrowi w Scapa Flow, jeszcze przed wiekami.

„Owo wyraziste uczucie... ten wyszukany rodzaj agonii... gdy każda komórka w twoim mózgu napięta jest do ostateczności... spychają cię na skraj szaleństwa". Nie mógł pojąć, skąd Brooks już wtedy wiedział wszystko tak dobrze, jakim cudem wyraził to tak dokładnie. Teraz sam przekonał się, co to znaczy stać na samym skraju przepaści... Tyndall niejasno zdał sobie sprawę, że doszedł do granicy wytrzymałości. Boląca, otępiała głowa, w której myśli wloką się jak ślepiec w morzu smoły... Zdał sobie sprawę, że to pierwszy, nie, to właśnie już ostatni sygnał przed zbliżającym się załamaniem.

Bóg jeden wie, ile takich wypadków miało już miejsce na „Ulissesie” w ostatnich miesiącach...

Lecz on nadal był admirałem... Musi coś uczynić, coś powiedzieć.

- Nie ma co zgadywać, Dick - rzekł ponuro. Vallery spojrzął na niego. Nigdy dotąd stary Giles nie mówił mu na mostku po imieniu; zawsze tytułował go kapitanem.

- Musimy coś uczynić. Zostawimy „Vectrę”, aby uspokoić nasze sumienie. To wszystko. -

Uśmiechnął się z trudem. - Do tej trudnej roboty musimy użyć co najmniej dwóch niszczycieli.

Bentley, przekaż depezę do radia. Do wszystkich jednostek eskorty i komandora Fletchera na 75

„Cape Hatteras”...

Po dziesięciu minutach cztery okręty darły nieprzeniknącą ścianę mgły, idąc na południowy wschód.

Odległość do przeciwnika zmalała o połowę.

„Stirling”, „Viking” i „Sirrus” utrzymywały stałą łączność radiową z „Ulissesem”. Musiały ją utrzymywać, gdyż poruszały się na ślepo w otaczającej je szarej masie. „Ulisses” zastępował im wzrok i słuch.

- Radar do dowódcy. Radar do dowódcy! - Wszyscy automatycznie wbili oczy w głośnik. -

Nieprzyjaciel zmienia kurs na południe. Szybkość wzrasta.

- Za późno! - ochryple krzyknął Tyndall. Zacisnął pięści, w oczach błysnął triumf. - Za późno na ucieczkę!

Val ery milczał. Mijały sekundy. „Ulisses” ciął zimną mgłę i lodowate morze. Nagle znów przemówił głośnik:

- Przeciwnik skręca o sto osiemdziesiąt stopni. Steruje na południowy wschód. Szybkość dwadzieścia osiem węzłów.

- Dwadzieścia osiem węzłów? Ucieka! - Wydawało się, że Tyndall na nowo odzyskał treść życia. - Kapitanie, niech „Sirrus” i „Ulisses” ruszą pełną parą, nawiążemy walkę z Niemcem i zmusimy do zmniejszenia szybkości. Niech radiotelegrafista nada rozkaz do Orra. Spytaj radar, jaki jest kurs przeciwnika.

- Mówi radar. Kurs 312. Kurs bez zmian, powtarzam: bez zmian.

- Kurs bez zmian. Kapitanie, otworzyć ogień. Mamy go, mamy go!

- w podnieceniu wołał Tyndall. - Zwlekał zbyt długo! Mamy go, kapitanie!

Val ery milczał. Tyndall spojrzał na niego, na pół zakłopotany, na pół zły.

- Co, jeszcze nie wierzysz?

- Nie wiem, panie admirale - Vallery z powątpiewaniem pokręcił głową. - Naprawdę nie wiem.

Dlaczego czekał tak długo? Dlaczego zawrócił i zaczął uciekać w chwili, gdy opuściliśmy konwój?

- Był zbyt zadufany w sobie! - warknął Tyndall.

- Lub pewien czegoś innego - wolno odpowiedział Vallery. - Być może chciał upewnić się, że pognamy za nim.

Tyndall znów mruknął gniewnie. Chciał coś powiedzieć, ale zdławił słowa, gdy „Ulisses” zadrżał

od odrzutu armat wieży „A”. Skłębiona nad dziobem mgła, uniesiona podmuchem i rozproszona żarem płonącego prochu, zniknęła na chwile. Po paru sekundach szara kurtyna opadła ponownie.

Wtem, jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężnika, ustąpiła całkiem. Gęsta ława mgły została za nimi, a w prześwitach następnej dojrzeli „Sirusa” dokładnie na swojej wysokości. Pruł morze z szybkością przekraczającą chyba trzydzieści cztery węzły. „Stirling” i „Viking” zostały we mgle za rufą.

- On jest zbyt blisko - szczechnął Tyndall. - Dlaczego Bowden nie meldował o tym? W ten sposób nie weźmiemy go w kleszcze. Rozkaz do „Sirusa”: pięć minut sterować 317. A my z kolei pięć minut na południe i z powrotem na kurs.

Ledwie zdążył usiąść w swym fotelu, gdy „Ulissesa” znów otoczył mrok. Zadzźwięczał głośnik.

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy.

Dwie armaty 5,25 wieży „B” ryknęły w ogłuszającym unisono, przebijając mgłę płomieniem i dymem. Jednocześnie podłoga mostku zachwiała się. Potworny wstrząs i wybuch rzucił ludźmi.

Padali na siebie, objali się o stalowe blachy. W niespodziewanym zamieszaniu oszołomione mózgi i mięśnie czyniły dzikie wysiłki, aby oprzytomnieć po gwałtownym wstrząsie. Bębenki uszne pękały od ciśnienia powietrza, do gardła wdierał się smród gryzących gazów, oczy oslepieł czarny dym.

Mechaniczny dźwięk głośnika rzucał w ten chaos niezrozumiały meldunek.

Pęd powietrza rozwiął powoli dym. Tyndall jak pijany powstał wspierając się na szafce kompasu. Wybuch zdmuchnął go z fotela na środek platformy kompasowej. Nic nie pojmując, w oszołomieniu potrząsnął głową. Musi być gorzej, niż przypuszczał. Nie pamięta, jak go rzuciło. Ale co jest z tą dłonią? Sterczy pod tak dziwacznym kątem. To moja dłoń - pomyślał z lekkim zdziwieniem. -

Śmieszne, przecież wcale nie bolało. A tam, tuż przed nim, unosi się twarz Carpentera. Bandaże zerwane, rozcięte podczas sztormu czoło świeci otwartą raną, twarz umazana krwią... Co powiedziałyby na to jego dziewczyna – półprzyciemnie zastanawiał się Tyndall - ta z Henley, którą tak 76

często wspominał?... Dlaczego radio nie przestaje bełkotać? Nagle oprzytomniał.

- O Boże! - Nie wierząc własnym oczom gapił się na poskręcane podłogi. Zwolnił uchwyt zaciśniętej na szafce kompasu dłoni, rzucił się do wiatrochronu. Zmysł równowagi przeczył wzrokowi.

Cała platforma kompasowa pochyliła się ku przodowi o piętnaście stopni. - Nawigator! Co się stało?

-

wołał napiętym, zachrypłym, obcym nawet dla siebie samego głosem. - Na miłość boską, co się stało? Wybuch naboju w wieży „B”?

- Nie, panie admirale. - Carpenter przetarł oczy. Rękaw kapokowego kombinezonu splamiła krew. -

Bezpośrednie trafienie. Cios w nadbudówkę.

- Ma rację - dodał Carrington, który patrzył w dół, wychylony daleko za wiatrochron.

Nawet w tej chwili Tyndall podziwiał spokój, prawie nieludzkie opanowanie tego człowieka.

- Ciężki cios. Zniszczył przednie pom-pomy. Tuż pod nami zieje otwór wielkości drzwi... W środku musi być raczej nieładnie...

Tyndall z trudnością dosłyszał ostatnie słowa. Ukląkł nad Vallerym, podtrzymując zdrowym ramieniem jego głowę. Kapitan leżał pod drzwiami, prawie bez zmysłów, oddychał nierówno, krztusząc się własną krwią. Twarz miał śmiertelnie bladą.

- Chrysler, wołaj Brooksa! Komandora Brooksa... - poprawił się. - Natychmiast!

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! - wołał niecierpliwie głośnik. - Proszę o potwierdzenie!

Proszę o potwierdzenie - głos mimo metalicznego dźwięku zdradzał zdenerwowanie. Chrysler odłożył

słuchawkę, zakłopotany spojrzał na admirała.

- No? - krzyknął Tyndall. - Już idzie?

- Nie odpowiada, panie admirale. - Chłopiec zawahał się. - Pewnie linia zerwana.

- Do diabła! - ryknął Tyndall. - Na co czekasz? Biegnij po niego. Pierwszy oficer, obejmij dowództwo. Bentley, wołaj na mostek komandora Turnera.

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! - Tyndall z wściekłością spojrzał na głośnik i zamarł, gdy usłyszał dalsze słowa. - Otrzymaliśmy trafienie w tylny pokład. Kabina szyfrantów zniszczona.

Kabiny radarowe siódma i ósma zniszczone. Kantyna uszkodzona. Tylony celownik centralny poważnie uszkodzony.

- Tylony celownik. - Tyndall zaklął, ściągnął rękawice. Złamana ręka bolała straszliwie. Tracił

panowanie nad sobą. Wolniutko podłożył rękawice pod głowę Vallery'ego i wstał. - Tylna wieża, mówicie? Tam jest Turner! Mam nadzieję... - urwał. Wdrapał się na pionowy trap w tyle mostku.

Wparł rękę w balustradę. Niepokojnie lustrował tylny pokład.

Początkowo nie mógł dojrzeć nawet drugiego komina ani masztu. Szara, wirująca mgła była zbyt gęsta, całkiem nieprzenikniona. Na krótki jak westchnienie moment lodowaty podmuch porwał

mgłę i ciężki, czarny dym skłębiony w miejscu, gdzie powinna być tylna nadbudówka. Tyndall

konwulsyjnie zacisnął dłoń na relingu. Nadbudówka zniknęła. Na jej miejscu sterczały poskręcane, pogięte kawały stali. Wieża artyleryjska „X”, zwykle niewidoczna z mostku, teraz wznosiła się odsłonięta, najwyraźniej nieuszkodzona. Wszystko poza nią zniknęło. Kabiny radarowe, pokój szyfrantów, biuro policyjne, kantyna, a prawdopodobnie i tylna kuchnia. Nikt nie mógł ujść stamtąd z życiem. Podcięty maszt stał jeszcze jakimś cudem. Tuż za nim, widoczna spoza piekielnej kupy złomu, leżała tylna wieża celownika, nachylona pod niewiarygodnym kątem sześćdziesięciu stopni, podziurawiona, pozbawiona dalmierza. Tam był komandor Turner.

Tyndall zachwiał się niebezpiecznie na szczycie stromej trapy. Potrząsnął głową, jakby chciał odtrącić oblepiającą mózg mgłę. Tuż nad oczyma czuł tępy, dręczący ból, od którego po mózgu rozchodziła się owa mgła... „Szczęśliwy okręt” - mówiono o „Ulissiesie”. Dwadzieścia miesięcy w najcięższej służbie, na najniebezpieczniejszych wodach świata i bez jednego draśnięcia. Lecz Tyndall zawsze wiedział o tym, że pewnego dnia, w pewnym miejscu szczęście go opuści.

Usłyszał szybkie kroki po stalowym trapie. Z trudem zmusił zamglone oczy do patrzenia.

Natychmiast rozpoznał śniadą, chudą twarz Daviesa, starszego sygnalisty z pokładu flagowego. Był błąd, z trudem łapał oddech. Otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale zatrzymał się, patrząc na rękę opartą o reling.

- Pańska ręka, panie admirale - wlepił oczy w Tyndalla. - Pańska ręka! Pan nie ma rękawic!

- Nie? - Tyndall spojrział w dół, jakby dziwiąc się, że ma rękę. - Nie mam rękawic! Dziękuję, Davies - oderwał dłoń od gładkiej przemarzniętej stali, gapił się bez zdziwienia na krwawiące, żywe mięso. - To głupstwo! - O co chodzi, chłopcze?

77

- Sala urządzeń radiolokacyjnych! - Oczy Daviesa pociemniały na wspomnienie straszliwego obrazu. - Tam wybuchł pocisk. Wszystko zniszczone. I sala naprowadzania myśliwców również... -

przerwał; nerwowy głos zgubił się w łoskocie armat wieży „A”. Wydawało się niezwykle, że główne uzbrojenie pozostało nieuszkodzone.

- Przed chwilą byłem w sali radiolokacji i naprowadzania - znacznie spokojniej mówił dalej Davies. - Tam nikt nie miał szansy...

- Komandor Westcliffe? - Tyndall niejasno zdał sobie sprawę z tego, że na próżno chwyta się resztek nadziei.

- Nie wiem. Tam pozostały tylko kawałki i strzępy. Może pan pójdzie ze mną... Ale jeśli on był tam...

- Powinien był być - przerwał ponuro Tyndall. - Nigdy nie wychodził stamtąd podczas akcji... -

umilkł, machinalnie zacisnął poranione pięści, gdy wysoki, przejmujący jęk pocisku i bliski wybuch złąły się w jedną druzgocącą kakofonię. - Na Boga - westchnął Tyndall. - To było blisko! Davies! Cóż u diabła...

Zdławiony głos uwiązał mu w gardle; machnął rękoma w powietrzu i uderzył plecami o podłogę mostku całkowicie tracąc oddech. Davies w nieprzytomnym pośpiechu rzucił się w dół, lecz zanim zdążył zbiec z trapu, został wyrzucony w powietrze. Z całej siły uderzył w admirała i teraz leżał w poprzek jego nóg. Szeroko rozrzucił ręce. Nie poruszał się.

Tyndall z wysiłkiem chwycił powietrze obolałymi płucami. Powracał do przytomności.

Instynktownie próbował usiąść, lecz złamana ręka nie wytrzymała ciężaru ciała. Nie mógł również poruszać nogami, były całkowicie bezwładne, jakby sparaliżowane. Mgła zniknęła, oślepiające kolorowe błyski - zielone, czerwone i białe - iskrzyły się na ciemniejącym niebie. Pociski oświetlające? Czyżby nieprzyjaciel używał pocisków nowego typu? Niejasno, z wielkim wysiłkiem woli zdał sobie sprawę, że między tymi jaskrawymi błyskami a straszliwym bólem głowy musi być jakieś powiązanie. Dotknął nadgarstka prawej dłoni. Powieki miał nadal zaciśnięte. Nagle wszystko zniknęło.

- Czy pan cały? Proszę się nie ruszać. Zaraz pana zabierzemy.

Niski, rozkazujący głos huczał tuż nad głową admirała. Tyndall skulił się, z rozpaczą potrząsnął głową... Mówił Turner, a przecież Turner zginął.

To tak wygląda śmierć? - myślał tępo. - Cóż za przerażający, niepojęty świat ciemności, a jednocześnie oślepiających blasków. Ciemno-jasny świat bólu i bezsilności, i głosów nie z tego świata? Nagle powieki zadrgały i oczy otworzyły się bez udziału jego woli. Nie dalej niż stopę od niego klęczał chudy, zawsze podobny do pirata komandor.

- Turner! Turner! - Wyciągnął rękę, aby sprawdzić swe nadzieje i nie bacząc na ból, zacisnął ją na całkiem materialnym ramieniu komandora. - Turner! Czy to naprawdę pan? Myślałem...

- Tylna wieża, co? - Turner uśmiechnął się dyskretnie. - Nie. Byłem dość daleko. Właśnie szedłem tam i wdrapywałem się na przedni pokład, gdy pierwszy podmuch rzucił mnie na główny pokład... Jak się pan czuje?

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Sam nie wiem! Moje nogi... O nieba! Co to?

Oczy patrzyły już normalnie i rozszerzyły się w nagłym zdumieniu. Tuż nad głową Turnera leżał na ukos, jakby mierząc w lewo, olbrzymi pień. Tyndall nie mógł dojrzeć ani jego początku, ani końca.

Wyciągnął rękę i czubkami palców dotknął masywnej belki.

- To maszt - wyjaśnił Turner. - Tuż poniżej dolnej rei ściał go ostatni pocisk. Podmuchał go na mostek. Po drodze zwałił wieżę „p-lot”, a wydaje się, że pozostawił ślad również na głównej wieży.

Obawiam się, że Courtney nie miał wielkich szans... Davies widział walący się maszt. Stałem tuż w pobliżu. Chłopak był bardzo szybki.

- Davies! - oszołomiony Tyndall całkiem o nim zapomniał. - A tak! Davies! - To pewnie Davies przygniata mu nogi. Wyciągnął szyję i dostrzegł skulone ciało chłopca. Maszt przygniatał jego plecy.
-

Na miłość boską, komandorze, wyciągnijcie go stamtąd.

- Proszę leżeć spokojnie, dopóki nie przyjdzie Brooks. Daviesowi jest wygodnie...

- Wygodnie! Wygodnie! - Tyndall podniósł głos, nie zważając na milczących ludzi, którzy gromadzili się wokół niego. - Turner! Czyś zwariował? Ten biedak musi cierpieć...

Czynił wysiłki, aby powstać, lecz parę rąk przycisnęło go do pokładu ostrożnie, lecz stanowczo.

- Jemu już jest dobrze - zdumiewająco łagodnie mówił Turner. - Naprawdę. Całkiem dobrze.

78

Davies nic nie czuje. Nic a nic.

Admirał zrozumiał i osunął się bezwładnie na pokład. Zamknął oczy.

Gdy przyszedł Brooks, Tyndall miał oczy nadal zamknięte. Po paru sekundach był już na nogach, oszołomiony, posiniaczony, ale poza tym zdrowy. Pomimo sprzeciwu Brooksa zażądał

stanowczo, aby odprowadzono go na mostek. Gdy tylko spostrzegł, że Vallery ledwie trzyma się na nogach, lecz stoi na posterunku, przyciskając do ust ręcznik, oczy admirała zabłyśły. Bez słowa, ze schyloną głową usiadł w fotelu.

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! Proszę potwierdzić meldunek.

- Bez przerwy ten idiota? - złośliwie spytał Tyndall. - Dlaczego ktoś...

- Nie było pana zaledwie parę minut - wtrącił Kapok-Kid.

- Parę minut?! - Tyndall ze zdziwieniem wpatrywał się w nawigatora. Rzucił okiem na Brooksa, który opatrywał mu rękę. - Nie ma pan nic lepszego do roboty? - spytał surowo.

- Nie, nie mam - obojętnie odparł Brooks. - Gdy pociski wybuchają w czterech ścianach, lekarz nie ma nic do roboty... prócz wypisywania aktów zejścia - dodał brutalnie.

Val ery i Turner wymienili spojrzenia. Vallery zastanawiał się, czy Brooks zdaje sobie sprawę ze stanu Tyndalla.

- Radio do dowódcy. Radio do dowódcy! „Vectra” ponownie prosi o instrukcje. Pilne! Pilne!

- „Vectra”? - Vallery spojrział na admirała, który siedział milcząco i nieruchomo, po czym zwrócił się do łącznika. - Chrysler! Natychmiast nawiązać łączność z kabiną radiową. Wszystko jedno jak.

Niech powtórzą meldunek „Vectry”.

Spojrział na Turnera i podążył za nieprzytomnym wzrokiem admirała. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim, prawie przyprawiło o mdłości. Na platformie przeciwlotniczej leżał strzelec - taki sam dzieciuch jak

Chrysler. Zapewne widział walący się maszt i ogarnięty przerażeniem próbował uciec. Zaledwie zdążył wybiec ze stanowiska, gdy antena radarowa (olbrzymi kwadrat ze stalowej sieci) całym ciężarem masztu przygniotła go do skraju mostka. Przygniotła mocno i dokładnie. Chłopiec leżał

splaszczony, połamany, rozkrzyżowany na obu lufach oerlikonów, całkiem niepodobny do ludzkiej istoty.

Val ery odwrócił się - osłabł fizycznie i psychicznie. Szaleństwo i bezsensowna głupota wojny.

Przeklęty niemiecki krążownik, przeklęci niemieccy artylerzyści! Przeklęci, przeklęci, przeklęci!

...Dlaczego ich przeklinać? Oni również wykonywali swoje zadanie i robili to dobrze... Spoglądał

na ruiny mostku. Bardzo dobre strzały. Półprzytomnie zastanawiał się, czy „Ulisses” również uzyskał

trafienia. Chyba nie... A teraz, oczywiście, nic z tego. Było to już niemożliwe, gdyż „Ulisses” - chociaż nadal pędził na południowy wschód - był całkiem ślepy. Obydwa radarowe oczy padły ofiarą sztormu i niemieckiego ognia. Co gorsza, wieże centralnych celowników uszkodzono tak, że nie można nawet marzyć o ich zreperowaniu. Jeśli dalej tak pójdzie - myślał gorzko - będziemy potrzebowali tylko haków abordażowych i białej broni. Chociaż główne uzbrojenie „Ulissesa” było nienaruszone, jeśli chodzi o nowoczesną walkę artyleryjską, stan jego jest beznadziejny. Po prostu nie ma żadnych szans. Co takiego powiedział palacz Riley? Rzuceni na pastwę wilkom... Tak, byli rzuceni na pastwę wilkom. Lecz tylko Neron - przypomniał sobie z trudem - zawiązywał oczy gladiatorom przed wypchnięciem ich na arenę.

Ogień ustał. Na mostku zapanowało śmiertelne milczenie. Cisza, zupełna cisza. Tylko woda szumiła u burt i stłumionym głosem mrucały wielkie wentylatory maszynowni. Monotonnie, szarpiąc nerwy tykał azdyk, co jeszcze bardziej podkreślało ciszę.

Val ery spostrzegł, że wszystkie oczy były zwrócone na admirała Tyndalla. Stary Giles mrucał

coś do siebie. Zbyt cicho, by można dosłyszeć. Upiornie szarą, znużoną i umazaną twarz miał nadal zwróconą poza mostek. Wydawało się, że zahipnotyzował go widok zabitego chłopca. A może zniszczona antena radaru? Czy pojął już, co znaczy zerwana antena i zniszczone centralne celowniki? Val ery patrzył na niego przez długą chwilę, po czym odwrócił się. Był pewien, że Tyndall wszystko rozumiał.

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy!

Na mostku wszyscy aż podskoczyli, obrócili się w nerwowym zdumieniu w stronę głośnika.

Wszyscy prócz Tyndalla. Admirał jakby skamieniał w grobowym bezruchu.

- Depesza z „Vectry”. Pierwsza depesza otrzymana o godzinie dziewiętej pięćdziesiąt dwie.

79

Vallery zerknął na zegarek.

- Za ledwie sześć minut temu? Niemożliwe!

- Treść depeszy: „Kontakty, trzy kontakty, powtarzam: trzy. Poprawka pięć. Duża koncentracja łodzi podwodnych przed nami i z boku. Atakują”.

Znów wszystkie oczy spoczęły na Tyndallu. On ponosi odpowiedzialność. On decydował. On sam - na przekór radom starszych oficerów - pozostawił konwój prawie bez osłony. Val ery obiektywnie podziwiał zorganizowanie ataku: naprzód przynęta, a później zatrzaśnięcie pułapki. Jak stary Giles zareaguje na taką serię tragicznych pomyłek? Pomyłek, za które, mówiąc uczciwie...

trudno go ganić... Lecz i tak będzie musiał się z nich rozliczyć.

Metaliczny dźwięk głośnika przerwał bieg myśli.

- Czytam drugą depeszę: „Blisko kontakt. Rzucam bomby głębinowe. Rzucam bomby głębinowe. Jeden statek storpedowany; tonie. Zbiornikowiec storpedowany, uszkodzony, trzyma się na powierzchni, pod kontrolą. Proszę o radę. Proszę o pomoc! Pilne! Pilne!”.

Głośnik umilkł. Znów zapadło niepokojące, pełne napięcia milczenie. Trwało pięć sekund, dziesięć, dwadzieścia... Nagle wszyscy wyprostowali się i spojrzeli w bok.

Tyndall wstawał z fotela sztywno, nieruchomo, ze starczą niepewnością. Kulał. Prawą ręką w śnieżnobiałych bandażach podtrzymywał złamane przedramię. Bił z niego niesamowity, dziwaczny rodzaj godności. Twarz nie wyrażała żadnych uczuć, chyba lekki, ledwie dostrzegalny cień uśmiechu.

Gdy przemówił, głos jego brzmiał tak, jakby mówił do siebie.

- Jestem chory - rzekł. - Schodzę pod pokład.

Chrysler, dojrzały już na tyle, aby dostrzec tragedię, otworzył drzwi i podtrzymał admirała, gdy potknął się o stopień. Obejrzał się przez ramię, proszącym spojrzeniem uchwycił pełne współczucia przyzwolenie Vallery'ego. Wolno, ramię przy ramieniu, szli obok siebie - starzec i młodzieniec.

Odgłos ich kroków cichł coraz bardziej.

Pogruchotany mostek jakby dziwnie opustoszał. Ludzie poczuli się osamotnieni. Wesoły, tryskający życiem, niestrudzony Giles odszedł. Trudno było od razu pojąć, że tak szybko i straszliwie się załamał. Pozostawił za sobą uczucie całkowitej bezbronności i osamotnienia.

- To mogło przewidzieć każde niemowie, nawet osesek - jak zwykle pierwszy przerwał cisze Brooks. - Nichol s zawsze to mówił - urwał i pokręcił ze zdumieniem głową. - Muszę zobaczyć, czy potrafię coś pomóc - dokończył szybko i wybiegł z mostku.

Val ery obserwował go przez chwilę, później zawołał Bentleya. Kapitan wyglądał na zmęczonego, co podkreślał dawno niegolony zarost. Był spokojny.

- Szefie, trzy depesze. Pierwsza do „Vectry”: „Kurs 360. Nie rozpraszać się”. Powtórzyć: „Nie rozpraszać się. Idę na pomoc - przerwał i po sekundzie dodał: - Podpisano: admirał Czternastej Eskadry”. Zrozumiano?... Dobrze. Nie ma czasu szyfrować. Nadawać otwartym tekstem. Wysyłaj natychmiast łącznika do radiostacji. Druga do „Stirlinga”, „Sirusa” i „Vikinga”. „Natychmiast przerwać pościg. Kurs północny wschód. Szybkość maksymalna”. Również otwarty tekst. - Zwrócił się do Kapok-Kida: - Jak się ma twoja rana? Możesz pracować?

- Oczywiście.

- Dziękuję. Słyszałeś, co mówiłem? Za parę minut, o godzinie dziesiątej piętnaście, konwój skręci na północ. Szybkość sześć węzłów. Jak najszybciej podaj nam kurs zbieżny. Bentley, trzecia depesza do „Stirlinga”, „Sirusa” i „Vikinga”. „Radar zniszczony. Wyrzucić bójki mgłowe. Syrena co dwie minuty”. Tę depeszę zaszyfrować! Wszystkie potwierdzenia odbioru posyłać natychmiast na mostek. Komandorze!

- Na rozkaz. - Turner stał obok.

- Załoga pozostaje tylko na stanowiskach obronnych. Przypuszczam, że zgrupowanie przeciwnika odpłynie, zanim tam dojdziemy. Kto na podwachcie?

- Bóg jeden wie - szczerze odparł Turner. - Powiedzmy, lewa burta. Val ery uśmiechnął się.

- A więc lewa burta. Zorganizować dwie grupy. Pierwsza usunie wszystek złom... za burtę, tak jak idzie, nic nie zostawiać. Będzie pan potrzebował kowala z pomocnikiem. Dodson da chyba zespół spawaczy z aparatami do cięcia stali. Pracą proszę kierować osobiście. Druga grupa - pogrzebowa.

Dowódca Nicholls. Wszystkich zabitych niech układa w kantynie, naturalnie, gdy się ją już uprzątne...

Czy potrafi pan sporządzić listę strat w ciągu godziny?

- Znacznie prędzej... Czy mógłbym zamienić z panem parę słów... prywatnie?

Odeszli na tył mostku. Gdy zamknęli za sobą drzwi schronu, Vallery spojrział na komandora z zaciekawieniem, prawie wesoło.

- Czy nowy bunt, komandorze?

- Nie. - Turner rozpiął płaszcz. Ręka szukała czegoś w kieszeni spodni. Komandor wyciągnął płaską butelkę i spojrział na nią pod światło.

- Dzięki Bogu, chociaż to zostało - rzekł z namaszczeniem. - A tak się bałem, że ją stłukłem padając... Rum, panie kapitanie. Czysty rum. Wiem, że pan nie znosi tego płynu, ale co tam... W pańskie ręce! Tego panu potrzeba...

Val ery nasrożył brwi.

- Rum! Komandorze, czy pan...

- Do diabła z królewskim regulaminem i rozkazami Admiralicji!

- ostro przerwał Turner. - Bierz pan, bardzo pan tego potrzebuje! Jest pan raniony, stracił pan dużo krwi i zamarzył prawie na śmierć. - Odkorkował butelkę i wetknął w oporne ręce Val ery'ego. -

Niech pan będzie realistą. Potrzebuje pan tego bardziej niż kiedykolwiek. Ledwie pan żyje, a właściwie to umiera pan na stojąco - dodał brutalnie. - To podtrzyma pana jeszcze przez parę godzin.

- Wyraził pan to bardzo zgrabnie - mruknął Vallery. - Dobrze więc... na przekór rozsądkowi... -

Przytknął butelkę do ust. - Podsunął mi pan myśl, komandorze. Niech bosman wyciągnie rum. Dać sygnał. W górę serca! Podwójna porcja dla wszystkich. Im też się przyda... - Przełknął parę łyków, odsunął butelkę i skrzywił się; ale nie z powodu rumu.

- A zwłaszcza... - dodał rzeczowo - grupie pogrzebowej.

81

ROZDZIAŁ X

Piątek po południu

Pstryknął kontakt i ostre światło zalało gabinet zabiegowy. Zbudzony zniecka Nicholls poderwał się i odruchowo przysłonił dłonią zmęczone oczy. Światło go raziło. Zmrużył powieki tak, że pozostały tylko wąziutkie szparki, i spojrział na zegarek. Czwarta. Więc spał tak długo? O Boże, jak zimno. Energicznie uniósł się na dentystycznym fotelu i rozejrzał. Przy drzwiach stał Brooks. Siwe włosy obramowywał zaśnieżony kapiszon. Przemarznięte palce komandora nie mogły uporać się z pudełkiem papierosów. Wreszcie wyciągnął jednego. Z drwiącą miną patrzył na płonąca zapalkę.

- Halo, Johnny! Przepraszani, że cię zbudziłem. Szyper cię woła. Ale masz czas! - Przytknął

zapałkę do papierosa i znów spojrzał. Z nagłym współczuciem pomyślał, że Nicholls wygląda na chorego, że jest bardzo zmęczony, przepracowany; ale po co mu to mówić? - Jak się masz? Nie, możesz nie odpowiadać. Sam czuję się znacznie gorzej. Czy nie została ci jeszcze kropla trucizny?

- Trucizny? - Ich żarty następowały prawie automatycznie, stały się po prostu stylem ich wzajemnych stosunków. - Od razu trucizna? I tylko dlatego, że postawił pan jedną błędną diagnozę?

Admirał jeszcze wyzdrowieje...

- Do licha! Młokosy zawsze są nietolerancyjne, zwłaszcza gdy parę razy udało się im mieć rację. Miałem na myśli butelkę przemyconego z Wyspy Mułów bimbru.

- Z Wyspy Coli - poprawił Nicholls. - Ale to nieważne. I tak już pan wszystko wytrąbił - dodał

nieuprzejmie, śmiejąc się w twarz zrozpaczonemu komandorowi. Nagle go pożałował: - Ale została nam buteleczka taliskeru. - Podszedł do szafki z lekarstwami i odkręcił korek butelki z napisem:

„Lizol”. Z zawodowym przyzwyczajeniem zastanawiał się, dlaczego drżą mu ręce.

Brooks wysuszył szklaneczkę, westchnął rozkosznie, czując, jak przyjemne ciepło spływa przez gardło.

- Dziękuję, chłopcze, dziękuję. Zapowiadasz się na dobrego lekarza.

- Tak pan myśli? Ja jestem innego zdania. Już nie będę... po dzisiejszym dniu?... - wstrząsnął

się na samo wspomnienie. - W dziesięć minut poszło za burtę czterdziestu czterech, jeden po drugim jak worki z odpadkami.

- Czterdziestu czterech? - spytał Brooks. - Aż tylu?

- No nie... Tylu zginęło. Pochowaliśmy ze trzydziestu i Bóg jeden wie, ile kawałków i strzępków.

W sali radiolokacji należałoby zamiatać i zbierać na szufłę - uśmiechnął się żałośnie. - To nie był bankiet. Dla nikogo z naszej grupy... Lepiej zasłońmy ten iluminator.

Szybko odwrócił się i podszedł do okienka. Nisko nad widnokregiem, poprzez prószący śnieg, dostrzegł migotliwy punkcik gwiazdy wieczornej. A zatem mgła zniknęła. Mgła, co uratowała konwój, co zasłoniła go przed łodziami podwodnymi, gdy skręcił ostro na północ. Widział „Vectrę” z pustymi podstawami po bombach głębinowych i nie posiadającą nic, aby je zastąpić. Obok widział „Vyturę”, uszkodzony zbiornikowiec, co zanurzony prawie po pokład włókł się ponuro za konwojem. Dostrzegł

cztery statki typu „Victory”, duże i silne. Wygląd ich budził zaufanie, lecz w istocie był tylko

zwodniczą maską trwałości.

Zatrzasnął osłonę iluminatora, dokręcił wszystkie śruby i gwałtownie zrobił w tył zwrot.

- Czemu to, u diabła, nie zawracamy do domu? - wybuchnął. - Kogo stary chce oszukać: Niemców czy nas? Żadnej osłony lotniczej. Brak radaru. Żadnej nadziei na pomoc. Niemiaszki określili naszą pozycję co do jednego cala, a im dalej idziemy, tym łatwiejszą będą mieli robotę.

Pozostało nam jeszcze tysiąc mil! - podniósł głos: - Każdy zafajdany dowódca łodzi podwodnej czy samolotu, który jest w tym rejonie, oblizuje się i czeka na łatwy kąsek. - Z rozpaczą potrząsnął głową.

- Będę trwał jak każdy inny. Pan wie o tym, ale to zbrodnia, samobójstwo. Wybieraj pan, co wolisz.

Tak samo jak nasi zabici.

- Słuchaj, Johnny, tak nie...

- Dlaczego nie każą zawrócić? - Nicholls nawet nie słyszał Brooksa.

- Wystarczy wydać rozkaz. O co mu chodzi? Śmierć i sława! Czego szuka? Nieśmiertelności? I to naszym kosztem? - Zaklął gorzko.

- A może ten Riley miał jednak rację? Wspaniałe nagłówki w gazetach: „Kapitan Richard Vallery, D.S.O., pośmiertnie odznaczony...”

82

- Milcz! - ostrym jak chłasięcie bicza głosem krzyknął Brooks: Wzrok miał zimny jak sama Arktyka. - Jak śmiesz w ten sposób mówić o kapitanie Vallerym - ciągnął łagodniej. - Jak śmiesz brukać imię...

Urwał, pokręcił głową w straszliwym zdziwieniu. Chwilę milczał, aby starannie dobrać słowa. Nie spuszczał wzroku z bladej, napiętej twarzy porucznika.

- Poruczniku Nicholls... on jest dobrym oficerem, może nawet wybitnym oficerem. Ważne jest jednak to, że jest prawdziwym dżentelmenem, powtarzam: dżentelmenem, najwspanialszym, jakiego spotkałem w życiu, jaki kiedykolwiek przemierzał tę plugawą, zapomnianą przez Boga ziemię. To nie ja ani ty. Jego nie można porównywać z nikim. Jest samotnikiem, lecz nigdy nie jest samotny.

Towarzyszą mu tacy ludzie, jak Piotr Będa, jak święty Franciszek z Asyżu. - Roześmiał się. - Warte śmiechu, że mówi to taki bezbożnik jak ja. Powiesz, że bluźnię, ale wierz mi, prawda nie jest bluźnierstwem. A to jest prawda.

Nichol s milczał ze skamieniałą twarzą.

- Śmierć, sława, nieśmiertelność - srogo mówił dalej Brooks. - Tak mówiłeś? Śmierć? -

uśmiechnął się i znów potrząsnął głową. - Dla Richarda Val ery'ego śmierć nie istnieje. Sława?

Pewnie, każdy jej pragnie. Wszyscy chcemy być sławni. Lecz żadna „London Gazette”¹ czy Pałace Buckinghamskie na całym świecie nie zapewnią mu tej sławy, której on pragnie. Kapitan Vallery nie jest dzieckiem, a tylko dzieci bawią się zabawkami... Jeśli chodzi o nieśmiertelność - roześmiał się i już bez cienia urazy położył dłoń na ramieniu Nichollsa. - Spytam cię o jedno, Johnny: czy nie byłoby idiotyzmem pragnąć czegoś, co już się posiada?

Nichol s nie odpowiedział. Milczenie przeciągało się, stawało się coraz głębsze. Szum wentylatorów jakby wzrósł. Wreszcie Brooks odchrząknął i znacząco zerknął na butelkę z „lizolem”.

Nichol s napełnił i podał szklaneczki. Brooks dostrzegł jego oczy i nagle poczuł żal.

Jak to powiedział Cuningham podczas inwazji Krety?... Nie należy doprowadzać ludzi do pewnego stanu? Oklepane, ale prawdziwe. Słuszne nawet w stosunku do takich ludzi jak Nicholls. -

Brooks zastanawiał się, jakie osobiste piekło przeżył ten chłopak dziś rano. Zbierał poszarpane, porozrywane kawałki ciała, które przed chwilą były żywymi ludźmi. A jako dowódca grupy i lekarz musiał je oglądać, sprawdzać każdą zranioną cząstkę.

Nichol s przemówił cichym głosem.

- Jeszcze krok, a znajdę się w rynsztoku. Nie wiem, co mówię. Nie wiem, dlaczego tak mówiłem... Przepraszam.

- Ja również - szczerze odpowiedział Brooks. - Rozpuściłem gębę. Naprawdę przepraszam.

Podniósł szklanę i z lubością patrzył na jej zawartość.

- Za naszych wrogów, Johnny, za ich upadek i niepowodzenie. A nie zapomnij o admirale Starrze. - Jednym haustem wychylił szklaneczkę, usiadł i patrzył uważnie na Nichollsa. - Uważam, że powinieneś usłyszeć coś jeszcze, Johnny. Czy wiesz, dlaczego Val ery nie zawraca konwoju? - Na jego twarzy zaigrał uśmiech. - Nie dlatego, że za nami roi się tyle tych przeklętych łodzi podwodnych, tak samo jak przed nami, a tak jest na pewno...

Zapalił nowego papierosa i ciągnął:

- Dziś rano kapitan nadał radiogram do Londynu. Wyraził w nim swoją dobrze przemyślaną opinię, że FR 77 jest skazany na zagładę, zanim osiągnie Przylądek Północny. Tych właśnie słów użył i trudno byłoby to powiedzieć bardziej wyraźnie. Prosił, by pozwolono mu zmienić trasę bardziej na północ, zamiast iść wprost na Przylądek... Żałuję, że nie było dziś zachodu słońca - dodał z odcieniem humoru - chciałbym go jeszcze raz zobaczyć...

- Tak, tak - niecierpliwił się Nicholls. - A jaka była odpowiedź?

- Co? A... odpowiedź! Vallery oczekiwał natychmiastowej. - Brooks otrząsnął się. - Czekał na nią cztery godziny. - Znow zrobił grymas, który miał być uśmiechem. - Szykuje się coś wielkiego, coś na olbrzymią skalę. To może być jakaś większa inwazja. O tym ani mru-mru, Johnny.

- Oczywiście.

- Nie mam pojęcia, co to może być. Niewykluczone, że utworzą długo oczekiwany Drugi Front.

Cokolwiek by było, główna flota jest niezbędna do osiągnięcia powodzenia. Lecz ma ona związane ręce przez „Tirpitz”. Wydano więc rozkazy: zniszczyć „Tirpitz”. Zniszczyć za wszelką cenę!

1. „London Gazette” - oficjalny dziennik, w którym publikuje się ustawy, przepisy, zawiadomienia o odznaczeniach - rodzaj monitora (przyp. tłum.).

83

- Brooks uśmiechnął się, lecz twarz jego pozostawała kamienna. - Grube z nas ryby, bardzo ważni ludzie. Jesteśmy najsmakowitszą, największą przynętą, na którą z kolei chcą złowić najsmakowitszego, największego szczupaka w tej wojnie... Obawiam się jednak, że pułapka ma jednak trochę zardzewiałe zawiasy... Rozkaz przysłali: Pierwszy Lord Admiralicji i... Starr. Decyzję powzięto na szczeblu rządowym. Idziemy na wschód... Na wschód!

- Za wszelką cenę, znaczy za naszą cenę... - cicho stwierdził Nichol s.

- Zapisano nas po stronie strat...

- Masz rację - przyznał Brooks. Nad głową zatrzeszczał głośnik. Brooks jęknął. - Niech to diabli.

Zaczyna się od nowa.

Zaczekał, aż umilknie sygnał alarmu wieczornego. Nicholls zerwał się i chciał wybiec, lecz Brooks zatrzymał go.

- Ciebie to nie dotyczy. Jeszcze nie... Mówiłem, że będziesz potrzebny szyprowi na mostku.

Dziesięć minut po ogłoszeniu alarmu.

- Co? Na mostku? Po kiego diabła?

- Twój język staje się zbyt wulgarny, jak na młodego oficera - uroczyście strofował Brooks. -

Jakie wrażenie zrobili na tobie ludzie z grupy pogrzebowej? - spytał ni z tego, ni z owego. -

Pracowałeś z nimi cały ranek. Nie zmienili się?

Nichol s zamrugał zdziwiony.

- Myślę, że nie - zawahał się. - To śmieszne, wydali się lepsi niż przed paru dniami. Lecz... hm...

teraz są w takim stanie jak w Scapa. Żywe trupy. Tylko trochę gorsze. Ledwie powłóczą nogami - pokręcił głową.

- Pięciu, sześciu do jednych noszy. Potykali się i przewracali o byle co. Zasypiali stojąc. Mąciło się im w oczach... Byli zbyt zmęczeni, żeby patrzeć, co jest na drodze. Brooks przytaknął.

- Wiem, Johnny, wiem. Widziałem ich.

- Nie było w nich iskry buntu, nie zauważyłem żadnych kwasów

- mówił zakłopotany. Z trudem próbował zebrać niewyraźne, rozproszone w myślach wrażenia i ułożyć je w jakąś jedną, uporządkowaną całość.

- W tej chwili nie mają już ani sił, ani energii, aby wszczynać bunt. Chociaż... myślę, że chodzi nie tylko o to. W kabinie radiolokacji mruzcili między sobą: „Ten szczęściarz miał lekką śmierć” i inne podobne rzeczy. Albo też: „Stary Giles wysiadł z fotela na dobre”. Do tego proszę sobie wyobrazić ich gesty. Lecz gadali bez dowcipów, nawet bez takich, no wie pan... - kiwał głową. - Po prostu nie wiem, panie komandorze. Są apatyczni, zobojętniali, bez iskierej nadziei. Wszystko jedno, jak to nazwać... ja mówię, że skończeni...

Brooks popatrzył na niego przez chwilę i łagodnie dodał:

- Tak byś powiedział? - zdziwił się. - A może i masz rację, Johnny... Ale - dodał szybko - wal na górę. Kapitan będzie robił inspekcję okrętu.

- Co? - zdumiał się Nichol s. - Podczas alarmu? Opuści mostek dowódcy?

- Właśnie!

- Ale, ale... jak może? To jest bez precedensu!

- On też jest bez precedensu. Cały wieczór próbowałem ci to wytłumaczyć.

- To dla niego samobójstwo! - ostro protestował Nichol s.

- To samo i ja twierdzą - ponuro przytaknął Brooks. - Mówiąc fachowo... już umiera. Powinien był już umrzeć. Jeden Bóg wie, jaka siła trzyma go na nogach. Zapewniam cię, że nie plazma ani lekarstwa. Namawiałem go, aby zabrał cię z sobą... Lepiej idź. Nie powinien czekać...

Następne dwie godziny były dla Nichollsa czyścieniem. Inspekcja trwała dwie godziny. Dwie godziny chodzenia, pokonywania przeszkód... Przechodzili przez wysokie sztormowe progi, przez poskręcane stalowe ruiny, przeciskali się wąskimi włączkami, wspinali się i schodzili w dół po setkach trapów. Przez dwie godziny cierpieli tortury wysiłku i ostrego, zatykającego płuca mrozu. Lecz wspomnienie tej wędrówki nigdy nie opuści Nicholla, będzie wracać wraz z ciepłym, dziwnym i wspaniałym uczuciem wdzięczności.

Zaczęli od tylnego pokładu. Vallery, Nicholls i starszy bosman szef Hartley. Vallery nie życzył sobie żadnych Hastingsów, chociaż profesowie zawsze towarzyszyli kapitanowi przy tego rodzaju inspekcjach.

Za to starszy bosman szef Hartley swoją postawą i znajomością okrętu budził zaufanie.

84

Pracował jak bohater spod Troi: otwierał i zamykał wodoszczelne drzwi, unosił i opuszczał ciężkie luki włączków, odsuwał i z powrotem zatrzaskiwał tysiące zasuw, a zanim minęło dziesięć minut, mimo protestów podtrzymywał kapitana Vallery'ego.

Schodzili po długim, pionowym trapie do magazynu amunicyjnego wieży artyleryjskiej „Y”. Była to mroczna i ponura piwnica, ledwie oświetlona punkcikami żarówek. Znajdowali się tam rzeźnicy, piekarze i inni rzemieślnicy nie mający nic wspólnego z bezpośrednimi specjalnościami bojowymi.

Prawie co do jednego szeregowi marynarze pod dowództwem artylerzysty. Wykonywali brudną i nieefektywną robotę, niesprawiedliwie lekceważoną i niezauważaną. Niesprawiedliwie, gdyż była naprawdę niebezpieczna. Czterocalowej grubości pancierz dawał im osłonę nie mocniejszą od papieru gazetowego, gdyby trafiła w nią torpeda czy ośmiocalowy pocisk przeciwpancerny...

Ściany magazynu to pociski i ładunki prochowe w łuskach, z których nieustannie kapała skroplona wilgoć. Połowa załogi opierała się lub leżała na półkach. Zsiniali, pokurczeni, drżący z zimna ludzie odpoczywali. Inni ociężale dreptali wokół windy. Pod stopami chlupotała woda. Potykali się ze zmęczenia. Ręce chowali głęboko w kieszenie. Głowy mieli opuszczone. W zimnym powietrzu tworzyła się mgła z oddechów.

Żywe trupy - myślał Nicholls. - Po prostu żywe trupy. Dlaczego się nie położą?

Powoli wszyscy zauważyli obecność dowódcy. Podnosili się, z trudem prostowali plecy, zbyt wyczerpani, aby dziwić się czemukolwiek.

- Nie przeszkadzajcie sobie - szybko powiedział Vallery. - Gdzie dowódca?

- Na rozkaz. - Barczysta postać w kombinezonie wysunęła się naprzód.

- Gardiner? - Wskazał ręką ludzi przy windzie. - Co oni robią?
- Lód - zwięźle odparł zapytany. - Musimy miesić wodę, bo zamarźnie. W magazynie amunicyjnym nie może być lodu na podłodze.
- Nie, oczywiście, że nie! Ale pompy, ścieki?...
- Zamarzły!
- Chyba nie pracujecie tak bez przerwy?
- Gdy nie rzuca - bez przerwy.
- Dobry Boże! - Vallery z niedowierzaniem pokręcił głową, podszedł do młodziutkiego marynarza w środku grupy, który kasłał boleśnie, zasłaniając usta pasiastym biało-zielonym szalem.
- Położył dłoń na wstrząsanych kaszlem plecach. - Jesteś chory, chłopcze?
- Nie, panie kapitanie. Skądże! - Podniósł chudą, bladą, wykrzywioną bólem twarz. - Jestem zdrow - dodał obrażony.
- Jak się nazywasz?
- McQuarter, panie kapitanie.
- Jaka specjalność?
- Pomocnik kucharza.
- Ile masz lat?
- Osiemnaście.
- Miłosierne nieba! - pomyślał Vallery. - Chyba dowodzę nie krążownikiem, lecz przedszkolem!
- Z Glasgow, co? - uśmiechnął się.
- Tak jest, panie kapitanie.
- To widać - spojrzał na buty chłopca, do połowy zanurzone w wodzie. - Dlaczego nie włożyłeś „kotwic”?
- Nie przysługują nam...
- Lecz twoje nogi... na pewno przemoczone...
- Nie wiem, panie kapitanie. Chyba tak. No pewnie - odparł McQuarter. - To nieważne. I tak ich nie

czuję...

Val ery tracił panowanie. Nicholls patrzył na niego i zastanawiał się, czy kapitan zdaje sobie sprawę z tego, jakie przerażające i patetyczne zarazem robi wrażenie. Błede zapadłe policzki, zaczerwienione oczy, usta i nos ze śladami krwi; a w prawej rękawicy zaciśnięta brudna, poplamiona serwetka. Nagle Nicholls poczuł wstyd. To wszystko nigdy nie przyszło na myśl kapitanowi.

Val ery uśmiechnął się do McQuartera.

- Powiedz mi, synku, ale szczerze: zmęczonyś?

1 Kotwice - w gwarze morskiej: wysokie buty gumowe (przyp. tłum.).

85

- O tak... to jest... tak jest, panie kapitanie!

- Ja też - przyznał Val ery. - Ale wytrzymasz jeszcze trochę? - Poczul, jak delikatnie barki prężą się pod jego dłonią.

- Tak jest, wytrzymam, panie kapitanie - odparł chłopak urażonym tonem, prawie srogo. - No pewnie, że wytrzymam.

Wzrok Vallery'ego błędził po ludziach, a czarne oczy zabłysły, gdy usłyszał pomruk potwierdzający zapewnienie McQuartera. Kapitan chciał coś powiedzieć, lecz przeszkodził mu gwałtowny atak kaszlu.

Schylił głowę. Jednak szybko podniósł wzrok, spojrział jeszcze raz na zaniepokojone twarze i odwrócił się gwałtownie.

- Nie zapomnimy o was - mruknął niewyraźnie. - Przyrzekam, że nie zapomnimy.

Rozchlapując wodę wyszedł z kałuży i zanurzył w cień na szczeblach trapu. Po dziesięciu minutach opuścił wieżę „Y”. Niebo tej nocy było bezchmurne, jasne, błyskające diamentami gwiazd -

małe iskierki zastygłego ognia na ciemnym aksamicie bezmiernego kobierca. Mróz był siarczysty.

Kapitan Val ery zadrżał, gdy za plecami zatrzasnęły się pancerne drzwi wieży.

- Hartley?

- Na rozkaz, panie kapitanie!

- Czulem tam zapach rumu!

- Tak jest. Ja też. - Starszy bosman zachowywał się wesoło, swobodnie. - Dobrze nim zajechało. Ale niech się pan nie martwi. Połowa ludzi na okręcie zbiera swoje porcje na wypadek alarmu.

- To jest sprzeczne z regulaminem, szefie. Wiecie o tym tak dobrze, jak ja.

- Tak jest. Wiem. Lecz to nic nie szkodzi. To ich rozgrzewa, a jeśli przy tym dodaje pierońskiej odwagi, to tym lepiej. Czy pan pamięta tę noc, gdy przedni pom-pom zwałił dwa stukasy?

- Oczywiście.

- Chłopcy byli zalani w dechę. Inaczej nic by nie działo... Panie kapitanie, oni potrzebują tego...

- Przypuśćmy, że macie rację, szefie. Piją, a ja nie ganię - kasznął. - Nie martw się, że wiem o tym. Zawsze wiedziałem. Ale tam pachniało jak w barze...

Wspięli się do wieży „X”, obsługiwanej przez piechotę morską. Stamtąd zeszli do magazynu amunicyjnego. Gdziekolwiek się zjawiali, po wizycie kapitana ludzie czuli się różniej.

Kapitan Val ery posiadał trudny do określenia a niezwykły dar podnoszenia ludzi na duchu, wydobywania ukrytej energii, o której oni sami nie wiedzieli. Pod jego wpływem otępienie, apatia i zrezygnowanie ustępowały miejsca rozsądnemu działaniu, chociaż nie sposób było pojąć, jak to się działo. Nicholls przecież wiedział, że ludzie już dawno przekroczyli granicę wytrzymałości fizycznej i psychicznej, i proces ten uważał za nieodwracalny.

Nieśmiało próbował zaobserwować i zbadać technikę postępowania kapitana. Lecz przy każdym spotkaniu Vallery postępował inaczej. Zależnie od warunków i stanu, w jakim zastał grupę załogi, podchodził do niej całkowicie inaczej niż w innych wypadkach. Reagował bezpośrednio, naturalnie i bez namysłu. Nie było w tym żadnej techniki. Może wzbudzał wśród marynarzy litość, może głęboki szacunek dla wysiłków człowieka stojącego nad grobem? A może był to wstyd, że on może się na ten wysiłek zdobyć, a oni nie. Że jeśli on (a grozi mu to śmiercią) potrafi zmusić swe zniszczone, półżywe ciało do tego, aby przyjść i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i uśmiechnąć się przy tym - to oni, na Boga! również wszystko potrafią.

Tak rozmyślał Nicholls i wstydził się tego. Wydało się mu, że oszukuje sam siebie. Był zbyt zmęczony, aby myśleć logicznie. Mózg owijała mgła, myśli plątały się, nie poddawały woli. Tak było ze wszystkimi. Nawet Andy Carpenter, którego nigdy by o to nie posądzał, czuł to samo i przyznawał

się do tego... Zastanawiał się, jakie byłoby zdanie Kapok-Kida na ten temat... Kid prawdopodobnie również rozmyślał, lecz na swój sposób: zapewne bujał marzeniami gdzieś nad brzegami Tamizy.

Nichol s zastanawiał się, jaka jest owa dziewczyna z Henley. Osobiście wyhaftowała złote

„J” (pierwszą literę swego imienia) na piersi kapokowego kombinezonu. Joan? Jean? Ale jak wygląda? Blondynka, wesoła jak Kid? A może ciemnowłosa, uprzejma i delikatna jak sam Franciszek z Asyżu? Święty Franciszek? Skąd mu to przyszło na myśl? Aha... Stary Sokrates gadał o nim. Czy to nie ten, o którym Axel Munthe...

- Nicholls! Co panu jest? - ostrym, pełnym niepokoju głosem spytał Vallery.

- Na rozkaz, panie kapitanie. - Nicholls potrząsnął głową, jakby chciał strząsnąć myśli. -

Zagapiłem się. Dokąd pan rozkaże teraz, panie kapitanie?

- Do mechaników, do oddziałów awaryjnych, do centrali tablic rozdzielczych, do trzeciej hall generatorów niskiego napięcia... Nie, oczywiście, że nie! Zniszczona. Tam zginął Noyes, prawda?...

Hartley! Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś pozwolił mi dotknąć stopami pokładu... chociaż od czasu do czasu...

Zajrzeli do tych wszystkich pomieszczeń i jeszcze do kilkunastu innych. Val ery nie ominął

nawet najdalszych zakamarków, gdzie pracowali ludzie, nawet tych, do których trudno było dotrzeć.

Wreszcie dobrnęli do maszyn kotłowni. Minęli izolujące komory powietrzne i wpadli w dławiący żar.

W kotłowni „A” Nichol s uprosił kapitana, aby odpoczął chwilę. Vallery był szary z wysiłku i osłabienia, oddychał nierówno. Nicholls zauważył, że Hartley rozmawiał z kimś w kącie pomieszczenia i że ktoś nagle opuścił kotłownię. Kątem oka dostrzegł masywną figurę palacza, który przyniósł składane krzesło i postawił je z trzaskiem za kapitanem.

- Krzesło - burknął.

- Dziękuję, dziękuję. - Vallery usiadł i nagle zdziwił się. - Riley? - szepnął i przeniósł wzrok na szefa palaczy Hendry'ego. - Wypełnia obowiązki całkiem bez wdzięku, prawda?

Hendry poruszył się zażenowany.

- Sam wpadł na ten pomysł, panie kapitanie.

- Przepraszam - szczerze odparł Val ery. - Wybacz mi, Riley. Bardzo ci dziękuję! - patrzył na niego z niedowierzaniem i podziwem, znów zerknął na Hendry'ego, unosząc pytająco brwi.

Hendry kiwnął głową.

- Panie kapitanie, niech mnie szlag trafi! Nie miałem pojęcia, że tak postąpi... To dziwak. Mógłby zgiąć na swoim łbie ołowianą rurę i nie mrugnąłby okiem - a jest maniakiem... stale pielęgnuje jakieś kocięta i przetrącone psy. A jeśli by pan podniósł ptaka ze złamanym skrzydłem, Riley poszedłby za panem w piekło.

Val ery przytaknął wolniutko, bez słowa. Opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy. Nicholls pochylił się nad nim.

- Panie kapitanie, a może tak dać już spokój? Mówię szczerze, że pan popełnia samobójstwo.

Czy nie możemy skończyć innym razem?

- Obawiam się, że nie. - Val ery był bardzo spokojny. - Nie rozumiesz tego. „Innym razem” może być za późno. Więc, szefie, uważacie, że dacie radę? - zwrócił się do Hendry'ego.

- Niech się pan nie martwi, panie kapitanie. - Miękki dewoński akcent dźwięczał smutno, a zarazem ciepło. - Niech pan tylko uważa na swoje zdrowie. Palacze nie nawalą.

Val ery z trudem wstał i leciutko dotknął jego ramienia.

- Wiecie co, szefie, nigdy nie myślałem, że wy... Hartley, gotowe? - urwał, widząc u drzwi otulonego w wachtowy płaszcz olbrzyma. - A to znów kto? Aha! Nie wiedziałem, że i palaczom bywa zimno. - Uśmiechnął się.

- To Petersen - cicho wyjaśnił Hartley. - Idzie z nami.

- Kto kazał? Petersen, Petersen? Czy to nie ten...

- Tak jest. Adiutant Riley'a w Scapa... a kazał pan komandor Brooks. Petersen ma nam pomóc.

- Nam? Chyba raczej mnie, co? - W uwadze kapitana nie było niezadowolenia ani pretensji. -

Radzę wam, Hartley, unikać lekarzy... Uważasz, że z tym... o... bezpiecznie? - dodał żartobliwie, wskazując wzrokiem Petersena.

- Zabiłby każdego, kto śmiałyby krzywo spojrzeć na pana - spokojnie stwierdził Hartley. - To dobry chłop. Prostack; łatwo da się wodzić za nos, ale dobry.

U stóp trapu Petersen odsunął się na bok, aby zrobić przejście. Vallery stanął i spojrzał w górę na sterczącego sześć cali ponad nim Petersena, zajrzał w ponure, niebieskie oczy, zerkające spod konopnej czupryny.

- Halo, Petersen! Hartley powiada, że idziesz z nami. Naprawdę masz ochotę? Nie musisz, wiesz o tym!

- Panie kapitanie, proszę... - olbrzym mówił powoli, dokładnie wymawiając słowa; twarz jego miała wyraz dziwnie uroczysty i nieszczęśliwy. - Ja bardzo żałuję za tamte zajścia...

87

- Nie, nie! - natychmiast zareagował Val ery. - Źle mnie zrozumiałeś. Na pokładzie jest straszliwie zimno, ale bardzo bym chciał, żebyś mi towarzyszył. Pójdiesz?

Petersen wlepił w niego oczy, powoli zaczął się uśmiechać i aż pojaśniał z zadowolenia. Gdy kapitan postawił nogę na pierwszym stopniu, objęło go ramię olbrzyma. Vallery opowiadał później, że miał wrażenie, jakby jechał windą.

Z kotłowni przeszli do komandora inżyniera Dodsona. W maszynowni witał ich wesoły, pełen radości życia i zawodowej pewności siebie gospodarz - inżynier aż po czubki włosów, duchem i

ciałem związany z potężnymi turbinami. Dalej wędrowali po pomieszczeniach mechaników, korytarzami obok zniszczonego biura policyjnego na górny pokład. Gwałtowne przejście z kotłowni na otwarte powietrze, olbrzymia różnica temperatur wywołała taki wstrząs, że trudno było chwytać oddech. Mróz zaciskał łapę na gardle, przenikał ciała ludzi, a „arktyczne ubrania” nie osłaniały przed jego paralizującym działaniem.

Wyrzutnie torpedowe prawej burty - jedyne gotowe do użytku - stały nie dalej niż o cztery kroki.

Z łatwością znaleźli ich obsługę. Tupąła zmarzniętymi nogami, ukryta za ścianką magazynu bosmańskiego, uszkodzonego pociskiem z „Blue Rangera”.

Val ery zajrzał w mroczny kąt.

- Starszy torpedysta?

- Na rozkaz. Czy to pan kapitan? - w głosie brzmiało zaskoczenie i niepewność.

- Tak. Jak tam idzie?

- W porządku - głos nadal był niepewny i pełen wahania. - Obawiam się, że Smith straci stopę.

Odmrożenie, panie kapitanie.

- Zabrać go na pokład. Natychmiast! Zorganizować w obsłudze dziesięciominutowe wachty.

Jeden tu, przy telefonie, czterech pozostałych w pomieszczeniu mechaników. Od razu! Zrozumiano?

Spieszył dalej, aby uniknąć podziękowań. Zawadził o magazyn torpedowy, gdzie mieściły się również butle ze sprężonym powietrzem, i weszli na pokład szalupowy. Vallery stanął na chwilę, jedną rękę opierając na windzie, a drugą przytykając do ust pokrwawiony, zeszywniały już na mrozie szal. Po obu burtach „Ulissesa” dostrzegł pękate cienie frachtowców. Ledwie widoczne maszty zataczały się leniwie pod gwiazdami w rytm kołysania lekkiej fali. Kapitanem wstrząsnęły dreszcze.

Mocniej otulił twarz szalem. Ależ mróz! Ruszył naprzód, ciężko wsparty na ramieniu Petersena.

Czterocalowa warstwa śniegu tłumiła odgłos kroków. Cicho podszedł do stanowiska oerlikona.

Położył rękę na ramieniu celowniczego, który otulony w płaszcz kulił się na stanowisku.

- Celowniczy, wszystko w porządku?

Cisza. Wydało się, że marynarz drgnął, posunął się do przodu i zamarł.

- Pytam, czy wszystko w porządku - głos Vallery'ego zabrzmiał mocniej. - Potrząsnął strzelcem i niecierpliwie spojrział na Hartleya. - Szefie, zasnął na stanowisku bojowym! Wszyscy ledwie żyjemy z braku snu, wiem o tym. Lecz ci spod pokładu polegają na nim. Tu nie ma tłumaczeń. Zapisać nazwisko.

- Zapisać nazwisko - jak ciche echo powtórzył Nicholls i pochylił się nad strzelcem. Wiedział, że nie powinien być mówić w ten sposób, lecz nie wytrzymał. - Zapisać nazwisko - powtórzył. - Po co?

Chyba nazwisko najbliższej rodziny! On nie żyje!

Znów zaczął sypać śnieg. Zimny, wilgotny, puszysty. Powiał wiatr. Val ery poczuł, jak pierwsze lodowate płatki, niewidoczne w ciemnościach, musnęły jego policzki. Usłyszał, jak wysoko w takielunku wiatr wyje żałośnie, tęsknie... Zadrzał.

- Ogrzewacz nawalił - meldował zmęczony Hartley. - Oerlikony mają grzejniki wmontowane z boku osłony celowniczego. Strzelcy godzinami tulą się do nich... Obawiam się, że nawaliły korki...

Tysiące razy ostrzegano chłopców przed tym...

- Boże, Boże! - Val ery potrząsnął głową. Poczul się stary i bardzo zmęczony. - Taka głupia, bezużyteczna śmierć... Hartley, niech go zabiorą do kantyny.

- Lepiej nie, panie kapitanie - wtrącił Nicholls. - Niech pan poczeka tutaj. W wypadku zamarznięcia, kiedy szybko występuje *rigor mortis*... no, lepiej niech na razie zostanie na miejscu.

Val ery kiwnięciem głowy wyraził zgodę i odszedł ociężale. Jednocześnie ożywił się głośnik na pokładzie i brutalnym, świętokradczym głosem naruszył mroźną ciszę nocy.

- Uwaga, uwaga! Dowódca... zawiadomić dowódcę, aby natychmiast skontaktował się z mostkiem... Wezwanie powtórzono trzykrotnie, po czym głośnik zamilkł.

88

- Gdzie najbliższy telefon, szefie? - zawołał Vallery.

- Tu. - Bosman zwrócił się do oerlikona, z głowy martwego strzelca zdjął słuchawki, a z piersi mikrofon. - Jeśli wieża celownika przeciwlotniczego ma obsługę...

- Ma resztki...

- Wieża... Dowódca będzie rozmawiał z mostkiem. Dać połączenie...

- Podał kapitanowi słuchawki i mikrofon. - Gotowe.

- Dziękuję. Mostek? Tak, mówi... tak, tak... Bardzo dobrze. Wyznaczyć „Sirusa”... Nie...

Komandorze... i tak nic nie mogę... Po prostu utrzymać szyk. To wszystko. - Oddał telefon Hartleyowi. - „Viking” uchwycił kontakt - rzekł krótko. - Czerwone dziewięćdziesiąt.

- Zawrócił, popatrzył na czarne morze, zdał sobie sprawę z bezcelowości jakiegokolwiek akcji.

Wstrząsały nim dreszcze. - Poszedł tam „Sirus”. Chodźmy.

Inspekcję pokładu szalupowego zakończyła wizyta na stanowiskach pom-pomów śródokręcia.

Wszyscy ludzie z obsługi wraz z dowódcą - brodatym Doyle'em - przemarli do szpiku kości.

Nie szczędząc siarczystych słówek pod adresem pogody, zbiegli na główny pokład.

Val ery już nie protestował przeciwko pomocy Petersena. Błogosławił ją. Błogosławił Brooksa za jego przezorność i troskliwość. Wzruszyła go niespotykana delikatność i rozważa wielkiego Norwega, który - gdy mijali jakąś grupkę ludzi lub gdy kapitan zatrzymywał się, aby zamienić parę słów -

puszczał jego ramię.

Gdy Vallery i Nicholls, ukryci w nadbudówce koło kuchni, czekali aż Hartley i Petersen odsuną zasuwę wjazdu wiodącego do mesy palaczy, usłyszeli wybuch bomb głębinowych. Cztery stłumione uderzenia odbiły się echem od burt „Ulissesa”. Przy pierwszym wybuchu Vallery zaczął nasłuchiwać z napiętą uwagą. Wzrok utkwiał w przestrzeni. Był to odruch z dawno minionych czasów, gdy uszy nieraz musiały zastępować wszystkie inne zmysły. Przez chwilę wahał się, wzruszył ramionami; wreszcie opuścił rękę, aby pomóc sobie przy przechodzeniu przez obramowanie wjazdu. I tak nic by nie działał...

Pośrodku mesy palaczy był jeszcze jeden luk. Otworzono go również. Trap wiódł do sterówki, która na większości nowoczesnych okrętów wojennych umieszczona jest daleko od mostka, głęboko we wnętrzu pod osłoną płyt pancernych. Vallery przez chwilę cicho rozmawiał ze sternikiem, a przez ten czas Petersen otwierał następny ciężki luk (czterysta pięćdziesiąt funtów stali z przeciwwagą).

Właz prowadził do samego dna „Ulissesa” - do centrali elektronowych przeliczników i przekaźników i drugiej hali generatorów niskiego napięcia. Ta hala to właśnie powikłany, tajemniczy labirynt, w którym wzrok się gubi i słuch zawodzi. Na każdej ścianie usianej dziesiątkami przełączników, kontaktów, oporników tkwiły równe szeregi bezpieczników - tysiące drobiazgów, których skomplikowanego układu nie może pojąć niewprawne oko. Niepojęte dla laika jest również działanie i przeznaczenie dziesiątków generatorów. Ich przenikliwe, wysokie zawrodo szarpało nerwy.

Nicholls stanął u stóp trapu i ciarki przebiegły mu po plecach. To niedobre miejsce. Jakże łatwo pod wpływem nieustannego huk i szumu nerwy i mózg mogą odmówić posłuszeństwa.

Na wachcie było tylko dwóch ludzi: podoficer elektryk i jego pomocnik. Pochyleni nad wielkim żyroskopem Sperry'ego regulowali skomplikowane urządzenie głównego kompasu. Spojrzeli na wchodzących. Zdumienie, a potem radosny uśmiech, który rozjaśnił ich twarze, nie zdołały ukryć wyrazu zmęczenia. Vallery zamienił z elektrykami zaledwie parę słów - trudno rozmawiać wśród jazgotu maszyn - i ruszył do centrali elektronowych przekaźników.

Z ręką na klamce drzwi zamarł w bezruchu. Całkiem blisko, najwyżej ze dwa kable od

„Ulissesa”, rozległy się nowe wybuchy bomb głębinowych. Odgadli to tylko dzięki doświadczeniu.

Głęboko w sercu opancerzonego okrętu nie czuje się siły wybuchów, nie słyszy grzmotu wyrzuconego

w górę gejzeru wody. Słysząc tylko silny, metaliczny dźwięk, jakby jakiś olbrzym uderzył w burtę potężnym młotem.

Po serii prawie natychmiast nastąpiły dwa wybuchy. „Ulisses” jeszcze drżał po drugim z nich, gdy kapitan nacisnął klamkę. Hartley i Nicholls poszli za nim, a Petersen cicho zamknął drzwi. Hałas motorów elektrycznych został za nimi. Znaleźli się w martwej ciszy centrali przekaźników.

Centrala przekaźników jest sercem okrętu. Ściany, podobnie jak w hall generatorów, pokryte są szeregami bezpieczników, ale centralne miejsce zajmują dwa wielkie stoły - przeliczniki elektronowe zajmujące połowę pomieszczenia. Są one głównym ogniwem łączącym centralne celowniki z wieżami artyleryjskimi. Zwykle panuje tu pełna napięcia praca, lecz teraz, gdy centralne celowniki 89

zostały prawie doszczętnie zniszczone, hala była nienaturalnie cicha. Przy stołach siedziało zaledwie ośmiu marynarzy i oficer.

Pomimo rozwieszonych wokół napisów „palenie wzbronione” - powietrze było sine od dymu, który zwisał gęstą, nieruchomą chmurą pod sufitem. Z papierosów płynęły zwichrowane strużki dymu, jakby podpierając tę chmurę.

Ludzie siedzieli w całkowitym bezruchu, w martwej, napiętej ciszy. Wydawało się, że jedynie dymiące papierosy były jakimś wykładnikiem życia.

Nicholls z uczuciem dziwnej ciekawości spojrzął na najbliższego marynarza. Chudy ciemnowłosy człowieczek siedział pochylony opierając łokcie na stole. W palcach ścisnął papierosa.

Trzymał go zaledwie parę centymetrów od półotwartych ust. Dymek zwijał się, przepływał przed zamyślonymi, nic nie widzącymi, niewrażliwymi na gryzący dym oczyma.

Nie strząśnięty popiół długości pół papierosa opadł własnym ciężarem. Nicholls zastanawiał się, jak długo ten człowiek siedział w bezruchu, w całkowitym odrętwieniu, i po co?

Oczywiście, czekał. To było całkiem wyraźne oczekiwanie. Czekać, po prostu czekać! Na co?

Po raz pierwszy Nicholls pojął, pojął zupełnie jasno sens tego oczekiwania. Napięte jak struny nerwy, napięte ponad wszelką ludzką wytrzymałość, tak że nawet nie mogły zadrzeć, zanim pękną, czekały na uderzenie torpedy, która wszystko przeniesie w nicość. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, dlaczego marynarze, chociaż z pewnością mogli się czegoś ucześcić, nigdy nie żartują na temat centrali przekaźników. Pułapka śmierci nie może być śmieszna. Centrala mieści się dwadzieścia stóp pod powierzchnią wody. Przed nią znajduje się magazyn amunicyjny „B”, a za nią kotłownia „A”; z boków zbiorniki paliwa, a pod podłogą tylko niczym nie osłonięte dno okrętu - ulubiony cel akustycznych min i torped. Załoga była jak w pułapce, zewsząd otoczona żywiołami i grozą śmierci.

Byle drobiazg mógł decydować o życiu i śmierci. Tylko nad sobą mieli szansę ratunku, jedną na tysiąc... liczne luki włazów, które, gdy okrętem wstrząśnie wybuch, mogą się zadać, zablokować.

Poza tym luki były specjalnie ciężkie, żeby w razie niebezpieczeństwa nie otworzyły się same; aby mogły odizolować zalane wodą dolne komory statku. Załoga centrali wiedziała o tym.

- Dobry wieczór. Wszystko w porządku? - Choć Vallery mówił cicho i spokojnie jak zwykle, słowa zabrzmiały nienaturalnie głośno.

Zwróciły się ku niemu zaskoczone, blade i znużone twarze; oczy były szeroko otwarte ze zdziwienia. Nichol s domyślił się, że wejście dowódcy zagłuszyły bomby głębinowe.

- Nie ma co się martwić z powodu tych hałasów w morzu - uspokajająco mówił Vallery. - To jakaś zabłąkana łódź podwodna. Już tam „Sirus” ją pogoni. Możecie dziękować gwiazdom, że jesteście tu, a nie w tamtej łodzi.

Nikt się nie odezwał. Nicholls zauważył, że marynarze spoglądali to na kapitana, to na zakazane papierosy. Zrozumiał, jak się czuli przyłapani na gorącym uczynku.

- Brierley! Czy są jakieś meldunki z wieży? - spytał oficera. Wydawało się, że nie zauważył napięcia.

- Nie, panie kapitanie. Żadnych. Na górze cisza...

- Świetnie! - Vallery wyjął z kieszeni papierośnicę i wyciągnął ją do Brierleya. - Pali pan? A ty, Nicholls? - Wziął papierosa i jakby nigdy nic sięgnął po zapalki, leżące przed jednym z marynarzy.

Udał, że nie widzi, jak bardzo go tym zaskoczył. Marynarz opuścił ramiona w bezgłośnym westchnieniu ulgi.

Grzmoty nowych wybuchów zagłuszyły skrzypienie luku, zagłuszyły chrapliwy kaszel kapitana.

Gdy ustało dźwięczne drżenie burt, kapitan podniósł zatroskany wzrok.

- Czy tu zawsze tak huczy? Brierley uśmiechnął się nieśmiało.

- Prawie zawsze. Często jednak jeszcze głośniejsze.

Val ery popatrzył na marynarzy i ruchem głowy wskazał przednią grodz.

- Tam jest magazyn amunicyjny „B”?

- Tak jest.

- I śliczniutkie zbiorniki z ropą wokół?

Brierley przytaknął. Wszyscy wlepili oczy w kapitana.

- Mówiąc szczerze wolę swoją robotę... waszej nie chciałbym za żadne skarby... Nicholls, chyba

posiedzimy tu trochę. Popalimy w spokoju. A poza tym - dodał z uśmiechem - pomyśl, z jakim zapałem będziemy dziękowali Bogu, gdy stąd wyjdziemy!

90

Przez pięć minut rozmawiał cicho z Brierleyem i jego ludźmi. Wreszcie zdusił niedopałek, pożegnał się i ruszył ku drzwiom.

- Panie kapitanie - zatrzymał go głos czarniawego marynarza, od którego przed chwilą brał zapałki.

- O co chodzi?

- Czy mogę dać... to... - marynarz trzymał w ręku czysty, bielutki ręcznik. - Ten, który pan ma, jest... no... to jest...

- Dziękuję - Vallery bez wahania przyjął ręcznik. - Bardzo dziękuję. Pomimo pomocy Petersena długa wspinaczka na górny pokład wyczerpała Vallery'ego. Ledwie powłóczył nogami.

- Panie kapitanie, to przecież szaleństwo! - rozpaczliwie niepokoił się Nichol s. - Przepraszam, ale... proszę zobaczyć się z komandorem Brooksem. Proszę!

- Oczywiście, zrobię to - odpowiedzią był ochrypły szept. - To najbliższe zadanie... - Weszli do izby chorych. Vallery uparł się, że będzie rozmawiał z Brooksem w cztery oczy. Gdy po pewnym czasie wyszedł z gabinetu zabiegowego, wyglądał jakby bardziej świeżo, ruszał się zwawiej.

Uśmiechali się razem z Brooksem. Po odejściu kapitana Nicholls został na chwilę.

- Dał mu pan coś? - spytał komandora Brooksa. - Jak Boga kocham, ten człowiek sam się zabija!

- Tak, dostał lekarstwo, ale tylko kropelkę - Brooks uśmiechnął się łagodnie. - Wiem, że się zabija, i on to wie. Lecz on wie dlaczego, i ja wiem dlaczego. Co tam! Grunt, że czuje się lepiej. Nie martw się, Johnny.

Nichol s czekał u stóp trapu tuż obok izby chorych, aż kapitan wróci z centrali telefonicznej i pierwszej hall generatorów niskiego napięcia. Zrobił przejście, gdy grupa kapitana przełaziła przez obramowanie wjazdu. Vallery wziął go pod rękę i pociągnął w stronę kabiny torpedowej, uprzejmie potakując idącemu obok podporucznikowi Carslake'owi, który nominalnie był dowódcą oddziału awaryjnego. Carslake z obandażowaną twarzą spoglądał dzikim wzrokiem, gapił się, jakby nikogo nie poznawał. Vallery pokręcił głową i zwrócił się z uśmiechem do Nichollsa:

- Izba lekarska odbyła tajne posiedzenie, co? - spytał. - Nie zwracaj sobie głowy i nie martw się. To ja powinienem się martwić.

- Naprawdę, panie kapitanie? Dlaczego? Vallery znów pokręcił głową.

- Rum w wieżach artyleryjskich, papierosy w centrali przekaźników, a na dodatek świetna stara whisky w butelce z „lizolem”... Myślałem, że komandor Brooks postanowił mnie otruć - cóż to za chwalebna śmierć! Wódzia była świetna, a naczelny lekarz przeprosza pana, że włamał się do pana prywatnych zapasów.

Nichol s piekł raka, bąknął coś niby przepaszając, lecz Val ery osadził go...

- Nie myśl o tym, chłopcze! Czy to ważne? Zastanawiam się, jakie będzie następne odkrycie.

Palarnia opium w pomieszczeniu windy kotwicznej czy może dansing z dziewczętami w wieży „B”?

Lecz nie znaleźli nic prócz chłodu, nędzy i dręczącego wyczerpania. Jak zwykle Nicholls widział, że zostawiają - lub raczej Vallery pozostawia ludzi w najlepszym nastroju. Zdał sobie sprawę, że za to sam kapitan czuł się coraz gorzej. Nogi miał jak z gumy, a nieustające dreszcze wyczerpały go ostatecznie. Młody lekarz nie miał pojęcia, skąd Val ery czerpie siły. Nawet Petersen osłabł, i to nie dlatego, że prawie niósł kapitana, ale ponieważ stale otwierał i zamykał zamrożone drzwi i luki.

Nichol s dysząc ciężko oparł się o grodzie i odpoczywał po złączeniu do magazynów amunicyjnych wieży „A”. Pełne nadziei spojrzenie skierował na kapitana. Vallery spostrzegł to, zrozumiał i z uśmiechem pokręcił głową.

- Prawie skończyliśmy, chłopcze. Jeszcze tylko komora windy kotwicznej. Mam nadzieję, że nie ma tam nikogo, ale możemy zajrzeć po drodze.

Szli powolutku wokół masywnych mechanizmów windy. Minęli magazyn akumulatorów, warsztaty żaglomistrza i elektryków, cele aresztu i dotarli na sam dziób do składu farb. Vallery wyciągnął rękę, symbolicznie dotykając drzwi, uśmiechnął się z wyrazem znużenia na twarzy i zawrócił. Mijając drzwi aresztu, zajrzał przez judasza. Stał jak wryty.

- Ralston! Cóż ty tu robisz? - krzyknął.

Marynarz uśmiechnął się obojętnie. I przez grube szkło można było dostrzec, że uśmiech nawet nie tknął niebieskich oczu.

Ralston gestem wskazał kraty i tłumaczył, że nic nie słyszy. Vallery niecierpliwie odsunął grubą 91 szybę judasza.

- Co tu robisz? - wołał. Nad pałającymi oczyma groźnie nasrożyły się brwi. - W areszcie?

Teraz? Gadajże, człowieku! Mów!

Nichol s ze zdziwieniem spoglądał na kapitana. Stary złości się! To niesłychane! Uznał, że nie chciałby stanąć na drodze rozwścieczonego kapitana Vallery'ego.

- Zostałem zamknięty, panie kapitanie - meldował niewinnie Ralston, lecz ton jego słów mówił: Cóż za głupie pytanie? Val ery oblał się rumieńcem.

- Kiedy?

- Dziś rano, o dziesiątej trzydzieści.

- Kto cię zamknął?

- Profos, panie kapitanie.

- Na czyj rozkaz? - gwałtownie spytał Val ery.

Ralston przez chwilę patrzył na niego bez słowa. Był spokojny.

- Na pański, panie kapitanie!

- Na mój? - Val ery patrzył z niedowierzaniem. - Nie kazałem cię zamykać!

- Pan kapitan nie powiedział tego profosowi - gładko odparł Ralston. Vallery zrozumiał. To przeoczenie, brak przezorności, było jego winą. A to bolało.

- Gdzie jest twoje stanowisko alarmowe? - spytał ostro.

- Lewe wyrzutnie torpedowe.

Teraz Vallery zrozumiał, dlaczego tylko obsługi prawych wyrzutni były na stanowiskach.

- A dlaczego pozostawałeś tu podczas alarmu? Czy wiesz, że to zakazane, sprzeczne z regulaminem?

- Tak jest, panie kapitanie. - Na twarz Ralstona znów wypełznął uśmiezek. - Wiem o tym. Ale czy pan profos też wie? - Na moment przerwał, znów uśmiechnął się i dodał: - A może po prostu zapomniał?

- Hartley! - Vallery znów był spokojny, lecz choć mówił cicho, głos brzmiał groźnie. -

Natychmiast zawołać profosa! Niech nie zapomni kluczy! - zakaszłał, otarł z ust krew i spojrzał na Ralstona.

- Przykro mi, chłopcze - powiedział wolniutko - naprawdę przykro.

- Co jest ze zbiornikowcem? - cicho spytał Ralston.

- Co? Co mówisz? - Vallery nie był przygotowany na tak niespodziewaną zmianę tematu. - Jaki zbiornikowiec?

- Ten uszkodzony dziś rano, panie kapitanie!

- Trzyma się nas. - Val ery nie rozumiał, o co chodzi. - Trzyma się nas, tylko osiadł głębiej.

Dlaczego pytasz?

- Po prostu jestem ciekaw - na twarzy Ralstona zabłysnął uśmiech, tym razem prawdziwy. -

Widzi pan, panie...

Głuchy huk rozdarł nocną ciszę. Podmuchał „Ulissesa” na prawą burtę. Val ery zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie silne ramię Petersena. Kapitan oparł się mocniej, gdyż krążownik zakołysał się przy powstawaniu z przechyłu. Spojrzał z przerażeniem na Nichollsa. Wiedział, co znaczy ten huk. Nicholls odpowiedział spojrzeniem, mając pretensję do losu, że nie zaoszczędził nowej troski umierającemu.

- Obawiam się, że ma pan rację. Torpeda. Ktoś dostał prezent.

- Uwaga, uwaga! - przeraźliwie wołał głośnik. - Kapitan proszony na mostek. Pilne! Kapitan proszony na mostek! Pilne!

92

ROZDZIAŁ XI

Piątek wieczorem

Zgięty we dwoje kapitan Vallery kurczowo ścisnął poręcz trapu prowadzącego na przedni pokład. Rozpaczliwie usiłował dojrzeć cokolwiek w ciemnościach, lecz widział tylko czarną przestrzeń. Mgła - ciemna, wirująca i huczająca mgła - spowijała jego mózg, przed oczyma migotały oślepiające błyski; czuł, że nagle oślepl. Spazmatycznie chwycił powietrze, które rozrywało storturowane płuca. Dolne żebra ścisnęła jakby żelazna obręcz, ścisnęła z druzgocącą siłą. Zdał

sobie sprawę, że bieg od dziobu okrętu, podczas którego potykał się i zataczał, prawie go dobił.

Cholernie mało brakowało - myślał. - Na przyszłość muszę być ostrożniejszy...

Powoli odzyskiwał wzrok, lecz jasny blask nie ginął. Wielkie nieba! - przemknęło mu przez myśl

- nawet ślepiec mógłby dojrzeć to, co się działo!

Ciemna sylwetka statku - ledwie widoczna, tak że raczej trzeba było ją sobie wyobrazić -

zanurzała się głęboko w wodzie, a kolumna ognia, wysoka na setki stóp, tryskała z chmury gęstego dymu nad dziobem. Nawet z odległości pół mili ryk tego pożaru był ogłuszający. Val ery spojrzał

przerażony. Słyszał, jak stojący za nim Nicholls klnie cicho, z goryczą, bez zająknięcia. Na ramieniu poczuł dłoń Petersena.

- Czy pan kapitan życzy sobie wejść na mostek?

- Chwileczkę, Petersen, chwileczkę. Poczekaj. - Mózg kapitana znów pracował, oczy z czterdziestoletnią praktyką automatycznie omiatały horyzont. Śmieszne, zbiornikowiec „Vytura” jest ledwie widoczny, osłania go chmura dymu, ale konwój... pozostałe statki, białe jak zjawy, rysują się wyraźnie na kobaltowym tle nieba, całe skąpane w blasku pożaru. Nawet gwiazdy przybladły.

Spostrzegł, że Nichol s przerwał litanię przekleństw i mówi coś do niego.

- To zbiornikowiec! Panie kapitanie, czy nie lepiej uciekać? Pamięta pan, jak było z poprzednim?...

- Którym? - Val ery ledwie słuchał.

- Z „Cochellą”. Przed paru dniami... Tak, chyba tak... Nie, to przecież ledwie dziś rano!...

- Gdy zbiornikowiec wybucha, to... wybucha... - Myśli Vallery'ego zdawały się błędzić gdzieś daleko. - Gdy zaczynają płonąć, to mogą płonąć bardzo długo. Zbiornikowce mają twarde, bardzo twarde życie. Żyją, gdy inne statki na ich miejscu dawno poszłyby na dno.

- Lecz ten ma w burcie wyrwę prawie tak wielką jak dom - protestował Nicholls.

- To nic nie znaczy - odparł Vallery. Wydawało się, że czeka na coś, że szuka wzrokiem. - Te statki mają olbrzymi zapas pływalności. Ze dwadzieścia siedem oddzielnych zbiorników, nie licząc kofferdamów¹, komór pomp, maszynowni... Nigdy nie słyszałeś o wynalazku Nelsona? Do zbiorników ropy puszcza się sprężone powietrze i zapewnia im pływalność! Nigdy nie słyszałeś o kapitanie Dudleyu Masonie ze statku „Ohio”? Nigdyś nie słyszał o... - urwał w pół słowa, a gdy zaczął znowu, jakby otrząsnął z siebie zamyślenie. - Tak przypuszczałem! - wykrzyknął podnieconym głosem. - Tak przypuszczałem! „Vytura” płynie, nadal jest pod kontrolą. Robi chyba z piętnaście węzłów! Na mostek, szybko!

Jakaś siła poderwała kapitana Vallery'ego w górę. Dotknął pokładu dopiero na mostku, gdy Petersen postawił go przed zdumionym komandorem. Kapitan łagodnym uśmiechem odpowiedział

na zdziwienie Turnera, który wysoko uniósł krzaczaste brwi. W świetle łuny pożaru jego chuda piracka twarz wydawała się jeszcze chudsza, jakby niedbale wyrzeźbiona.

Ten człowiek urodził się chyba o czterysta lat za późno - niekonsekwentnie myślał Val ery. - Ale jak to dobrze, że jest teraz obok!

- Wszystko w porządeczku, komandorze - roześmiał się urywanie. - Brooks pomyślał, że brak mi Piętaszka. Oto palacz Petersen. Zbyt się przejął i trochę za dokładnie wykonał rozkaz... ale jakby spadł mi z nieba... Zresztą dość o mnie...

Kciukiem wskazał zbiornikowiec, który teraz świecił jeszcze jaśniej. Z trudem można było nań patrzeć, prawie jak na słońce w południe.

- Co z nim poczniemy?

¹ Kofferdamy - komory izolujące pomieszczenia mieszkalne i mesy statku od zbiorników (przyp.

- Niemcy mają wspaniałą latarnię morską. Jeśli szuka nas jakiś okręt czy samolot, jesteśmy widoczni jak na dłoni - warczał Turner. - Na dodatek możemy nadać do Trondheim naszą pozycję.

- Właśnie - przytaknął Vallery. - A przy tym tworzymy wspaniały cel dla łodzi podwodnych...

Choćby dla tej, co trafiła „Vyturę”. To niebezpieczna towarzyszka, komandorze. Zrobiła to wspaniale, prawie w zupełnych ciemnościach.

- Możliwe, że ktoś nie zamknął iluminatora. Nie mamy tylu okrętów, aby pilnować bez przerwy.

Zresztą to dla Niemca nie takie ważne. „Viking” akurat chwycił go na azdyk i siedzi mu na karku...

Posłałem go tam natychmiast...

- Tak należało - ciepło rzekł Vallery. Spojrzał na płonący statek i znów na Turnera. Twarz miał napiętą. - Musimy go zniszczyć. Czy to na pewno „Vytura”?

- Tak. Ta sama, co dostała jedną dziś rano.

- Jak nazwisko kapitana?

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał się Turner. - Pierwszy oficer, nawigator! Nie wiecie, gdzie spis konwoju?

- Nie, panie komandorze - wbrew zwyczajowi Kapok-Kid mówił niepewnie. - Miał go admirał.

Teraz chyba zagubiony...

- Na jakiej podstawie tak mówisz? - ostro spytał Vallery.

- Spicer, jego ordynans, mało nie udusił się dziś po południu. Admirał narobił takiego dymu, paląc w łazience ognisko - żałośnie zeznawał Kapok-Kid. - Admirał mówił, że pali najważniejsze dokumenty, aby nie wpadły w ręce wroga. Były to przeważnie stare gazety, ale równie dobrze mógł

tam być spis. Nie ma go nigdzie.

- Biedny stary... - Turner w porę przypomniał sobie, że mówi o admirale; ugryzł się w język i zdumiony kręcił głową. - Czy mam zapytać Fletchera na „Cape Hatteras”?

- Nie warto - niecierpliwił się Vallery. - Nie mamy czasu, Bentley, sygnalizuj do kapitana

„Vytury”: „Proszę opuścić statek. Zaraz go zatopimy!”.

Nagle Vallery zatoczył się i oparł o ramię Turnera.

- Przepraszam. Obawiam się, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, a raczej już odmówiły. -

Kwaśnym uśmiechem odpowiedział na zaniepokojone spojrzenia. - Nie mam co dłużej udawać!

Zwłaszcza że nogi podnoszą bunt. Wykończyłem się!

- Nic dziwnego, do cholery - kłął Turner. - Nie obszedłbym się tak z wściekłym psem, jak pan obchodzi się ze sobą! Panie kapitanie, proszę teraz na admirałskie krzesło. Jeśli pan nie usłucha, zawołam Petersena! - groził, widząc, że Vallery chce protestować. Jednak protest zmienił się w uśmiech i Vallery potulnie pozwolił, aby go umieszczono w fotelu. Czuł się okropnie, całkiem bez sił, całe ciało było jak jedna boląca rana. Przenikał go chłód, a jednocześnie czuł dumę i wdzięczność, że Turner nie zaproponował mu zejścia do kabiny.

Kapitan usłyszał, jak za plecami trzasnęły drzwi i rozległy się szepty. Obok stanął Turner i meldował:

- Jest profos, panie kapitanie. Czy pan go wzywał?

- Tak. - Vallery wykręcił się na fotelu; twarz miał ponurą. - Podejdźcie bliżej, Hastings.

Profos stanął przed nim na baczność. Nieprzenikniona maska jego twarzy wydała się w blasku płomieni prawie nieludzka.

- Słuchajcie uważnie - Vallery podniósł głos, aby przekrzyczeć szum pożaru; nawet taki wysiłek wyczerpywał go. - Nie mam czasu na rozmowy. Zameldujecie się rano. A teraz niezwłocznie wypuście Ralstona z celi. Potem przekazecie swoją funkcję, papiery i klucze podoficerowi sztabowemu Perretowi. Przekroczyliście zakres waszych obowiązków. To przewinienie, które można by wybaczyć. Lecz na dodatek trzymaliście człowieka pod kluczem podczas alarmu bojowego.

Aresztant zginąłby jak szczur w pułapce. Od tej chwili nie pełnicie obowiązków profosa na „Ulissesie”.

To wszystko!

Przez parę sekund Hastings trwał wyprężony, wstrząśnięty, nie wierząc w to, co słyszał. Nagle pękła żelazna obręcz dyscypliny. Zrobił krok do przodu, błagalnie uniół ręce, maska pozornego spokoju zniknęła z twarzy, odsłaniając dzikie przerażenie.

- Zwolniony z obowiązków! Zwolniony! Ależ panie kapitanie!... Pan nie może! Pan nie... - urwał, gdyż żelazna dłoń Turnera aż do bólu ścisnęła go za ramię.

- Nie odzywaj się tak do dowódcy - jedwabnym głosem szepnął mu do ucha Turner. - Słyszałeś 94 rozkaz? Odmaszerować! Za profosem trzasnęły drzwi.

- Na „Vyturze” nie stracili głowy. Założyli do aldisa czerwony filtr. Inaczej byśmy nic nie zobaczyli - powiedział Carrington tonem konwersacji.

Napięcie od razu zmalowało. Teraz wszyscy patrzyli na czerwone światełko. Migalo ze sto stóp od płomieni, lecz i tak trudno było je odczytać. Nagle sygnalizacja ustała.

- Bentley, co powiedzieli? - szybko spytał Vallery. Bentley odkaszlnął z zakłopotaniem.

- Sygnalizowali: „Czyście zwariowali? Spróbujcie, a pójdziemy na was taranem. Maszyny w porządku. Damy radę”.

Val ery na chwilę przymknął oczy. Zaczynał rozumieć, co czuł stary Giles. Gdy je otworzył, powziął już decyzję.

- Depeszować: „Narażacie na niebezpieczeństwo cały konwój. Opuścić statek natychmiast!

Powtarzam: natychmiast!”. - Potem zwrócił się do Turnera: - Zdejmuję przed nim czapkę. Jakby pan się czuł, siedząc na takim wulkanie, co może w jednej chwili wyprowadzić wszystkich do Królestwa Niebieskiego? W zbiornikach musi mieć ropę... O Boże, jak nienawidzę takiego traktowania ludzi!

- Rozumiem, panie kapitanie - szepnął Turner. - Rozumiem... Ciekaw jestem, co robi „Viking”.

Powinien był już się odezwać!

- Nadaj depeszę. Żądaj informacji. - Zerknął do tyłu, szukając wzrokiem porucznika torpedysty. -

Gdzie jest Marshal ?

- Marshall? - zdziwił się Turner. - Oczywiście w izbie chorych, nadal na liście rannych. Pamięta pan, złamał cztery żebra.

- No, tak, tak - Val ery zły sam na siebie kręcił głową. - A zastępca oficera torpedowego -

Noyes? Aha, zginął wczoraj! No, to może Vickers?

- On też był w radiolokacji.

- W radiolokacji - z wolna powtórzył Vallery. Dziwił się, czemu jego serce jeszcze bije. Już dawno minął stan, gdy kości i krew ziębną. Całe ciało było jak kawał lodu. Vallery nie wyobrażał sobie, że może istnieć takie uczucie chłodu. Dziwne - myślał - już wcale nie mam dreszczy.

- Sam się tym zajmę - przerwał jego rozmyślania Turner. - Pójdę do centrali celownika torpedowego. Niegdyś, na morzach chińskich, byłem najgorszym torpedystą. - Uśmiechnął się lekko.

- Ale może nie utraciłem tej odrobiny wprawy, jaką rozporządzałem...

- Dziękuję. - Vallery był wdzięczny za te słowa. - Niech pan to załatwi.

- Musimy go brać prawą burtą - przypomniał mu Turner. - Centrala celownika wyrzutni lewej burty została dziś rano zniszczona. Padający maszt wykończył ją do reszty... Sprawdzę kursy na [dumaresku1](#)... O Boże! - wykrzyknął i jednocześnie tak silnie zacisnął dłoń na ramieniu kapitana, że ten aż syknął. - Admirał idzie na mostek!

Nie dowierzając własnym uszom, Val ery wykręcił się na fotelu. Turner miał rację. Od drzwi szedł Tyndall, prosto do nich. W głębokim cieniu rzucanym przez burty mostku wydawało się, że sunie sam korpus. Głowę miał nie osłoniętą, skąpo pokrytą kosmykami siwych włosów. Twarz poszarzała i żałośnie zmarszczona. Opuszczone ramiona pod czarną kurtką sztormową wydawały się bardzo chude. Tylko tyle oświetlał pożar. Tyndall w milczeniu dreptał przez mostek i wyczekująco stanął obok Vallery'ego.

Kapitan, opierając się na ramieniu Tyndalla, powstał wolniutko. Tyndall popatrzył na niego bez uśmiechu, ponuro kiwnął głową i zasiadł w fotelu. Wziął z podstawki lornetę i powoli lustrował widnokrąg.

- Panie admirale, pan nie ma rękawic!

- Co? Co pan mówi? - Odłożył lornetę i bez zainteresowania spojrzał na własne pobandażowane, zakrwawione dłonie. - Ach, wie pan, cały czas miałem uczucie, że czegoś zapomniałem. To mi się zdarza już drugi raz. Dziękuję, komandorze - uśmiechnął się. Znów chwycił

lornetę i dalej badał horyzont. Vallery poczuł, jak ciarki przebiegają mu po skórze, nie miało to jednak nic wspólnego z chłodem arktycznej nocy.

Turner przez chwilę zastanawiał się bezradnie, po czym zwrócił się do Kapok-Kida.

- Nawigator! Czy to nie u ciebie w kabinie widziałem zbędną parę rękawic?

- Tak jest. Zaraz je przyniosę! - Kapok-Kid zbiegł z mostku. Turner ponownie spojrzał na admirała.

1 Dumaresk - mały stolik z siatką, na której wykreśla się kurs i wektory szybkości okrętu, celu i torped (przyp. autora).

95

- A pańska głowa? Pan jest bez czapki. Czy podać płaszcz wachtowy z kapiszonem?

- Kapiszon? - wydziwiał Tyndall. - A po cóż, u licha? Mnie nie jest zimno... Pan wybaczy, komandorze... - Zwrócił lornetę na oślepiający pożar „Vytury”. Turner nie spuszczał zeń wzroku, wreszcie spojrzał na Vallery'ego, zawahał się i ruszył w tył mostku.

Gdy Carpenter powrócił z rękawicami, zaskrzeczał głośnik:

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! Depesza z „Vikinga”. „Zgubiłem kontakt. Poszukuję nadal”.

- Zgubił kontakt! - krzyknął Val ery.

Zgubić kontakt to najgorsze, co mogło się zdarzyć! Nie wytropiona łódź podwodna swobodnie poruszała się w morzu, a FR 77 jest oświetlony jak wesołe miasteczko.

Ładne „wesołe miasteczko” - myślał z goryczą. - Jak gliniane zajaczkę w jarmarcznej strzelnicy nie mamy żadnych szans, aby odeprzeć atak, jeśli kontakt zgubiony. Teraz lada moment...

Zatoczył się i aby utrzymać równowagę, chwycił za szafkę kompasową. Czuł, jak bardzo jest osłabiony, jak przechylona wybuchem podłoga mostku przeszkadza w utrzymaniu równowagi.

- Bentley! Jest odpowiedź z „Vytury”?

- Nie, panie kapitanie. - Bentley martwił się nie mniej niż dowódca. Dobrze wiedział, jak bardzo wszystko zależy od szybkości działania. - Może nie mają prądu... nie... nie... widzę ich znowu!

- Panie kapitanie! Vallery obejrzał się.

- Słucham, komandorze, o co chodzi? Chyba nie o jakieś nowe przykrości?

- Niestety tak. Wyrzutnie torpedowe prawej burty nie działają. Zablokowane.

- Nie działają! - z irytacją krzyknął Vallery. - To nic nowego. Po prostu zamarzyły. Odkuć lód, połać wrzątkiem, użyć palników! Każdy stary...

- Przepraszam, panie kapitanie - z ubolewaniem kręcił głową Turner - ale chodzi o co innego.

Kołyska i obrotnice skrzywione. To na pewno skutki pocisku, który wybuchł w magazynie bosmańskim lub elektrowni numer trzy - one znajdują się tuż za wyrzutniami. Tak czy owak - kłapa.

- Dobrze! A od czego są lewe wyrzutnie? - niecierpliwił się Val ery.

- Nie ma centrali... - tłumaczył Turner. - Chyba że użyjemy zwykłego celownika.

- Nie widzę powodu, dlaczego by tak nie postąpić. Po to szkolono torpedystów. Lewe wyrzutnie do dzieła! - rozkazał Vallery. - Przypuszczam, że telefon działa. Natychmiast zawiadomić załogę, aby była w pogotowiu.

- Rozkaz!

- Turner?

- Na rozkaz!

- Przepraszani - uśmiechnął się krzywo. - Jak powiada Stary Giles o sobie: „Jestem już stary,

zardzewiały gbur". Wytrzymasz ze mną?

Turner odpowiedział miłym uśmiechem i szybko ochłonął. Ruchem głowy wskazał admirała.

- Jak on się czuje?

Przez długą sekundę Vallery spoglądał na Turnera, później ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

Turner przytaknął i odszedł.

- Bentley? Co nadali?

- Trochę pomyliłem - przepraszał Bentley. - Nie wszystko uchwyciłem. Nadali, że odłączają od konwoju i płyną na własną rękę. Coś w tym rodzaju.

Płyną na własną rękę! Vallery wiedział, że to nie jest rozwiązanie. Zbiornikowiec może płynąć długie godziny, będzie zdradzał konwój, nawet gdy zmieni kurs. Płynąć na własną rękę! Nie osłonięty, uszkodzony zbiornikowiec w płomieniach chce przebyć tysiąc mil do Murmańska, najgorsze tysiąc mil, jakie istnieją na świecie. Vallery przymknął oczy. Czuł, jak pęka mu serce.

Wspaniali ludzie, wspaniały okręt!... A on musi ich zniszczyć...

Nagle przemówił Tyndall.

- Ster lewo trzydzieści - rozkazał. Głos brzmiał donośnie, stanowczo. Vallery zdrętwiał z przerażenia. W lewo trzydzieści, to znaczy prosto na „Vyturę”.

Przez pięć sekund trwało milczenie, po czym Carrington, pełniący właśnie wachtę, pochylił się nad rurą akustyczną i powtórzył:

- Ster lewo trzydzieści.

Vallery ruszył na niego, lecz stanął w pół drogi, widząc, że Carrington wskazuje ręką rurę 96 akustyczną. Przewód był zatkany rękawicą.

- Ster na środek.

- Ster na środek.

- Tak trzymać! Kapitanie!

- Na rozkaz.

- To światło razi mnie w oczy - skarżył się Tyndall. - Czy nie możemy zgasić tego pożaru?

- Postaramy się, panie admirałe. - Vallery poszedł do niego i rzekł cicho: - Pan wygląda na zmęczonego. Czy nie zszedłby pan na dół?

- Co? Ja? Pod pokład?

- Tak jest, sir. Poślemy po pana, gdy zajdzie potrzeba - dodał tonem perswazji. Tyndall zastanowił się chwilę i energicznie pokręcił głową.

- Nie da rady, Dick! To nie byłoby uczciwe wobec ciebie... - głos cichł stopniowo i zmienił się w niewyraźny szept. - Admirał Tyndall... lecz... Vallery nie może być pewny...

- Nie rozumiałem, panie admirale.

- Nic a nic? - Tyndall był oburzony. Patrzył na „Vyturę”, krzyknął coś boleśnie, dłońmi zasłonił oczy. Val ery cofnął się i zacisnął powieki, aby nie widzieć oślepiającego błysku płomieni.

Prawie jednocześnie powietrzem targnęła eksplozja. Ludzie zatoczyli się od podmuchu.

„Vytura” znów otrzymała torpedę w prawą burtę, tuż koło maszynowni. Natychmiast powstało tam nowe ognisko pożaru. Jedynie nie objęty płomieniami i dymem mostek sterczał pośrodku statku jak wysepka.

Nawet w momencie wybuchu Vallery'ego nie opuszczała myśl, że „Vytura” musi zatonąć. Nie pociągnie długo. Wiedział jednak, że oszukuje siebie, stara się ominąć to, czego uniknąć nie zdoła.

Decyzja leży w jego rękach. Zbiornikowce, jak to objaśnił Nichol sowi, giną niechętnie, bardzo opornie. Biedny Stary Giles - myślał bez związku - biedny Stary Giles!

Podszedł do lewych drzwi w tyle mostku. Turner ze złością wymyślał komuś przez telefon.

- Do cholery, mówię ci, że zrobisz, co ci każe. Rozumiesz? Przygotuj je natychmiast! Tak, powiedziałem: natychmiast! Zaskoczony Val ery dotknął jego ramienia.

- Co się dzieje, komandorze?

- Znów ten przeklęty brak karności - parsknął Turner. - On mnie uczy, co robić!

- Kto?

- Starszy torpedysta przy lewej wyrzutni. Pański przyjaciel Ralston!

- odpowiedział pełen gniewu Turner.

- Ralston! Oczywiście! - Val ery przypomniał sobie natychmiast.

- Chłopak mówił mi, że to jego stanowisko. Co nabroił?

- Co nabroił? Powiada, że nie jest w stanie wykonać tego rozkazu. Nie chce, nie życzy sobie!

Pioruński brak karności - pienił się Turner. Vallery mrugnął do niego.

- Czy aby na pewno Ralston? Ależ oczywiście, pan ma... dziwne... ten chłopiec przeszedł przez piekło... Wie pan, komandorze... czy uważa pan...

- Nie wiem, co mam uważać! - Turner znów chwycił za telefon.

- Wyrzutnie? No, wreszcie! Co? Coś powiedział? Dlaczego nie artyleria. .. Artyleria, artyleria... -

Z trzaskiem zawiesił słuchawkę i przysunął się do Vallery'ego. - Prosi mnie, błaga, żeby użyć artylerii, a nie torped! Oszalał, najwyraźniej oszalał. Tak czy owak, pędzę tam, żeby temu buntownikowi wtłoczyć w głowę trochę oleju. - Vallery nigdy jeszcze nie widział Turnera tak rozwścieczonego. - Czy może pan, panie kapitanie, poprosić Carringtona, aby obsługiwał ten telefon?

- Tak, tak, na pewno! - Złość Turnera udzieliła się Vallery'emu.

- Wszystko jedno, jakie uczucia kierują chłopcem, ale tu nie czas ani miejsce, aby je uzewnętrzniać! Podciągnij go... Może ja byłem zbyt łagodny, zbyt wyrozumiały, i chłopak uważa, że mamy wobec niego jakieś zobowiązania? Że jesteśmy w psychologicznie niewygodnej sytuacji z powodu niewłaściwego traktowania go?... Dobrze, dobrze! - zawołał, widząc, że Turner wyraźnie się niecierpliwi. - Niech pan rusza... Za trzy, cztery minuty atakujemy.

- Odwrócił się gwałtownie i odszedł w stronę kompasu. - Bentley!

- Na rozkaz!

- Jaka ostatnia depesza?...

- Lepiej niech pan kapitan spojrzy tam - wtrącił Carrington. - „Vytura” zwalnia.

97

Statek - wielka hucząca kula ognia - szybko zostawał w tyle.

- Spuszczają łodzie - zawołał podniecony Kapok-Kid. - Myślę... No tak... widzę szalupę, jedzie w dół!

- Dzięki Bogu - szepnął Vallery. Czuł, że zwrócono mu kawał życia. Oparł się mocno o wiatrochron, gdyż poczuł nagle osłabienie. Po paru sekundach podniósł wzrok. - Radio! Szyfrowaną depeszę do „Sirusa” - rozkazał cicho. - „Przeszukać morze za konwojem, wziąć na pokład rozbitków

«Vytury». - Dostrzegł krótkie spojrzenie Carringtona i wzruszył ramionami. - Wie pan co? Lepiej iść na takie ryzyko, niż... Do diabła z rozkazami Admiralicji! Boże! - dodał z nagłą nutą goryczy - jakie to by było wspaniałe widowisko: zobaczyć wojowników z Whitehal, co wydają rozkazy: „Rozbitków nie wolno ratować”, jak sami płyną szalupą po Morzu Barentsa! - Odwrócił się i spostrzegł Nichol sa i Petersena.

- Nicholls, ty jeszcze tu? Chyba czas, żebyś zszedł pod pokład?

- Jeśli pan rozkaże - niepewnie odparł Nicholls i ruchem głowy wskazał Tyndalla. - Myślałem, że...
- ..masz rację, może masz rację - Vallery kręcił głową z zakłopotaniem.
- Sprawdzimy... Proszę, poczekaj chwilę - i zawołał głośno: - Nawigator!
- Na rozkaz!
- Mała naprzód!
- Mała naprzód!

„Ulisses” zaczął zwalniać i zostawać za konwojem. Po chwili minęły go ostatnie statki, prąc na północny wschód. Sypał gęsty śnieg, lecz statki, widoczne jak na dłoni w jasnym blasku pożaru, były przerażająco bezbronne i bezradne.

Turner, wrząc gniewem, dopadł lewych wyrzutni torpedowych. Ich groźnie rozwarte pyski oświetlał pożar. Patrzyły za burtę na krzyżujące się i rozlewające po falach odbłaski. Ralston siedział

na nie osłoniętym stanowisku nad środkową lufą. Turner zawołał go ostrym, rozkazującym tonem.

- Ralston, chcę z wami pogadać!

Marynarz szybko zeskoczył na pokład i stanął przed komandorem. Byli równego wzrostu, oczy ich spotkały się na jednym poziomie - u Ralstona spokojnie niebieskie, u Turnera czarne i płonące gniewem.

- Cóż, u diabła, dzieje się z wami? - warczał Turner. - Odmawiacie wykonania rozkazów?

- Nie, panie komandorze - spokojnie, choć z dziwnym napięciem mówił Ralston. - To nieprawda!

- Nieprawda? - Turner zmrużył oczy, z trudem panował nad sobą.

- Więc co znaczyła ta gadanina, że nie chcecie obsługiwać wyrzutni? Czy macie zamiar rywalizować z palaczem Rileyem? Czy zwyczajnie straciliście rozsądek - jeśli go w ogóle macie?

Ralston nie odpowiedział. Milczał. Milczał a rozwścieczony Turner uznał to za nowy akt niesubordynacji.

Potężnymi rękoma chwycił za płaszcz Ralstona, przyciągnął go do siebie, zbliżył twarz do jego twarzy.

- Pytam was, Ralston - rzekł cicho - i nie dostaję odpowiedzi. Czekam. Co to wszystko znaczy?

- Nic nie znaczy, panie komandorze - w oczach mignęło zmieszanie, lecz nie strach. - Po prostu nie chcę, nie potrafię posłać na dno jednego z naszych statków - mówił proszącym tonem, w którym dźwięczały nuty desperacji. Turner nie słyszał ich. - Dlaczego musimy to zrobić? - krzyknął. -

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

- Nie wasz zafajdany interes! Lecz jeśli już do tego doszło, to wiedzcie, że „Vytura” naraża cały konwój. - Twarz Turnera tkwiła parę cali od twarzy Ralstona. - Wy macie wykonać rozkaz! Marsz na stanowisko i wykonać, co każę! Marsz! - ryknął, widząc, że Ralston się waha. - Na stanowisko!

Ralston nawet nie drgnął.

- Są inni torpedyści, panie komandorze! - błagalnym gestem uniósł ręce. Poprzez ślepe wściekłość Turnera przedarło się coś, czego dotychczas nie zauważył. Komandor zrozumiał, że ten chłopak kryje w sobie coś tragicznego. - Czy inni nie mogą? - prosił Ralston.

- A więc niech inni odwalają brudną robotę. O to wam chodzi?

- Turner poczuł niesmak. - Niech robią to, na co wy nie macie ochoty! Co się tobie, szczeniaku, 98 nie podoba! Telefonista! Podaj mi swoje słuchawki. Obejmuję komendę!

Wziął słuchawki i mikrofon. Patrzył, jak Ralston wdrapuje się na stanowisko i schyla nad dumareskiem.

- Pierwszy oficer? Mówi komandor. Wszystko gotowe. Czy kapitan jest na mostku?

- Jest! Zaraz go zawołam. - Carrington odłożył słuchawkę i podszedł do Vallery'ego. - Panie kapitanie, komandor Turner przy telefonie...

- Chwileczkę! - Przerwał mu okrzyk i podniesiona do góry dłoń. - Niech pan spojrzy! - Vallery wskazywał „Vyturę”, wyciągając rękę prawie nad głowę admirała Tyndalla, który siedział skurczony, mamrocząc coś do siebie.

Carrington patrzył we wskazanym kierunku. Od idącej wolno „Vytury” oderwała się wypełniona ludźmi szalupa i szybko zostawała za rufą statku. Zostawała zbyt szybko, jak zauważył pierwszy oficer. Spojrzał na Vallery'ego. Spotkali się wzrokiem. Oczy kapitana były szare, zmęczone.

Carrington przytaknął.

- „Vytura” zwiększa szybkość. Maszyny pracują, ster działa... ktoś nią dowodzi. Co pan zamierza uczynić, panie kapitanie?

- Niech mi Bóg pomoże, ale nie mam wyboru. Żadnych wiadomości od „Vikinga”, nic od

„Sirusa”, nic z azdyku... A niemiecka łódź krąży w pobliżu... Zawiadom Turnera o tym, co widzimy, Bentley!

- Na rozkaz!

- Depeszuj do „Vytury”. - Zacisnął zbielejące wargi, w oczach miał zawód i ból. - „Opuszczać statek.

Za trzy minuty torpedujemy. Ostatnia depeza!". Nawigator! Ster dwadzieścia w lewo!

- W lewo dwadzieścia!

„Vytura" pod kątem prostym skręciła na północ. „Ulisses" również zatoczył łuk i dalej szedł trochę z tyłu, równoległe do niej.

- Średnia naprzód!

- Średnia naprzód!

- Nawigator!

- Na rozkaz!

- Co mówi admirał? Rozumiesz cokolwiek?

- Nic nie można zrozumieć. Za duży hałas. „Vytura" zbyt szumi... Zdaje się, że tylko bredzi...

- O Boże! - Vallery opuścił głowę i uniósł ją z trudem. Wyczerpywał go nawet tak mały wysiłek.

W napięciu patrzył na „Vyturę". Znow zamigotał czerwony aldis. Próbował czytać, lecz nadawano za szybko, a może był już za stary, zbyt zmęczony... a może nie potrafił już myśleć. W

małym czerwonym punkciku migającym wśród otaczających płomieni było coś tajemniczego, hipnotycznego. Fantastyczne ogniska pożaru rosły, łączyły się ze sobą. Był w tym jakiś fatalizm siły, której nie można ominąć. Gdy czerwony punkcik zgasł nagle, niespodziewanie, brutalnie - do kapitana doleciał głos Bentleya:

- Depesza z „Vytury"!

Val ery mocniej zacisnął dłonie na szafce kompasu. Bentley domyślił się, że kapitan skinął głową.

- Treść depeszy: „Dlaczego nie odp... się. Wypinamy się na dowódców. Powiedz mu, że ślę wyrazy miłości".

Głos umilkł. Słysząc było tylko szum pożaru i jakby zagubione tykanie azdyku.

- „Wyrazy miłości". - Val ery potrząsnął głową oszołomiony. - „Wyrazy miłości". To wariat. Nie inaczej! „Wyrazy miłości", a ja za chwilę go unicestwię... Pierwszy oficer!

- Na rozkaz!

- Zawiadomić komandora: „Przygotować się!". Turner powtórzył rozkaz i krzyknął do Ralstona:

- Przygotować się!

Zerknął na „Vyturę”, która wysunęła się nieco do przodu, a „Ulisses” gonił ją na zbieżnym kursie. Za jakieś dwie minuty - pomyślał. Czuł, jak wibracja pokładu złagodniała. Zwalniali. Jeszcze sekunda i skręca trochę w prawo. W słuchawkach zatrzeszczało leciuchno, ledwie dosłyszalnie w szumie pożaru. Słuchał. Patrzył.

- Wyrzutnie „X” i „Y”. Cel jedenaście węzłów - mówił do mikrofonu.

- Za ile?

99

- Panie kapitanie, za ile? - powtórzył Carrington.

- Dziewięćdziesiąt sekund - ochryple odparł Vallery. - Nawigator! Dziesięć w prawo! -

Podskoczył przerażony, słysząc jak z rąk admirała wypadła lorneta. Tyndall upadł w przód, uderzając głową o kant wiatrochronu. Ramiona zwisły bezładnie. - Nawigator!

Kapok-Kid był już przy admirałem. Podtrzymał go, aby nie opierał się o wibrujące żelazo.

- Co się stało, panie admirałem? - pytał niecierpliwie, pełen niepokoju.

- Co się stało? Tyndall poruszył się leciutko, oparł policzek o wiatrochron.

- Zimno, zimno, zimno! - mruczał. Był to szept starca, zupełnego starca.

- Co? Co pan mówi? - pytał Kapok-Kid.

- Zimno. Mnie jest zimno. Straszliwie zimno. Stopy, moje stopy! - głos zamarł i admirał osunął

się na pokład mostku, twarzą w śnieg. Jakaś intuicja, prawie pewność rzuciła Kapok-Kida na kolana.

Vallery słyszał, jak nawigator krzyknął coś, powstał i rozglądał się blady z przerażenia.

- On nie ma nic na sobie - rzekł drżącym głosem. - Jest bosy. Stopy zamarły na lód.

- Bosy? - powtórzył z niedowierzaniem Vallery. - Bosy? Niemożliwe!

- Tylko w pidżamie. Nic więcej nie ma pod sztormowym ubraniem.

Vallery pochylił się, ściągając rękawice. Dotknął zimnego jak lód ciała admirała, czuł jak w ataku mdłości wywraca się mu żołądek. Bosy, w pidżamie. Bosy! Nic dziwnego, że tak cicho dreptał przez mostek... Jak przez mgłę przypomniał sobie, że termometr wskazywał trzydzieści pięć stopni mrozu.

Tyndall siedział tu przeszło pięć minut, na stopach przymarzły mu trzewiki ze śniegu. Nagle pod własnymi ramionami poczuł potężne dłonie, został uniesiony do góry i postawiony na pokładzie.

Petersen. To mógł być tylko Petersen. Za nim stał Nichol s.

- Panie, kapitanie - meldował - ja się nim zajmę. Petersen weźmie admirała pod pokład. -

Energiczny, pewny głos Nichollsa, który wiedział, co ma robić, wpłynął na Vallery'ego uspokajająco.

Przywrócił go do rzeczywistości, postawił przed wymaganiami chwili obecnej w sposób całkowicie zdecydowany. Zdawał sobie sprawę z obecności Carringtona, słyszał, jak ten równym, powściągliwym tonem wydaje rozkazy dotyczące kursu i szybkości okrętu. Zobaczył „Vyturę” pięćdziesiąt stopni po lewej burcie. Doganiali ją powoli. Nawet z tak znacznej odległości trudno było wytrzymać żar płomieni, a co, u licha, musiało się dziać tam na mostku.

- Pierwszy oficer! Ustalić kurs! - rozkazał Vallery. - Wyrzutnie, celowanie bezpośrednie.

- Ustalić kurs. Wyrzutnie, celowanie bezpośrednie! - Mogłoby się wydawać, że Carrington jest na ćwiczeniach na wodach Solentu.

- Celowanie bezpośrednie - powtórzył Turner, odwiesił mikrofon i rozejrzał się. - Ralston, teraz kolej na was! - rzekł cicho.

Nie otrzymał odpowiedzi. Ralston, skurczony przy celowniku, trwał w kamiennym bezruchu.

Nawet nie dał znaku, czy słyszy komendę.

- Trzydzieści sekund! - ostro krzyknął Turner. - Celownik ustawiony?

- Tak jest - Ralston poruszył się. - Celownik ustawiony! - Nagle odwrócił się i zawołał

rozpaczliwie: - Na miłość boską? Czy nie ma innego?...

- Dwadzieścia sekund - wściekle syknął Turner. - Chcesz mieć na swym delikatnym sumieniu tysiąc ludzi? A jeśli chybisz...

Ralston wolno odwrócił się. Przez ułamek sekundy jego twarz oświetlił blask płonącego statku.

Turnerem wstrząsnął ten widok. Oczy Ralstona były pełne łez. Komandor zauważył, jak drżały wargi marynarza, gdy mówił:

- Może pan być spokojny. Nie chybię!

Nie słyszał tych słów, nabrzmiałych osobistą klęską Ralstona. Widział je. Bardziej zmieszany niż zły dostrzegł, jak Ralston lewą ręką otarł łzy, a prawą sięgnął do dźwigu wyrzutni „X”. Nie wiedzieć czemu, przeleciały mu przez myśl słowa Chaucera: „In goon the spears ful sadly in arrest”. Gdy Ralston zaciskał dłoń na dźwigni, czuło się w tym geście jakąś wstrząsającą decyzję, jakieś nieodwracalne, ostateczne przeżycie.

Nagle, tak nagle, że Turner drgnął mimo woli, dłoń konwulsyjnie szarpnęła dźwignię. Usłyszał

trzaśnięcie zaworu, stłumiony huk wdzierającego się do wyrzutni sprężonego powietrza. Torpeda zaczęła swój bieg, błysnęła obłym ciałem w blaskach ognia i zniknęła pod wodą. Pierwsza jeszcze nie zniknęła z oczu, gdy wyrzutnie znów ożyły. Druga torpeda poszła w ślad za pierwszą.

1 Solent - zatoka u południowych brzegów Anglii (przyp. dum.).

100

Minęło pięć sekund. Dziesięć! Turner, podniecony, uważny, wyteżał wzrok, goniąc spojrzeniem pieniste ślady torped. Tysiąc pięćset funtów amatu. - Niech Bóg weźmie w opiekę tych biedaków na pokładzie „Vytury”...

Odezwał się głośnik pokładowy:

- Uwaga, uwaga! Kryć się! Kryć się natychmiast! Turner drgnął. Oderwał oczy od morza.

Zauważył, że Ralston nadal siedział przy celowniku.

- Złaź stamtąd, wariacie! - wrzasnął komandor. - Czy chcesz, żeby odłamki z „Vytury” zrobiły z ciebie przetak? Słyszysz mnie? Milczenie. Nie padło słowo odpowiedzi. Słychać było tylko ryk pożaru.

- Ralston!

- Wszystko w porządku, panie komandorze! - brzmiał niewyraźny głos. Ralston nawet nie zadał sobie trudu, żeby się odwrócić.

Turner zaklął. Skoczył ku wyrzutniom. Ściągnął Ralstona ze stanowiska i zawlókł do schronu.

Marynarz nie bronił się. Zapadł w stan całkowitej apatii, absolutnej bierności.

Obie torpedy trafiły. Zaskoczenie było błyskawiczne. Ci, co nasłuchiwali - nikt na „Ulissesie” nie obserwował wybuchu - oczekiwali potwornej eksplozji, lecz ta nie nastąpiła. Zmęczony walką statek złamał się w połowie, przechylił na bok i zniknął.

W trzy minuty później Turner otworzył drzwi kapitańskiego schronu i wepchnął tam Ralstona.

- Oto jesteśmy - meldował ponurym głosem. - Może pan chce zobaczyć, jak wygląda ten pacyfista¹.

- Naturalnie, że chcę! - Vallery odłożył dziennik okrętowy i zimnym wzrokiem spojrzął na torpedystę. Oglądał go od stóp do głowy. - Dobrze wykonałeś rozkaz, ale to nie usprawiedliwia twojego postępowania... Chwileczkę, komandorze - zwrócił się do Kapok-Kida. - Tak, to zdaje się wystarczy. Ich lordowskie moście będą miały co czytać - dodał złośliwie. - Tych, których nie potrafili zatopić Niemcy, wykańczamy sami... O świcie nie zapomnij spytać „Hatteras” o nazwisko kapitana

„Vytury”.

- On nie żyje... Nie ma co zawracać sobie głowy... - z goryczą w głosie odezwał się Ralston.

Zatoczył się, gdy komandor uderzył go w twarz. Turner dyszał ciężko, oczy pociemniały mu z wściekłości.

- Ty bezczelny diable! - rzekł cicho. - Za wiele sobie pozwalasz. Ralston powoli podniósł dłonie, przyciskając je do zaczerwienionego policzka.

- Pan mnie źle zrozumiał - mówił spokojnym i tak cichym szeptem, że trudno było go dosłyszeć.

- Mogę podać nazwisko kapitana „Vytury”. Nazywał się Ralston. Kapitan Michael Ralston. To mój ojciec.

1 Pacyfista - w oryginale „conscientious objector” - człowiek, któremu sumienie nie pozwala brać broni do ręki. Do roku 1940 nie było w Anglii ustawy, na mocy której można było zmusić obywatela do służby w wojsku (przyp. tłum.).

101

ROZDZIAŁ XII

Sobota

Wszystko ma swój koniec. Po każdej nocy następuje świt. Choćby trwała nie wiedzieć jak długo, choćby wydawało się, że świt nigdy nie nadejdzie - to jednak nadchodzi.

Dla FR 77 był on równie nieprzyjemny i beznadziejny jak miniona noc.

Nadchodzący świt ujrzał konwój o trzysta pięćdziesiąt mil na północ od koła polarnego. Konwój szedł na wschód, wzdłuż 72 równoleżnika

- był akurat w połowie drogi między wyspą Jan Mayen a Przylądkiem Północnym.

Kapok-Kid obliczył, że powinni być na 8°45' wschodniej długości geograficznej, lecz nie był

pewien. Podczas śnieżycy, gdy niebo jest całkowicie pokryte chmurami, mógł polegać wyłącznie na liczeniu. Poza tym pocisk, który zniszczył salę radiolokacji, uszkodził również automatycznego nawigatora. Mieli do przebycia jeszcze około sześciuset mil. Czterdzieści godzin, i konwój - lub raczej to, co z niego pozostanie - znajdzie się w zatoce Kola i rzeką Polarną popłynie do Murmańska.

Czterdzieści godzin...

Świt nadszedł, by ujrzeć resztki konwoju: czternaście statków i okrętów rozrzuconych na przestrzeni trzech mil kwadratowych i ciężko pracujących na coraz wyższej fali idącej od N.N.E.

Zostało czternaście jednostek, gdyż podczas najgęstszej nocy zatonął jeszcze jeden statek. Mina?

Torpeda? Nikt nie wiedział. „Sirrus” zatrzymał się i godzinę przeszukiwał rejon katastrofy za pomocą dziesięciocalowych reflektorów sygnalizacyjnych. Nie znaleziono ani jednego rozbitka. Komandor Orr i tak nie liczył na uratowanie kogokolwiek - termometr wskazywał poniżej dwudziestu stopni mrozu.

Świt nadszedł i ujrzął załogę, która przeżyła bezsenłą noc, nieustające alarmy bojowe, stałe kontakty azdyku z łodziami podwodnymi, uporczywe ataki bomb głębinowych; noc, która nie przyniosła żadnych sukcesów. Nie przyniosła ich z punktu widzenia osłony konwoju, natomiast nieprzyjacielowi dała podwójne zwycięstwo.

Wróg zmuszał załogi konwoju do pozostawania na stanowiskach bojowych przez całą noc, przytępił - może już na zawsze - resztki wyostrzonej czujności, która dawała jedyną nadzieję ratunku. Nieprzyjaciel sprowokował tyle ataków, że w całym konwoju nie pozostało ani jednej bomby głębinowej... Może to być miarą nie spotykanego dotychczas natężenia ataków, wytrwałości, z jaką nękanono konwój.

Ani jednej bomby głębinowej! Kłty obrony zostały wyrwane. Teraz było już tylko sprawą czasu, kiedy łodzie podwodne zorientują się, że mogą atakować bezkarnie.

Jak każdego ranka, o świcie ogłoszono alarm. Właściwie to ludzie i tak od piętnastu godzin pozostawali na stanowiskach. Piętnaście nieskończenie długich godzin chłodu i męki; piętnaście godzin, podczas których załoga „Ulissesa” otrzymała po kubku gorącego kakao i po kromce chleba z konserwą wołową. Kromce cieniutkiej i czerstwej, gdyż ubiegłego dnia nie było kiedy upiec świeżego chleba. Lecz ataki poranne były czymś niezwykle charakterystycznym: przedłużały służbę na stanowiskach o dalsze dwie godziny, a dla walących się z nóg ludzi były przedłużeniem ich niehumanitarnego wysiłku. Gdy zmęczony do granic wytrzymałości mózg (raczej tylko obolała przestrzeń, gdzie powinien być mózg) zebrał o chwilę wytchnienia, choćby o najkrótszą sekundę, tylko jedną, tylko jedną sekundę, ludzie dosłownie otwierali oczy palcami i podtrzymywali powieki, aby nie opadały.

Wówczas każda chwila była wiecznością. Alarmy te były uznane za niezmiernie ważne i przyswoiły sobie miano godziny Ithuriela [1](#) rosyjskich konwojów. Były próbą ogniową, podczas której wychodziła na jaw wartość członków załogi.

Załoga buntowniczego okrętu - ludzie osądzeni i skazani, załamani psychicznie i fizycznie, ludzie, którzy już nigdy nie będą zdrowi i normalni - nie miała się czego wstydzić.

Oczywiście, że nie wszyscy. Przecież to tylko ludzie. Niejeden przekonał się, że granicą, spoza której nie ma powrotu, nie musi być skraj przepaści. Równie dobrze może to być dolina, początek wędrówki pod górę. Gdy człowiek zacznie wspinać się, nie może się już oglądać.

Dla niektórych nie istniały ani przepaści, ani doliny. Na przykład dla takich jak Carrington.

Osiemnaście godzin bez przerwy trwał na mostku i nadal pozostawał sobą w niezniszczalnej formie.

Czujny, pełen spokojnej uwagi, która nigdy nie zawodzi; człowiek o nieograniczonej wytrzymałości, o którym wiadomo, że nigdy się nie załamie, bo nawet sama myśl o tym wymykała się wyobraźni.

Dlaczego tak było - nikt nie wiedział. Tacy ludzie, jak starszy bosman szef Hartley, szef palaczy Hendry, sierżant szef Evans i sierżant Macintosh również nie uginali się pod ciężarem trudów.

Wszyscy czterej podobni byli do siebie: rośli, twardzi, spokojni, już niemłodzi, przepojeni tradycjami marynarki wojennej. Małomówni - nigdy nie słyszano, aby opowiadali o sobie - wiedzieli jednak, jakie jest ich znaczenie. Wiedzieli, iż każdy oficer marynarki potwierdzi, że właśnie na nich, na doświadczonych podoficerach, opiera się flota. Ich niewzruszony jak skała spokój wypływał z wielkiego poczucia obowiązku i odpowiedzialności.

Byli również i tacy ludzie (ledwie mała garstka), jak Turner, Kapok-Kid i Dodson, którzy tego ranka przeszli samych siebie. Wysiłek i niebezpieczeństwo były dla nich uczną, gdyż dopiero wówczas mogli pokazać, co naprawdę potrafią, po co zostali stworzeni.

Wreszcie ludzie jak Vallery, który zaraz po północy zemdlął i spał teraz w schronie; jak komandor Brooks. Główną ich podporą był rozum. Dobrze zdawali sobie sprawę, jak mało ważne jest ich życie czy losy FR 77. Potrafili trzeźwo uznać konieczność ofiar i połączyć te myśli z serdecznym, głębokim współczuciem dla szaleństw i męki człowieka.

Na drugim biegunie świt zastał innych ludzi. Kilkudziesięciu skończyło się bezpowrotnie. Zgubili się w egoizmie, w strachu; litowali sami nad sobą jak Carlake, kończyli jak Hastings, gdy odarto ich z jedynej ostoji: oznaki władzy. Byli również tacy, jak felczer Johnson i dziesiątki innych, których pchnięto zbyt daleko, aby mogli znaleźć w czymkolwiek oparcie.

Między tymi biegunami byli ludzie, którzy dotarli do jakiejś granicy, do zerowego punktu i przekonali się, że ich wytrzymałość jest niewyczerpana. Z tą chwilą znaleźli odskocznię, nadzieję, że znów będą normalnymi ludźmi. Można pokonać stok góry, lecz nie da się tego zrobić bez pomocy.

Nichol sowi - który zmęczony w nieludzki sposób bez przerwy pracował przy stole operacyjnym

- pomogły przetrzymać tę noc duma i wstyd. Dla starszego marynarza Doyle'a pomocą i oparciem była litość: skulony żałością w osłonie przed przednim kominem patrzył na dokuczliwą mękę drżących z zimna chłopców z obsługi pom-pomów. Oczywiście nie przyznałby się do tego za żadne skarby świata.

Młodziutkiego Spicera, ordynansa Tyndalla, trzymało na powierzchni uczucie litości i strasznego żalu, że umiera admirał - ten, który nawet pomimo amputacji obydwu nóg poniżej kolan umierać nie musiał. Lecz Stary Giles stracił już zdolność obrony i Brooks wiedział, że odejdzie z ulgą.

Dla wielu innych, może nawet dla setek ludzi takich jak zżarty przez gruźlicę McQuarter (przemarznięty do kości w brudnych łachach), który nie musiał już miesić wody wokół windy

amunicyjnej w wieży „Y”, gdyż kołysanie okrętu nie pozwalało jej zamarznąć; dla takich jak Petersen, szczerze używający swej siły, by pomóc kolegom; jak Chrysler, którego sokole oczy bez przerwy omiały horyzont i musiały zastąpić zniszczony radar - dla takich ludzi pomocą i oparciem był

olbrzymi szacunek i sympatia, jaką darzyli kapitana Vallery'ego, a także świadomość, że go zawieść nie mogą.

Duma, litość, wstyd, sympatia, żal - te uczucia stanowiły cementującą siłę załogi „Ulissesa”, stały się jej oparciem, pomagały przetrwać. Instynkt samozachowawczy, podstawowy zdawałoby się czynnik, ledwie mógł być w tej chwili brany pod uwagę.

Nie można było również brać pod uwagę tego, o czym tak szeroko rozpisywali się w kraju sentymentalni dziennikarze i literaci - ci propagandowi dostawcy nacjonalistycznej blagi - że jedynym źródłem wytrwałości i męstwa jest nienawiść do wroga i miłość ojczyzny i narodu.

Nienawiść do wroga nie istniała. Aby nienawidzić, trzeba znać przeciwnika. Oni go nie znali.

Kłęli go, szanowali, bali się i - jeśli tylko mieli sposobność - zabijali. Jeśli nie mogli go zabić, on im odbierał życie. Ludzie nie myśleli, że walczą za króla i ojczyznę. Widzieli konieczność tej wojny, lecz nie chcieli oblekać tego w fałszywe szaty hurratriotyzmu. Po prostu robili, co im kazano. Gdyby nie chcieli, postawiono by ich pod ścianę i kula w łeb. Miłość do narodu - to miało pewną wartość, lecz niezbyt wielką. To zupełnie naturalne, że chcesz bronić swych bliskich, lecz tu trzeba sobie wyobrazić równanie, gdzie wartość zmienia się zależnie od odległości. Cholernie trudno człowiekowi siedzącemu na pokrytym lodem oerlikonie, gdzieś w okolicy Wyspy Niedźwiedziej, wyobrazić sobie, że broni obrośniętej pnącymi różami chaty w Cotwolds.

Jeśli chodzi o resztę: o sztuczne nienawiści między narodami i pieczołowicie pielęgnowany mit 103

o królu i ojczyźnie - to nie mają one żadnego znaczenia, w ogóle nic nie znaczą, gdy ludzie stają na ostatecznej granicy między nadzieją i przetrwaniem. Jedynie najzwyklejsze ludzkie uczucia, szlachetne uczucia, jak miłość, żal, litość i cierpienie, mogą przenieść człowieka przez te ostateczne granice.

Południe. Konwój spowity w śnieżycę parł na wschód w zwartym szyku. Jedyny alarm bojowy ogłoszono w czasie trwania alarmu porannego. Pozostało jeszcze trzydzieści sześć godzin. Jeśli utrzyma się ta burzliwa pogoda, jeżeli nie przejdą śnieżycę, ataki samolotów będą niemożliwe. Bliska zera widzialność i duża fala oślepią peryskopy... Jest jakaś szansa. Tylko trzydzieści sześć godzin.

Admirał Tyndall zmarł parę minut po południu. Brooks, który siedział przy nim cały ranek, napisał w akcie zejścia: „zmarł wskutek pooperacyjnego wstrząsu i wycieńczenia”. Naprawdę Giles umarł dlatego, że nie chciał już żyć. Jego zawodowa reputacja była zniszczona; wiara i pewność siebie zniszczone; pozostały tylko wyrzuty sumienia z powodu setek straconych ludzi. Odjęto mu obie nogi - stracił więc nawet to jedyne życie, jakie znał i ukochał, którym się cieszył, któremu bez reszty poświęcił czterdzieści pięć najwspanialszych lat.

Giles umierał chętnie, jakby z zadowoleniem. W południe odzyskał przytomność, z uśmiechem spojrzął na Brooksa i Val ery'ego. Na twarzy jego nie było nawet śladu szaleństwa. Brooks aż przeraził się tego uśmiechu. Była to karykatura owego tak dobrze znanego uśmiechu Starego Gilesa.

Admirał zamknął oczy, mruknął coś o swojej rodzinie (Brooks wiedział, że nie ma on rodziny), znów otworzył oczy, spojrzął na Vallery'ego, jakby widział go po raz pierwszy, przeniósł wzrok na Spicera, szepnął: - Chłopcze, krzesło dla kapitana!... - i umarł.

Pochowano go o czternastej przy akompaniamencie śnieżnej burzy. Wicher porywał słowa dowódcy odczytującego modlitwy za umarłych, szarpał banderą brytyjską, dopóki ciało nie zsunęło się w wodę. Urywane tony sygnałówki niknęły w dali, zamierały jak dźwięk trąb w krainie elfów.

Załoga (dwustu ludzi) odeszła w milczeniu do lodowato zimnych pomieszczeń.

W pół godziny później śnieżycą minęła równie gwałtownie, jak nadleciała. Wiatr też osłabł, tylko niebo pozostało ciemne, ciężarne śniegiem, a morze tak kołysało statkami o piętnastu tysiącach ton wyporności, że przechyły dochodziły do trzydziestu stopni. Było jasne, że pogoda się nie pogorszy.

Na mostku, w wieżach, pod pokładami ludzie nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy. Milczeli.

Tuż przed pierwszą azdyk „Vectry” dał znać o łodzi podwodnej. Vallery otrzymał meldunek i zastanawiał się, co robić. Jeśli pošle „Vectrę”, aby odszukała nieprzyjaciela, okręt rozkaz wykona, zatoczy parę kół nad łodzią i nie rzuci bomb głębinowych, a kapitan niemiecki bez wątpienia domyśli się dlaczego. Potem to już tylko kwestia czasu. Niemiec może wynurzyć się i zawiadomić wszystkie łodzie podwodne w tym rejonie, że FR 77 można atakować bezkarnie. Poza tym miał nadzieję, że przy takiej pogodzie nie uda się atak torpedowy. Prowadzenie obserwacji przez peryskop wydawało się niemożliwe. Ciężka fala zbyt kołysałaby łodzią, by ta mogła celnie wypuścić torpedy. Ruchy fal nie ograniczają się do powierzchni - nawet trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt stóp pod powierzchnią kołyszą i wytrącają łódź z równowagi, a w wyjątkowych warunkach działają tak nawet na głębokości stu stóp. Z drugiej zaś strony dowódca łodzi podwodnej może ryzykować jeden na tysiąc i - przy dużym szczęściu - torpeda może trafić. Vallery rozkazał, aby „Vectra” przeprowadziła rozpoznanie.

Za późno. I tak byłoby za późno. „Vectra” jeszcze wymrugiwała potwierdzenie odbioru rozkazu, jeszcze nie zmieniła kursu, gdy na mostek „Ulissesa” dotarł grzmot wybuchu. Wszystkie oczy przebiegły wokół horyzontu, szukając dymu, płomieni, pochylonego sztorcem ku wodzie pokładu, zwalnającego bieg statku. Nie dostrzegły nic. Dopiero po pół minuty prawie przypadkowo zauważono, że „Electra” - czołowy statek prawej kolumny - zwalnia, staje i osiada w wodzie bez przechyłu. Prawie na pewno otrzymała cios w maszynownię. Zaczął migotać aldis „Sirusa”. Bentley czytał kapitanowi depeszę:

„Komandor Orr prosi o zezwolenie na podejście do lewej burty «Electry» i wzięcia na pokład rozbitków”.

- Do lewej - przytaknął Turner. - Ślepa strona dla napastnika. Przy gładkim morzu duże możliwości udzielenia pomocy... No tak... - spoglądał na „Sirusa”, który kołysał się straszliwie, idąc bokiem do

fali.

- Może podrapać sobie farbę na burtach...

- Jaki ładunek ma „Electra”? - zapytał Vallery. - Kto wie? Może materiały wybuchowe? -

Obejrzał się i zobaczył przeczące ruchy głów.

104

- Bentley, spytaj, czy nie wiozą materiałów wybuchowych.

Aldis Bentleya zamigotał i ucichł. Po pół minuty wiadomo było, że nie będzie odpowiedzi.

- Nie mają prądu albo rozbili Aldis - stwierdził Kapok-Kid. - A może tak spróbować chorągiewek kodu? Val ery zgodził się zadowolony.

- Bentley, słyszałeś?

Patrzył na „Vectrę”, gdy chorągiewki szły w górę. Niszczyciel odszedł już dobrą milę. To przechylał się na boki, to rył dziobem fale, zataczając ciasne kręgi. Znalazł zabójcę, lecz nie miał

bomb głębinowych.

Val ery odwrócił się i znów spojrział na „Electrę”. Nie było jeszcze odpowiedzi... Nareszcie na reii ukazały się chorągiewki sygnalizacyjne.

- Depesza do „Sirusa” - zawołał. - „Naprzód... zachować największą ostrożność!”. Nagle poczuł na ramieniu dłoń Turnera.

- Czy pan słyszy? - pytał komandor.

- Czy słyszę? Co? - z kolei spytał Val ery.

- Bóg jeden wie co! Spójrz pan na „Vectrę”!

Val ery skierował wzrok w kierunku wskazanym przez Turnera. Początkowo nie mógł nic dojrzeć, lecz po chwili dostrzegł maleńkie gejzery natychmiast pochłaniane przez wysokie fale. Z

trudem mógł dosłyszeć leciutkie pomruki dalekich podwodnych wybuchów.

- Cóż oni, u diaska, wyrabiają?! - zawołał. - Co to jest?

- Wygląda jakby sztuczne ognie - żartował Turner. - Co pan myśli, panie Carrington?

- Dwudziestopięcioletnie ładunki - odparł krótko pierwszy oficer.

- Ma rację, panie kapitanie - zgodził się Turner. - Oczywiście nic innego. Uważam, że równie dobrze mogliby używać sztucznych ogni - dodał lekceważąco.

Lecz komandor omylił się, ładunki miały zaledwie jedną dziesiątą siły wybuchowej zwykłej bomby głębinowej, lecz jeśli trafiły dokładnie w kiosk łodzi lub wybuchły przy sterach, mogły być zabójcze.

Ledwie Turner skończył mówić, łódź podwodna wynurzyła się na powierzchnię - pierwsza łódź, jaką ujrzeli w ciągu sześciu miesięcy! Wynurzyła się wysoko dziobem do góry, zatrzymała na dwie, trzy sekundy i zwała na równy kil, kołyszac gwałtownie między falami.

Dramatyczna była gwałtowność, z jaką się ukazała. Przed chwilą jeszcze morze było puste i nagle cały konwój ogląda na powierzchni podwodnego wroga w pełnej okazałości. Wszyscy byli zaskoczeni, nawet „Vectra”. Łódź wynurzyła się, gdy niszczyciel zataczał zewnętrzny łuk ósemki.

Natychmiast zagrały pom-pomy. Lecz pom-pomy, wiadomo, to działka mało precyzyjne nawet w idealnych warunkach, a już zupełnie niecelne przy dużej chwiejbie. Niszczyciel pochylił się w skręcie; oerlikony trafiły parę razy w kiosk łodzi; podwójnie sprzężone lewisy zasypały przeciwnika pociskami, które mogły zdziałać tyle, co rozjątrzony rój szerszeni. Przez ten czas „Vectra” zakończyła skręt, do akcji weszło główne uzbrojenie, lecz łódź podwodna powoli schodziła pod wodę. Mimo to armaty 4,7

cała otworzyły ogień w miejsce, gdzie zniknął przeciwnik. Równie szybko musiały przerwać strzelanie, gdyż dwa pociski odbiły się od wody i jęcząc przeleciały nad konwojem. Niszczyciel legł

na kurs i przepłynął nad zanurzoną łodzią. Obserwujący przez lornety akcję z mostku „Ulissesa”

widzieli na tylnym pokładzie „Vectry” figurki marynarzy rzucających dwudziestopięcioletnie ładunki.

„Vectra” natychmiast skręciła raptownie na południe, armaty maksymalnie pochylone patrzyły za prawą burtę.

Tym razem pociski armat lub ładunki musiały uszkodzić łódź naprawdę poważnie. Wynurzyła się ponownie, gwałtowniej niż poprzednio, otoczona wrzącym wieńcem piany i znów „Vectra” miała złą pozycję. Łódź wyszła na powierzchnię trzy kable z lewej strony dziobu.

Tym razem łódź pozostała na powierzchni. Jeśli kapitanowi i załodze można było cokolwiek zarzucić, to nie brak odwagi. Łuk kiosku został otwarty i załoga rzuciła się do armaty, aby przyjąć nierówną walkę.

Pierwszych dwóch nie dobiegło do działa, porwały ich fale załamujące się wysoko nad pokładem łodzi. Inni skoczyli naprzód, gorączkowo ustawiali armatę, zataczając łufą dziewięćdziesięciostopniowy łuk, aby wycelować w zbliżający się dziób „Vectry”. Pierwszy strzał był

godny podziwu. Mimo że fale odrywały ludzi od działa, a pokład tańczył gwałtownie, pocisk trafił w mostek „Vectry”. Był to pierwszy i ostatni pocisk, gdyż marynarze przy armacie skulili się nagle i

zginęli padając obok działa lub staczając się w morze.

To była jatka. Na dziobie „Vectry” stały dwie wieżyczki samolotowe boton-paul nocnych myśliwców defiant. Z każdej oszklonej kopuły cztery sprzężone karabiny maszynowe, strzelając jednocześnie, sypnęły fantastycznym gradem trzystu pocisków na sekundę. Często używany, wytarty już zwrot: „grad pocisków” tu dokładnie odpowiadał rzeczywistości. Żaden człowiek na pokładzie łodzi nie miał prawa żyć dłużej niż dwie sekundy, nie było nadziei, że umknie spod ostrzału. W

bohaterskim akcie samobójstwa jeden za drugim wybiegali niemieccy marynarze z wnętrza kiosku, lecz żaden nie dotarł do armaty.

Później na pokładzie „Ulissesa” nikt nie umiał powiedzieć, kiedy zrozumieli, że „Vectra”, nurzając się dziobem w wysokich falach, idzie na przeciwnika taranem. Być może jej kapitan nie miał

wcale tego zamiaru; być może przypuszczał, że łódź znów pójdzie pod wodę, i chciał zdruzgotać jej kiosk i peryskop, aby mieć pewność, że już mu nie ucieknie; być może został zabity, gdy pocisk trafił

w mostek. Możliwe również, że w ostatniej chwili zmienił decyzję, gdyż „Vectra” - która pędziła wprost na kiosk łodzi - skręciła gwałtownie w prawo.

Przez chwilę wydawało się, że minie łódź, lecz nadzieja ta prysnęła w tym samym momencie, gdy się zrodziła. „Vectra” zjechała po zboczu fali i z góry uderzyła stwą w kadłub łodzi jakieś trzydzieści stóp od dziobu, rozcinając hartowaną stal jak karton. Ryła dziobem morze, gdy dwa potężne wybuchy szarpnęły powietrzem jak jeden wulkan. Obydwa okręty skryła lecąca w niebo kolumna wody i poskręcanej stali. Przyczyna wybuchów to już sprawa domysłów, lecz ich skutki były oczywiste. W jakiś sposób musiała wybuchnąć głowica którejś z załadowanych już w wyrzutnie torped łodzi, a za nią poszły inne torpedy. Niewykluczone również, że i magazyny amunicyjne

„Vectry” wybuchły od wstrząsu.

Powoli, jakby z rozmysłem, olbrzymia chmura wody opadła na morze i ukazała się nagle

„Vectra” i łódź podwodna lub raczej to, co z nich zostało. Wydawało się dziwne, że jeszcze coś unosi się na powierzchni. Łódź zanurzona dziobem zdawała się kończyć tuż za stanowiskiem armaty.

„Vectra” wyglądała, jakby tuż przed mostkiem przecięta była w poprzek olbrzymim nożem. Reszta zniknęła. Po prostu przepadła.

Ludzie z konwoju nadal nie wierzyli własnym oczom, gdy rozbity, zapadający wraz z łodzią w tą samą dolinę kadłub „Vectry” kołysał się ociężale, jakby z trudem, a mostek i maszt leżały prawie na kiosku. Po chwili morze zamknęło się nad nimi. Zniknęły połączone w jedno.

Ostatnie statki konwoju oddaliły się już o dwie mile. Z tej odległości nie sposób było dojrzeć, czy na morzu zostali jacyś rozbitkowie. Raczej było to niemożliwe. A jeśli nawet ktoś uszedł

natychmiastowej śmierci, to miotał się w lodowatej wodzie, pływał, wzywał pomocy i umierał. Zanim nadszedłby ratunek, i tak by nikt nie żył.

Konwój płynął dalej, prosto na wschód.

Pozostały tylko „Electra” i „Sirrus”. „Electra” leżała bokiem do fali, kołysząc się wolno, niezdarnie. Była martwa. Przechył dochodził do piętnastu stopni na lewą burtę. Na pokładach tłoczyli się ludzie, czekając na ratunek. Porzucili zamiar spuszczenia szalup, gdy ujrzeli, że zataczając łuk z tyłu od lewej zbliża się „Sirrus”. Jedna z łodzi została wysunięta za burtę, a kołysanie i przechył nie pozwoliły jej wciągnąć z powrotem na pokład. Rozhuśtana dziko, zwisała teraz za burtą statku, dwadzieścia stóp nad wodą. Zbliżający się Orr ze złością dwukrotnie wydawał rozkaz, aby przecięto liny tali. Lecz szalupa - groźne wahadło na drodze „Sirusa” - pozostawała na swoim miejscu. Czy zawiniła panika? Chyba raczej zamrożnięte hamulce wind. W każdym razie nie było chwili do stracenia: za dziesięć minut „Electra” musiała pójść na dno.

„Sirrus” podchodził dwukrotnie. Orr nie miał zamiaru zatrzymywać się przy burcie, by go nie przywalilo piętnaście tysięcy ton ciężaru frachtowca. Za pierwszym razem przeszedł wolno z szybkością pięciu węzłów o dwadzieścia stóp od burty... To była najmniejsza odległość, na jaką odważył się zbliżyć. Obydwa statki, rozkołysane gwałtownie, jednocześnie chyliły się ku sobie. Gdy dziób „Sirusa” przechodził koło mostku, ludzie skakali. Skakali, gdy przedni pokład niszczyciela podnosił się do ich poziomu; skakali, gdy zjeżdża! piętnaście, dwadzieścia stóp niżej. Pewien marynarz (z płaszczem burberry i walizką w ręku) nonszalancko przestąpił przez oba relingi, gdy na moment pozostawały względem siebie bez ruchu. Inni, tłukąc się boleśnie, padali na okryty lodem pokład. Skręcali kostki, łamali nogi i kości biodrowe. Niejeden wywichnął nogę w biodrze. Dwóch marynarzy skoczyło i nie trafiło na pokład. Ponad harmider głosów uniósł się mrozący krew w żyłach

106

wrzask. Rozhuśtane kadłuby przerwały życie jednego z nich; rozpaczliwy, przerażony krzyk drugiego rwał uszy, gdy stalowa ściana burty „Electry” spychała go pod śruby „Sirusa”

Wypadek ten nie wpłynął na mistrzostwo komandora Orra. Dowodził wspaniale. Lecz nawet jego talent był bezsilny wobec dwóch kolejnych złośliwych fal, dwukrotnie większych od innych.

Pierwsza podrzuciła „Sirusa” ku „Electrze”, potem przeszła pod frachtowcem i przechyliła go mocno na lewą burtę; następna fala przechyliła „Sirusa” na prawą. Rozległ się trzask i zgrzyt żelaza.

Nadburcie „Sirusa” i górne płyty poszycia wygięły się i pękły na przestrzeni stu pięćdziesięciu stóp.

Jednocześnie zwisająca z „Electry” szalupa uderzyła w mostek „Sirusa”, rozbijając się doszczętnie.

Natychmiast zadźwięczał telegraf maszynowy i woda zapieniła się za rufą niszczyciela.

Zbliżanie się śmierci i samą śmierć musiał dzielić jedynie ułamek sekundy, tak że nieszczęsny marynarz w wodzie ledwie zdążył zdać sobie sprawę z tego, co nastąpiło. Niszczyciel odsunął się od frachtowca i odpłynął.

Po pięciu minutach „Sirrus” powtórzył manewr. Tym razem Orr dał pokaz zimnej krwi i kalkulacji.

Wierząc w szczęśliwy los, który go nigdy nie opuszczał, otarł się „Sirrusem” o burtę „Electry”. Była zanurzona tak głęboko, że nie groziła przygnieceniem niszczyciela. Orr podszedł w momencie, gdy woda była przez chwilę spokojna. Przyjazne ręce chwyciły rozbitków, łagodniły ich upadki. Po trzydziestu sekundach niszczyciel znów odpłynął, a pokłady „Electry” były już puste. W dwie minuty później stłumiony grzmot wstrząsnął tonącym statkiem. Wybuchły kotły. „Electra” powoli przewracała się na bok. Maszty i komin leży na powierzchni morza, zanurzyły się i zniknęły. Na chwilę ukazało się dno i kil statku. Mignęły czernią na tle szarzyny morza i nieba i również zniknęły. Jeszcze przez minutę olbrzymie bańki powietrza wypływały gwałtownie na powierzchnię. Stopniowo malały i wreszcie przestały bulgotać.

„Sirrus” leży na kurs. Pokład, na którym tłoczyli się ludzie, zaczynał drżeć od narastających obrotów turbin. Niszczyciel nabierał szybkości, chcąc dogonić konwój FR 77, konwój, o którym marynarka królewska chciałaby zapomnieć. Scapa Flow i St. John's opuściło trzydzieści sześć jednostek. A do zatoki Kola jeszcze trzydzieści dwie godziny...

Turner ze złością obserwował zataczającego się za rufą „Sirusa”. Nawet jego niespożyta energia i zapal wyczerpały się na chwilę. Gwałtownie zrobił w tył zwrot. Ukradkiem spojrzął na Vallery'ego. Bóg jeden wiedział, skąd ten żywy szkielet czerpie tajemnicze siły, aby wykradać śmierci godziny życia. Turner zdał sobie sprawę, że teraz śmierć, a choćby nadzieja na rychłą śmierć musiała być dla Val ery'ego nieskończenie słodka.

Spojrzał i na szarej stężałej twarzy kapitana zobaczył troskę. Zaklął siarczyście w duchu.

Poczuł, że spoczął na nim zmęczony, mętny już wzrok kapitana. Turner chrząknął z zakłopotaniem.

- Ilu rozbitków może mieć na pokładzie „Sirrus”? - spytał. Val ery uniósł znużone ramiona.

- Nie mam pojęcia, komandorze. Setkę, a może i więcej... Dlaczego pan pyta?

- Setka - delektował się Turner. - A był rozkaz: „Nie ratować rozbitków”. Ciekaw jestem, co też powie Orr, gdy po powrocie do Scapa Flow wysypie Starrowi to wszystko na brzeg? Strasznie ciekaw!

107

ROZDZIAŁ XIII

Sobota po południu

„Sirrus” zaczął migotać aldisem, gdy znajdował się jeszcze milę za „Ulissesem”. Bentley odbierał sygnały.

- Depesza, panie kapitanie. „Mam na pokładzie dwudziestu pięciu do trzydziestu rannych. Trzy wypadki bardzo groźne, zdaje się śmiertelne. Potrzebuję lekarza”.

- Odpowiedz, że zrozumiano. Namyślał się chwilę.

- Możemy pogratulować porucznikowi Nichollsowi. Niech się melduje na mostku - spojrzał na komandora i uśmiechnął się nieznacznie. - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Brooksa, nawet w okresie jego najlepszej formy sportowej, w ratowniczym kole, i to przy takiej jak dziś pogodzie.

Nicholls będzie miał nie lada przeprawę.

Turner zerknął na „Sirusa”, którego przechyły sięgały czterdziestu stopni.

- Tak, to nie będzie sielanka - przyznał. - Zresztą koła ratownicze nie są przystosowane do przewożenia tak ważnych osób, jak naczelny lekarz.

Śmieszne - pomyślał Turner - jak spokojnie wszyscy zajmują się bieżącymi sprawami i nikt już nawet nie wspomina o „Vectrze”.

Skrzypnęły drzwi. Val ery powoli obejrzał się i odpowiedział na bardzo „cywilne” salutowanie Nichollsa.

- Na „Sirusie” potrzebny jest lekarz - powiedział bez wstępów. - Jak się to panu podoba?

Nichol s przewycięzał kołysanie okrętu i mocniej wparł nogi w przekrzywiony pokład mostku.

Więc ma opuścić „Ulissesa”? Nagle zrozumiał, że nie chce tego. Zaskoczyła go własna reakcja. On, Johnny Nicholls - jeśli chodzi o niechęć i brak wyrozumienia dla wszystkiego, co tyczy się marynarki, unikat wśród oficerów - reaguje w ten sposób! Chyba dostał rozmiękczenia mózgu! Nagle, właśnie w tej chwili zdał sobie sprawę, że jego mózg pracuje prawidłowo. Wiedział, czemu chce pozostać. Nie chodziło o dumę, o zasady czy sentyment. Po prostu... po prostu należał do „Ulissesa”.

Uczucie przynależności do okrętu - nawet nie potrafił wyjaśnić sobie tego dość dokładnie -

działało na niego dziwnie i mocno. Poczul wlepione w siebie spojrzenia, zmieszany zerknął na zbałwanione morze.

- A więc? - głos Vallery'ego był pełen niecierpliwości.

- Wcale mi się to nie podoba - odparł szczerze Nichol s. - Lecz oczywiście idę. Czy natychmiast?

- Jak tylko zbierze pan swoje instrumenty - przytaknął Val ery.

- To znaczy już! Zawsze mam spakowany zestaw awaryjny. - Znów zerknął na olbrzymie fale. -

Co mam robić, panie kapitanie? Skoczyć?

- Co za pomysły! - Turner wielką dłonią klepnął go jowialnie po plecach. - O to nie potrzebujesz się martwić - wołał wesoło.

- Na pewno nie będzie bolało. Takie właśnie, o ile się nie mylę, były pańskie słowa, gdy przed paru tygodniami usuwał mi pan ząb - skrzywił się na wspomnienie bolesnego zabiegu. - Koło ratownicze, bracie. Koło ratownicze!

- Koło ratownicze? - wzdrygnął się Nicholls. - Czy nie widzi pan, jaka pogoda? Będę jeździł w górę i w dół, jak cholerne jo-jo.

- O, młodzieńcza nieświadomość - Turner ze smutkiem kręcił głową.

- Przecież skęcimy pod wiatr. Będiesz jechał jak rolls-royce'em, kolego! Zaraz wszystko przygotujemy. - Odwrócił się i zawołał:

- Chrysler, ganiaj do starszego bosmana Hartleya. Niech natychmiast przyjdzie na mostek.

Chrysler nie drgnął, jakby nie słyszał rozkazu. Jak zwykle w tych dniach stał na swoim ulubionym stanowisku przy prawej burcie, obok tablicy rozdzielczej reflektora. Ręce opierał o gorące przewody pary, a górną część twarzy wetknął w gumowe osłony potężnej lornety. Co parę sekund opuszczał rękę i przekręcał korbkę obrotnicy o parę centymetrów i znów zamierał bez ruchu.

- Chrysler! - ryknął Turner. - Ogłuchłeś?!

Minęło trzy, cztery, pięć sekund. Wszyscy patrzyli na Chryslera, a ten nagle szarpnął się do tyłu, spojrzał na pelengator, a dopiero później na komandora. Na twarzy chłopca malowało się 108 podniecenie.

- Zielone jeden-jeden-zero! - krzyknął. - Zielone jeden-jeden-zero! Samolot! Tuż nad horyzontem! - Znów przylgnął twarzą do lornety.

- Cztery... Siedem... Nie! - wrzeszczał. - Dziesięć! Dziesięć samolotów! ...

- Zielone jeden-jeden-zero? - Turner już trzymał lornetę przy oczach. - Nic nie widzę! Jesteś pewny, chłopcze? - zawołał podniecony.

- Tak jest, panie komandorze! - Trudno było nie poznać, że w podnieconym młodzieńczym głosie dzwięczała całkowita pewność. Turner wyleciał dosłownie za drzwi i skoczył do Chryslera.

- Pozwól, niech spojrzę - rozkazał.

Wyteżył wzrok poprzez szkła lornety, pokręcił korbą obrotnicy w lewo, w prawo, cofnął się powoli i ze złością nasrożył brwi.

- Musi być coś cholernie nie tak albo z twoim wzrokiem, albo z wyobraźnią! A jeśli spytasz...

- On ma rację - przerwał spokojnie Carrington. - Widzę je.

- I ja! - krzyknął Bentley.

Turner zawrócił do lornety, spojrzął, cały aż zeszytywniał i obejrzał się na Chryslera.

- Przypomnij mi kiedyś, żebyś mnie przeprosił! - zawołał wesoło i zanim skończył mówić, już z powrotem stał na platformie kompasowej.

- Depesza do konwoju! - gwałtownie rozkazywał Val ery. - Szyfr „H”. Pierwszy oficer, pełna naprzód. Zastępca bosmana, radiowóz: na stanowiska do dział. Komandor?

- Na rozkaz!

- Czy wszystkie działa strzelają niezależnie do własnych celów? Tak? A wieże artylerii głównej?

- Na razie trudno powiedzieć. Chrysler, co tam...

- Condory, panie komandorze - uprzedził pytanie Chrysler:

- Condory! - Turner patrzył z niedowierzaniem. - Tuzin condorów? Czy jesteś pewien, że to...

Och, dobrze już, dobrze! - urwał spieszenie.

- Condory... to condory - z podziwem pokręcił głową i spojrzął na Val ery'ego. - Gdzież, u diabła, jest mój zafajdany hełm? Mówi, że condory!

- A tak, to condory - z uśmiechem potwierdził Vallery. Turner podziwiał jego opanowanie i niezmacony spokój.

- Czy do celów wskazywanych z mostku artyleria główna prowadzi ogień niezależny?

- Tak sędzę. - Turner zerknął na dwóch telefonistów stojących przy aparatach połączonych z wieżami artylerii. - Hej, wy! Słuchać, co się dzieje na mostku, a gdy zawołam do aparatów...

Val ery przysunął się do Nichol sa.

- Lepiej niech pan zejdzie na dół - poradził. - Przykro mi, że pańska wycieczka się odwleka.

- A mnie nie - krótko odparł Nicholls.

- Nie? - Val ery uśmiechnął się. - Ma pan stracha?

- Nie, panie kapitanie - również z uśmiechem odpowiedział Nicholls. - Nie mam. Pan wie, że nie miałem...

- Wiem, wiem - przyznał Vallery. - Wiem i dziękuję. Popatrzyl, jak Nicholls opuszcza mostek.

Skinął na łącznika z radiostacji i zwrócił się do Kapok-Kida:

- Kiedy nadaliśmy ostatnią depeszę do Admiralicji? Rzuć okiem do dziennika.

- Wczoraj w południe - natychmiast odpowiedział Kapok-Kid.

- Nie wiem, co zrobiłbym bez ciebie - szepnął kapitan. - Nasza pozycja?

- 72,20 szerokości północnej, 13,40 długości wschodniej.

- Dziękuję. - Spojrzał na Turnera. - Chyba nie ma sensu przestrzegać ciszy radiowej, komandorze? Turner skinął na znak zgody.

- Zanotuj depeszę - szybko powiedział Val ery do czekającego łącznika. - „Do dowódcy operacyjnego floty, Londyn...” Komandorze, co z naszymi przyjaciółmi?

- Zataczają koło daleko na zachód od nas. Zwykły gambit² od rufy. Przynajmniej tak przypuszczam - dodał posępnie. - Ale - mówił już z weselszą miną - pułap chmur sięga ledwie tysiąca stóp.

Val ery skinął głową i dyktował dalej:

2 Gambit - w szachach: otwarcie gry.

109

„...FR 77 16.00. 72,20. 13,40. Kurs O - 90. Wiatr ⁵³północny. Fala wysoka. Sytuacja rozpaczliwa. Z żalem zawiadamiam, że admirał Tyndall zmarł dziś o dwunastej. Sami zatopiliśmy płonący zbiornikowiec «Vytura» storpedowany ubiegłej nocy. «Washington State» zatonął dziś o pierwszej czterdzieści pięć. «Vectra» zatonęła o piętnastej piętnaście po zderzeniu z łodzią podwodną. «Electra» zatonęła o piętnastej trzydzieści. Atakuje nas dwanaście, co najmniej dwanaście samolotów focke-wulf 200". - Myślę, że nie przesadziłem, komandorze? - mruknął z goryczą. - To robi wrażenie na ich lordowskich gościach. Twierdzą, że w całej Norwegii nie ma tylu condorów... Piszcie dalej: „Bezwzględnie przyślijcie pomoc. Osłona powietrzna niezbędna. Proszę o natychmiastową odpowiedź". A teraz biegiem do radiostacji!

- Pański nos, kapitanie! - krzyknął Turner.

- Dziękuję. - Vallery rozcierał odmrożenie, trupioblada płamę na sinoszarej twarzy. Po paru sekundach przestał. Skutki nie były warte wysiłku, który pożerał zbyt wiele nadwątlonych już sił. - Mój Boże, co za mróz - mruczał cicho.

Wstał drżący i przez lornetę lustrował FR 77. Szyfr „H" został wykonany. Statki złamały szyk, rozeszły się po morzu, jak gdyby każdy płynął na własną rękę. W kolumnach stanowiłyby zbyt łatwy cel dla atakujących od tyłu bombowców. Teraz nieprzyjaciół musiał atakować każdy statek z osobna.

Konwój szedł w rozsypce, lecz w takich odległościach, aby tworzyć wspólną skoncentrowaną obronę ogniową.

Zadowolony Vallery mruknął coś pod nosem i skierował lornetę na zachód.

- Teraz trudno by się pomylić - mruczał. - To na pewno condory. Są prosto za rufą.

Wielkie czteromotorowce zakręcały powoli i ociężałe w prawo; wyrównały lecąc tym samym kursem co konwój. Nabierały wysokości. Stale nabierały wysokości.

Dwie sprawy stały się dla Val ery'ego zupełnie jasne. Dwie rzeczy nieprzyjaciel musiał wiedzieć.

Pierwsza: gdzie należało szukać FR 77. Luftwaffe nigdy nie wysyłała ciężkich bombowców na próżny hazard. Nie trudzili się nawet wysłać samolotu zwiadowczego. Było więc pewne, że jakaś łódź

podwodna przekazała dokładny kurs i pozycję konwoju. Szansa zobaczenia peryskopu przy takiej fali nie istniała.

Druga: Niemcy wiedzieli, że „Ulisses” nie ma już radaru. Focke-wulfy wznosiły się, aby wejść w niskie chmury i zamierzały wyskoczyć z ukrycia na parę sekund przed rozpoczęciem bombardowania. Przy ogniu przeciwlotniczym kierowanym radarem atak z takiej odległości był bliski samobójstwu. Lecz wróg wiedział, że jest bezpieczny.

Val ery widział, jak ciężko pracujące condory dotarły do niskich chmur i zniknęły mu z oczu.

Bezsilnie wzruszył ramionami i opuścił lornetę.

- Bentley!

- Na rozkaz.

- Szyfr „R” natychmiast!

Zafurkotały chorągiewki kodu. Przez piętnaście, dwadzieścia sekund (zniecierpliwionemu kapitanowi wydawało się, że mijają minuty) nic się nie działo. I nagle, jak zgarnięte na scenie ręką mistrza marionetki, dzioby wszystkich statków konwoju zatoczyły łuki. Jednostki idące po lewej stronie „Ulissesa” poszły na północ, idące z prawej na południe. Val ery obliczał, że gdy najwyżej za dwie minuty condory wylecą z chmur, znajdą przed sobą puste morze. Puste? Nie! Pozostaną tam

„Ulisses” i „Stirling” - okręty dobrze wyposażone do obrony. Poza tym condory dostaną się w krzyżowy ogień frachtowców i niszczycieli. Już będzie za późno na zmianę kursu i atakowanie statków z boku. Vallery uśmiechnął się do siebie. Jeżeli chodzi o taktykę obronną, to powinno wystarczyć. W tej sytuacji było to jedyne wyjście. Słyszał, jak Turner wykrzykuje teraz rozkazy przez głośnik. Był niezmiernie rad, że oddał obronę okrętu w doświadczone ręce komandora. Gdyby jeszcze sam nie czuł się tak bardzo zmęczony...

Minęło dziewięćdziesiąt sekund, dwie minuty... A condorów jak nie ma, tak nie ma. Setki oczu wpatrywało się w chmury za rufą. A te pozostawały irytująco szare i bezkształtne.

Minęło dwie i pół minuty. Nadal nic nie dostrzeżono.

- Czy ktoś widzi cokolwiek? - spytał zaniepokojony Val ery, nie spuszczać oczu z chmur.

- Nie! Zupełnie nic!

Niczym nie zmacone, dokuczliwe milczenie. Trzy minuty, trzy i pół minuty. Cztery. Vallery do 3 16.00. 72,20 itd. - godzina szesnasta, szerokość geogr. 72,20, długość geogr. 13.40, wiatr 5 wg skali Beauforta (przyp. tłum.).

110

ostatka wyteżył zmęczony wzrok. Dostrzegł, że przygląda mu się Turner; zauważył na jego twarzy wyraz zrozumienia, jakby przedświt zwiastujący rozwiązanie zagadki. Bez słowa obaj zrobili w tył zwrot i wlepili wzrok w chmury przed sobą.

- O to chodziło! - szybko zawołał Vallery. - Ma pan rację, komandorze. Na pewno! - Czuł, jak wszyscy również wykonali zwrot i patrzyli w przód z równym napięciem jak on sam. - Minęły nas i będą atakować z przodu. Ostrzec działa! Na Boga, prawie nas przychwycili - szepnął cicho.

- Wszyscy wytrzeszczać oczy! - huknął Turner. Obawy prysnęły. Na nowo zapanowała nie dająca się opisać radość i podniecające wyczekiwanie walki. - Powiedziałem: wszyscy! Jesteśmy na jednej łodzi. Nie zamierzam żartować! Kto pierwszy dostrzeże condora, dostanie czternaście dni urlopu!

- Ważne od kiedy? - uszczypliwie zapytał Kapok-Kid.

Turner wybuchnął śmiechem. Nagle urwał. W napięciu podniósł głowę.

- Czy słyszysz? - spytał. Mówił cicho, jakby w obawie, że i wróg może usłyszeć. - Są tam, gdzieś tam! Niech mnie diabli, jeśli potrafię wskazać gdzie! Gdyby nie ten wiatr!...

Wściekłe, niecierpliwe ujadanie oerlikonów na śródkręciu sparaliżowało go dosłownie w pół zdania, zmusiło do gwałtownego zwrotu. Jednym błyskawicznym, dobrze obliczonym skokiem dopadł do mikrofonu radiowężła. Pierwsza trójka condorów wynurzyła się w równym szyku z chmur na wysokości pięciuset stóp i nie dalej jak pół mili za rufą „Ulissesa”. Za rufą! Bombowce najwidoczniej zatoczyły w chmurach pełny krąg i świetnie zamaskowały swoje początkowe, a jak się okazało i rzeczywiste zamiary.

Sześć sekund... Nawet dla ciężkiego bombowca na przebycie pół mili wystarczy sześć sekund...

Zwłaszcza gdy na pełnych obrotach atakuje w płytkim locie nurkowym. Ledwie starczyło czasu, by ochłonąć z przygniatającego uczucia zaskoczenia i grozy, gdy condory były tuż nad okrętem.

Zapadał półmrok, upiorna szarówka arktycznego wieczoru. Pociski smugowe rozpalonymi krechami przecinały ciemniejące niebo. Początkowo leciały Panu Bogu w okno i gasły w dali, później celniejsze zamierały, gasły natychmiast, niknąc w kadłubach nurkujących condorów. Lecz nie zdążyły nic zdziałać, miały przeciwnika na celownikach najwyżej przez dwie sekundy, a olbrzymie condory z niezwykłą odpornością wytrzymywały ciosy. Prowadzący samolot wyrównał na trzystu stopach i

natychmiast wyrzucił dwustupięćdziesięciokilogramowe bomby. Przez chwilę leciały jakby zawieszane pod samolotem, a później leniwie spadały łukiem w kierunku „Ulissesa”. Condor natychmiast podciągnął dziób do maksymalnego wzniesienia. Cztery wielkie silniki ryczały pojękującym głosem - condor szukał schronienia w chmurach.

Bomby chybiły. Chybiły o trzydzieści stóp, wybuchając przy zetknięciu z wodą, tuż obok mostka.

Dla obsługi centrali przekaźników, dla załogi maszynowni i kotłowni wybuch i wstrząs musiały być przerażające; zapewne - dosłownie - pękały tam w uszach bębni. Gejzery wody o średnicy dwudziestu stóp u podstawy trysnęły w górę, osiągając wysokość połamanych masztów. Zawisły na chwilę i spadły na mostek i śródokręcie.

Nie mogący ruszyć się z miejsca strzelcy oerlikonów i obsługi pom-pomów zostali przemoczeni do suchej nitki - a temperatura dochodziła do trzydziestu stopni poniżej zera!

Co najgorsze, kaskady wody zupełnie oślepiły celowniczych. Następny condor, atakując, prawie nie spotkał obrony. Strzelał jedyny oerlikon na platformie koło mostka. Pilot naprowadził maszynę bardzo dokładnie, idealnie wzdłuż płaszczyzny symetrii okrętu, ale starając się utrzymać kierunek, widocznie źle ocenił wysokość. Wydawało się, że bomby chybią, ale... Pierwsza trafiła w dziób między windę kotwiczną a falochron. Wybuchła pod pokładem, wysadzając rozdartą pokład. Na mostku było słychać niekończący się zgrzyt i dźwięczny klekot. Wybuch uszkodził windę i hamulec, przeciął łańcuch i prawa kotwica poszła na dno.

Następne bomby padły prosto przed okrętem, tak że z idącego miłą w przedzie „Stirlinga” nie można było dojrzeć „Ulissesa” za kolumnami tryskającej w górę wody. Gdy kurtyna wodna opadła, wydało się, że „Ulisses” w ogóle nie został trafiony. Podniesiony dziób zasłaniał od przodu uszkodzenie, a jeśli nawet wybuchł gdzieś pożar, to setki galonów wody spadającej z nieba ugasiły go w zarodku - nie było więc widać ani dymu, ani ognia. „Ulisses” dotychczas miał szczęście...

Wreszcie, po dwudziestu miesiącach niezwykłych przygód, ów bajecznie szczęśliwy los (który przeszedł do legendy i na morzach północnych stał się przysłowiowy) zaczął „Ulissesa” opuszczać.

Jak na ironię „Ulisses” sam sprowadził na siebie nieszczęście. Odezwała się główna artyleria. Tylne

armaty 5,25 zaczęły rzygać stufuntowymi pociskami wprost na nurkujące condory. Pierwszy pocisk z wieży „X” oberwał prawe skrzydło trzeciego bombowca. Spadło jak lekki liść. Przez ułamek sekundy focke-wulf trzymał kurs, potem prawie pionowo zwałił się dziobem w dół i nadal rycząc lewymi silnikami, z narastającym ogłuszającym wyciem mierzył w pokład „Ulissesa”.

Nie było kiedy wykonać uniku, nie starczyło czasu, by powziąć decyzję, nawet aby westchnąć.

Wiązka bomb uderzyła w spienioną za rufą wodę. „Ulisses” szedł z szybkością trzydziestu węzłów.

Dwie bomby trafiły w tylny pokład: jedna wybuchła w rufowym pomieszczeniu załogi, a druga w pomieszczeniach piechoty morskiej. W sekundę potem condor z ogłuszającym hukiem i w błyskach

wybuchającej benzyny zwałił się na armaty wieży „Y”.

Trudno uwierzyć, lecz był to ostatni nalot na „Ulissesa”. Tym trudniej, że krążownik był w tej chwili bezbronny i od rufy można go było atakować bezkarnie. Wieża „Y” została zniszczona. Wieżę

„X” (jakimś cudem nietkniętą) pokrywały szczątki condora. Jej załogę na pewno oślepił dym i płomień. Oerlikony śródkręcia zamilkły. Strzelcy, doszczętnie przemoczeni przed niespełną minutą, musieli być wyciągani ze stanowisk. Zawsze trudno się stamtąd wydostać, a cóż dopiero wtedy, gdy ubranie zamieniło się w lodową skorupę. Pospiesznie przenoszono celowniczych pod pokład i rzucono w kuchni, aby odtajali. Była to męka, straszliwa męka, ale także jedyny ratunek przed śmiercią, która czekała ich na stanowiskach.

Pozostałe condory odleciały na prawo, wznosząc się w przedziwnym skřęcie. Ze wszystkich stron otaczały je dziesiątki puszystych, szybko rosnących dymków wybuchających pocisków przeciwlotniczych. Lecz samoloty przelatywały przez zaporę nietknięte, nieuszkodzone. Znikały w chmurach, biorąc kurs do swych baz, na południowy wschód.

To dziwne - myślał Val ery. - Należało się spodziewać, że wykorzystując zaskoczenie będą kończyć atak i skoncentrują bombardowanie na uszkodzonym „Ulissese”. Załogi condorów wyraźnie okazały brak odwagi... - Odrzucił tę myśl i zajął się bardziej aktualnymi troskami. A było ich co niemiara.

Na tylnym pokładzie „Ulissesa” szalał pożar - paliły się pomieszczenia rufowe. Lecz bardziej groźny był pożar wież artyleryjskich: tuż pod nimi były magazyny amunicyjne. Dziesiątki ludzi z oddziałów awaryjnych biegło na rufę. Przewracali się, potykali na oślizłym pokładzie, rozwijali węże sikawek. Inni mijali leżących, niosąc wielkie czerwone gaśnice pianowe. Pechowy marynarz A.B.

Ferry, który mimo zakazu opuścił izbę chorych, pośliznął się i upadł obok wieży „X” akurat w miejscu, gdzie oderwane skrzydło condora zniszczyło nadburcie. Zjeżdżając na skraj pokładu Ferry rozpaczliwie próbował uchwycić palcami jakiś punkt oparcia. Złamaną ręką zdołał ucześcić się nadwerężonego pręta relingu, nie mógł jednak utrzymać nią ciężaru ciała. Obsuwał się coraz dalej, aż zniknął za burtą. Tylko sekundę przez szum pożaru słychać było przeraźliwy krzyk. Zginął

natychmiast. Woda zamknęła się nad nim, a w głębinie czekały śruby okrętu.

Marynarze z gaśnicami pierwsi przystąpili do akcji - tak się postępuje, gdy trzeba zwalczać płonąca benzynę. Woda pogorszyłaby tylko sprawę, rozszerzając powierzchnię pożaru, rozpryskując gorejący płyn po pokładzie. Ale i gaśnice pianowe miały ograniczone możliwości: niektóre pozamarzały, a innych trudno było użyć, bo straszliwy żar nie pozwalał zbliżyć się do źródła ognia.

Mniejsze gaśnice tetrowe, kierowane na płonące przewody elektryczne, dawały nikłe wyniki. Nie używano ich dotychczas, ale załoga wiedziała, że ich płynem można świetnie wywabiać wszelkie plamy na mundurach. Można przekonać radiotelegrafistę, że prąd o napięciu dwóch tysięcy woltów działa zabójczo; można przekonać artylerzystę, że szaleństwem jest mieć zapalki w magazynie amunicyjnym; można wytłumaczyć torpedyście, że zabawa z zapalnikiem z rtęcią piorunującą grozi niebezpieczeństwem - lecz nie da się nikomu wbić do głowy, że odlanie paru kropel płynu z gaśnicy tetrowej jest przestępstwem. Pomimo bardzo dokładnych okresowych kontroli większość gaśnic była

napełniona tylko do połowy. Niektóre były puste.

Wężę nie działały lepiej. Dwa z nich przyłączono do głównych przewodów i odkręcono zawory.

Wężę pozostały puste, martwe. Prawoburtowy przewód wody morskiej zamrzął. Działo się to często z wodą słodką, lecz nigdy ze słoną. Trzeci wąż na prawej burcie zdołano podłączyć, lecz za to nie można było odkręcić zaworu. Gdy użyto młotków, utracono głowice. Ordynans admirała Tyndalla, Spicer (już tylko cień dawnego wesołka), odrzucił młot i płakał ze złości. Drugi zawór na lewej burcie działał, lecz minęły wieki, zanim woda przedarła się przez spłaszczone, zmarznięte wężę.

Stopniowo pożar na pokładzie lokalizowano. Nie tyle dzięki wysiłkom załogi, ile dzięki temu, że 112

wypaliła się benzyna, a poza nią nie było tam nic, co mogłyby ugryźć płomienie. Strumienie wody i gaśnice skierowano przez wielkie, postrzępione otwory pod pokład, gdzie pożar szalał w najlepsze.

Na rufie dwóch ludzi w azbestowych ubraniach pracowało wśród rozpalonego do czerwoności i poskręcane żelaza. Jednym z nich był Nicholls, a drugim starszy telegrafista Brown, specjalista od prac ratowniczych. Brown pierwszy wystąpił na scenę. Ostrożnie wybierając drogę przedostał się do drzwi wieży „Y”. Widziano, jak stanął tam na chwilę, walcząc ze stalowymi wrotami, które trzaskały rytmicznie w takt kołysań krążownika. Potem zniknął we wnętrzu; po chwili wypełził na kolanach, rozpaczliwie chwytając się ścian, aby powstać. Drgał konwulsyjnie, rzygając do maski tlenowej.

Zobaczył to Nichol s. Nie marnował czasu na oglądanie zwęglonych ciał w wieży „Y” i condorze.

Szybko wspiął się po stalowej drabinie do wieży „X” i próbował otworzyć pancerne drzwi. Zacięły się rygle, drzwi ani drgnęły. Trudno dociec, czy sprawił to mróz, czy wstrząs wybuchu. Nicholls szukał

jakiegoś łomu, gdy ujrzał, jak Doyle w dymiącym ubraniu taszczy ciężki młot. Na jego brodatej, pomarszczonej twarzy malowało się zdecydowanie. Kilkanaście mocnych, dobrze wymierzonych uderzeń - Nichol s czuł, że rezonans w zamkniętym pudle wieży musi być straszliwy - i drzwi się otworzyły. Doyle przytrzymał je, a Nicholls wszedł do wieży, gdzie stwierdził, że nie było potrzeby martwić się o obsługę dział. Wszyscy zginęli na miejscu. Sierżant szef Evans wyprostowany, sztywny i pełen powagi jak za życia. Obok leżał Foster - zuchowaty, ognisty kapitan piechoty morskiej - który tak kochał życie. Pozostali siedzieli na stanowiskach lub leżeli obok nich na pozór cali, bez oznak gwałtownej śmierci. U niektórych można było dostrzec krople krwi sączącej się z ucha lub ust, zastygłej już na mroźnym powietrzu. Pęd „Ulissesa” zwiewał w tył od wieży cały pożar ognia. Wstrząs musiał być niesamowity, śmierć natychmiastowa. Nicholls z trudem pochylił się nad telefonistą i zdjął

mu z uszu słuchawki. Wziął do ręki mikrofon i zawołał o połączenie z mostkiem.

Telefon odebrał Vallery. Gdy znów spojrzął na Turnera, wyglądał jeszcze starzej. Był całkiem zdruzgotany.

- To Nichol s - wyszeptał. Pomimo wysiłku, aby się opanować, nie umiał ukryć głębokiego żalu i

wrażenia, jakie zrobił meldunek. - Wieża „Y” zniszczona wraz z obsługą. Wieża „X” wyglądała na nietkniętą, lecz obsługa zginęła. Pożary pod pokładami jeszcze nie opanowane... O co chodzi, chłopcze?

Marynarz zameldował niepewnie:

- Telefon z magazynu amunicyjnego wieży „Y”. Chcą rozmawiać z oficerem artyleryjskim.

- Powiedz im, że go tu nie ma - lakonicznie odpowiedział Vallery. - Nie mamy czasu... - urwał i spojrzał uważnie na marynarza. - Mówisz magazyn „Y”? Podaj telefon.

Wziął słuchawkę i odrzucił w tył kapiszon płaszcza.

- Mówi kapitan. Magazyn „Y”. O co chodzi? Co? Gadajże, człowieku! Nic nie słyszę... O, do diabła! Telefonista, przełączcie na głośnik! Nie słyszać nawet... O, tak będzie lepiej!

Głośnik umieszczony na kabine nawigacyjnej odezwał się gardłowym, zachrypniętym głosem, tym trudniejszym do zrozumienia, że mówiący bełkotał specyficzną glasgowską gwara.

- Słyszycie mnie? - grzmiał głośnik:

- Słyszę. - Głośnik jak echo powtórzył słowa Val ery'ego. - McQuarter?

- Tak jest. Jak pan poznał, panie kapitanie? - Nawet trzaski głośnika nie mogły zagłuszyć tonów zdziwienia. Wyzuty z sił Vallery uśmiechnął się.

- To nieważne, McQuarter. Kto jest tam dowódcą? Gardiner?

- Tak jest, panie kapitanie. Gardiner.

- Dawaj go do telefonu! Zapanowała chwila milczenia.

- Nie da rady. Nie żyje.

- Nie żyje? - Vallery nic nie rozumiał. - Powiedziałeś, że nie żyje?

- Tak jest. Nie tylko on - McQuarter mówił zdecydowanie, ale Val ery ułowił w jego głosie jakieś drżenie. - Ja też byłem zamroczony, ale już mi lepiej. - Marynarz zachłysnął się ochryplym kaszlem.

Val ery czekał, aż przestanie kasłać.

- Lecz... Lecz... Co się stało?

- A skąd mogę wiedzieć? To jest... nie wiem, nic nie wiem... Cholerny huk i potem... No, nie jestem pewien, co się stało... Z ust Gardinera waliła krew.

- Ilu... ilu was tam zostało?

- Tylko Barker, Wil ianson i ja. Poza nami nikogo nie ma. Tylko my.

113

- A ci dwaj jak się czują?

- O, tak sobie. Dobrze. Tylko Barker myśli, że umiera. Z nim jakoś nieklawo. Chyba ma kuku na muniu.

- Co?

- No, jest stuknięty - cierpliwie tłumaczył McQuarter. - Ma hyzia. Zasuwa głodne kawałki o spotkaniu ze swoim Stwórcą, który zna wszystkie jego machlojki. - Vallery usłyszał zdławiony chichot Turnera i przypomniał sobie, że Barker prowadził kantynę. - Williamson haruje, układa z powrotem ładunki na półkach. Cała podłoga zawalona tym świństwem!

- McQuarter! - ostro zawołał Vallery, automatycznie przywołując marynarza do porządku.

- Tak jest, przepraszam. Całkiem zapomniałem... Co mamy robić?

- Z czym? - niecierpliwie spytał dowódca.

- Z magazynem „Y”. Czy tam obok jest pożar? Tu mamy łaźnię! Jest goręcej niż w piekle.

- Co? Coś powiedział? - krzyczał Vallery. Tym razem nie karciał marynarza. - Powiadasz, że gorąco? Jaka temperatura? Szybko, chłopcze!

- Tylnej gradzi nie można dotknąć - po prostu odparł McQuarter. - Można przysmażyć palce.

- A rozpylacze wody? Co z nimi? Nie działają? Na Boga, przecież magazyn może lada chwila wylecieć w powietrze!

- Tak jest - najspokojniej w świecie stwierdził McQuarter. - Sam o tym myślałem. Ale, panie kapitanie, nie działają, a temperatura już o dziesięć stopni przekroczyła dopuszczalną granicę!

- Ruszaj się więc! - rozpaczliwie wołał Vallery. - Próbuj je odkręcić. Woda nie zamarzła na pewno, tym bardziej jeśli jest tak gorąco, jak powiadasz. Spiesz się człowieku, spiesz! Jeśli magazyn wybuchnie, będzie po „Ulissesie”. Spiesz się, na, Boga!

- Próbowałem, panie kapitanie. Ni cholery! Ani drgną!

- Więc je rozbij! Musicie mieć jakiś łom. Rozwał je i koniec!

- Dobrze, ale jak je potem zamknę? - w głosie chłopca brzmiała nuta rozpacz. Zapewne jakieś zniekształcenie przez głośnik - pomyślał Vallery.

- Nie zamkniesz, to niemożliwe! Ale mimo to rozwał - niecierpliwie mówił Vallery; głos jego

nabrzmiwał niepokojem. - Później wypompujemy wodę. Spiesz się, McQuarter! Szybko!

Nastąpiła chwila ciszy, potem rozległ się stłumiony krzyk, głuchy stuk, po czym zadźwięczały metaliczne uderzenia, gwałtowne staccato uderzeń, McQuarter musiał nie żałować sił przy rozbijaniu zaworów. Nagle nastąpiła cisza.

Val ery odczekał, aż McQuarter podejdzie do telefonu, i zawołał podniecony:

- No, jak poszło? Spryskiwacze działają?

- Jak fontanny - z nutą dumy i zadowolenia meldował McQuarter. - Przed chwilą poczęstowałem Barkera łomem - dodał wesoło.

- Coś zrobił?

- Przygrzałem Barkerowi - wyraźnie mówił McQuarter. - Chciał mnie zatrzymać. Taki kawał

s...syna... O, nie warto gadać! Te spryskiwacze to wspaniała rzecz. Nigdy dotychczas nie widziałem, jak działają. Woda już sięga po kostki i aż skwierczy na grodzi...

- No, dość! - przerwał mu Val ery. - Zabieraj Barkera i wyłaźcie stamtąd. - ...kiedyś widziałem film. W „Paramount” w Glasgow... Chyba w „Paramount”. Pokazywali ulewę. - McQuarter mówił gawędziarskim tonem, wspominając miłe czasy.

Val ery spojrzał pytająco na Turnera.

- Ten film nazywał się Deszcz. Ale gdzie mu tam do tego! Tam nie było nawet połowy tej pary.

Gadają o cieplarni w ogrodzie botanicznym..

- McQuarter! - wrzasnął Vallery. - Czyś słyszał? Uciekaj stamtąd! Rozkazuję! Natychmiast!

- Woda sięga do kolan - meldował beztrósco McQuarter. - Taka przyjemnie chłodna... Czy pan coś mówił, panie kapitanie?

- Rozkazuję! Uciekaj! Natychmiast! - krzyczał Vallery. - Wyłaź!

- Tak jest... Rozumiem... rozumiem... „Wyłaź!”. Tak jest... Tak mi się zdawało, że pan mówił

„wyłaź!” Ale to nie takie łatwe. Właściwie całkiem niemożliwe... Luk wykrzywiony i pokrywa luku też.

Zacięta na mur, panie kapitanie.

Echo tych słów biegło cicho po mostku i zamierało w mroźnej ciszy.

Val ery bezwiednie opuścił mikrofon, półprzytomnym wzrokiem obrzucił mostek. Turner, 114

Carrington, Kapok-Kid, Chrysler i wszyscy inni patrzyli na niego z upartym, niewyraźnym jeszcze wrażeniem grozy i współczucia. Kapitan wiedział, że są tylko odbiciem jego spojrzenia, jego uczuć.

Na sekundę, aby tylko zebrać myśli, zamknął oczy. Potem chwycił mikrofon i zawołał:

- McQuarter! McQuarter! Trzymasz się jeszcze?

- No pewnie! - Nawet przez głośnik słychać było, że marynarz czuje się urażony pytaniem. -

Cóż, u diabła...

- Czy jesteś pewny, że luk zacięty? - przerwał mu Vallery. - Może weźmiesz łom i...

- Mógłbym wziąć łaskę dynamitu i pomogłoby tyle, co nic - spokojnie meldował McQuarter. - I tak już jest rozpalony do czerwoności... Luk, nie łom. Tuż nad nami musi być cholerny pożar...

- Czekaj chwilę! - zawołał Vallery. Odwrócił się. - Komandorze, niech Dodson natychmiast pośle palacza do głównego zaworu spryskiwaczy. Niech będzie gotów zakręcić je na rozkaz! - Podbiegł do najbliższego telefonisty. - Masz połączenie z tylnym pokładem? Dobrze! Dawaj!... Halo! Mówi kapitan. To wy, Hartley? Słuchajcie, natychmiast zameldować, jaki stan pożaru pod pokładami.

Nadzwyczaj pilne. W magazynie „Y” uwięzieni są ludzie. Spryskiwacze włączone, a luk zacięty... Tak, tak... Czekam.

Niespokojnie czekał na odpowiedź. Dłonią w grubej rękawicy nerwowo postukiwał po aparacie.

Wzrokiem omiatał konwój. Widział, jak frachtowce wracają na miejsca w szyku. Nagle wyprężył się i przymknął oczy.

- Tak, jestem przy telefonie. Tak! Kapitan!... Tak... Tak... Pół godziny, może godzina?... Nie, nie!

Czy na pewno?... Nie, to wszystko.

Oddał słuchawkę, powoli podniósł wzrok. Z twarzy jego nie można było nic wyczytać.

- W pomieszczeniach marynarzy pożar opanowany, ale u piechoty morskiej, właśnie tuż nad magazynem „Y”, piekło - rzekł głucho.

- Hartley melduje, że wcześniej jak za godzinę nie uda się stłumić pożaru. Pierwszy oficer, myślę, że musi pan tam zejść...

Minęła minuta, podczas której słychać było jedynie tykanie azdyku i jednostajny szum fal rozcinanych dziobem „Ulissesa”.

- A może temperatura w magazynie opadła dostatecznie? - szepnął Kapok-Kid. - A nuż można już zamknąć główne zawory na tyle... - ściszył niepewnie głos.

- Spadła dostatecznie? - Turner krzyknął głośno. - Skąd można wiedzieć? Jedyne McQuarter mógłby o tym coś powiedzieć... - urwał, zdając sobie sprawę z tego, co mówi.

- Spytamy go - z trudem rzekł Vallery. Znow podniósł mikrofon.

- McQuarter?

- Halo!

- Jeśli już można, spróbujemy zamknąć spryskiwacze od zewnątrz. Czy uważasz, że temperatura?... - przerwał, nie mogąc dokończyć zdania. Pełne napięcia, prawie dotykalne, nabrzmiałe treścią milczenie przygniatało. Vallery zastanawiał się, co też może w tej chwili myśleć McQuarter. Co sam myślałby na jego miejscu?

- Chwileczkę! - ryknął nagle głośnik. - Zobaczę, jak jest wyżej! Znow milczenie. Znow ciężar nie wypowiedzianych słów zaległ na mostku. Vallery drgnął, gdy znow zabrzmiał głośnik:

- Cholera! Taki ze mnie s...syn, że nie wlaźłbym drugi raz na tę drabinę za żadne cudenka...

Stercę na trapie, ale chyba nie wytrzymam długo.

- Nie mów... - Val ery zreflektował się, przestraszył słów, które byłby uronił. Jeśli McQuarter zleciałby z trapu, utonąłby jak szczeniak.

- Aha, magazyn... - chłopiec przerwał, często kaszląc; widać było, że szuka słów z trudem. -

Pociski na górnych półkach chyba już się topią. Gorzej, niż było...

- Rozumiem. - Val ery nie mógł zdobyć się na nic więcej. Zamknął oczy, czuł, że się chwieje. Z wielkim wysiłkiem wydobył z siebie jeszcze kilka słów. - A co z Williamsonem?

To było wszystko, co potrafił powiedzieć.

- Prawie gotów. Siedzi na półce po szyję w wodzie. - McQuarter zakasłał. - Powiada, że ma coś do Carslake'a i komandora.

- Co?

- Co? Powiedz czarnobrodemu, żeby wypił swoją porcję i wyrzucił butelkę - mówił z ulgą McQuarter. - Słowa przeznaczone dla Carslake'a nie nadają się do druku.

115

Val ery nie zgorszył się.

- A co z tobą? Nie masz nic do powiedzenia? Nic, co byś chciał... - urwał. Zrozumiał, jak potwornie

głupie i niepotrzebne są słowa.

- Ja? Nic nie chcę... Może chciałbym dostać przeniesienie na „Spartiate” [1](#), ale obawiam się, że na to jest trochę za późno...

Usłyszeli trzask uderzającej o metal słuchawki McQuartera. Potem zapadło milczenie.

- McQuarter! - wołał Val ery. - McQuarter! Odpowiedz, człowieku! - Słyszysz mnie?

McQuarter!...

Głośnik milczał.

Dął lodowaty wiatr. Val ery drżał. Magazyn amunicyjny zalany wodą... Był tam niespełna dwadzieścia cztery godziny temu... Widział go tak wyraźnie jak ubiegłej nocy. Tylko że teraz widział tam ciemność podkreśloną jasnymi punkcikami awaryjnych żarówek. Woda przelewa się czernią, powoli obmywa ściany. Wyczerpany do cna szkocki chłopak usiłuje utrzymać na powierzchni głowę tonącego kolegi. Wyteża nadwątlone siły, słabnie.

Nagle Val ery pojął, że czas szybko ulatuje i z nim ginie ostatnia nadzieja. Pojął z całą wyrazistością, że jeśli McQuarter utonął, to razem z kolegą. McQuarter nie zawiódł. Nie mógł

zawieść. Osiemnastolatek... Miał tylko osiemnaście lat...

Val ery odwrócił się i potykając, na ślepo ruszył przez drzwi na platformę kompasową.

Zaczął sypać śnieg. Zapadła noc.

1 „Spartiate” - oddział lądowy dowództwa marynarki wojennej w zachodniej Szkocji. Mieścił się w hotelu St. Enoch w Glasgow (przyp. aut.).

116

ROZDZIAŁ XIV

Sobota wieczorem

„Ulisses” płynął w arktycznym półmroku. Silnie i nieprzyjemnie kołysał się na wysokiej fali.

Dziwny był jego wygląd: oba maszty złamane, wszystkie szalupy i tratwy pozrywane, nadbudówki poszarpane pociskami, mostek pochylony pod nieprawdopodobnym kątem, tylna wieża przywalona wypalonym szkieletem condora. Wielkie, jaskrawe plamy minii i czarne otwory na dziobie i tylnym pokładzie mówiły o przebytych trudach. Nad rafą wił się jeszcze czarny dym, przetykany jęzorami płomieni. Pomimo to „Ulisses” nadal pozostawał pełen gracji i płynął jak okręt widmo.

Był w swoim żywiole, na morzu arktycznym czuł się jak w domu. Widmowy, zgrabny i niezmiernie

wytrwały... nadal jednak groźny. Zachował swoje armaty i maszyny. Przede wszystkim miał maszyny - błogosławione, zawsze niezawodne. Takie przynajmniej robiły wrażenie.

Straszliwie wolno wlokły się minuty, gdy niebo ciemniało, owe minuty, które zdradziły, że brygady przeciwpożarowe ledwo dają sobie radę z lokalizowaniem ognia, minuty, w czasie których Vallery w jakiś sposób zdobył dawny spokój, chociaż fizycznie czuł się coraz słabszy.

Zadzwieczał dzwonek, przecinając swym głosem milczenie i ciemność. Telefon odebrał

Chrysler.

- Panie kapitanie! Tylna maszynownia chce z panem rozmawiać. Turner spojrział na dowódcę i rzekł szybko:

- Może ja to załatwię?

- Dziękuję, komandorze - Vallery z wdzięcznością skinął głową. Turner podszedł do telefonu.

- Mówi komandor. Kto przy telefonie? Porucznik Gierson? Co się stało? Może dla odmiany jakieś dobre nowiny?

Turner słuchał przez dobrą minutę. Pozostali słyszeli nikłe trzaski w słuchawce i raczej wyczuwali niż widzieli, jak komandor natężył uwagę.

- Wytrzyma? - spytał gwałtownie. - Tak, tak, oczywiście... Powiedz mu, że tu na górze zrobimy, co się da. Tak rób! Co pół godziny! Nieszczęścia chodzą parami i tak dalej... - mruczał Turner, ze złością odkładając słuchawkę. - Turbina pracuje nierówno. Wzrasta temperatura wału. Prawy wewnętrzny wał śruby wibruje. Dodson osobiście siedzi w tunelu wału. Powiada, że zgiął się jak banan.

Val ery próbował się uśmiechnąć.

- O ile dobrze znam Dodsona, przypuszczam, iż będzie próbował natychmiast naprawić uszkodzenie.

- Na pewno - poważnie odparł Turner. - Najgorsze jest to, że główne łożysko wału jest uszkodzone, a przewód olejowy przebity.

- Aż tak źle? - łagodnie spytał Val ery.

- Dodson jest poważnie zmartwiony. Powiada, że uszkodzenie nastąpiło dość dawno...

przypuszcza, że wtedy, gdy zgubiliśmy nasze bomby głębinowe - komandor kręcił głową. - Bóg wie, jakie naprężenie musiał wytrzymać wał od tego czasu... Myślę, że wyczyny dzisiejszej nocy zrobiły resztę... Łożysko trzeba oliwić ręcznie. Dodson chciałby zmniejszyć obroty albo w ogóle wyłączyć turbinę... Stracimy wtedy szybkość.

- A nie mogą tego naprawić?

- Nie. Nie mogą!

- Więc dobrze. Trzymać szybkość konwoju. Komandorze!

- Na rozkaz.

- Załoga całą noc na stanowiskach. Nie chciałem tego ogłaszać, lecz uważam, że tak będzie rozsądniej... Mam wrażenie...

- Co to? - krzyknął Turner. - Niech pan spojrzy! Cóż oni wyrabiają, u diabła?!

Wskazywał palcem frachtowiec z prawej kolumny, który strzelał do nieznanego celu. Pociski świetlne kreśliły na ciemnym niebie jasne krechy. Gdy skoczył do radiowęzła, dostrzegł, że armaty „Vikinga” rzygnęły ogniem i dymem

- Wszystkie działa! Zielone sto dziesięć! Ogień indywidualny! Cele indywidualne! - powtórzył rozkaz i usłyszał, jak Vallery wydaje rozkazy sternikowi.

117

Zrozumiał, że kapitan chce zmienić kurs, aby umożliwić strzelanie przednim armatom. Spóźnili się. Gdy „Ulisses” zareagował na ster, samoloty wyrywały już w górę po zakończonym ataku. Wielkie, niezdarne cienie tych samolotów - lekkie i zwiewne w ponurym mroku - można było rozpoznać jedynie dzięki ogłuszającemu rykowi motorów. Bez żadnej wątpliwości poznał condory. Samoloty zwiodły ich powtórnie. Odleciały tylko po to, aby wrócić i uderzyć z zaskoczenia. Nadleciały z przymkniętymi silnikami, których stłumiony szum unosił wiatr. Obliczyły wszystko wspaniale.

Frachtowiec był obramowany 1 dwukrotnie, a trafiony co najmniej przez siedem bomb. W

ciemnościach nie można było ich dostrzec, lecz wybuchy były widoczne. Samoloty nurkujące strzelały z karabinów maszynowych. Stanowiska przeciwlotnicze były na frachtowcu zupełnie nie - osłonięte. Denis, marynarz przy lekkich działach, i artylerzysta z korpusu piechoty morskiej przy ciężkich dobrze zdawali sobie sprawę, jaką będą pełnić służbę, gdy na ochotnika zgłosili się na

frachtowiec przeznaczony do rosyjskich konwojów. Dla tych nielicznych artylerzystów, co ocalili, terkot lotniczych karabinów maszynowych miał być zapewne ostatnim dźwiękiem, jaki słyszeli na ziemi.

Gdy bomby spadły na następny statek kolumny, pierwszy - z przetrąconym kręgosłupem - stał już w płomieniach. Prawie na pewno bomby przebiły jego dno. Przechylał się coraz bardziej, powoli, gładko pękł na dwoje tuż za mostkiem. Zatonął, zanim ucichł w oddali ryk silników lotniczych.

Zaskoczenie taktyczne było zupełne. Jeszcze jeden statek stracony. Drugi skręcał gwałtownie, aż stanął zanurzając głęboko dziób. Wyglądał dziwnie niepokojąco i żałośnie. Nie było widać ani dymu, ani płomieni; pokład świecił pustką. Uszkodzono jeszcze trzeci statek, ale ten utrzymał szyk.

Nie zestrzelono ani jednego condora.

Turner nakazał przerwanie ognia, gdyż niektórzy celowniczości nadal strzelali na ślepo w ciemność. Może aby dodać sobie otuchy? A może ich podniecona wyobraźnia stwarzała przed oczyma widma samolotów? Nie byłoby w tym nic dziwnego. Umysły ledwie działały, przekrwione oczy ledwie mogły coś dojrzeć. Turner nie pamiętał, aby tak długo pozostawali bez snu.

Gdy zamilkł już ostatni oerlikon, znów usłyszeli szum motorów. Dźwięk ten napływał i cichł

porywany podmuchami wiatru jak fala przyboju na odległym brzegu. Nic nie można było przeciwdziałać. Ukryty w chmurach focke-wulf nie myślał się zdradzić. Groźny szum nieustępliwie prześladował konwój. Condor wyraźnie krążył nad nim.

- Co o tym sądzić, panie kapitanie? - pytał Turner.

- Nie wiem - wolno odpowiedział Vallery. - Po prostu nie wiem. Condory na pewno nie złożą więcej wizyt. Jest po prostu za ciemno i wiedzą, że nas nie odnajdą. Tropić nas chyba nie będą...

- Tropić? Przecież za pół godziny będzie ciemno jak w beczce smoły! - zawołał Turner. - Jeśli mam być szczery, wygląda mi to na wojnę psychologiczną.

- Bóg jeden wie - ciężko westchnął Vallery. - Ja wiem tylko, że oddałbym wszystko za parę corsairów albo za radar czy mgłę, nawet za taką noc, jaką przeżyliśmy w Cieśninie Duńskiej -

zaśmiał się nerwowo i zakasłał. - Czy pan słyszał, co powiedziałem? - pytał szeptem. - Nigdy nie przyszło mi na myśl, że można pragnąć takiej nocy... Jak dawno opuściliśmy Scapa Flow?

Turner obliczał.

- Pięć... sześć dni temu.

- Sześć dni - kapitan jakby nie wierząc kręcił głową. - Sześć dni i trzynaście jednostek...

Pozostało nam trzynaście jednostek...

- Dwanaście - poprawił cicho Turner. - Jeden jest już prawie skończony. Siedem frachtowców, zbiornikowiec i osłona. Dwanaście... Żeby choć raz zaczepili starego „Stirlinga”, a nie nas - dodał ponuro.

Val ery zadrżał pod nagłym podmuchem śnieżycy. Pochylił się, kryjąc twarz przed siekącym wiatrem i śniegiem. Bez trudu zatonął w myślach. Nagle drgnął.

- O świcie będziemy naprzeciw Przylądka Północnego - rzekł jakby w roztrągnienu. - Będziemy mieli nowe zmartwienie, komandorze. Rzucą przeciw nam wszystko, co posiadają.

- Bywaliśmy tam i przedtem - z nutką zarozumiałości mruknął Turner.

- Nasze szansę można obliczać pół na pół - wydawało się, że Vallery nie słyszał Turnera i mówił sam do siebie. - „Ulisses” i syreny... Scylla i Charybda... Komandorze, życzę panu dużo szczęścia.

Turner wlepił w niego zdziwiony wzrok.

1 Cel obramowany - gdy pociski z jednej serii padną za i przed nim (przyp. tłum.).

118

- Co pan ma na myśli?

- O, sobie również życzę szczęścia - z uśmiechem podniósł głowę.

- Mnie też przyda się trochę szczęścia - dodał bardzo cicho.

Turner zdobył się na to, o czym nigdy nawet nie pomyślał. Pochylił się nad kapitanem, uniósł jego twarz i w ciemnościach wpatrywał się w nią zatroskanymi oczami.

Val ery nawet nie protestował. Turner wyprostował się po paru sekundach.

- Niech mnie pan usłucha - szepnął. - Proszę zejść pod pokład. Ja wszystkiego dopatrzę. Za chwilę przyjdzie tu Carrington. Na tylnym pokładzie pożar prawie opanowany...

- Nie, jeszcze nie tej nocy. - Vallery uśmiechnął się, lecz po jego głosie można było poznać, że decyzja jest ostateczna. - Poza tym nie ma sensu, aby posyłać po Starego Sokratesa. Proszę, komandorze, niech pan tego nie robi. Chcę tu zostać. Chcę widzieć, jak minie noc.

- Tak jest, oczywiście. - Turner stracił nagle ochotę do rozmowy. Odwrócił się. - Chrysler! Masz dziesięć minut na dostarczenie galonu wrzącej kawy do schronu kapitana... A za pół godziny pan kapitan będzie łaskaw przyjść tam i napić się czegoś na rozgrzewkę albo...

- Wspaniale - szepnął Vallery. - Czy kawusia będzie podlana rumem?

- Oczywiście. Hej, tam!... A niech go, tego Wil iamsona! - ze złością mruczał Turner. Ugryzł się w język i mówił już spokojnie. - Nie powinienem tak gadać. Biedni chłopcy... do tego czasu muszą być gotowi... - umilkł i nastawił ucha. - Ciekaw jestem, jak długo ten „Charlie” będzie nam terkotał nad głową.

Val ery chrząknął, zakasłał, lecz nim zdążył powiedzieć słowo, przeszkodził mu głośnik:

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! Dwie depesze.

- Założę się o piąta, że pierwsza od Orra - podpowiedział Turner.

- Pierwsza z „Sirusa”. „Proszę o pozwolenie zabrania załogi z uszkodzonego frachtowca.

Dbajmy o owieczki, jak i o jagnięta”.

Poprzez prószący śnieg Vallery popatrzył w ciemność nocy rozwieszoną nad rozkołysanym morzem.

- Przy takiej fali? - szepnął. - W tym mroku?... Ten chłop się zabije...

- To nie takie straszne. Gorzej będzie, jak dostanie się w ręce Starra

- wesoło huknął Turner.

- Nie ma szans! Nigdy bym nie wydał takiego rozkazu. Takie ryzyko nie ma uzasadnienia. Przy tym frachtowiec jest poharatany... Na pokładzie chyba już nikt nie żyje.

Turner milczał. Vallery po sekundzie rozkazał:

- Nadać depeszę. „Dziękuję. Zezwalam. Życzę powodzenia!”. Niech się pospieszą! Głośnik znów ożył:

- Następną depeszę z Londynu do kapitana dopiero rozszyfrowano. Natychmiast wysyłamy przez gońca.

- Przeczytać! - rozkazał Vallery.

„Do dowódcy Czternastej Eskadry Lotniskowców FR 77 - zahuczał po paru sekundach głośnik. -

Głęboko zaniepokojeni wiadomościami. Bezwzględnie utrzymać kurs 0-90. Eskadra liniowa płynie pełną parą kursem SSE1. Spotkanie przewidziano jutro o czternastej. Jego Lordowska Mość przesyła najlepsze życzenia i gratulacje kontradmirałowi, powtarzam: kontradmirałowi Val ery'emu. DNO2.

Londyn”.

- Niezwykła uprzejmość ze strony lordowskich mości! - krzyknął Kapok-Kid. - Można powiedzieć,

że wreszcie zachowali się przyzwoicie!

- Cholernie późno wpadli na ten pomysł - warczał Turner. - Panie admirale, serdeczne gratulacje - dodał ciepło. - Pierwsze jaskółki łaski lecą znad Tamizy.

Na mostku zabrzmiały ciche głosy zadowolenia. Nikt nie miał ochoty ukrywać radości.

- Dziękuję, dziękuję - Vallery był głęboko wzruszony.

Nareszcie przyrzekli pomoc, i to pomoc, która może naprawdę uratować resztę konwoju.

Chociaż wiadomość ta oznaczała dla załogi granicę między życiem a śmiercią, wszyscy myśleli jedynie o awansie dowódcy.

Uciekamy grabarzowi spod łopaty - chciał powiedzieć na głos, lecz natychmiast odrzucił tę myśl.

1 SSE - południowo-południowy wschód.

2 DNO (Director of Naval Operations) - szef Departamentu Operacyjnego Floty (przyp. tłum.).

119

Mogła zepsuć nastrój. Takie słowa byłyby nietaktem w chwili prawdziwej radości.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powtórzył. - Lecz, panowie, nie zauważyliście widocznie wiadomości, której waga...

- O, nie! Zauważyliśmy! - warczał Turner. - Eskadra liniowa! Ha! Jak zwykle przychodzi za późno. Kalkulując na zimno, dogonią nas po śmierci albo będą jej świadkami. Może jeszcze wyłowią paru rozbitków?... Ciekaw jestem, czy przybędą również „Il ustrious” i „Furious”[3?](#)

- Możliwe - Vallery kręcił głową z uśmiechem. - Pomimo wyróżnienia nie zdobyłem jeszcze zaufania lordów Admiralicji. Chyba jednak przyślą kilka lotniskowców i od świtu będziemy mieli osłonę powietrzną.

- Na pewno nie przyślą - z miną jasnowidza oświadczył Turner. - Pogoda pogarsza się i latanie będzie niemożliwe. Zobaczycie, czy nie mam racji.

- Być może, Kasandro, być może - uśmiechnął się Vallery. - Zobaczymy... O co chodzi, nawigatorze? Nie uchwyciłem, o co... Kapok-Kid roześmiał się głośno.

- Nic takiego. Po prostu wyobraziłem sobie, jaką minę będzie miał Nicholls. Zawsze twierdził, że pancerniki wychodzą w morze tylko podczas pokoju na defiladę w Spitehead.

- Dobrze, że pan przypomniał... Obiecaliśmy doktora „Sirusowi” - poważnie rzekł Vallery.

- Nicholls ma roboty po łokcie - wtrącił Turner. - Nie kocha nas, a raczej nie bardzo uwielbia flotę,

za to rozmiłowany jest w swojej robocie. Pożyczył ubranie azbestowe i, jak powiada Carrington... - urwał i popatrzył uważnie na niebo, z którego prószył śnieg. - Coś ten „Charlie” robi się cholernie natrętny, prawda?

Ryk motorów condora narastał z każdą sekundą. Samolot przeleciał najwyżej kilkaset stóp nad połamanymi masztami i zatoczył szeroki łuk.

- Radio do osłony! - zawołał Vallery. - Niech leci, nie ruszać go.

Nie oświetlać! Prowokuje nas, abyśmy zdradzili swoją pozycję... Mam nadzieję, że frachtowce...

Ależ durnie! Durnie! Za późno! Za późno!

Frachtowiec z lewej kolumny otworzył ogień - trudno powiedzieć, czy z oerlikonów, czy z boforsów. Strzelano zupełnie na ślepo. W ciemnościach, przy syjącym śniegu, celowanie było niemożliwe. Ogień trwał zaledwie dziesięć, piętnaście sekund. Ale została wyrządzona nieobliczalna szkoda. „Charlie” odlatywał i wprawne ucho mogło rozpoznać, że gnał na pełnych obrotach.

- Co pan o tym myśli, admirale? - przyciszonym głosem spytał Turner.

- Nowe zmartwienie - z przekonaniem odpowiedział Vallery. - To zdarza się pierwszy raz. To nie jest wojna psychologiczna, jak pan to określa, komandorze. Nawet nie kradnie naszego snu.

Jesteśmy zbyt blisko Przylądka Północnego, by spać. I nie może liczyć na to, że nie zgubi naszego śladu... Wystarczy kilka zmian kursu i... ach...! - westchnął cicho. - Co ja panu mówiłem, komandorze?

Z gwałtownością zatrzymującą bieg myśli zabłysło oślepiające światło. Brutalnym ciosem uderzyło w oczy. Zrobiło się jasno jak w dzień. Wysoko nad „Ulisesem” zawisła na spadochronie świeca magnezjowa, której promienie rozpraszały mrok, przerywały zasłonę syjącego śniegu.

Rozkołysany spadochron ulatywał z wiatrem, powoli spadał na powierzchnie morza. Morza, które stało się teraz ekranem z oślepiająco błyszczącymi, białymi od lodowatej powłoki statkami, widocznymi teraz jak na dłoni.

- Zestrzelić świecę! - krzyknął do mikrofonu radiowęzła Turner. - Wszystkie oerlikony i pom-pomy ognia! - zawiesił mikrofon. - Równie dobrze można by rzucać butelkami - dodał. - Cholera, to jednak sprawia dzikie wrażenie!

- Racja - uzupełnił go Kapok-Kid. - Zupełnie jak we śnie. Idziesz, człowieku, ruchliwą ulicą i nagle zdajesz sobie sprawę, że ubrany jesteś jedynie... w zegarek na rękę. „Nadzy i bezbronni”...

Zdaje się, że to jest przyjęte w takich sytuacjach określenie. W potocznym języku powiedzielibyśmy raczej, że „przyłapali nas z opuszczonymi portkami”. - Machinalnie strząsnął śnieg z kapokowego kombinezonu, odsłaniając haftowane „J”. Oczyma wiercił ciemność poza kręgiem jaskrawego światła.

- Nie podoba mi się ta zabawa - gderał.

- Ani mnie... - dodał Val ery. - Wydaje mi się podejrzane, że „Charlie” odleciał tak szybko.

- Nie odleciał - ponuro burknął Turner. - Słuchajcie! Słuchali, nadstawiając ucha i ledwie mogli uławić daleki szum wielkich motorów.

3 „Illustrious” i „Furious” - duże lotniskowce liniowe (przyp. tłum.).

120

- Leci za nami... Zbliża się...

Nie upłynęła minuta, gdy condor zaryczał tuż nad konwojem. Tym razem leciał ukryty w chmurach. Znow rzucił świecę, tylko wyżej i dokładnie nad konwojem. Znow ryk silników umierał w oddali, zmieniając się w cichy pomruk. Ale condor nadleciał po raz trzeci, zataczając łuk w lewo od konwoju nad bezlitosnymi sztucznymi słońcami. Co cztery sekundy tuż pod chmurami zapalała się nowa świeca. Północna strona nieba płonęła drgającym, żywym blaskiem. Na okręcie można było dostrzec każdy szczegół, światło docierało do każdego mrocznego dotychczas zakątka pokładu. Za to na południu panowała ciemność. Granica upiornego światła kończyła się tuż za ostatnimi jednostkami prawej kolumny.

Turner pierwszy ocenił sytuację i jej skutki. Zdał sobie z tego sprawę tak nagle, że poczuł jakby uderzenie prądem, po prostu jakby fizyczny wstrząs. Ryknął ochryple i skoczył do mikrofonu radiowęzła. Nie było czasu na pytania.

- Wieża „B”! - krzyczał. - Pociski oświetlające na południe! - Zielone dziewięćdziesiąt. Szybko!

Szybko! Pociski oświetlające, zielone dziewięćdziesiąt. Najwyższe podniesienie dziesięć. Nawala ogniowa! Ładować i strzelać! - Obejrzał się nerwowo. - Nawigator, widzisz coś?

- Wieża „B” wykonuje rozkaz.

- Dobrze. Dobrze! - Uniósł mikrofon. - Wszystkie działa, pogotowie przeciwlotnicze!

Spodziewany atak z prawej burty. Przybliżony kierunek celu - zielone dziewięćdziesiąt. Spodziewane samoloty torpedowe...

Jeszcze wydawał rozkazy, gdy na rei sygnalizacyjnej zabłyśły światełka. To Vallery nadawał sygnał alarmowy dla konwoju.

- Ma pan rację, komandorze - szeptał Vallery.

W oślepiającym blasku świec jego pobladła twarz, na której skóra opinała kości, wydawała się imitacją ludzkiej twarzy. Była to po prostu twarz trupa; gorejące oczy i drganie powiek stanowiły jedyną oznakę jej życia, gdy zagrzmiały armaty wieży „B”.

- Pan musi być... - zaczął wolno.

Wszystkie statki i okręty skręcały i właśnie pełną parą starały się skryć w ciemnościach, poza zasięgiem światła. Urwał więc w pół zdania. Pociski oświetlające wybuchły jasnymi kulami o dwie mile na południe.

- Ma pan rację - mówił dalej łagodnie. - Już nadlatują.

Nadleciały od południa, skrzydło przy skrzydle. Po cztery, pięć samolotów w każdym kluczu.

Zbliżały się na wysokości około pięciuset stóp, a pociski wieży „B” oświetliły ich pochylone w płytkim locie nurkowym dzioby. Bombowce rozluźniły szyk kluczów, jakby w poszukiwaniu indywidualnych celów. Lecz już po chwili stało się jasne, że koncentrują atak tylko na dwóch okrętach: „Stirlingu” i

„Ulissesie”. Zlekceważyły nawet tak łatwy podwójny cel, jaki stanowił uszkodzony frachtowiec i prawie nieruchomo stojący obok niego „Sirrus”. Musiały zatem mieć dokładny rozkaz, by zniszczyć krążowniki.

Wieża „B” wyrzuciła jeszcze dwa pociski oświetlające, celując jak najniżej, po czym załadowała granaty. Wszystkie działa konwoju otworzyły już ogień. Zapora była gęsta. Bombowce - trudne do rozpoznania, lecz wyglądające na heinkle - musiały przebyć śmiertcionośną zasłonę stali i ognia.

Moment zaskoczenia minął. Pociski świetlne „Ulissesa” zyskały dwadzieścia sekund przewagi.

„Ulissesa” atakowało pięć bombowców. Leciały wachlarzem, lecz celowały w jedno miejsce: w środek okrętu. Wyrównywały teraz tuż nad czubkami fal. Mierzyły dokładnie. Jeden z nich wyrównał

-
o ułamek sekundy za późno i na pozór niewinnie odbił się od fali, przeskoczył następną, wreszcie zniknął. Trudno się domyślić, czy przyczyną był zły refleks pilota, czy może śnieg, który na chwilę zamazał przednią szybę? W sekundę potem samolot prowadzący klucz rozleciał się w wielkiej kuli ognia. Zapewne pocisk trafił w torpedę. Trzeci bombowiec lecący obok skręcił gwałtownie w lewo, aby uniknąć odłamków i wyrzucił torpedę. To był już tylko wojowniczy, bezcelowy gest. Torpeda przeszła ze sto metrów za „Ulissesem” i zniknęła w mroku.

Dwa pozostałe bombowce szły do ataku z samobójczą odwagą. Kluczyły, aby utrudnić strzelanie. Mijały sekundy: dwie, trzy, cztery... Samoloty szły przez gęstą zaporę ogniową jakimś cudem nietknięte. Teoretycznie nie ma łatwiejszego celu, jak samolot w locie prostym. W praktyce nigdy się to nie sprawdzało. Na morzach północnych, na Śródziemnym, na Pacyfiku wysoki procent udanych ataków torpedowych dokonywanych w nalotach prostych (nawet przy silnej obronie) zawsze 121

zastanawiał specjalistów.

Napięcie, zbytnia gorliwość, strach - to były główne przyczyny. Podczas ataku torpedowego istnieją dwie możliwości: albo ty go zestrzelisz, albo on cię trafi. A nie ma nic bardziej szarpiącego nerwy, jak widok wielkiego samolotu torpedowego, który w straszliwy sposób rośnie w celowniku twego

działa, gdy wiesz, że pozostało ci jedynie pięć sekund życia... Oczywiście podobne wrażenie przeżywa się również podczas nalotów nurkujących z wyciem stukasów.

Na „Ulissesie” dodatkową trudność sprawiało silne kołysanie, prawie uniemożliwiające dokładny ogień.

Bombowce zbliżyły się, lecąc skrzydło w skrzydło. Samolot bliższy dziobu wyrzucił torpedę na niespełna dwieście jardów przed celem i poderwał się w gwałtownym skręcie w prawo, siekąc gęsto po mostku z działek i karabinów maszynowych. Torpeda płasko uderzyła w wodę, wyskoczyła w powietrze i dała nurka w następną falę. Przeszła pod „Ulissesem”.

Kilka sekund przedtem ostatni bombowiec też skończył atak. Skończył go ginąc. Leciał nie wyżej niż kilka metrów nad falami, ale nie wyrzucał torpedy. Już było widać na skrzydłach czarne krzyże. Maszyna szła prosto na „Ulissesa”. Nagle rozpaczliwym łukiem samolot szarpnął się w górę.

Było jasne, że pilot nie mógł wyrzucić torpedy. Wyrzutnik albo się zaciął, albo zamarzał. Obciążony balastem torpedy bombowiec na próżno jęczał silnikami: nie zdołał przeskoczyć przez krążownik.

Uderzył dziobem w pierwszy komin, zniósł go; uderzył skrzydłem o maszt, urwał skrzydło; błysnął oślepiający płomień benzyny i płonący kształt (niepodobny już do samolotu) z sykiem upadł w morze tuż za lewą burtą. Ledwie zniknął pod powierzchnią, gdy krążownik przechylił się gwałtownie, szarpnięty podwodnym wybuchem. Na lewej burcie pogasły światła. Potężny wstrząs zwalił ludzi z nóg.

Komandor Turner, potłuczony boleśnie, wstawał z trudem. Kręcił głową, jakby chciał odpędzić zapach spalonego prochu i otrząsnąć się z wrażenia, jakie sprawiły wybuchające przed chwilą tuż obok niego pociski armatki lotniczej. Rzucił się na pokład, zanim „Ulissesem” wstrząsnął podwodny wybuch torpedy. Upadł, widząc błysk działek bombowca.

Co z Val erym? - mignęła pierwsza myśl.

Dowódca „Ulissesa”, admirał Vallery, leżał skurczony obok szafki kompasowej. Turner czuł, jak nagle wstrząsnęły nim dreszcze. Błyskawicznie ukląkł obok dowódcy i odwrócił go twarzą w górę, Val ery leżał bez ruchu, jak nieżywy. Ani śladu krwi czy ran... Dobrze i to. Turner ściągnął

rękawicę, wsunął gołą dłoń pod ubranie kapitana i palcami wyczuł słabe bicie serca. Delikatnie uniósł

głowę admirała. Zobaczył, że obok stoi Kapok-Kid.

- Nawigator! Wołaj Brooksa! Natychmiast!

Chwiejąc się na nogach, Kapok-Kid ruszył przez mostek. Telefonista oparty o drzwi stał ze słuchawką w ręku.

- Połączenie z izbą chorych! - rozkazał Kapok-Kid. - Zamelduj... - umilkł nagle. Zauważył, że

marynarz był tak oszołomiony, iż nic nie rozumiał. - Dawaj słuchawkę! - wyciągnął rękę, by natychmiast cofnąć ją z uczuciem przerażenia. Telefonista pochylił się i osunął na pokład. Pomiędzy łopatkami widniała wielka rana wyrwana pociskiem.

Kapok-Kid dopiero teraz dostrzegł, że cała centrala azdyku jest podziurawiona pociskami działka i karabinów jak rzeszoto. Jak we mgle błysnęła uparta myśl: ostatnia szansa obrony przed łodziami podwodnymi przepadła. Następna myśl uderzyła mocniej: tam musieli być ludzie... Odwrócił

wzrok. Dojrzał, jak obok tablicy rozdzielczej celownika torpedowego podnosi się Chrysler. Chłopiec również wlepił oślepiające oczy w centralę hydroakustyczną. Wtem rzucił się do drzwi centrali, uderzył w nie pięściami, nacisnął ramieniem. Drzwi nie ustąpiły... Chrysler oparty o stalowe płyty szłochał.

Przecież hydroakustyk również nazywał się Chrysler - z nagłym poczuciem bezsilności pomyślał

Kapok-Kid i pochwycił za leżącą na pokładzie słuchawkę.

Turner ułożył kapitana i ruszył na prawą stronę mostku. Bentley siedział wciśnięty plecami między przewody pary. Spokojny jak zwykle, zwiesił głowę na piersi. Turner uniósł jego twarz i spojrzał w martwe oczy. Zaklął straszliwie. Próbował uwolnić włączoną lampę sygnalizacyjną ze skostniałego uchwytu, lecz dał spokój. Promień światła przecinał mostek na ukos. Komandor systematycznie przeglądał zakątki mostka w poszukiwaniu dalszych ofiar. Znalazł trzy ciała. Małą pociechę sprawiło mu to, że marynarze, nie męcząc się, zginęli natychmiast.

Pięciu zabitych trzysekundową serią. Doskonały wynik - myślał z goryczą.

122

Wyszedł na tylny trap i prawie nie wierząc własnym oczom, patrzył w głąb przedniego komina.

Nie mógł dojrzeć nic więcej. Śródkręcie powoli znikało w mroku. Dopalały się ostatnie świece zrzucone przez condora. Zawrócił i poszedł z powrotem na koniec mostku.

Przynajmniej zobaczyłem „Stirlinga” - myślał z bólem. - Cóż to powiedziałem niespełna dziesięć minut temu? Chciałbym, żeby dobrali się do „Stirlinga” czy coś w tym sensie... - wykrzywił usta. -

Dobrali się. I to nieźle!

„Stirling”, idący milę przed „Ulissesem”, skreślił w prawo na południowy wschód. Przednie nadbudówki obejmowały płomień. Turner patrzył przez nocną lornetę, starając się zbadać zniszczenia, lecz zwarta ściana ognia przesłaniała nadbudówki i pokłady od dachu aż po mostek. Nie dojrzał nic, prócz tego, że na wysokiej fali „Stirling” przechyliła się na prawą burtę. Potem okazało się, że był trafiony dwukrotnie. Torpeda uderzyła w przednią kotłownię, a parę sekund później bombowiec z nie wyrzuconą torpedą zwałił się na mostek. Nie ulegało wątpliwości, że tak samo jak podczas ataku na „Ulissesa” wyrzutnik torpedy zaciął się lub zamarznął. Wszyscy na mostku i tuż pod pokładem zginęli na miejscu. Wśród zabitych był kapitan Jeffries, pierwszy oficer i nawigator.

Ledwie ostatni bombowiec zniknął w ciemnościach, Carrington odwiesił słuchawkę i zwrócił się do Hartleya:

- Przypuszczam, szefie, że da pan sobie radę. Wzywają mnie na mostek.

- Tak jest - odparł starszy bosman. Czarny od dymu, umazany sadzą, wybrudzony pianą z gaśnic, rękawem otarł twarz. - Najgorsze za nami... Gdzie jest porucznik Carslake? Czy on nie?...

- Zapomnij o nim! - ostro przerwał Carrington. - Nie wiem, gdzie jest, i nie chcę wiedzieć! Nie będziemy sobie zawracali nim głowy. Jeśli nawet powróci, pan jest tu dowódcą.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył wzdłuż lewej burty. Miękki śnieg głuszył kroki. Mijał

właśnie rozbitą kantinę, gdy zobaczył, jak któryś z marynarzy, stojąc między wyrzutnią torpedową a relingiem, odkręcał zawór gaśnicy i uderzał nią o nadburcie. W tej samej chwili kątem oka dostrzegł

kryjącą się w cieniu postać. Ktoś skradał się do marynarza z gaśnicą, trzymając w ręku wzniesiony do uderzenia łom czy kij.

- Uwaga! - krzyknął Carrington. - Uwaga, za tobą!... Reszta była sprawą sekund: gwałtowny skok atakującego, trzask padającej gaśnicy. Błyskawiczny unik marynarza, który padł na kolana i przerzucił atakującego przez siebie za burtę. Przerażliwy pisk wściekłości i strachu. A potem plusk i cisza.

Carrington podbiegł do klęczącego, pomógł mu wstać. Opadająca ku morzu świeca rzucała jeszcze dość światła, by poznał Ralstona. Chwycił go za ramiona i patrzył nań z przestraszeniem.

- Uderzył cię? Któż to był, na Boga?

- Dziękuję. - Ralston oddychał głęboko, lecz twarz miał całkiem spokojną. - Niewiele brakowało... Dziękuję.

- Ale kto to był? - dopytywał zaskoczony Carrington.

- Nie zdążyłem zauważyć - ponuro odparł Ralston. - Lecz wiem kto... To podporucznik Carslake.

Chodził za mną całą noc. Nie spuszczał mnie z oka ani na chwilę. Teraz wiem dlaczego...

Wiele potrzeba, aby zachwiać żelazne opanowanie pierwszego oficera, lecz w tej chwili kręcił głową z wrażenia i niedowierzania.

- Wiedziałem, że to podły facet - mruknął - ale żeby aż tak... Co na to powie kapitan?...

- Po co mu o tym mówić? - obojętnie spytał Ralston. - Po co wspominać komukolwiek? Carslake miał rodzinę. Po co sprawiać im ból, po co w ogóle robić przykrości... Niech sobie myślą, co chcą -

roześmiał się. - Niech sobie wyobrażają, że zginął jak bohater, walcząc z pożarem, zmyty przez fale... Co chcą... - Spojrzał na czarne, szumiące u burt fale. Wstrząsnęły nim dreszcze. - Poszedł sobie... Rachunek wyrównany.

Długą chwilę Carrington również patrzył na morze, wreszcie podniósł wzrok na chłopca. Klepnął go po ramieniu, mruknął coś i odszedł.

Turner usłyszał trzask drzwi, opuścił lornetę. Carrington stał obok, patrząc w milczeniu na płonący krążownik. Leżący na pokładzie Vallery jęknął cicho. Carrington spojrzał na niego.

- Kapitan? Ciężko ranny, panie komandorze?

- Nie mam pojęcia. Jeśli nie, to naprawdę cud - dodał smutno. Przykucnął i uniósł głowę

kapitana. - Jak się pan czuje? - pytał zaniepokojony. - Czy pan jest ranny?

Val erym wstrząsnął długi, męczący atak kaszlu. Dopiero po chwili przecząco pokręcił głową.

- Nie jestem ranny - wyszeptał cichutko. Próbował uśmiechnąć się, lecz twarz wykrzywił mu grymas ledwie podobny do uśmiechu. - Wykonałem prawidłowo „padnij”, ale po drodze natknąłem się na szafkę kompasu - rozcierał posiniaczone czoło. - Jak się trzyma „Ulisses”, komandorze?

- Do diabła z „Ulissesem”! - brutalnie odparł Turner. Objął Vallery'ego ramieniem i podniósł z pokładu.

- Carrington, jak idzie walka z pożarem?

- Nieźle. Jeszcze niebezpieczny, ale już zlokalizowany. Oddałem dowództwo Hartleyowi. -

Pierwszy oficer przezornie nie wspominał o Carlake'u.

- Dobrze! Obejmij pan wachtę. Radiogram do „Stirlinga” i „Sirusa”. Trzeba sprawdzić, co się z nimi dzieje. Panie admirale - zwrócił się do Val ery'ego - a my do schronu!

Val ery wzbraniał się trochę, ale był to tylko symboliczny protest. Czuł się tak osłabiony, że nie mógł utrzymać się na nogach. Drgnął, gdy spostrzegł, jak śnieżynki tańczą na nieruchomym promieniu włączonego aldisa. Wzdłuż promienia światła podążył wzrokiem do jego źródła.

- Bentley? - wyszeptał. - I on również...

Ledwie był zdolny zauważyć, jak komandor milcząc skinął głową. Odwrócił się ociężale. Minęli martwego marynarza, rozciągniętego obok drzwi na pokład, i stanęli koło centrali hydroakustycznej.

Wciśnięty w kąt między schronem a centralą stał Chrysler. Łkał wtuliwszy głowę w ramię wsparte o drzwi. Vallery położył dłoń na drgającym ramieniu chłopca, wpatrzył się w jego twarz.

- Co ci jest, chłopcze? Co się stało?

- Drzwi, panie admirale! - głos Chryslera drżał, załamywał się.

- Drzwi. Nie mogę ich otworzyć.

Val ery spojrzał na podziurawione, porwane ściany centrali. Był tak oszołomiony, że chyba tylko dzięki jakimś skojarzeniom pojawiła się przerażająca myśl: za tymi drzwiami leży poszarpane pociskami ciało hydroakustyka.

- No, cóż - rzekł cicho do Chryslera. - Drzwi są wypaczone... Nic na to nie poradzisz. -

Dokładniej wpatrzył się w zrozpaczone oczy chłopca.

- Chodź stąd, chłopcze! Nie powinieneś...

- Ale tam jest mój brat! - słowa te, pełne bezsilnej rozpacz, uderzyły Val ery'ego jak obuchem.

Zupełnie zapomniał, że hydroakustyk również nazywał się Chrysler... Zwrócił wzrok na zabitego u drzwi marynarza, którego przyprószył śnieg.

- Wyłączyć aldis, komandorze - rzekł ni z tego, ni z owego. - Chrysler!

- Na rozkaz - bezdźwięcznie szepnął chłopiec.

- Biegnij pod pokład i przynieś gorącej kawy!

- Kawy? - chłopiec jakby nie wierzył własnym uszom. - Kawy? Ale... mój... mój... brat...

- Wiem - łagodnie odparł Val ery. - Wiem o tym. Proszę cię, przynieś kawy. Chrysler odszedł.

Gdy znaleźli się z Turnerem w schronie, Vallery mruzczał:

- Przyczynek do dyskusji na temat chwały wojennej. *Dulce et decorum...* Zaszczytne przywileje być uznanym za synów Nelsona i Drake'a... Nie minęła doba, gdy Ralston patrzył na śmierć ojca. A teraz ten chłopak... Być może...

- Zajmę się tym - szepnął Turner. Nie mógł wybaczyć sobie postępowania wobec Ralstona. Nie mógł zapomnieć, jak Ralston przyjął słowa jego przeproszenia, jak szybko zapomniał o urazie. -

Postaram się zająć go czymś jak najdalej od centrali azdyku. Niech pan siada, admirale, i spróbuje tego... - rzekł z uśmiechem. - Mój druh, Wil iamson, zdradził nasze tajemnice... Halo... jeszcze ktoś...

Gdy otworzyły się drzwi, automatycznie zgasło światło. Na szarym tle zarysowała się potężna postać. Na tle zatrzaśniętych drzwi mrużąc oczy, stał Brooks. Oddychał szybko i wzrokiem obejmował trzymaną przez Turnera butelkę.

- Ha! - westchnął. - A więc urządzamy przyjęcie z wódzią! Nie mam racji? Nie wątpię, że goście z własnym zapasem są mile widziani...

Otworzył lekarską walizeczkę i chwilę grzebał w jej wnętrzu. Znow ktoś szarpnął klamkę.

- Wejść! - zawołał Vallery.

Wszedł goniec z radiostacji i podał Vallery'emu depeszę.

- Z Londynu. Szef mówi, że może być odpowiedź.

124

- Dziękuję. Zadzwoń za chwilę.

Marynarz wyszedł. Val ery dostrzegł, że Turner nie ma w ręku butelki.

- Dzięki za to szybkie schowanie dowodów rzeczowych naszego przestępstwa. - Potrząsnął głową, patrząc na depeszę. - Cóż to z moimi oczyma? Niech pan to przeczyta, komandorze.

- A może pan skorzysta z dobrego lekarstwa - zahuczał Brooks - zamiast pić to świństwo proponowane przez Turnera. - Wyjął z walizeczki butelkę bursztynowego płynu. - Mając do dyspozycji wszelkie najnowsze środki, ten uważam za najbardziej skuteczny.

- Czy mówił pan o tym Nichol sowi? - Vallery wyciągnął się na kozetce, zamknął oczy, a na zbiegających wargach drżał leciutki uśmiešek.

- Ależ gdzie tam! - tłumaczył się Brooks. - Jeszcze będziemy mieli dość czasu. Proszę kropelkę!

- Dziękuję. Turner, niech pan czyta dobre nowiny!

- Dobre nowiny! - odpowiedział komandor takim tonem, że gdy umilkł, wszyscy w schronie poczuli, jak skóra im cierpnie. - To nie są dobre nowiny! „Kontradmiral Val ery, dowódca Czternastej Eskadry Lotniskowców FR 77 - czytał bezbarwnym, pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu głosem. -

«Tirpitz», eskortujące krążowniki i niszczyciele o zmierzchu wyszły z fiordu Alta. Wzmógł się ruch na lotnisku w Alta. Istnieje obawa, że wypad floty będzie osłaniało lotnictwo. Użyć wszystkich środków, aby uniknąć niepotrzebnych strat statków handlowych i okrętów wojennych. DNO. Londyn".

Ze specjalną troskliwością Turner złożył blankiet depeszy i położył na stole.

- Czy nie wspaniałe nowiny? - warczał. - I co dalej?

Val ery siedział na kozetce, wyprostowany jak struna. Nie zauważył nawet, że w kąciku ust pojawiła się smużka krwi. Patrzył spokojnie, jakby niczym nie zmartwiony.

- Uważam, że teraz możemy wypić, Brooks, jeśli ma pan ochotę - rzekł cicho. - „Tirpitz”!

„Tirpitz”! - ociężale kręcił głową jak człowiek wyrwany ze snu.

„Tirpitz” - imię, które nappełniało strachem marynarzy! Nareszcie wyruszył ze swej kryjówki, ten pancerny kolos, którego bliźniaczy okręt jedną salwą zniszczył „Hooda”, chlubę brytyjskiej floty, najpotężniejszy okręt liniowy świata. Jakie szansę miał ich wąty krążownik? Zmuszając się do myślenia o sprawach nie cierpiących zwłoki, znów pokręcił głową. Tym razem ze złości.

- A więc, panowie, uważam, że na wszystko przychodzi czas. Nawet na „Tirpitz”. Musiał kiedyś wyleźć z ukrycia. Po prostu mamy pecha. Przynęta podeszła za blisko, jest zbyt kusząca...

- Mój młodszy kolega będzie zachwycony. Nareszcie zobaczy pancernik, i to w akcji - rzekł z ponurym humorem Brooks.

- Wyszli o zmierzchu - mruknął Turner. - O zmierzchu... Mój Boże! - westchnął. - Jeżeli nawet przyjmiemy, że w fiordzie szli żółwim tempem, to za cztery godziny mogą nas mieć.

- Zgadza się - przytaknął Val ery. - Nawet nie ma sensu uciekać na północ. Dogonią nas, zanim zbliżymy się do naszych pancerników na odległość stu mil.

- Do naszych? Do „starszych kolegów” na północy? - szydził Turner. - Nie chciałbym powtarzać się jak gramofonowa płyta, lecz przypomnijcie sobie, co już mówiłem: przybędą za późno.

- Jak zwykle za późno! - przerwał i zaklął. - Mam nadzieję, że ten stary drań Starr nareszcie jest zadowolony - zakończył z goryczą.

- Po cóż taki ponury ton - kpiąco odezwał się Val ery i dalej mówił cicho: - W ciągu czterdziestu ośmiu godzin można by spokojnie zarzucić kotwicę w Scapa Flow. Powiedziano nam: „uniknąć niepotrzebnych strat statków handlowych i okrętów wojennych”. „Ulisses” jest chyba najszybszym okrętem na świecie. To całkiem proste rozwiązanie, panowie.

- Nie, nie! - jęknął Brooks. - Zbyt wielki przeskok. Nie wytrzymałbym tego!

- Marynarkę królewską stać na to, by powtórzyć historię PQ [171](#)

1 PQ 17 - duży konwój złożony z trzydziestu brytyjskich, amerykańskich i panamskich statków wyszedł z portów islandzkich do Rosji. Jako osłonę bezpośrednią miał sześć niszczycieli i około tuzina mniejszych jednostek, a jako osłona dodatkowa szła w niewielkiej od niego odległości anglo-amerykańska eskadra złożona z krążownika i niszczycieli. Główną jednak osłonę, która płynęła z dala, na północ od konwoju, stanowiło anglo-amerykańskie zgrupowanie, w którego skład wchodził lotniskowiec, dwa pancerniki, trzy krążowniki i zespół niszczycieli. Podobnie jak w wypadku FR 77 miała powstać pułapka, która jednak nie zatrzasnęła się.

Akcję przeprowadzono latem 1942 roku. Jest to „sezon samobójczy” na tego rodzaju próby. W czerwcu i lipcu na szerokościach, jakimi płynął konwój, trwa całodobowy dzień. Na 20 stopniu wschodniej długości geograficznej konwój zaatakowało silne zgrupowanie łodzi podwodnych.

Tego samego dnia - 4 lipca - eskadra liniowa otrzymała wiadomość, że z fiordu Alta wypłynął „Tirpitz” (w rzeczywistości pancernik ten zrobił nieudany wypad 3 lipca, ale musiał zawrócić uszkodzony torpedą z radzieckiej łodzi podwodnej).

125

- nienaturalnie roześmiał się Turner. - Kapitan kontradmirał Vallery nigdy na to nie zezwoli! A jeśli chodzi o mnie, to jestem całkowicie przekonany, że cała zgraja naszych rzezimieszków-buntowników... hm... po prostu nie mogłaby już nigdy zasnąć spokojnie!

- Na Jowisza! - mruknął Brooks. - Ten człowiek jest urodzonym poetą!

- Ma pan rację, Turner - szepnął Val ery. Wychylił kieliszek i wyciągnął się na kozetce. - Nie mamy wielkiego wyboru... Ale co będzie, jeśli otrzymamy rozkaz, aby wycofać się pełną parą?

- Pan nie będzie mógł nic przeczytać - bezwzględny tonem odparł Turner. - Przed chwilą stwierdził pan, że wzrok pana niedomaga...

- „A to ci, co trudzili się ze mną i walczyli u mego boku” - cytował Vallery. - Dziękuję, panowie!

Ułatwiacie mi wszystko.

Uniósł się na łokciu z wyrazem zdecydowania. Uśmiechnął się do Turnera i nagle zdawało się, że wygląda zupełnie młodzieńczo.

- Zawiadomić wszystkie statki i okręty, że skręcamy na północ! Turner wytrzeszczył oczy.

- Na północ? Pan powiedział: „na północ”? A rozkaz Admiralicji?...

- Tak, na północ - cicho powtórzył Val ery. - Admiralicja może potem robić, co uważa za stosowne. Bawili się nami dość długo!

Nacisnęliśmy sprężynę pułapki. Czego więcej mogą od nas wymagać? W ten sposób mamy jeszcze szansę... prawie beznadziejną szansę... Ale zawsze okazję do obrony. Dalsze pchanie się wprost na wschód to samobójstwo - znów uśmiechnął się sennie. - Zakończenie nie jest najważniejsze - mówił cicho. - Przypuszczam, że nie będę musiał za to odpowiadać ani teraz, ani nigdy... Twarz Turnera rozjaśnił uśmiech.

- A więc na północ!

- Trzeba zawiadomić naczelnego dowódcę konwoju - mówił dalej Val ery. - Poproś nawigatora o kurs zbieżny. Zawiadomić konwój, że będziemy się wlekli na końcu. Będziemy osłaniać go z całych sił, jak długo potrafimy. Jak długo potrafimy! Nie oszukujmy się wzajemnie. Szansę są tysiąc do jednego dla wroga... Czy możemy zrobić coś więcej, komandorze?

- Modlić się - padła zwięzła odpowiedź.

- I spać - dodał Brooks. - Dlaczego nie utnie pan drzemki, admirale?

- Spać? - Vallery był szczerze zdziwiony. - Niedługo będziemy mogli spać i spać... bez przerwy.

- Trafił pan w sedno - przytaknął Brooks. - Chyba ma pan całkowitą słuszość.

Alianckie eskadry osłonowe uciekły natychmiast pełną parą na zachód, pozostawiając konwój na los szczęścia. Rozproszone statki bez osłony przedzierały się w pojedynkę do Rosji. Łatwo sobie wyobrazić, jakie były myśli i uczucia marynarzy ze statków handlowych na widok zdrady marynarki królewskiej, przyglądających się, jak okręty wojenne ratują swoją skórę. Łatwo sobie również wyobrazić ich obawy. Lecz nawet w najczarniejszych przypuszczeniach nie można było przewidzieć tego, co się stało.

Samoloty i łodzie podwodne zatopiły dwadzieścia trzy statki. „Tirpitz” oczywiście nikt nie widział. Okręty wojenne uciekły na samą wieść o nim.

Autor nie rości sobie pretensji do pełnej znajomości faktów dotyczących PQ 17, nie ma zamiaru interpretować tych, które zna, ani tym bardziej wskazywać winnych. Może wydać się dziwne, ale na pewno nie można obarczać winą dowódcy całej osłony, admirała Hamiltona. Nie od niego zależało wycofanie okrętów. Z Admiralicji przyszedł nieodwołalny rozkaz. Lecz nikt nie chciałby być w skórze admirała.

W sumie to smutny i tragiczny wypadek. Tym bardziej trudno przejść nad nim do porządku, że jest on całkowicie sprzeczny z tradycjami marynarki angielskiej.

Ci marynarze ze statków handlowych konwoju, którzy pozostali przy życiu, nigdy marynarce wojennej tego nie wybaczą, a marynarka królewska rozpaczliwie chciałaby o tym zapomnieć (przyp. aut.).

126

ROZDZIAŁ XV

Sobota wieczorem (II)

Posypały się depesze. Pełne niepewności i strachu napływały na mostek „Ulissesa” ze statków handlowych, prosząc o potwierdzenie wiadomości o wypadzie „Tirpitz”. Meldunek ze „Stirlinga”

doniósł, że pożar nadbudówek jest już opanowany, a drzwi i grodzie wodoszczelne wytrzymują ciśnienie. Wreszcie depesza z „Sirusa” o tym, że przy ratowaniu rozbitków stuknął o tonący frachtowiec i bierze wodę, ale pompy dają sobie radę; że przyjął na pokład czterdziestu ośmiu nowych rozbitków i właściwie jego rola jest skończona, więc pyta, czy może zmykać do domu.

Depesza nadeszła już po potwierdzeniu przez „Sirusa” złych wieści. Turner uśmiechnął się do siebie. Znał Orra i wiedział, że nic nie zmusiłoby go teraz do opuszczenia konwoju.

Sypały się depesze nadawane za pomocą reflektorów sygnalizacyjnych i przez radio. Nie było sensu

przestrzegać ciszy radiowej. Nieprzyjaciel znalazł pozycję konwoju zbyt dokładnie. Nie było również sensu zabraniać używania reflektorów. Szalejący na „Stirlingu” pożar oświetlał wszystko w promieniu mili. Depesze były pełne niepewności, strachu i podniecenia. Lecz najbardziej niepokojącej wieści dla Turnera nie nadało radio ani reflektory. Równo w kwadrans po ataku bombowców - gdy

„Ulisses” szedł już na nowym kursie 350°, ciężko pracując na fali - Turner usłyszał gwałtowne stuknięcie drzwi. Na mostek, potykając, się wszedł palacz. Turner przyglądał się oświetlonej dalekim blaskiem płonącego „Stirlinga” postaci. Na twarzy marynarza widniały krople potu, które zdążył już ścierać mróz. Nie bacząc na przejmujący wicher i mróz marynarz był ubrany w cienki kombinezon, nie miał na sobie płaszcza ani czapki. Trzęsło nim, drżał jednak bardziej z podniecenia niż z chłodu.

Odnosiło się wrażenie, że nie zwraca na to uwagi. Turner chwycił go za ramię.

- Co się stało, człowieku? - pytał zaniepokojony.

Palacz był tak zdyszany, że nie mógł odpowiedzieć natychmiast.

- Co się stało? Mówże!

- Centrala przekaźników, panie komandorze - wykrztusił niewyraźnie. - Tam pełno wody!

- Centrala przekaźników? - Turner nie wierzył własnym uszom.

- Powiadasz, że zalana? Kiedy się to stało?

- Na pewno nie wiem, ale... - palacz chwytał oddech. - Ale był cholerny wybuch, coś koło...

- Wiem, wiem - przerwał niecierpliwie Turner. - Bombowiec zniósł komin i torpeda wybuchła tuż koło lewej burty. Ale to było przed kwadrans! Piętnaście minut temu! Przecież ci tam...

- Telefony centrali przekaźników nawaliły.

Palacz przychodził już do siebie. Odwrócił się od wiatru, skulił, lecz widząc wahanie Turnera, a przede wszystkim brak pośpiechu, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, chwycił komandora za poły płaszcza i wołał pełnym narastającej niecierpliwości tonem:

- Nie ma elektryczności! Ludzie nie mogą się wydostać! Pokrywa wjazdu zacięta!

- Pokrywa wjazdu? - Turner aż przymknął oczy. - Jak to się stało? Zwichrowany?

- Odleciała przeciwwaga. Leży na pokrywie wjazdu. Możemy go uchylić najwyżej na cal.

Rozumie pan...

- Pierwszy oficer! - zawołał Turner.

- Na rozkaz. - Carrington stał tuż obok. - Słyszałem. Dlaczego nie można otworzyć?

- Pokrywa wjazdu centrali przekaźników - rozpaczliwie powtarzał palacz. - Waży ze ćwierć tony.

Tylko dwóch ludzi może ją podnosić jednocześnie. Próbowaliśmy... Spieszcie się... Błagam!

- Chwileczkę - Carrington zachowywał aż irytujący spokój. - Hartley? Nie, on musi być przy pożarze. Evans i McIntosh zabici - myślał na głos.

- A może Bellamy?

- Co pan mówi? - wybuchnął Turner. - Udzielił mu się niepokój i podniecenie palacza. - O co panu chodzi?

- Pokrywa wjazdu i przeciwwaga... razem tysiąc funtów - mruzczał pod nosem Carrington. -

Potrzebny wyjątkowy chłop do wyjątkowej roboty.

- Petersen, panie komandorze - natychmiast podchwycił palacz. - Petersen!

- Oczywiście. - Carrington klasnął w dłonie. - Już pędzę, panie komandorze! Zabrać acetylen?

Nie ma czasu! Palacz, brać łomy i młoty!... A pan, komandorze, niech zadzwoni do maszynowni.

127

Turner i tak już telefonował.

Na tylnym pokładzie pożar był opanowany, lecz w paru zakątkach gwałtowne przeciągi rozpałały go na nowo. W międzypokładach grodzie, trapy, ścianki działowe i żelazne szafy były poskręcane, pogięte przez piekielny żar. Na pokładzie pożar podsycany benzyną strawił prawie trzyciałowe deski, jak potężnym palnikiem stopił okucia. Rozpalone do czerwoności stalowe pręty żarzyły się piekielnym kolorem, syczały, gdy podmuch wiatru sypnął na nie gęstym śniegiem.

Na pokładzie i wewnątrz okrętu Hartley i jego ludzie pracowali jak szaleńcy. To drżeli z zimna, to z trudem mogli wytrzymać żar. Bóg jeden wie, skąd te wynędzniałe, zmęczone ciała brały siły. Z

wież artyleryjskich, z biura policyjnego, z międzypokładów, z awaryjnej sterówki wyciągali zabitych.

Wyciągali, oglądali ich, klęli, czasem zapłakali i znów ruszali tam, gdzie zginęli koledzy. Nie zważając na ból i niebezpieczeństwo oczyszczali miejsce pożaru od spalonego i jeszcze dymiącego żelastwa.

Zabitych układano przy relingu prawej burty. Starszy marynarz Doyle czekał na nich. Jeszcze niespełna pół godziny temu Doyle sam leżał w korytarzu kuchni, przeżywając męki. Zalany wodą przy swoim pom-pomie, zamieniony w kawał lodu, leżał, żeby odtajać. W pięć minut potem znów był przy

działkach, niepokonany, jak skała twardy, siał w nadlatujące samoloty pocisk za pociskiem. Teraz pracował na tylnym pokładzie. Żelazny człowiek o żelaznej twarzy i lwiej głowie z całkowitym spokojem podnosił ciała, robił dwa kroki do relingu i ostrożnie opuszczał je za burtę. Ile razy musiał

powtórzyć te krótką drogę w ciągu nocy? Nie liczył. Po dwudziestu kilku stracił rachubę... Właściwie nie miał prawa tak postępować. Marynarka wojenna bardzo przestrzegwała obrzędów pogrzebowych, ale to nie był przecież żaden obrzęd. Lecz żaglomistrz zginął i nikt nie potrafiłby zaszyć w płótno i obciążyć balastem tych zwęglonych, straszliwie poskręcanych ciał.

Zmarłym już na tym nie zależy - myślał Doyle tępo. - Niech idą, jak są.

Tak samo myśleli Carrington i Hartley i nie uczynili nic, aby przeszkodzić starszemu marynarzowi w jego pracy.

Pod stopami dźwięczał rozpalony pokład. Wielokrotnym echem brzmiały uderzenia ciężkiego młota, gdy Nicholls i starszy telegrafista Brown (ubrani jak Marsjanie w azbestowe kombinezony) próbowali odsunąć zasuwę pokrywy wjazdu do magazynu amunicyjnego wieży „Y”. Pracowali w mroku z rozpaczliwym wysiłkiem. Poprzez dym i parę ledwie widzieli się nawzajem, nie widzieli nawet zasuw i nieraz młot wyrywał się z rąk, gdy nie trafił w cel.

Zdążymy jeszcze - myślał Nicholls. - Może zdążymy.

Główny zawór spryskiwaczy zamknięto przed pięciu zaledwie minutami. Istniała możliwość, bardzo mała możliwość, że ludzie zamknięci w stalowej pułapce mogli jeszcze wisieć u szczytu trapu nad powierzchnią wody.

Teraz całą pokrywę przytrzymała tylko jedna zasuwka. Na zmianę uderzali młotami ze wściekłą siłą. Nagle całkiem niespodziewanie pokrywa wjazdu odskoczyła, wyrzucona sprężonym pod nią powietrzem. Brown ryknął z bólu i z jękiem zwałił się na pokład. Pokrywa potężnym ciosem uderzyła go w prawe udo miażdżąc kość.

Nichol s nawet nie spojrział na niego. Pochylił się nad wjazdem, jasny snop światła jego latarki przeciął ciemność. Nie mógł dojrzeć nic, zupełnie nic. Nie dojrzał zwłaszcza tego, czego szukał.

Widział jedynie wodę: czarną, oleistą i groźną wodę, która wraz z przechyłami „Ulissesa” unosiła się i opadała w całkowitej ciszy.

- Hej, tam! - krzyknął Nicholls. Zauważył, że jego drżący z wysiłku głos huczał i powracał echem w straszliwym żelaznym lochu. - Hej, tam, na dole! - krzyknął powtórnie. - Jest tam kto? - nastawił ucha, aby ułoić najmniejszy choćby szmer, najcichszy szept.

Nikt nie odpowiadał.

- McQuarter! - krzyknął po raz trzeci. - Wil iamson! Czy słyszycie? Znów patrzył, znów słuchał.

W ciemnościach cichutko szemrała woda omywająca grodzie. Zaświecił latarkę. Aż dziwne, jak

woda przepuszczała światło. Tam, pod powierzchnią... Po plecach przebiegły mu dreszcze. Nawet woda wydawała się martwa, złośliwa, okrutna. W przypiływie nagłego gniewu potrząsnął głową, jakby chciał

odepchnąć głupie myśli... jakiś pierwotny strach. Musi uważać na swoją wyobraźnię!

Cofnął się i ostrożnie, uważnie zamknął pokrywę. Po międzypokładzie rozległ się szczeł zamykanych zasuw.

128

Komandor inżynier Dodson poruszył się i jęknął. Próbował otworzyć oczy, lecz powieki jakby nie działały. Takie przynajmniej odnosił wrażenie, ponieważ wokół niego panowała całkowita, nieprzenikniona ciemność.

Oszołomionym mózgiem próbował odgadnąć, co się stało. Jak długo tu leży? Dlaczego? Czuł

uparty ból z boku głowy, tuż za uchem. Powoli ściągnął rękawicę i obmacywał bolące miejsce. Palce dotknęły lepkiej cieczy. Ze zdumieniem stwierdził, że włosy na pozlepiane krwią. To mogła być tylko krew... Czuł, jak powoli spływa po policzku.

Czuł jakąś silną wibrację, drzenie, które w nieokreślony sposób mówiło o wysiłku, o napięciu - głos, który burzył w nim krew. Czuł tę wibrację tuż obok. Wyciągnął rękę i natychmiast cofnął odruchowo. Dotknął czegoś wirującego i rozpalonego.

Wał śruby! Oczywiście! Przecież zgięty jak banan siedzi w tunelu wału. Tym razem stwierdził, że uszkodzone są również przewody olejowe lewych wałów. A przecież maszyny muszą pracować...

Wiedział, że byli atakowani. Tu, w głębi okrętu, nie słychać odgłosów walki, nie dociera ryk lotniczych silników ani nawet grom własnych dział. Lecz przy każdym wystrzale 5,25-calówek - mimo ich hydraulicznych oporopowrotników - czuł lekki wstrząs. A potem nagle ten wybuch. Bliskie trafienie bombą... A może torpedą? Dzięki Bogu, że siedział plecami do burty! W innych warunkach wpadłby w wirujący wał i...

Wał! Boże drogi, co z nim robić? W suchych łożyskach rozgrzał się prawie do czerwoności.

Gorączkowo szukał rękoma wokół siebie. Chwycił latarkę awaryjną, włączył. Światło nie zabłysło.

Namacał zbite szkło i żarówkę. Odrzucił bezużyteczny rupieć. Sięgnął do kieszeni po ręczną latarkę.

Również rozbita. Zrozpaczony szukał na ślepo blaszanki ze smarem. Leżała przewrócona na boku.

Patentowany zawór sprężynowy odleciał, blaszanka była pusta.

Nie ma ani kropli smaru! Kto może przewidzieć, w jakim momencie przecracowany metal osiągnie

punkt krytyczny? On nie mógł. Zawsze twierdził, że nawet dla najwybitniejszych inżynierów zmęczenie metalu jest tajemnicą. Lecz - jak wielu ludzi, którzy całe życie spędzili przy motorach

- Dodson wyrobił w sobie szósty zmysł. I dlatego czuł, że musi się spieszyć, bardzo spieszyć...

Smar! Musi natychmiast zdobyć trochę oliwy do łożysk. Wiedział jednak, że sam jest w bardzo złej formie: półprzytomny, osłabiony wstrząsem i utratą krwi. A tunel wału jest długi, podłoga śliska, ciemność zaś powiększa niebezpieczeństwo. Jeden nieuważny krok, jedno potknięcie się i oparcie o bezlitosny wał... Komandor Dodson ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął wału. Aż krzyknął z bólu.

Przycisnął dłoń do policzka. Dobrze wiedział, że sparzyło go nie tarcie wału o czubki palców, ale jego rozpalona powierzchnia. Nie było innego wyjścia - musiał iść po smar. Zachowując wszelkie środki ostrożności, podciągnął nogi. Powoli, przytrzymując się ściany, wstał zgięty we dwoje. Dopiero wtedy zauważył maleńkie rozhuśtane światełko. Wydawało się, że błyska strasznie daleko, chociaż na pewno znajdowało się o parę jardów od niego. Zamrugał oczyma. Zaniknął je i otworzył. Światełko nie zniknęło, lecz przeciwnie, zbliżało się nieustannie. Dodson usłyszał wreszcie, jak ktoś ostrożnie powłóczy nogami. Poczł nagle, że słabnie, że w głowie powstaje próżnia. Z uczuciem ulgi usiadł z powrotem. Bezpiecznie oparł nogi na obudowie łożyska.

Człowiek ze światełkiem zatrzymał się tuż przy nim, zawiesił lampę na obudowie łożyska i usiadł koło Dodsona. Światło lampki padało na gorylowatą szczękę, na grubo ciosaną twarz, czarne, zrosnięte brwi. Komandora aż zatkało ze zdziwienia.

- Riley! Palacz Riley! - Aż przymrużył oczy; nie dowierzał im. - Któż u diaska przysłał cię tutaj?

- Przyniosłem dwugalonową bańkę oliwy do łożysk - szorstko odpowiedział Riley, wtykając jednocześnie termos w rękę komandora.

- A tu jest kawa. Ja będę oliwił, a pan niech pije... O Jezus, to za... Łożysko jest aż czerwone!...

Dodson usiadł wygodniej z termosem na kolanach.

- Riley, czyś ogłuchł? - spytał ostro. - Czemuś tu przyszedł? Kto cię przysłał? Twoje miejsce jest w kotłowni „B”.

- Przysłał mnie Gierson. - Śniada twarz nic nie zdradzała. - Powiedział, że nie ma ludzi w maszynowni, cholernie są tam potrzebni!... Nie za dużo? - spytał nagle.

Gęsty, lepki smar ściekał powoli na przegrzane łożysko.

- Mówisz, że porucznik Gierson - Dodson z trudem opanował wściekłość. - Łziesz bezczelnie!

Porucznik na pewno cię nie przysłał. Przypuszczam, że jemu meldowałeś, że wysyła cię ktoś zupełnie inny...

- Niech pan pije kawę - zgryźliwie poradził Riley. - Wołają pana do maszynowni. Komandor zacisnął pięści i wybuchnął:

- Ty cholerny drabie! - opanował się i spokojniej już powiedział:

- Jutro rano karny u kapitana. Zapłacisz za to!

- Nie zapłacę!

Niech go diabli! - myślał Dodson. - On jeszcze bezczelnie szczyrzy zęby. Śmieje się! - Całkiem już opanowany spytał: - A dlaczegoż to?

- Ponieważ pan nie złoży na mnie meldunku. - Riley najwyraźniej bawił się świetnie.

- Ach, więc to tak?

Dodson obejrzał się. Zdał sobie sprawę, że są zupełnie sami w mrocznym tunelu. Zaczął badawczo przyglądać się Rileyowi. Był wielki, zwalisty, groźny.

Uśmiecha się czy nie, nigdy nie potrafi zmienić swej tygrysyj gęby - rozmyślał Dodson. -

Uśmiech na tygrysim pysku... Strach, wyczerpanie, niekończące się napięcie - to one tak straszliwie zmieniają ludzi... Trudno winić Rileya za to, czym jest, za to, do czego został stworzony... Lecz tym razem wiedział, że on, Dodson, ponosi odpowiedzialność za palacza. Przypomniały mu się zgryźliwe uwagi Turnera, który wyzwał go od durniów za to, że obronił Rileya przed więzieniem.

- A więc to tak... - powtórzył cicho. Mocniej zaparł się nogami w obudowę łożyska. - Nie bądź taki pewny. Wiesz co, Riley? Mogę zapakować cię do więzienia na dwadzieścia pięć lat, ale...

- O Jezu! - jęknął niecierpliwie Riley. - Co pan plecie, panie komandorze? Proszę, niech pan pije kawę. Mówiłem chyba, że czekają na pana w maszynowni - powtórzył.

Zbity z tropu Dodson odkręcił termos. Nagle odniósł wrażenie, że wszystko wokół jest nierzeczywiste, że on sam jest widzem nie mającym nic wspólnego z tym niezwykłym zajściem.

Poczuł odprężenie, a jednocześnie uświadomił sobie, że głowa boli go jak diabli.

- Powiedzcie mi, Riley, na czym opieracie przekonanie, że nie złożę meldunku? - zaczął z innej beczki.

- A niech pan składa! - Palaczowi nagle poprawił się humor. - Ale ja nie stanę do kapitańskiego raportu.

- Nie?! - Dodson w jednym słowie zamknął pytanie i wyzwanie.

- Nie! - roześmiał się Riley. - Bo jutro rano nie będzie już ani kapitana, ani raportów - z uczuciem beztrioski oparł głowę na splecionych dłoniach. - Tak naprawdę to jutro nic już nie będzie!

Uwagę Dodsona przykuła nie tyle treść tych słów, co ich dziwny ton. Odgadywał, wiedział już, że Riley, mimo przyklepionego do twarzy uśmiechu, nie żartuje. Przyglądał mu się uważnie, w milczeniu.

- Przed chwilą skończyło się przemówienie komandora - ciągnął Riley. - „Tirpitz” wyszedł na morze. Pozostało nam cztery godziny...

Proste stwierdzenie faktu, zupełny brak nutek hysterii, wygrywania efektów nie pozostawiały miejsca na wątpliwości.

„Tirpitz” na morzu! - powtarzał sobie Dodson. - „Tirpitz” na morzu! Pozostało cztery godziny, tylko cztery godziny...

Dziwiła go własna reakcja, wyraźny brak zainteresowania.

- No więc? - Riley znów był zaniepokojony, lecz opanowywał zniecierpliwienie. - Idzie pan czy nie? Nie zalewam... Naprawdę potrzebują pana w maszynowni. Natychmiast!

- Łiesz - uprzejmie odparł Dodson. - To po coś przynosił kawę?

- Dla siebie. - Z twarzy palacza nagle zniknął uśmiech. Stała się poważna, nachmurzona. - Ale myślałem, że przyda się panu. Na oko to pan najlepiej nie wygląda... Opatrzą pana w maszynowni.

- Ale tam właśnie ty wracasz, i to już - spokojnie powiedział Dodson. Palacz jakby nie słyszał.

- Zjeżdżaj stąd, Riley! - wytwornie radził Dodson. - Rozkazuję!

- Od... się! - warknął Riley. - Ja zostaję. Nie potrzeba aż trzech złotych pasków na rękawie, aby dolewać tej zafajdanej oliwy - dokończył z uśmiechem.

- Chyba nie. - Dodson chciał jakoś przeciwstawić się gwałtownemu uskokowi okrętu, ale mimo to wpadł na palacza. - Przepraszam, Riley. Wygląda na to, że pogoda się psuje. Zbliżamy się do skrzyżowania...

130

- Że co? - podejrzliwie spytał Riley.

- Do końca drogi. Do narzuconej bitwy... Powiedz mi, Riley - spytał cicho - czemu przyszedłeś?

- Mówiłem już - odparł nachmurzony palacz. - Gierson mnie przysłał... Porucznik Gierson.

- Czemu przyszedłeś? - upierał się Dodson, jakby nie słyszał odpowiedzi.

- To moja sprawa.

- Czemu przyszedłeś?

- Na miłość boską, zostawże mnie pan! - krzyknął Riley. Głos echem brzmiał w tunelu. Nagle zwrócił do komandora wykrzywioną twarz. - Do jasnej cholery, przecież pan wie czemu!

- Wykończyć mnie?

Riley spoglądał na niego przez długą chwilę, potem odwrócił się. Ramiona opadły mu, nisko opuścił głowę.

- Pan jedyny z tych s...synów dał mi okazję, żebym... - mruzczał. - Jedyny typek, jakiego spotkałem, co dał mi szansę - poprawił się.

„Typek”. U Rileya to zapewne zawiera ładunek przyjaźni - pomyślał Dodson i nagle zawstydził się swego pytania.

- Gdyby nie pan - mówił dalej Riley - najpierw znalazłbym się w więzieniu wojskowym, a potem to już i w cywilnym. Pamięta pan, panie komandorze?

Dodson przytaknął.

- Jesteś jednak nierozsądny - podkreślił.

- A dlaczego pan tak postąpił? - potężny palacz mówił z napięciem i podnieceniem. - Przecież wszyscy wiedzieli, com wart...

- Wiedzieli? Wątpię... Ja uważałem, że jesteś lepszy, niż się...

- Niech pan już nie dokucza! Ja wiem, com wart. Wiem, kim jestem w rzeczywistości... Nic...

dobrego! Każdy powiada, że nic dobrego... I ma rację! - pochylił się do przodu. - Wie pan? Jestem katolikiem. Za cztery godziny... - urwał. - Powinienem więc upaść na kolana, prawda? - drwił. -

Żałować za grzechy, czekać na... jak, to oni nazywają?... No?...

- Rozgrzeszenie?

- Ano! O to chodzi... Czekać na rozgrzeszenie. A wie pan co? - mówił powoli, poważnie. - A mnie to nic nie obchodzi...

- Może nie musi obchodzić - szepnął Dodson. - Zatem ostatni raz powtarzani: idź do maszynowni.

- Nie pójdę!

Komandor westchnął i podniósł termos.

- W takim razie zapraszam cię na filiżankę kawy. Riley spojrzał, poweselał i gdy się odezwał,

przypominał pułkownika Chinstrapa z audycji radiowych.

- W zasadzie - mówił wytwornie - nic nie stoi na przeszkodzie.

Val ery przekręcił się na bok, podkurczył nogi i automatycznie sięgnął po ręcznik. Wynędzniałym ciałem wstrząsał kaszel, którego chrapliwy głos powtarzały stalowe ściany schronu.

O Boże! - pomyślał Val ery. - Jeszcze nigdy nie było aż tak źle! Śmieszne, ale nic nie boli. Ani troszkę!

Atak minął. Spoglądał na splamiony, szkarłatny ręcznik. Słabym ruchem odrzucił go ze wstrętem.

Ty będziesz taskałem przeklęty okręt na karku - słowa Starego Sokratesa niespodziewanie wtargnęły do jego myśli. Uśmiechnął się. Jeśli był kiedykolwiek potrzebny, to nigdy tak bardzo jak teraz. Jeśli będzie zwlekał chociaż chwilę, nie wstanie już nigdy. Usiadł więc, pocąc się z wysiłku, ostrożnie spuścił nogi. W momencie gdy stanął, „Ulisses” gwałtownie zarył się dziobem. Vallery upadł, uderzając o fotel, i bezsilnie zsunął się na podłogę. Wieki minęły, zanim zdobył się na wysiłek, aby znów wstać. Jeszcze jedno takie zmęczenie i będzie koniec. A musi jeszcze otworzyć drzwi.

Ciężkie, stalowe drzwi. Musi je jakoś pokonać. Czuł jednak, że nie ma na to dość sił. Oparł dłoń o klamkę i drzwi otwarły się bez większego oporu. Nagle jakby jakimś magicznym sposobem wy dostał

się ze stalowego zamknięcia na tamujący oddech mroźny wiatr, który płomieniem przepalał gardło i płuca. Spojrzał ku dziobowi; spojrział na rufę. Pożary dogasały. Pożary na „Stirlingu” i na tylnym 131

poładzie „Ulissesa”. Dobrze i to. Obok dwóch marynarzy przed chwilą wyważyło drzwi centrali hydroakustycznej i świeciło do wnętrza latarką.

Nie mógł tam patrzeć! Odwrócił głowę i z wysiłkiem wyciągając przed siebie ręce, ruszył ku drzwiom platformy kompasowej. Zobaczył go Turner. Podbiegł i pomógł mu dojść do fotela.

- Pan nie ma prawa być na pokładzie - cicho mówił komandor, spoglądając nań uważnie. - Jak się pan czuje, panie admirale?

- Znacznie lepiej, dziękuję - odpowiedział Val ery i dodał z uśmiechem: - Pan wie o tym, komandorze, że my, kontradmirałowie, mamy poważne obowiązki. Czas, abym zaczął zarabiać na swoje książęce uposażenie.

- Cofnąć się! - krzyknął Carrington. - Do sterówki albo na trap! Niech zobaczę, jak to wygląda -

spojrzał na wielką stalową pokrywę wjazdu. Teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie zastanawiał się, jaki to potężny kawał stali.

Pokrywa podparta łomem była uniesiona nie więcej niż na cal. Zauważył przeciwwagę i urwaną dźwignię do otwierania, leżące u progu sterówki. Widać przesunęli przeciwwagę z luku. Dobrze i to.

- Czy próbowaliście lin i bloków? - zapytał niespodziewanie.

- Tak jest - odparł najbliższy stojący marynarz i wskazał w kąt na jakieś rupiecie. - Tym nie da rady! Trap wytrzymuje ciężar, ale nie można dobrze założyć haka. Z przodu nie włązi, a jak zakładaliśmy z boku, to się za każdym razem ześlizgiwał... - wskazał na pokrywę. - Do tego wszystkiego zasuwy pocięte. Otwierali je młotami czy uderzali pod złym kątem... A jeśli chodzi o liny i bloki, to wiem, jak ich używać, ale...

- Pewnie, że wiesz - myśląc o czym innym odpowiedział Carrington. - Ej, wy, pomóżcie mi!

Zaczeplił palcami o brzeg pokrywy, nabrał w płuca powietrza. Marynarz z drugiej strony luku oparł się mocno o ścianę i zrobił to samo.

- Razem!

Napięli karki i nogi. Wytężyli wszystkie siły, aż drżeli z napięcia. Carrington czuł, że robi się czerwony, że puls huczy w skroniach. Dał spokój. Może zdechnąć, a pokrywa nie drgnie choćby o milimetr. Ale nadal uważał, że dwóch ludzi dałoby radę i uniosło pokrywę. Podejrzewał, że mogły zaciąć się zawiasy. Jeśli tak, to nawet bloki niewiele pomogą. W ogóle nie nadają się, jeśli chodzi o gwałtowny zryw.

Ukląkł i przyłożył usta do szpary pod pokrywą.

- Na dole! - wołał. - Słyszycie?

- Słyszemy - odezwał się słaby, stłumiony głos. - Na miłość boską, wydostańcie nas stąd!

Jesteśmy jak szczury w pułapce!

- Czy to pan, Brierley? Nie martwcie się, wydobędziemy was. Jaki poziom wody?

- Wody? Więcej cholerniej ropy niż wody! Musimy mieć przebity lewy zbiornik z ropą. Zdaje się, że główny przewód też rozwalony.

- Jaki poziom, mówcie!

- Zalało już do trzech czwartych wysokości. Stoimy na generatorach, czepiamy się tablic rozdzielczych. Jeden już utonął. Nie mieliśmy siły go podtrzymać - odbity echem stłumiony głos zdradzał wysiłek i prawie rozpacz. - Zlitujcie się wreszcie i otwórzcie nas!

- Powiedziałem, że zaraz was uwolnimy - Carrington mówił głośno, przekonywająco. Właściwie nie miał żadnej pewności, wiedział jednak, że w zamknięciu łatwo o panikę. Mówił więc dalej: - Czy możecie podeprzeć drzwi od spodu?

- Nie możemy. Na trapie mieści się tylko jeden człowiek - wołał Brierley. - Nie ma się o co oprzeć. Nagle nastąpiła cisza i kilka stłumionych przekleństw.

- Co się stało? - spytał Carrington.

- Trudno się tak utrzymać - krzyknął Brierley. - Jeszcze jeden spadł do wody... Zdaje się, że wylazł. Tu jest zupełnie ciemno.

Carrington usłyszał nad głową ciężki tupot. Przybiegł Petersen. W wąziutkim przejściu jasnowłosy Norweg wydał się jeszcze większy niż zwykle. Carrington popatrzył na potężne bary, wypukłą klatkę piersiową i wielkie łapy. Petersen jedną opuścił swobodnie, a w drugiej bez wysiłku trzymał trzy potężne łomy i młot jak po prostu nic nie ważące trzcinki! Porucznik zajrzał w 132

zachmurzone niebieskie oczy, spokojnie patrzące spod konopnej czupryny, i nagle poczuł przyływ wiary i pewności siebie.

- Petersen, nie możemy otworzyć wjazdu - powiedział bez ogródek. - Potrafisz?

- Spróbuję...

Odłożył narzędzia. Chwycił za koniec sterczącego spod pokrywy łomu, wyprostował się.

Pokrywa drgnęła nieco i natychmiast łom - jak słabiutka laseczka z plasteliny - zgiął się pod kątem prostym.

- Zawiasy zacięte. - Petersen nawet nie zadyszał się. - To na pewno zawiasy.

Obszedł wjazd dookoła, zerknął na zawiasy i mruknął z satysfakcją. Trzy razy młot śmignął i ciężar pomnożony przez siłę potężnych ramion uderzył w zewnętrzny zawias. Za trzecim razem pękło stylisko młota. Petersen odrzucił je w kąt. Ujął grubszy niż poprzednio łom i podsadził pod pokrywę. Znowu drgnęła może na cal i znowu łom zgiął się na pół. Petersen po kolei walił w zawiasy mniejszymi młotami. I u tych popękały styliska. Tym razem do podważania użył dwóch łomów naraz.

Podsadził je pod próg pokrywy. Pięć, dziesięć sekund trwał w całkowitym zda się bezruchu; zaczął oddychać szybko, po chwili wstrzymał oddech. Po czole i twarzy popłynęły smużki potu.

Obydwa łomy wyginały się powoli.

Carrington patrzył jak urzeczony. W życiu nie widział niczego podobnego. Chyba nikt inny też nie widział. Zdawało mu się, że żadnego z łomów nie zgiąłby ciężar mniejszy niż pół tony. Widowisko było niesamowite, ale prawdziwe. Olbrzym prostował kark i zginał łomy coraz bardziej. Nagle wszyscy odskoczyli. Pokrywa podniosła się o pięć, sześć cali i Petersen upadł w tył na stalową grodz.

Łomy spadły do luku i plusnęły w wodę. Petersen skoczył z powrotem do pokrywy. Ruszał się jak rozwścieczony tygrys. Zaczepił palcami o brzeg płyty. Napinał węzły mięśni, szarpał całym ciężarem ciała i za każdym razem pokrywa ustępowała trochę ze straszliwym zgrzytem. Za piątym szarpnięciem stanęła pionowo, aż oparła się o zabezpieczającą zapadkę.

Wjazd był otwarty.

Petersen uśmiechnął się. Od dawna nikt nie widział go uśmiechniętego. Twarz miał mokrą od potu, potężna pierś wznosiła się i opadała gwałtownie, pracując głośno jak wentylator.

Poziom wody w stacji generatorów niskiego napięcia sięgał prawie do włazu. Brakowało z sześćdziesiąt centymetrów. Gdy „Ulisses” przechylał się lub rył dziobem, ciemny, oleisty płyn pluskał

przez otwór włazu. Szybko wyciągnięto uwięzionych. Byli przemoczeni i unurzani w ropie. Powieki mieli pozlepiane, oczy prawie nic nie widzące. Wszyscy byli u kresu sił, bliscy zemdlenia; tak wyczerpani, że nawet nie można było dostrzec oznak tylko co przebytego strachu. Trzech ledwo trzymało się trapu i byliby spadli w wodę, gdyby Petersen nie powyciągał ich z luku za kark jak małe dzieciaki.

- Zabrać ich do izby chorych! - rozkazał Carrington. Popatrzył na ociekających ropą i wodą ludzi, którym koledzy pomagali wdrapywać się na górę, i z uśmiechem odwrócił się do Petersena:

- Podziękujemy wam później. Ale robota jeszcze nie skończona. Musimy zamknąć ten luk i zaklinować pokrywę.

- To będzie trudna sprawa - ponuro odparł Petersen.

- Trudna czy nie, ale musi być wykonana - z naciskiem mówił porucznik. Woda bez przerwy pryskała z otworu do sterówki. - Awaryjna sterówka już zniszczona. Jeśli i ta zostanie zalana, będzie po nas.

Petersen nie odpowiedział. Podniósł zapadkę i pchnął oporną pokrywę ze stopę w dół. Potem oparł się plecami o trap, nogami o pokrywę i wyprężył plecy jak w konwulsji. Pokrywa ze zgrzytem stanęła pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Petersen odsapnął. Znow napiął plecy jak łuk. Ręce opierał o trap, a nogami cal po calu naciskał pokrywę. Pozostało jeszcze z piętnaście cali.

- Potrzebny jest ciężki młot! - zawołał.

- Nie ma czasu na szukanie - Carrington kręcił niecierpliwie głową. - Za dwie minuty nie będzie można w ogóle zamknąć pokrywy. Nie pozwoli ciśnienie wody. Niech to piekło pochłonie! - zaklął. -

Gdybyśmy zamykali od spodu, byłoby całkiem inaczej. Nawet ja mógłbym to zrobić tam, pod dźwignią.

Petersen myślał. Kucnął koło luku i patrzył w ciemność.

- Mam pomysł - powiedział szybko. - Wy dwaj stańcie na pokrywie i pchajcie nogami, rękoma opierając się o trap. Ale nie tak! Odwróćcie się plecami. Tak będzie łatwiej.

Carrington poszedł za radą Petersena. Ułożył dłonie na szczeblu żelaznej drabiny i z całej siły pchnął stopami pokrywę. Nagle usłyszał plusk i metaliczny brzęk. Odwrócił się akurat w momencie, gdy pod klapą zniknęło potężne ramię z łomem w dłoni. Petersen, jak często bywa z takimi olbrzymami,

zwinnie i cicho jak kot wśliznął się do luku.

- Petersen! - zawołał klękając przy otworze. - Cóż, u diabła, wyrabiasz? Wyłaź natychmiast, durniu! Chcesz utonąć?

Nie otrzymał odpowiedzi. W luku panowała cisza, co chwila podkreślana szumem wody. Wtem ciszę tę rozdarły uderzenia metalu o metal i pokrywa opadła o dalsze sześć cali. Zanim Carrington zdążył pojąć, o co chodzi, pokrywa opadła jeszcze niżej. Zrozpaczony pierwszy oficer chwycił łom i wsunął pod pokrywę. W ułamek sekundy później pokrywa oparła się o stalowy pręt. Carrington przytknął usta do szpary.

- Na miłość boską, Petersen! - krzyczał. - Czyś zwariował? Otwórz pokrywę! Otwieraj natychmiast! Słyszysz?!

- Nie mogę. - Głos tłumiła woda, co chwila zalewająca głowę palacza. - Nie chcę!... Sam pan powiedział... Nie ma czasu... To jedyny sposób...

- Przecież nie myślałem...

- Wiem... To nieważne... Lepiej już tak... - Trudno było zrozumieć, co mówi. - Powiedz...

kapitanowi Val ery'emu... że Petersen przeprasza... Chciałem... powiedzieć wczoraj...

Przeprasza? Za co? - Carrington jak oszalały szarpnął łom. Pokrywa ani drgnęła.

- Zabity piechociarz w Scapa Flow... Nie chciałem go zabić... Nigdy nie chciałem zabić...

człowieka... ale mnie rozzłościł - prostodusznie mówił Norweg. - Zabił mojego przyjaciela...

Na sekundę Carrington zwolnił uchwyt na łomie. Petersen! Oczywiście! Któż inny potrafiłby tak ukreścić łeb? Petersen - wielki, roześmiany Norweg, który w ciągu jednej nocy stał się milczący i ponury; który dniami i nocami błąkał się po pokładach, mesach i korytarzach; którego nie widziano śpiącego lub uśmiechniętego... W tej sekundzie Carrington pojął, jaką mękę przeżywał ten prosty, uczciwy człowiek.

- Słuchaj, Petersen! - błagał. - Nie warto o tym mówić. Przysięgam, nikomu nie powiem!

Petersen, proszę!

- Lepiej już tak - stłumiony głos zabrzmiał jakby z ulgą. - Nie należy zabijać ludzi... To przeszkadza w życiu... Wiem... Proszę, to jest ważne! Niech pan powie kapitanowi: Petersen przeprasza i wstydzi się... Robię to dla mojego kapitana!

Bez ostrzeżenia łom wypadł z rąk Carringtona. Pokrywa zatrzasnęła się. Jeszcze przez minutę w sterówce dźwięczały uderzenia. Wreszcie umilkły. Tylko woda szumiała obmywając burty i skrzypiało koło sterowe.

Czysty, miękki głos dźwięczał ponad szumem wentylatorów, ponad zawodzeniem motorów elektrycznych, ponad pluskiem fal za burtami. Nawet bezduszne głośniki nie mogły naruszyć tego piękna. Był to ulubiony wynalazek Vallery'ego: gdy tylko można było nie przestrzegać bezwzględnej ciszy, nadawał przez radiowęzeł muzykę z płyt, aby szybciej mijały długie, ciężkie godziny.

Repertuar składał się niezmiennie z muzyki klasycznej - jak to się często i głupio mówi - z utworów popularnych kompozytorów klasycznych. Bach, Beethoven, Czajkowski, Lehar, Verdi, Delius - byli najbardziej lubiani. Załoga „Ulissesa” nigdy nie miała dość tej muzyki.

„Niezwyczajne!” „Niemożliwe!”.

Nietrudno wyobrazić sobie uwagi ludzi, którzy pod jeden strychulec równają smak muzyczny szeregowych marynarzy z powszechnymi pojęciami o ich moralności i etyce. Lecz tacy ludzie na pewno nie mają pojęcia, jaka skupiona, kościelna cisza panowała w wielkim hangarze lotniczym w Scapa Flow, gdy Jehudi Menuhin cudownym smyczkiem wyczarowywał ze strun melodie, odrywał tysiące ludzi od brutalnej rzeczywistości i przenosił do cudownej krainy muzyki...

W tej chwili śpiewała kobieta, właściwie dziewczynka: Deanne Durbin. Śpiewała *Światła domu rodzinnego* - najbardziej tęskną ze wszystkich pieśni. Ludzie między pokładami, obok huczących maszyn i na mrozie, i ci skurczeni przy działach słuchali uroczego głosu, co z zaciemnionego okrętu ulatywał w śnieżycę. Biegli myślami ku własnym domom...

Nagle pieśń urwała się w pół nuty.

134

- Uwaga! Uwaga! - zahuczały głośniki. - Mówi komandor! Głęboki głos brzmiał ponuro i jakby z wahaniem. Przykuł uwagę całej załogi.

- Mam dla was złe nowiny - Turner mówił wolno i cicho. - Z żalem... - urwał i ciągnął jeszcze wolniej: - Dowódca „Ulissesa”, kontradmirał Vallery, zmarł przed pięcioma minutami.

Głośnik trzeszczał przez chwilę, lecz odezwał się ponownie:

- Zmarł na mostku, w swoim fotelu. Wiedział, że umiera. Nie myślcie, że cierpiał... Kazał mi...

kazał mi podziękować wam za waszą postawę i zaufanie. „Powiedz załodze - takie były, jeśli dobrze zapamiętałem, jego ostatnie słowa - powiedz załodze, że bez takich ludzi nie mógłbym dać sobie rady; że to najlepsza załoga, jaką los kiedykolwiek obdarzył dowódcę okrętu”. Potem mówił, i to były jego ostatnie słowa: „Przepraszam wszystkich, że po tym, co dla mnie uczynili, w takiej chwili... sprawiam taki... no... zawód. Że mi jest bardzo przykro z tego powodu”. To właśnie powiedział: „Przepraszam wszystkich”... i umarł.

135

ROZDZIAŁ XVI

Sobota w nocy

Richard Vallery umarł. Umarł udręczony smutną myślą, że opuszcza załogę „Ulissesa”, pozostawia ją bez dowódcy. Lecz rozłączył się z nią na krótko. Nie miał długo czekać. Przed świtem setki ludzi na krążownikach, niszczycielach i statkach handlowych straciło życie. Nie zginęli - czego się tak obawiał - od ognia dział „Tirpitz”. Jeszcze raz powtórzyła się ponura historia konwoju PQ 17:

„Tirpitz” w ogóle nie opuścił fiordu Alta. Ludzie zginęli przede wszystkim dlatego, że zmieniła się pogoda.

Richard Vallery umarł, a jego śmierć wywołała w załodze „Ulissesa” wielkie zmiany.

Vallery wiele zabrał ze sobą... Zabrał odwagę, uczciwość, szlachetność, niezachwianą wiarę, pełną niezmienną cierpliwość i zrozumienia wytrwałość - wszystko, co tak całkowicie należało do niego. Teraz się to nie liczyło. Załoga „Ulissesa” nie potrzebowała już odwagi ani niczego, co z niej wypływa. Ludzie w ogóle zapomnieli, co to strach. Dopiero gdy Vallery odszedł, zrozumieli, jakim otaczali go szacunkiem i miłością. Wiedzieli, że wraz z nim zginęło coś wspaniałego; coś, co było nieodłączną częścią ich myśli; coś nieskończenie dobrego i szlachetnego... I że już nigdy nie powróci do nich. Z rozpaczcy byli wściekli jak szaleńcy, a tacy ludzie są na wojnie najbardziej niebezpieczni.

Przezorność, odwaga, strach, ból - te uczucia nie istnieją dla nich. Żyją tylko po to, aby bić wroga, aby zniszczyć sprawcę ich rozpaczcy. Słusznie czy nie, za śmierć kapitana załoga „Ulissesa” winiła wyłącznie nieprzyjaciela. Marynarze żyli już tylko nienawiścią i żądzą zemsty. Jeszcze niedawno Nicholls nazywał ich żywymi trupami. Teraz „Ulissesa” naprawdę obsługiwały gromady żywych trupów, automaty ożywione jedynie żądzą zemsty, które nieustannie błękały się po pokrytych śniegiem pokładach.

Pogoda zmieniła się zaraz po pierwszej wachcie. FR 77 ciężko pracował na wysokiej fali. Statki zalewane co chwila wodą szły prosto pod wiatr. Na przednich pokładach narastały świeże warstwy ciężkiego lodu. Wiatr osłabł. Śnieżycy ustała. Ostatnie zwały ciężkich chmur niknęły na południu. O czwartej rano niebo było zupełnie czyste.

Księżycy nie było, lecz wyraźne, jaskrawe gwiazdy błyszcząły zimno, podczas gdy mroźny wiatr dał wciąż od północy.

Powolutku niebo zaczęło zmieniać ciemne nocne kolory. Na północnym skraju horyzontu zadrgały ledwie widoczne szare plamki. Pulsujący pas półmroku rozszerzał się, unosił nad widnokregiem, pełzał coraz wyżej, jaśniał. Natychmiast ukazały się dodatkowe jaśniejsze kreski: oświetlone zorzą statki przybierały najdelikatniejsze pastelowe kolory - zielonkawe, błękitne, fioletowe. Przede wszystkim jednak drgały białością. Różnobarwne wstęgi światła na niebie nabierały mocy i w pewnej chwili nad konwojem ukazał się biały, jasny pas, rozpięty od horyzontu do horyzontu. Zorza polarna, zjawisko zawsze pełne uroku, tej nocy była wyjątkowo piękna. Statki i okręty oślepione jej blaskiem wyraźnie rysowały się na ekranie morza. Załogi FR 77 przeklinały dzisiejszą zorzę polarną.

Przebywający na mostku „Ulissesa” Chrysler - człowiek o fenomenalnym wzroku i absolutnym,

nadzwyczaj wyczulonym słuchu - usłyszał go pierwszy. Wkrótce już wszyscy słyszeli. Condor...

Daleki, ciężko pojękujący huk zbliżał się z południa. Przez chwilę wydało się, że to pomyłka, lecz nadzieja ta nie trwała długo. Nie było wątpliwości; focke-wulf na pełnych obrotach nabierał

wysokości. Komandor Turner ociężale zwrócił się do Carringtona:

- „Charlie” - rzekł ponuro. - Zobaczył nas s... syn! Na pewno już dał depeszę do bazy w Alta i stawiam sto przeciw jednemu, że zawiesi nam świecę spadochronową na pożądanej wysokości, no, przynajmniej na dziesięciu tysiącach stóp... Widać ją będzie z odległości pięćdziesięciu mil.

- Forsa jak w banku - mruknął Carrington. - Nigdy nie stawiam na pewną wygraną... A na dodatek „Charlie” rzuci nam jeszcze parę świec na tej wysokości.

- Murowane - przyznał Turner. - Nawigator! Jak daleko, w godzinach lotu, jesteśmy od fiordu Alta?

- Jeśli samolot robi dwieście węzłów, to tylko godzina lotu - cicho odparł Kapok-Kid. Jego zwykła energia znikła już od dwóch godzin, to jest od śmierci Vallery'ego. Był posępny i milczący.

- Godzina! - krzyknął Carrington. - Za godzinę tu będą! - mówił dalej z podziwem. - Panie 136

komandorze, oni nas rzeczywiście wykończą. Nigdy dotychczas nie bombardowano nas ani nie torpedowano z powietrza nocą. Nigdy nie gonił nas „Tirpitz”. Nigdy...

- „Tirpitz” - przerwał Turner. - Gdzież, do cholery, podziewa się ten okręt? Miał już dość czasu, aby nas dogonić. A tak, było ciemno i zmieniliśmy kurs - dodał, gdy Carrington zrobił ruch jakby protestujący. - Ale osłona niszczycieli powinna nas już przechwycić. Preston! - zawołał podoficera sygnalizacyjnego. - Patrzcie, chłopie! Tamten statek coś nadaje.

- Przepraszam, panie komandorze - sygnalista chwiał się na nogach; z trudem podniósł aldis i odpowiedział na sygnał wywoławczy. Frachtowiec wymrugiwał szybko długi meldunek:

„Poprzeczne pęknięcie podstawy maszyny. Uszkodzenie poważne. Musimy zmniejszyć szybkość”.

- Nadaj, że przyjęto do wiadomości. Co to za statek?

- „Ohio Freighter”.

- Ten, co przed paru dniami dostał torpedę?

- Tak jest.

- Nadawaj: „Koniecznie utrzymać szybkość i pozycję w szyku”. - Turner zaklął. - O której przewidują zupełne zepsucie się maszyny?... Nawigator, o której spotkamy eskadrę liniową?

- Za sześć godzin, panie komandorze.

- Za sześć godzin! - Turner zacisnął wargi. - Już za sześć godzin... A może... - dodał z rezygnacją.

- A może... co? - spytał Carrington.

- Co? Wszystko zależy od pogody. Naczelny dowódca nie będzie narażał jednostek liniowych i podchodził tak blisko brzegu, chyba że będzie miał zapewnioną osłonę lotniczą myśliwców. A jeśliby mnie ktoś spytał, czemu jeszcze nie widzimy „Tirpitz”, to odpowiedziałbym, że na pewno jakaś zabłąkana łódź podwodna zawiadomiła go o zbliżaniu się naszej floty. Będzie czekał na odpowiedniejszą pogodę... Co tam nadają, Preston?

Reflektor „Ohio” zamigotał i zgasł.

„Musimy zwolnić. Uszkodzenie zbyt poważne. Zwalniamy”.

- Widać to - cicho mruknął Carrington. Spojrzał na Turnera, na jego skupioną twarz, na ciemne oczy i poczuł, że komandor myśli to samo, co on. - Ten statek już zginął, panie komandorze. To siedząca kaczka. Nie ma szans. Chyba że...

- Że co? - burkliwie spytał Turner. - Chyba że damy mu osłonę, co? Zostawić mu osłonę?

Jedyny okręt nadający się do służby to „Viking” - kręcił głową z zastanowieniem. - Nie możemy rozpraszać sił! To nas obowiązuje. Oni wiedzą o tym. Preston! Nadawaj:

„Nie możemy zostawić osłony. Jak długo potrwa reperacja?”.

Zanim Preston zdążył nacisnąć sygnał aldisa, dokładnie nad konwojem wybuchła świeca.

Trudno było określić wysokość. Wisiała może na sześciu, a może na ośmiu tysiącach stóp. Lecz i tak jej blask wskazywał tylko miejsce konwoju oświetlonego zorzą polarną. Świeca spadała szybko, świecąc coraz mocniej: spadochron był widocznie tylko małym hamulcem opóźniającym spadanie.

Zaskrzeczał głośnik, zagłuszając stukanie aldisa:

- Radio do dowódcy! Radio do dowódcy! Depesza od „Sirusa”: „Trzech rozbitków zmarło. Wielu umierających i ciężko rannych. Niezbędna natychmiastowa pomoc lekarska. Powtarzam: natychmiastowa”.

Głośnik umilkł, a „Ohio” wymrukiwał odpowiedź.

- Zawołać tu porucznika Nichol sa - rozkazał Turner. - Niech zaraz melduje się na mostku.

Carrington wlepił wzrok w czarne morze. Fale niosły białe grzebienie. Dziób „Ulissesa” nurzał się ciężko, prawie jednostajnie.

- Będzie pan ryzykował?

- Muszę! Pan postąpiłby tak samo... Preston, co nadaje „Ohio”? „Rozumiemy. Spieszycie się na spotkanie z eskadrą liniową. Dogonimy was. *Au revoir!*”

- Dogonimy was! *Au revoir!* - powtórzył Turner. - Kłamie w żywe oczy! - wybuchnął. - Jeśli teraz ktoś mi powie, że amerykańskie matrosy nie mają ikry, rozbiję mu głowę! Preston, nadawaj: „*Au revoir!* Życzę powodzenia!”. Panie Carrington, czuję się jak morderca – potarł dłonią czoło i skinął w kierunku schronu, gdzie przywiązany do kozetki leżał Val ery. - Stale musiał podejmować takie decyzje. Nic dziwnego, że... - zamilkł, gdyż skrzypnęły drzwi. - O, Nicholls! Mamy dla pana robotę.

137

Nie stać nas na to, aby różni medycy po całych dniach obijali się bez zajęcia... - podniósł rękę. -

Zgoda już, zgoda! - zawołał.

- Wiem przecież... Jak stoją sprawy na froncie chirurgicznym? - zaczął poważnie.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale niewiele mogliśmy - Nicholls mówił cicho. Twarz miał podbrudzoną, wynędzniałą do ostateczności.

- Źle stoimy, jeśli chodzi o leki. Nie wiem, czy został jakiś opatrunek... Wyszły wszystkie środki znieczulające i usypiające. No... zostało tylko to, co jest w komplecie awaryjnym. Komandor Brooks nie pozwala tego ruszać.

- Dobrze. Tak... Dobrze... - mruzczał Turner. - A jak się pan czuje?

- Straszliwie!

- Tak pan i wygląda - prosto odpowiedział Turner. - Nicholls, bardzo mi przykro... ale chciałbym, żeby pan przeszedł na „Sirusa”...

- Rozkaz, panie komandorze! - w głosie nie zadźwięczała nawet nuta zaskoczenia. Nietrudno mu było się domyślić, po co go wezwał komandor. - Czy zaraz?

Turner przytaknął milcząco. Spadająca coraz niżej świeca wyraźnie oświetlała ostre rysy chudej twarzy, krzaczaste brwi i głęboko osadzone oczy.

Taką twarz zapamięta się na zawsze - pomyślał Nicholls.

- Jak duży pakunek mogę zabrać ze sobą?

- Tylko komplet awaryjny, nic więcej. Nie pojedzie pan pulmanem, przyjacielu!

- Czy mogę zabrać aparat fotograficzny i filmy?

- Proszę bardzo. - Na twarzy Turnera mignął uśmiech. - Przypuszczam, że nie zapomni pan zrobić

zdjęć ostatnich chwil „Ulissesa”... Ale niech pan pamięta, że i „Sirus” cieknie jak sito...

Nawigator, proszę zawiadomić radiostację, żeby przywołała „Sirusa”. Niech podchodzi pod burzę.

Prześlemy mu lekarza.

Stuknęły drzwi. Na mostek ociężałe wszedł Brooks. Jak wszyscy na „Ulissiesie”, naczelny lekarz ledwie trzymał się na nogach. Ale jasne oczy jak zwykle błyskały wesoło.

- Wszędzie mam szpiegów - oświadczył. - Cóż to ma znaczyć? „Sirus” porywa mi mojego Johnny'ego?

- Przepraszam czcigodnego pana - odezwał się Turner - ale na „Sirusie” nie jest najlepiej...

- Rozumiem. - Brooksem wstrząsnęły dreszcze. Może powodowało je przeraźliwe zawroty głowy, a może po prostu mróz. Brooks spojrział w górę na opadającą świecę. - To bardzo ładne, ale po licha taka iluminacja? - mruzczał.

- Spodziewamy się towarzystwa - Turner z uśmiechem nadrabiał miną. - Stary zwyczaj, o Sokratesie! „Zaświeciłem w okienko, a ty co na to?”. Nagle spoważniał, a twarz zastygła w kamiennym bezruchu.

- Pomyliłem się - szepnął. - Towarzystwo już mamy!

Ostatnie słowa zagłuszył potężny wybuch. Turner na chwilę przedtem zauważył, jak z przedniej części „Ohio Freightera” trysnął w niebo ostry jak sztylet błysk. Frachtowiec pozostał już chyba milę za „Ulissiesem”. Oświetlony zorzą polarną, prawie unieruchomiony, został wydany przez nią na łup błakającej się łodzi podwodnej.

Niedługo można było obserwować „Ohio Freightera”. Prócz pierwszego ciosu nie zauważono ani ognia, ani dymu, ani nie usłyszano żadnego dźwięku. Statek musiał mieć przetrącony kręgosłup, rozdarł dno. Wiózł czołgi i amunicję. Ginał z wielką godnością: szybko, cicho, bez zbytecznego szumu. Zniknął po trzech minutach.

Turner przerwał milczenie. Twarz jego wyglądała straszliwie.

- *Au revoir* - szepnął. - *Au revoir!* Tak powiedział ten kłamca... - ze złością potrząsnął głową.

Dotknął ramienia Kapok-Kida. - Nawiązać łączność z radiostacją. Niech „Viking” siedzi nad tą łodzią, dopóki nie odpłyniemy.

- Kiedy się to wszystko skończy? - Twarz Brooksa wyrażała spokój.

- Bóg jeden wie, jak nienawidzę tych zbrodniarzy - mamrotał Turner. - Odpłacimy im, odpłacimy!

Żeby tylko mógł dostrzec wroga, miał z kim walczyć...

- Niezadługo będzie pan miał okazję zobaczyć „Tirpitz” - beznamyślnie przerwał mu Carrington. - Wedle wszystkich wiadomości jest dość duży...

Turner spojrział na niego i uśmiechnął się. Podniósł głowę i wlepił wzrok w rozgwieżdżone niebo. Zastanawiał się, kiedy spadnie następna świeca.

138

- Johnny, znajdziesz minutkę dla mnie? - Kapok-Kid mówił przygnębionym głosem. - Chcę ci coś powiedzieć.

- Słucham - Nichol s ze zdumieniem spoglądał na przyjaciela. - Pewnie, że mam minutkę, dziesięć minut... dopóki nie podejdziesz „Sirrus”... Co się stało, Andy?

- Chwileczkę - Kapok-Kid podszedł do komandora. - Czy mogę odejść do kabiny nawigacyjnej, panie komandorze?

- Dobrze, idź pan - zezwolił z uśmiechem Turner.

Kapok-Kid również odpowiedział uśmiechem. Wziął Nichollsa pod rękę i powiódł do kabiny nawigacyjnej. Zapalił światło, wyciągnął papierosy. Wpatrywał się w Nichollsa, gdy ten pochylił głowę nad drgającym płomykiem zapalniczki.

- Wiesz co, Johnny - zaczął - zdaje mi się, że mam w sobie szkocką krew.

- Ty? Szkocką?! - krzyknął Nicholls. - Ani kropli!

- Czuję, jak wy to mówicie... przedśmiertną chandrę... Właśnie to czuję! - Kapok-Kid nawet nie zwrócił uwagi, że Nichol s chce mu przerwać. Trzęsło nim. - Nigdy nie miałem takiego uczucia. Nie wiem, co to jest.

- Głupota! Niestrawność, bracie! - wesoło krzyknął Nicholls, ale czuł niezwykłość chwili.

- Tym razem nie zbędziesz mnie byle słowem - kręcąc głową z ledwie widocznym uśmieszkiem mówił Kapok-Kid. - A przy tym nie jadłem nic od dwóch dni. Kończę się, Johnny.

Słowa te, mimo wewnętrznego sprzeciwu Nichollsa, zrobiły na nim wrażenie. Podniecenie, powaga, żarliwość były obce Kapok-Kidowi.

- Nie zobaczymy się więcej - spokojnie mówił Kapok-Kid. - Czy uczynisz coś dla mnie, Johnny?

- Nie wygłupiaj się! - ze złością już odciął Nicholls. - Skąd u diabła...

- Zabierz to ze sobą... - Kapok-Kid wyciągnął kartkę papieru i wcisnął Nichollsowi w dłoń. - Czy odczytasz?

- Tak, mogę - Nichol s opanował złość. - Tak, mogę odczytać. - Na kartce wypisane było nazwisko i adres. Nazwisko dziewczyny znad Tamizy. - A więc to jej imię? - mówił cichutko. -

Juanita... Juanita... - Wymawiał je starannie po hiszpańsku. - Moja ulubiona piosenka i imię.

- Naprawdę? - serdecznie dopytywał się Kapok-Kid. - Mówisz prawdę? Moje również, Johnny...

- przerwał na chwilę. - Jeśli... no wiesz, nie uda mi się... to, Johnny... odwiedzisz ją?

- Co ty pleciesz, chłopie? - Nichol s poczuł się nieswojo. Na wpół żartobliwie, na wpół z irytacją stuknął go w pierś. - W tym kombinezonie możesz pływać aż do Murmańska... Sam tak gadałeś setki razy.

Kapok-Kid roześmiał się. Nadrabiał miną.

- Pewnie, pewnie... Pamiętam, że mówiłem... Ale, Johnny, odwiedzisz ją?

- Niech to wszyscy diabli! Odwiedzę! - krzyknął. - Pójdę tam, ale teraz już najwyższy czas, abym szedł gdzie indziej. Chodźmy!

Zgasił światło, szarpnął drzwi i stanął na progu. Powoli cofnął się, zatrzasnął z powrotem drzwi i zapalił światło. Kapok-Kid stał bez ruchu, patrząc na niego spokojnie.

- Przepraszam, Andy - mówił skruszony Nichol s. - Nie wiem, co mi się stało...

- Poniosło cię - z humorem odparł Kapok-Kid. - Zawsze przeraża cię myśl, że ja mogę mieć rację, a nie ty... Nicholls wstrzymał oddech. Przymknął oczy. Wyciągnął rękę.

- No to, Vasco, wszystkiego najlepszego - uśmiechnął się z trudem. - Nie martw się, bracie, odwiedzę ją. To przyrzekam. Juanita... Ale jeśli cię tam spotkam, to - mówił groźnie - to...

- Dziękuję ci, Johnny... Bardzo dziękuję. - Kapok-Kid był uszczęśliwiony. - Powodzenia, chłopie... *Vaya con Dios!* To ona zawsze tak mówiła... Powiedziała to przy moim odjeździe... *Vaya con Dios!*

W pół godziny później Nichol s robił już operacje na „Sirusie”.

Była godzina czwarta czterdzieści pięć. Lekki wiaterek wiał od północy, doskwierał mróz. Fale wydawały się znacznie wyższe i dłuższe. Uszkodzony „Sirus”, przygniatany tonami lodu, walczył z nimi jak podczas sztormu. Niebo nadal było urzekająco przejrzyste, bez chmurki. Zorza polarna 139 przygasła i na nowo zamrugały gwiazdy. Nad konwojem rozblęła piąta z kolei świeca.

Dokładnie o czwartej czterdzieści pięć daleko na południu usłyszeli ciężkie pomruki armat.

Może w minutę potem na skraju widnokregu zabłysły pociski oświetlające. Wszyscy wiedzieli, co zaszło. Został zaatakowany tropiący łódź podwodną „Viking”. Atak musiał być skoncentrowany, gwałtowny i skuteczny. Ogień artyleryjski szybko ucichł. Niepokojący był fakt, że nie odezwało się radio. Nigdy się nie dowiedziano, jaki przebieg miała walka. Z „Vikinga” nikt nie ocalał.

Ledwie przebrzmiało echo armat, gdy nad konwojem zahuczały motory condora. Zbliżał się na pełnych obrotach w płytkim locie nurkowym. Na kilka sekund ukazał się pod własną świecą. Lecz przeleciał za szybko, żeby można było dokładnie wycelować. Niebo rozwarło się, rozblęsnęło tak

jasno, jakby świeciło słońce w południe. Olbrzymiej siły świece oślepiły ludzi. Mimo że źrenice zwęziły się do wielkości główek od szpilki, nie można było spojrzeć w górę. Zanim ktokolwiek zdążył

się zorientować, nadleciały bombowce. Atak był zorganizowany znakomicie.

W pierwszej fali atakowało dwanaście bombowców. Na każdy statek przeważnie nalatywały dwie maszyny. Turner obserwował atak z mostku; widział, jak bombowce nurkowały z dużą szybkością i wyrównywały, zanim choć jedno działo „Ulissesa” zdążyło otworzyć ogień. Zaskoczenie udało się. W ataku samolotów - których sylwetki stawały się coraz wyraźniejsze - było coś dobrze mu znanego. Nagle wszystko stało się jasne: to heinkle, heinkle 111. Właśnie te maszyny uzbrojone były w torpedy powietrzne, których obawiał się najbardziej.

W jednej chwili - jakby za naciśnięciem jakiegoś centralnego przełącznika - zagrały wszystkie armaty. W powietrzu zakotłował prochowy dym, w nozdrza uderzył jego ostry swąd. Natężenie huków nie dałoby się opisać. Turner poczuł nagle dziką, niezwykłą radość...

Do diabła z bombami i heinklami! - przemknęło mu przez myśl. - To jest prawdziwa wojna!

Lubił tak walczyć. To nie zabawa w kotka i myszkę czy w chowanego albo szarpiące nerwy zgadywanki, gdzie kryje się zgraja łodzi podwodnych. To prawdziwa wojna, gdzie nieprzyjaciel jest przed oczyma, kiedy można go nienawidzić i jednocześnie szanować za odważną akcję. A - jeśli się uda - zrobić wszystko, żeby go zniszczyć. Turner wiedział, że teraz załoga „Ulissesa” zdolna jest do zwycięstw, że zniszczy nieprzyjaciela.

Nie trzeba było nadzwyczajnej przenikliwości, aby zauważyć zmiany, jakie zaszły w załodze.

Jego ludzie - teraz już jego - przekroczyli granicę, za którą wszystko staje się nieważne, gdzie nie ma strachu, gdzie pozostaje tylko walka. Będą ładować działa, będą strzelać, dopóki nie zginą.

Prowadzący atak heinkel rozleciał się w powietrzu. Zestrzebiła go wieża „X”, wieża zabitych piechurów morskich, ta sama, co zniszczyła condora. Teraz była obsługiwana przez zbieraninę piechoty morskiej. Następny heinkel zrobił unik, aby nie wpaść na lecące odłamki poprzednika, minął

dziób „Ulissesa” zaledwie o parę metrów i na pełnym gazie zatoczył łuk w lewo, aby powtórzyć atak, tym razem od lewej burty. Wszystkie działa „Ulissesa” patrzyły na prawo. Minęło parę sekund, zanim celowniczo odwrócili armaty i na nowo otworzyli ogień. Heinkel zdążył już atakować, lecąc pod kątem sześćdziesięciu stopni od „Ulissesa”. Rzucił latającą torpedę i skręcił błyskawicznie, gdyż posypały się nań pociski z oerlikonów i pom-pomów. Wzięły go w krzyżowy ogień, ale samolot jakimś cudem wyszedł bez szwanku.

Torpeda powietrzna szybowała wysoko, lecz nie za wysoko. Pochylała się, wyrównywała, opadała. Przeleciała przez kłęby armatniego dymu i uderzyła... Ogłuszający huk! Wybuch wstrząsnął

„Ulissese” aż do kilu. Ludziom na pokładzie mało nie popękały bębny w uszach.

Turnerowi tkwiącemu na mostku wydało się, że „Ulisses” nie wytrzyma ataku. Był kiedyś oficerem

torpedowym, specjalistą od materiałów wybuchowych, potrafił więc ocenić kruszącą siłę wybuchu. Lecz nigdy jeszcze nie był tak blisko równie potężnej eksplozji. Torpedy powietrzne napawały go strachem, nie przypuszczał jednak, że mogą mieć tak potworną siłę. Siła wybuchu była dwu- czy trzykrotnie wyższa, niż potrafił sobie wyobrazić.

Komandor nie wiedział, że usłyszał dwa wybuchy, które nastąpiły tak szybko po sobie, że zwały się w jeden. Bomba jak na złość trafiła w lewe wyrzutnie torpedowe. Tylko jedna z nich była naładowana, gdyż dwie poszły na dno „Vyturę”.

Amatol wypełniający głowice bojowe był bardzo wytrzymały na wstrząsy i nawet silne uderzenia, lecz bomba wybuchła tak blisko, że nastąpiła podwójna detonacja.

Skutki były imponujące, zniszczenia poważne, lecz nie śmiertelne. Bok „Ulissesa” został rozdarty prawie do linii wodnej; wyrzutnie torpedowe zniknęły. Pokład podziurawiony i postrzępiony.

140

Osłona komina zniszczona, sam komin pochylił się o dobre piętnaście stopni na lewą burtę. Główna siła wybuchu poszła jednak w próżnię, w kierunku morza. Mimo to z kantyny i kuchni (już i tak znacznie uszkodzonych) zostały zaledwie diabła warte kupy złomu.

Zanim opadł kurz i odłamki, ostatni heinkel, dosłownie kosząc czubki fal, wijąc się i wściekle kręcąc, zmykał, goniony czerwonymi smugami pocisków. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki samoloty zniknęły. Cisza wydała się ogłuszająca. Tylko świece zawieszane na spadochronach spływały powoli, oświetlając dymy zawieszane jak ciężki kir nad „Ulissesem”. Nad na wpół rozbitym

„Stirlingiem” i nad zbiornikowcem z prawie całkowicie zniesionymi nadbudówkami zwijały się i kołowały czarne chmury dymu. Jednak żaden ze statków konwoju nie zmienił kursu, nie zatrzymał się, a nieprzyjaciół stracił pięć heinkli.

Kosztowne zwycięstwo - myślał Turner - jeśli w ogóle zwycięstwo? Przecież heinkle wróca...

Nietrudno wyobrazić sobie wściekłość hitlerowskiego dowództwa w Norwegii. Turner nie słyszał, aby jakiś konwój do Rosji szedł tak daleko na południe wytyczoną trasą.

Riley wyciągnął nogę, którą szarpał skurcz. Podsunął ją uważnie, aby nie zawadziła o wirujący wał. Ostrożnie polewał smarem łożysko. Ostrożnie, bo nie chciał zbudzić komandora Dodsona, przytulonego do ściany tunelu za jego plecami. Jednak, gdy tylko Riley poruszył się, drgnął również i Dodson. Otworzył ciężkie, pozlepiane powieki.

- O dobry Boże! - westchnął zmęczony. - Riley, jeszcześ tu? Były to pierwsze słowa między nimi od długiego czasu.

- To i tak... szczęście, że tu jestem - odburknął Riley i ruchem głowy wskazał łożysko. -

Cholernie trudno byłoby przeciągnąć tu węża strażackiego...

To nie była uczciwa uwaga. Riley wiedział o tym. Na zmianę z Dodsonem pilnowali łożyska po pół godziny, a po pół godziny drzemali. Czuł jednak, że musi coś powiedzieć. Z coraz większym trudem utrzymywał się na wojennej stopie z komandorem.

Dodson uśmiechnął się, ale milczał. Wreszcie chrząknął i niby obojętnie mruknął:

- Jak widać, „Tirpitz” wcale się nie spieszy... Prawda?

- Tak jest, panie komandorze. - Riley czuł się jakoś nieswojo. - Już dawno powinien był nas dogonić.
- Ale niech ją szlag trafi!

- Jego - poprawił Dodson. - Admirał von Tirpitz, wiesz?... Riley, kiedy nareszcie przestaniesz się wygłupiać i pójdziesz sobie?

Palacz zamruczał, ale nie odezwał się. Dodson westchnął i nagle wpadł na pomysł.

- Ganiaj i przynieś kawy. Wyszłem na wiór!

- Nie pójdę - stanowczo odparł Riley. - Niech pan przyniesie!

- Zrób mi tę przysługę, Riley - prosił bardzo łagodnie komandor. - Cholernie chce mi się pić!

- No, to już dobrze. - Olbrzymi palacz zaklął, pozbierał obolałe kości i wstał. - Gdzie dostanę tej kawy?

- W maszynowni. Ile chcesz! Jeśli pociągają coś innego niż zimną wodę, to właśnie będzie kawa.

Dodsonem wstrząsnęły dreszcze.

Riley pochwycił termos i pokuśtykał w ciemność. Zrobił zaledwie parę kroków, gdy „Ulissesem” targnął odrzut armat. Był to początek ataku lotniczego.

Dodson mocniej oparł się o ścianę. Widział, że Riley uczynił to samo. Stał nieruchomo przez chwilę, potem pobiegł niezgrabnie, potykając się.

W tym biegu jest coś potwornie znajomego - przemknęło Dodsonowi przez myśl. Armaty znów zatrzęsły okrętem. Riley zmykał coraz szybciej, podobny do ogarniętego paniką olbrzymiego kraba.

Panika - pomyślał Dodson. - To właśnie panika porwała i opanowała Rileya. Nie ma się co dziwić. Sam zaczyna imaginować sobie różne rzeczy...

Znów cały tunel zawibrował - tym razem znacznie silniej. To zapewne odezwała się wieża „X”, tuż

nad głową. Trudno ganić Riley'a. Dzięki Bogu, że odszedł. Dodson uśmiechnął się do siebie. Nie zobaczę już swego przyjaciela... Jego charakter wcale się nie zmienił. Zmęczony Dodson usadowił się wygodniej pod ścianą. Nareszcie sam!... - mruzczał i czekał, aż się uspokoi.

Lecz spokój nie nadchodził. Odczuwał tylko coraz większe zniecierpliwienie i samotność, uczucie
141

zagubienia się i przykrości.

Riley wrócił po minucie. Biegł takim samym niezdarnym krokiem. Zaklął, gdy zatoczył się pod ścianę. W ręku niósł dwulitrowy termos i dwie filiżanki.

Dyszząc ciężko, bez słowa usiadł obok Dodsona. Nalał do filiżanek parującej kawy.

- Czemuś, u diabła, wrócił? - ostro spytał komandor. - Nie potrzebuję cię tu i...

- Chciał pan kawy czy nie? - brutalnie przerwał mu palacz. - Dostałeś pan to świństwo, to pij!

W tej chwili okrętem szarpnął wybuch bomby i nie wystrzelonej z wyrzutni torpedy. Tunel zawibrował. Riley i Dodson wpadli na siebie. Kawa Dodsona chlusnęła mu na kolana. Mózg komandora był tak zmęczony i reakcje myślowe zwolnione do tego stopnia, że zdołał tylko pomyśleć: jakże przejmująco zimno! jaki ten tunel jest wilgotny i niemiły! Wrząca kawa przesiąkała przez ubranie, ale nie czuł ani jej ciepła, ani wilgoci. Nogi miał zupełnie zdrętwiałe, a powyżej kolan - jak martwe. Potrząsnął głową i spojrzał na palacza.

- Cóż to było, na Boga? Co się tam dzieje? Czy?...

- Nie mam pojęcia! Nie miałem czasu spytać. - Riley wyciągnął się z rozkoszą i dmuchał na kawę. W wielkiej głowie błysnęła genialna myśl. Na twarzy zakwitł radosny uśmiech, który prawie zmienił jej rysy.

- To pewnie „Tirpitz” - rzekł jakby z nadzieją.

Tej nocy niemieckie dywizjony bombowe trzykrotnie startowały z lotniska w Alta, brały kurs na północno-północny zachód i w mroku groźnej arktycznej nocy nad rozkołysanym oceanem leciały szukać resztek FR 77. Nietrudno było odnaleźć konwój. Focke-wulf condor wisiał nad nim całą noc, nie zważając na wszelkie próby ucieczki. Wydawało się, że jego zapas świec magnezjowych nigdy się nie wyczerpie. Prawdopodobnie był to jedyny jego ładunek. Bombowce musiały tylko sterować na te sztuczne słońca.

Następny atak zaczęły o piątej czterdzieści pięć. Było to bombardowanie klasycznego typu z wysokości trzech tysięcy stóp. Samoloty wyglądały na dorniere. Nie było pewności, ponieważ leciały nad świecami, które opadły już całkiem nisko. Był to atak całkiem dobrze pomyślany, a wykonany bez wielkiego entuzjazmu, co zresztą przy tak silnej obronie przeciwlotniczej było całkiem zrozumiałe. Mimo to dwie bomby były celne. Jedna upadła na frachtowiec, rozbijając przedni pokład.

Druga trafiła w pokład nad salonem admirała, przebiła stalowe blachy i eksplodowała w środku izby chorych. Izba była zatłoczona umierającymi i rannymi. Wielu z nich bomba przyniosła ulgę. „Ulisses”

już dawno zużył wszystkie środki znieczulające. Nikt nie ocalał. Wśród zabitych znaleźli się: oficer torpedowy Marshal, starszy sanitariusz Johnson i profos, którego przed godziną lekko zranił odłamek aparatu torpedowego, Burgess związany w kaftanie bezpieczeństwa (gdyż zvariował po wielkim sztormie), Brown, któremu pokrywa wjazdu magazynu amunicyjnego „Y” pogruchotała udo, Brierley, który i tak już umierał, gdyż płuca przeżarła mu ropa. Brooksa w izbie chorych nie było.

Ten sam wybuch uszkodził centralę telefoniczną. Jednocześnie zostały zniszczone wszystkie mechaniczne środki łączności, tak że pomost bojowy stracił łączność z resztą okrętu.

O godzinie siódmej heinkle znów atakowały. Nadleciało sześć sztuk. Lekcewały wszystkie statki i okręty prócz krążowników. Musiały mieć wyraźny rozkaz, aby je zniszczyć. Kosztowny był to atak. Nieprzyjaciel stracił cztery z sześciu maszyn, a uzyskał tylko jedno trafienie. Torpeda powietrzna trafiła w tylny pokład „Stirlinga” i zniszczyła obie tylne armaty.

Turner z odkrytą mimo siarczystego mrozu głową szybkimi krokami przemierzał przekrzywiony mostek „Ulisses”. W milczeniu patrzył na „Stirlinga” zaczerwienionymi oczyma. Nie mógł wyjść z podziwu, że okręt ten nie tylko trzyma się jeszcze na powierzchni, lecz także walczy: strzela ze wszystkich nie uszkodzonych dział.

Obrzucił spojrzeniem własny okręt.

To nie okręt, ale porwana pociskami pływająca jatka - pomyślał z goryczą. - A mimo to w jakiś cudowny sposób tnie dziobem ocean...

Podziw komandora potęgował się. W czasie swojej kariery Turner widział już pogruchotane, płonące krążowniki, zniszczone zdawałoby się doszczętnie. Widział „Trinidad” i „Edinburgh”

dosłownie rozniesione na strzępy na tej samej rosyjskiej trasie. Lecz nigdy jeszcze nie widział, żeby okręty wytrzymały takie mordercze ciosy, jakie spadły na „Ulisses” i „Stirlinga”. Nie uwierzyłby w 142

to, gdyby sam nie był świadkiem.

Tuż przed świtem nastąpił nowy atak. O szarówce piętnaście heinkli-111 odważnie, z prawdziwą determinacją zaatakowało krążowniki torpedami powietrznymi. Znów tylko krążowniki.

Najgwałtowniej ruszyły przeciwko „Ulissesowi”. Nie schylając głowy, nie skarżąc się na pech, załoga

„Ulisses” - ta przedziwna i nie dbająca już o swój los załoga żywych trupów - spotkała nieprzyjaciela prawie radośnie. Bo w jakież inny sposób mogłaby zniszczyć wroga? Strach, podniecenie, obawa przed zbliżającą się śmiercią - nie istniały. Dom, ojczyzna, rodziny, żony i kochanki stały się tylko słowami i imionami; przemykały przez myśli i znikwały, jakby ich nigdy nie było.

Powiedz załodze - mówił Vallery - że jest najlepszą załogą, jaką los powierzył kapitanowi.

Vallery. On tylko liczył się w tej chwili; liczyło się tylko to, o co on walczył, to, co stanowiło cel tego dobrego, szlachetnego człowieka. Żywe trupy pamiętały, że nie mogą zawieść kapitana Vallery'ego.

Pierwsza fala ataku uderzyła w „Stirlinga”. Turner obserwował, jak heinkle w płytkim locie nurkowym przedzierały się przez zapory bliskiego, skoncentrowanego ognia. Przeciwpancerne bomby o zapalnikach z opóźnieniem trafiły w śródkręcie tuż pod pokładem. Wybuchły głęboko wewnątrz „Stirlinga”, w kotłowniach i maszynowni. Następną trójkę bombowców powitał już tylko ogień pom-pomów i ciężkich karabinów maszynowych Lewisa. Wybuchy bomb przerwały dopływ prądu elektrycznego do wież i unieruchomiły je [1](#).

Brutalnie, z rozmysłem bombowce zlekceważyły tę bezsilną obronę i każda bomba trafiała w cel. Turner wiedział, że „Stirling” jest zraniony śmiertelnie; stanął w płomieniach i przechylił się na lewą burtę.

Nagle crescendo lotniczych motorów zmusiło komandora do zajęcia się losem własnego okrętu.

W pierwszej fali nadlatywało pięć heinkli, każdy na innej wysokości i pod innym kątem, lecz wszystkie celowały w tylny pokład „Ulissesa”. Rozproszony szyk samolotów miał utrudnić obrońcom tworzenie skoncentrowanej zapory ogniowej. Hałas i dym uniemożliwiały obserwację nalotu. Turner mógł

jedynie ułoić jego niektóre fragmenty. W jednej chwili wydało się, że w powietrzu roi się od bomb, od pocisków działek i karabinów maszynowych, których równe staccato słycać było poprzez wystrzały i hałas własnej broni.

Pierwsza bomba wybuchła w powietrzu tuż przed drugim kominem. Morderczy grad odłamków sypnął po śródkręciu. Natychmiast umilkły stojące tam pom-pomy i oerlikony; załogi ich zostały ogłuszone lub zginęły. Inna bomba przebiła pokład i wpadła do pomieszczeń mechaników. Wybuch przemienił pomieszczenie i przylegającą doń radiostację we wspólną mogilę. Dwie inne bomby uderzyły nieco wyżej: w wieżę „X” i pokład „X”. Wieża rozwalona na dwie części, jakby rozcięta toporem, wyskoczyła z barbetty [2](#) i padła na rozbity tylny pokład.

Poza obsługą działek na śródkręciu i całą obsadą wieży „X” zginął tylko jeden człowiek, ale za to człowiek niezastąpiony. Odłamek pierwszej bomby spowodował rozerwanie się butli ze sprężonym powietrzem w warsztacie torpedowym, gdzie na sekundę przedtem schronił się starszy bosman Hartley - niezastąpiony bosman, który w trudnych dniach stał się jednym z bohaterów.

„Ulisses” wpadł w czarną chmurę gęstego dymu. „Stirling” stał w płomieniach - wybuchły zbiorniki z ropą. Nikt nie mógł się zorientować, co nastąpiło w następnych dziesięciu minutach. Dym, płomień i przedśmiertna męka były czyścicową próbą ludzi. Nagle „Ulisses” wynurzył się z osłony dymu. Nie posiadające już bomb heinkle siekły po nim z działek i karabinów maszynowych. Jak żądne zemsty wilki szarpiące padającą ofiarę chciały jak najprędzej dobić „Ulissesa”. Lecz z jego pokładu

odszczękiwały się jeszcze nieliczne działka.

Tuż przed mostkiem ujadają sprzężone oerlikony. Turner rzucił okiem w tamtą stronę. Dojrzał strzelca, który słał smugowe pociski prosto w nurkującego heinkla. Samolot również otworzył ogień. Turner rzucił się na pokład, pociągając za sobą Kapok-Kida. Bombowiec odleciał, armatka zamilkła. Powoli Turner podniósł się i zerknął na oerlikona. Strzelec zginął, posiekany pociskami.

1 Jeden wybuch lub nawet kilka w tej samej części okrętu nie jest w stanie zniszczyć czy uszkodzić wszystkich generatorów na dużym okręcie wojennym, a nawet nie może uszkodzić wszystkich części głównego obwodu, który zaopatruje w prąd cały okręt. Gdy generator lub część obwodu jest uszkodzona, wówczas odpowiednie bezpieczniki automatycznie wyłączają daną część okrętu z obwodu. Tak jest w teorii, lecz nie zawsze w praktyce. Bardzo wiele i to poważnego hałasu było wokół wiadomości, że co najmniej jeden okręt liniowy marynarki brytyjskiej zatonął po prostu dlatego, że nie działały bezpieczniki i główne uzbrojenie stało się bezużyteczne (przyp. aut.).

2 Barbeta - łożysko, na którym obraca się wieża artyleryjska na okręcie.

143

Za plecami komandor usłyszał szamotanie; wychudły marynarz odepchnął powstrzymujące go ręce i przeskoczył burtę mostka. Przez moment Turner widział bladą i napiętą twarz Chryslera, tego samego Chryslera, co od chwili otworzenia centrali azdyku ani się nie uśmiechnął, ani odezwał słowem; jednocześnie zauważył, że trzy heinkle zawróciły do nowego ataku.

- Padnij, kryj się, głupcze! - krzyczał Turner. - Chcesz popełnić samobójstwo?!

Chrysler patrzył na dowódcę szeroko otwartymi oczyma, ale jakby go nie poznawał. Zeskoczył na platformę działka. Turner podciągnął się aż za burtę pomostu i spoglądał za nim.

Chłopiec wyteżał wszystkie siły, aby wyciągnąć zabitego celowniczego ze stanowiska. Pracował w straszliwej, przerażającej ciszy. Gwałtownymi, prawie konwulsyjnymi szarpnięciami wy dostał martwe ciało spomiędzy osłon i ostrożnie złożył na platformie. Sam wdrapał się na stanowisko.

Komandor widział, że jego delikatne ręce są pokrwawione. Kątem oka dostrzegł płomyki tryskające z broni pokładowej heinkla. Znowu rzucił się na pokład.

Minęło dwie, trzy sekundy, w czasie których pociski samolotu bębniły po pancernych płytach pomostu. I wtedy odezwały się oba sprzężone oerlikony. Chłopiec musiał do ostatniej sekundy celować. Huknęło sześć wystrzałów. Tylko sześć. Wielki cień samolotu buchnął dymem, przemknął

tuż nad mostkiem, zaczepił skrzydłem o wieże centralnego celownika i spadł do morza.

Chrysler nie ruszył się ze stanowiska. Palce prawej dłoni wpił w lewe przestrzelone ramię, próbując bezskutecznie zacisnąć rozerwaną arterię, z której buchała krew.

Gdy następny bombowiec pochylił łeb do ataku, Turner widział, jak ranny chłopiec drżąc na całym ciele zacisnął ręce na spustach działek.

Rozpłaszczony tuż obok Kapok-Kida na pokładzie mostku komandor w bezsilnej złości tłukł

pięścią o deski. Myślał o admirale Starrze, o człowieku, który ponosił winę za ich klęskę. Czuł, że nienawidzi go tak, jak tylko można nienawidzić. W tej chwili mógłby go zabić. Myślał o Chryslerze, o potwornym, piekielnym wprost bólu, jaki musiał przetrzymać opierając ramię o drgające od wystrzałów podłokietniki; o tym, jak ból zaćmiewa młode, piwne oczy chłopca.

Jeśli przeżyję - myślał Turner - przedstawię go do Victoria Cross!

Nagle strzelanina ustała. Heinkel skręcił w bok, a z obu jego silników buchały kłęby dymu.

Turner i Kapok-Kid zerwali się jednocześnie. Komandor rzucił się błyskawicznie pod burzę pomostu.

Trzeci heinkel sypnął po mostku pociskami - pomost bojowy to ulubiony cel lotników. Turner czuł na policzkach i włosach podmuch przelatujących tuż obok pocisków. Odwrócił się twarzą w dół i wyciągnął na deskach. Przed oczyma stał dostrzeżony w ułamku sekundy obraz: Chrysler z wyrwaną w plecach dziurą wielkości męskiej dłoni; chłopiec, co rozkrzyżowany na oerlikonach ciężarem swego ciała skierował je w niebo, a zaciśniętymi w śmiertelnym skurczu palcami nie przestawał strzelać.

Działka będą grały, dopóki w bębnach amunicyjnych nie zabraknie naboju.

Działa konwoju milkły jedno po drugim. Huk silników samolotowych ginał w oddali. Atak był skończony.

Turner wstał. Tym razem zrobił to powoli, ociężale. Spojrzał na oerlikony. Odwrócił się. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Usłyszał za sobą dziwny, bulgoczący kaszel. Błyskawicznie odwrócił się w tył. Zamarł, przyciskając do siebie ręce.

Oparty o admiralski fotel, na deskach pokładu siedział Kapok-Kid. Obok niego Carrington. Piers nawigatora w miejscu, gdzie widniało wyhaftowane „J”, poszarpana była pociskami karabinów maszynowych. To zapewne ten cios odrzucił Kapok-Kida w drugi koniec mostku.

Turner stał bez ruchu. Wiedział już, że Kidowi pozostało tylko kilka sekund, że najmniejszy ruch może przerwać cieniutką, jedwabną nić życia.

Wydawało się, że Kapok-Kid odzyskuje świadomość, że dostrzega komandora. Jego zwykle pełne życia, niebieskie oczy pokryła już mgiełka. Twarz bladła. Bezsilną ręką Kapok-Kid wskazał postrzępiony kapokowy kombinezon.

- Zniszczyli - szepnął. - Cholernie porwali...

Ręka opadła. Schylił głowę na piersi. Wiatr musnął jego lniane włosy.

144

ROZDZIAŁ XVII

Niedziela rano

„Stirling” skonał o świcie. Ginał idąc pełną parą, rozbijając wysokie fale. Porwany pociskami pomost bojowy i przekrzywione nadbudówki świeciły czerwonym żarem, rozpalonymi do białości blachami. Wiatr podsyczał płomienie palącej się ropy, zmienił okręt w ofiarny stos.

Straszny i okrutny obraz. Ale nie pierwszy w tej wojnie... Takim samym rozpalonym do białości żarem buchał „Bismarck”¹, zanim torpedy z „Shropshire”² posłały go na dno.

„Stirling” i tak nie mógł ocaleć, lecz ostateczny cios zadały mu stukasy.

Zniknęła już zorza polarna, a od północy nadchodziły ciężkie chmury. Ludzie mieli nadzieję, że osłonią one FR 77, okryją ciężką kurtyną śnieżyicy. Lecz stukasy nadleciały wcześniej.

Stukasy - złośliwe nurkowce junkers 87 o przygiętych jak u mewy skrzydłach - przyleciały z południa, minęły konwój, zawróciły i w charakterystyczny sposób ruszyły do ataku. Wyrównały na zachód od zamykającego konwój „Ulissesa” i z lekkiego wirażu, kręcąc półbeczki, waliły się przez skrzydło w dół jak strzały wypuszczone z łuków prosto na wybrane cele. Samolot nurkujący wprost na stanowiska artylerii przeciwlotniczej nie może ocaleć. Tak twierdzą uczeni i instruktorzy szkoły artylerii na Whale Island. Potrafią to nawet udowodnić na modelach. Niestety, nie mogą tego udowodnić na stukasach. „Niestety”, gdyż w prawdziwej bitwie jest całkiem inaczej. Celowniczy tkwi skurczony u działa, a jego uszy rwie wyjący dźwięk nurkowca spadającego nań prawie z zenitu.

Samolot rośnie w kręgach celownika, sypie pociskami, i strzelec wie, że nic już nie powstrzyma jego lotu, że nawet trafiony stukas musi zwalić się na swą ofiarę. Setki ludzi, co przeżyli takie straszne ataki, twierdzą, że nie ma nic bardziej szarpiącego nerwy, bardziej podważającego wytrzymałość niż widok i huk atakujących nurkowców.

Lecz gdy u dział stoją ludzie pozbawieni już całkowicie ludzkich instynktów, uczeni i instruktorzy mogą mieć rację.

Tak właśnie było na „Ulissesie”. Upiór strachu opuścił załogę jeszcze nocą. Ale przeciwko stukasom wystąpił do walki tylko jeden wielofuntowy pom-pom i z pół tuzina oerlikonów. Armaty przednich wież nie mogły strzelać do nadlatujących od rufy samolotów. Za to obsługi pom-pomów i oerlikonów

mierzyły spokojnie, z zimną jak północny wicher rozważą, jakby do tego jedynie były stworzone. W trzy sekundy strąciły trzy stukasy. Dwa poszły w morze, a trzeci wbił się w salon admirała.

Natychmiast powinna była rozerwać się z hukiem bomba i wybuchnąć zbiorniki benzyny... Lecz wybuch nie nastąpił.

Nie sposób opisać odwagi - stała się ona już czymś naturalnym - z jaką brodaty Doyle wyskoczył ze stanowiska przy pom-pomie i podbiegł do toczącej się po pokładzie bomby. Wokół

sływały strumyki stuoktanowej benzyny. Najmniejsza iskra skrzęsana butem marynarza czy tłukącymi się o nadbudówki częściami rozbitego kadłuba samolotu wystarczyłaby do rozpętania burzy ognia. Zapalnik bomby sterczał nie uszkodzony. Doyle dosłownie leżał na bombie, posuwając ją po pokładzie. Jeśli nawet Doyle zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, nie zważał na nie.

Spokojnie, prawie z nonszalancją ciosem buta wybił ostatnią pękniętą stójkę relingu i zepchnął

bombę za burtę. Zepchnął statecznikami w dół i w ostatniej chwili przechylił tak, aby nie zawadziła bezpiecznikiem o burtę.

Plusnęła w morze w tej samej chwili, gdy inne bomby przebijały bezużyteczny, jednocalowy pancierz pokładu „Stirlinga” i wpadały do maszynowni. Trzy, cztery, pięć, sześć bomb utkwilo w żywym jeszcze sercu krążownika. Pozbawione balastu stukasy wyprysnęły w górę, skręcając po kolei to w prawo, to w lewo. Dla obserwujących atak z pokładu

„Ulissesa” brak huku i błysku wybuchów wydawał się czymś upiornym, nieziemskim. Bomby po prostu niknęły w ogniu i dymach, jak gdyby pochłonięte przez piekło.

„Stirlinga” nie mógł zatopić jeden cios, potrzebna była seria uderzeń. I tak wytrzymał więcej niż 1 W maju 1941 r. zatopiony został przez brytyjskie lotnictwo i okręty wojenne pancernik „Bismarck”, bliźniaczy okręt „Tirpitz”.

Uciekającego przed ostateczną rozprawą „Bismarcka” wytropił polski niszczyciel „Piorun” (przyp. tłum.).

2 Według innych źródeł torpedy, które zatopiły „Bismarcka”, wystrzelił krążownik „Dorsetshire” (przyp. tłum.).

145

był w stanie. Zataczał się jak bokser zasypywany lawiną ciosów silniejszego przeciwnika.

Ze skamieniałą twarzą i bólem, na którego określenie brak słów, Turner wpatrywał się w ginący krążownik.

To śmieszne - myślał z wysiłkiem. - Trzyma się jak inne. Krążowniki nie umierają łatwo -

powtarzał oderwane zdania. - Są najwytrzymalszymi okrętami na świecie.

Wiele razy widział, jak toną, nigdy jednak nie ulegały łatwo, nie rozlatywały się w efektowny sposób. Nie można ich znokautować jednym ciosem. Nie można zadać im ciosu łaski. Zawsze musiały być dobijane okrutnie... jak „Stirling”. Turner aż do bólu zacisnął palce na rozbitym wiatrochronie. Dla niego, jak dla każdego prawdziwego żeglarza, okręt jest najbliższym przyjacielem.

Przez piętnaście miesięcy stary, dzielny „Stirling” był wiernym cieniem „Ulissesa”, dzielił z nim trudy najgorszych w tej wojnie konwojów. Był ostatnim ze starej gwardii. „Ulisses” wytrwał dłużej na północnych rejsach. Trudno jest patrzeć na śmierć przyjaciela...

Turner odwrócił się. Opuścił głowę, wbił wzrok w oblodzone deski pod stopami.

Mógł zamknąć oczy, ale nie mógł zatkać uszu. Drgnął słysząc potworny syk i szum wrzącej wody i pary, gdy rozpalone do białego żaru nadbudówki „Stirlinga” zapadały się w lodowate morze.

Piętnaście, może dwadzieścia sekund trwał ów straszliwy, śmiertelny syk i ucichł nagle jak ścięty gilotyną.

Gdy Turner uniósł głowę, zobaczył opustoszałe, rozhuśtane morze, na którym ukazały się bulgocące plamy ropy, zmywane potokami deszczu ze skroplonej już pary wyrzuconej w powietrze przez tonący okręt.

„Stirling” zginął. Niedobitki FR 77, walcząc z ciężką falą, wytrwale szły na północ. Pozostało siedem jednostek. Łącznie ze statkiem flagowym transportów - cztery frachtowce, zbiornikowiec,

„Sirrus” i „Ulisses”. Siedem. Tylko siedem. W rejs do Rosji wyruszyło trzydzieści sześć...

O godzinie ósmej Turner nadał depeszę świetlną do „Sirusa”:

„Radiostacja zniszczona. Podać dowódcy eskadry liniowej kurs, szybkość i pozycję. Potwierdzić spotkanie o dziewiątej trzydzieści. Zaszifrować”.

Dokładnie po godzinie nadeszła odpowiedź:

„Opóźnienie z powodu dużej fali. Spotkanie o dziesiątej trzydzieści. Start osłony lotniczej niemożliwy. Płynąć dalej. Dowódca eskadry”.

- Płynąć dalej! - Z wściekłością powtarzał Turner. - Posłuchajcie tylko! Płynąć dalej, powiada.

Cóż, do diabła! Myśli, że zatopimy własne okręty? - potrząsnął głową w złości i rozpacz. - Brzydzą się powtórzyć te słowa - mówił rozgoryczony - ale muszą: jak zwykle spóźnią się¹.

W dalszym ciągu śnieg nie padał. Za to raz jeszcze zahuczały silniki stukasów. Warkot to zbliżał się, to oddalał. Samoloty szukały konwoju, gdyż przewodnik „Charlie” odleciał o świcie.

W dziesięć minut po pierwszym ostrzeżeniu prowadzący junkers z przewrotu ruszył do ataku.

Dziesięć minut - tyle czasu wystarczyło na naradę i wykonanie desperackiego planu. Gdy stukasy wyskoczyły z chmur, zobaczyły pod sobą płonące statki. Zbiornikowiec „Varella” pośrodku, a obok, trochę wysunięte do przodu po dwa frachtowce. „Ulisses” i „Sirrus” osłaniały skrzydła szyku. Taki szyk jest samobójczy na wodach zagrożonych przez łodzie podwodne. Torpeda wystrzelona z prawej czy lewej strony konwoju nie mogła chybić. Lecz pogoda działała przeciwko podwodnym napastnikom, a szyk stwarzał możliwości skutecznej walki z nurkowcami.

Jeśli stukasy zaatakują od przodu (co było ich utartym zwyczajem), napotkają skoncentrowany ogień siedmiu statków; jeśli spróbują uderzyć z boków, będą zmuszone atakować przede wszystkim okręty wojenne, gdyż inaczej wystawiłyby swoje nie osłonięte kadłuby na ogień ich dział, czego żaden stukas za nic nie uczyni.

Nieprzyjaciel wybrał drugą możliwość. Rozdzielony na dwie grupy po pięć maszyn, szykował uderzenie od wschodu i zachodu. Turner zauważył, że tym razem bombowce niosą dodatkowe zbiorniki paliwa. Nie miał jednak czasu stwierdzić, jak trzyma się „Sirrus”. Naprawdę to nie mógł dokładnie wiedzieć, co dzieje się na jego okręcie, gdyż gryzący dym z armat wież „A” i „B”

uniemożliwiał obserwację. W przerwach między ogłuszającymi wystrzałami dział 5,25 słyszał szybki 1 Przykre to, ale prawdziwe. Eskadry głównej floty zawsze przychodziły za późno. Trudno za to winić Admiralicję. Okręty liniowe musiały blokować „Tirpitz”, a nie można było płynąć zbyt blisko brzegów i narażać ich na bombardowanie lotnicze. Długo zastawiana pułapka zamknęła się wreszcie. Złowiono tylko ciężki krążownik „Scharnhorst”, a nie „Tirpitz”. Ten pancernik został

zniszczony w fiordzie Alta przez bombowce lancastery (przyp. aut.).

146

ogień pom-pomu Doyle'a i zjadliwe ujadanie oerlikonów.

Niespodziewanie dwa oślepiająco jasne płomienie przecięły ponury mrok. Turner aż wstrzymał oddech. Patrzył i w szerokim, pełnym zachwytu uśmiechu wyszczerzył zęby.

Czterdziestoczerocalowe reflektory! Oczywiście, że to one! Potężne reflektory, które jeszcze znajdowały się w tajnych spisach broni! Można nimi oświetlić nieprzyjaciela z odległości sześciu mil.

Cóż z niego za głupiec, że o nich zapomniał! Val ery używał ich zarówno w nocy, jak i w dzień do walki z samolotami. Człowiek nie mógł spojrzeć w tę straszliwą jasność, aby nie stracić wzroku.

Turner mrugał, by usunąć łzy wywołane gryzącym dymem. Szukał spojrzeniem człowieka, który kierował reflektorami. Nie mógł to być nikt inny jak Ralston. To było jego drugie stanowisko bojowe.

Któż poza tym roslym, jasnowłosym torpedystą zdobyłby się na tak inteligentne i samodzielne

działanie? Wciśnięty w kąt mostka komandor obserwował Ralstona. Zapomniał o okręcie, zapomniał nawet o bombowcach. I tak nie miał nic do roboty - patrzył więc z podziwem na marynarza przy reflektorach. Stał przylepiony do celownika z twarzą nie wyrażającą żadnych uczuć. Absolutne skupienie, całkowity, straszliwy bezruch twarzy, w której nawet nie drgnął żaden mięsień ani nie mrugnęło oko, upodabniały go do rzeźby wykutej w marmurze. Tylko delikatne ruchy palców na kole sterowniczym naprowadzały reflektory na nurkowce.

Ralston nie drgnął, nie zdradził żadnego podniecenia, gdy pierwszy stukas zachwiał się, skręcił we wściekłym wirażu, aby uniknąć przepalającego oczy blasku. Nie drgnął, gdy bombowiec wpadł w korkociąg, wyrównał zbyt późno i uderzył w wodę o sto jardów od „Ulissesa”.

O czym myśli ten chłopiec? - zastanawiał się Turner. - O matce i siostrach pogrzebanych pod ruinami domku w Croydon? O bracie zabitym podczas buntu, którego przebiegu nie mógł sobie teraz wyobrazić? O ojcu zabitym rękami syna?...

Turner nie wiedział. Nie próbował nawet odgadnąć. Z całkowitą jasnością umysłu zdał sobie nagle sprawę, że już za późno, że nikt się tego nigdy nie dowie.

Twarz chłopca była niewzruszona. Nie zdradziła żadnego uczucia, gdy następny stukas przeleciał nad „Ulissesem”, rzucając bombę w morze; nie poruszyła się, gdy ogień trzeciego samolotu rozbił jedno ze świateł... nawet wówczas, gdy pocisk uderzył w urządzenie sterownicze reflektorów i rozciął pierś Ralstona. Zginął na miejscu. Przez chwilę stał, jakby nie chciał opuścić posterunku, potem cicho osunął się na pokład. Turner pochylił się nad marynarzem; spojrzał w twarz, w oczy nieczułe już na przysypujący je śnieg. Oczy i twarz pozostały te same - jak skamieniała maska nie zdradzająca żadnych uczuć. Turnerem wstrząsnął dreszcz. Powstał.

Jedna jedyna bomba trafiła „Ulissesa”. Upadła na przedni pokład tuż przed wieżą „A”. Nie zabiła nikogo, lecz wstrząs i wibracja uszkodziły urządzenia hydrauliczne wieży. Zdolna do walki pozostała (przynajmniej w tej chwili) tylko wieża „B”. Inaczej wyglądała sytuacja na „Sirusie”. Zestrzelił jednego stukasa. Frachtowiec przyznawał się do drugiego. „Sirus” był trafiony dwukrotnie. Obie bomby wybuchły w pomieszczeniach mieszkalnych pod tylnym pokładem. Na przepelnionym rozbitkami niszczycielu wszystkie pomieszczenia były straszliwie zatłoczone, ale podczas bitwy pozostawały puste. Bomby nikogo nie zabiły. Na „Sirusie” już nigdy nikt nie zginął. Niszczyciel przetrwał dalsze lata wojny nietknięty.

Szybko obudziła się nadzieja. Niespełna za dwie godziny nastąpi spotkanie z eskadrą liniową.

Panował mrok, a właściwie ponure ciemności arktycznego sztormu. Gęsto sypał śnieg. Nie mógł odnaleźć ich żaden samolot. Wyłynęli już zresztą poza strefę zasięgu wszystkich samolotów startujących z baz lądowych, naturalnie z wyjątkiem condorów. Przy takiej pogodzie nie groziły nawet łodzie podwodne.

- „...A stanie się, że przybijemy do szczęśliwych wysp...” - deklamował Carrington.

- Co? - spytał zaciekawiony Turner. - Co pan powiedział?

- To Tennyson - jakby przepraszając bąknął pierwszy oficer. - Kapitan zawsze go cytował...

Może się nam jednak uda...

- Być może - Turner nie miał ochoty do rozmowy. - Preston!

- Na rozkaz!... Widzę! - meldował podniecony marynarz, wlepiając wzrok w błyskające światło sygnalizacyjne „Sirusa”. - Okręt, panie komandorze. „Sirus” melduje, że z północy zbliża się jakiś okręt.

- Z północy? Dzięki Bogu! - krzyknął radośnie Turner. - Z północy! To na pewno nasi! Są przed czasem... Cofam wszystko, co powiedziałem.. Czy pan coś widzi, Carrington?

147

- Nic a nic! Zła widoczność... Trochę się przejaśnia... „Sirus” znów sygnalizuje.

- Preston! Co nadają? - niespokojnie pytał Turner.

- Kontakt. Łódź podwodna. Zielone trzydzieści. Zbliża się.

- Kontakt? O tej porze?... - jęknął Turner i trzasnął pięścią w szafkę kompasową. Kłął siarczyście. - Nie zatrzyma nas teraz! Preston, nadawaj, żeby „Sirus”...

Urwał. Nie dowierzając oczom spoglądał na północ. Szarugę i mrok przecięły sztylety ognia.

Błysnęły i zgasły.

Z boku stanął Carrington. Bez mrugnięcia okiem patrzył na północ. Przed „Cape Hatteras”

upadły pociski, wznosząc fontanny wody. Jaśniejsze już i bardziej wyraźne błyski oświetliły na ułamek sekundy nadbudówki i dziób strzelającego okrętu.

Turner spojrzał na Carringtona i spotkał jego skupione spojrzenie, w którym widać było gorycz rozczarowania. Komandor poczuł przedsmak ostatecznej klęski. Przez długą chwilę oficerowie patrzyli na siebie w całkowitym milczeniu.

- Oto odpowiedź na moje pytanie - rzekł cicho komandor. - Oto dlaczego przez ostatnie dni atakowano przede wszystkim nas i „Stirlinga”... Lis wpadł do kurnika! To nasz stary druh, krążownik klasy „Hipper”, składa wizytę.

- Tak!

- Byliśmy tak blisko, ale... - Turner wzruszył ramionami. - Zasłużyliśmy na lepszy los... -

wykrzywił twarz w parodi uśmiechu. - Jak by się panu podobała bohatera śmierć?

- Pasja mnie ogarnia na samą myśl! - zahuczał za jego plecami gruby głos. Na mostku stał

Brooks.

- Mnie też - przytaknął Turner. Uśmiechnął się. Znów był prawie szczęśliwy. - Czy mamy inne wyjście, panowie?

- Nie! - ze smutkiem odparł Brooks.

- Obie pełną naprzód! - zawołał do rury akustycznej Carrington. To była jego odpowiedź.

- Nie, nie - łagodnie strofował Turner. - Najwyższe obroty! Powiedz mu, że nam się spieszy.

Przypomnij ich przechwałki o wyścigu z „Abdielem” i „Manxmanem”! Preston! Sygnał alarmowy do konwoju: „W rozsypkę! Płynąć do portów rosyjskich indywidualnie”.

Górny pokład „Sirusa” pokrywała gruba warstwa świeżego śniegu, który nie przestawał sypać.

Wiatr znów przybrał na sile. Nicholls wyszedł z ciepłej mesy, gdzie dokonywał operacji. Mróz ścisnął

mu gardło, więc mocniej się opatulił. Pomyślał, że temperatura wynosi poniżej dwudziestu stopni.

Naciągnął na twarz kaptur płaszcza i pracowicie wdrapywał się po trapach na mostek. Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Drżał z bólu za każdym krokiem. Odłamek bomby, która wybuchła tuż pod tylnym pokładem, zranił go powyżej kostki.

Peter Orr, dowódca „Sirusa”, czekał na niego u drzwi małego pomostu.

- Wydawało mi się, że pan zechce to zobaczyć, doktorze - mówił piskliwym, zbyt piskliwym jak na potężnego mężczyznę głosem. - A raczej, że pan musi to zobaczyć! - poprawił się. - Niech pan tylko spojrzy, jak pędzi. Niech pan tylko spojrzy!

Nichol s patrzył. Z pół mili w lewo od „Sirusa” płonął „Cape Hatteras”. Daleko na północy poprzez śnieżycę majaczyła sylwetka niemieckiego krążownika. Sylwetka, którą łatwo było odnaleźć: co chwila błyskała ogniem dział, śląc w tonący już frachtowiec pocisk za pociskiem. Każdy trafiał. Do stojącego statku Niemcy strzelali wprost fantastycznie.

Nichol s patrzył.

„Ulisses” nabierał szybkości. Otaczała go piana i bryzgi, dziób prawie wyskakiwał z wody, spadał w dół z hukiem, który pomimo wichury słyhać było wyraźnie nawet z takiej odległości.

Potężne turbiny całą swą mocą pędziły „Ulissesa” coraz prędzej, coraz prędzej. Szybkość wzrastała z sekundy na sekundę. Nicholls przyglądał się jak urzeczony. Po raz pierwszy od chwili, gdy zszedł z

jego pokładu, widział „Ulissesa” i przeraził się. Takielunek i wszystkie nadbudówki nosiły ślady ciężkich dni. Poskręcana, pogięta gmatwanina stali. Oba maszty utracone, kominy rozbite i poprzekrzywiane, wieża centralnego celownika pogruchotana i potwornie zwichrowana. Z wielkich wyrw na dziobie i tylnym pokładzie, z tylnych wież artyleryjskich, wyrwanych z barbetti i przechylonych szaleńczo, snuły się kłęby dymu. Szkielet condora leżał w poprzek wieży „Y”, stukas 148

sterczał wbity aż po skrzydła w przedni pokład, który - wszyscy to widzieli - był rozpruty aż do linii wodnej. „Ulisses” był prawdziwym statkiem widmem z koszmarnego snu.

Obezwładniony przerażeniem na widok, w który trudno było uwierzyć, Nicholas z trudem utrzymywał równowagę na dziko tańczącym pokładzie niszczyciela. Stojący obok Orr odwrócił się nagle. Przyszedł goniec z radiostacji. Orr czytał depezę:

- „Spotkanie dziesiąta piętnaście”. Dziesiąta piętnaście! Dobry Panie, za dwadzieścia pięć minut! Doktorze, słyszysz? Za dwadzieścia pięć minut!

- Tak jest, panie komandorze - półprzytomnie odpowiedział Nicholls. Nie słyszał, co mówi Orr.

Komandor popatrzył na niego i trącił w ramię. Wskazując na „Ulissesa”, szeptał:

- Coś niepojętego! Cholera! Zupełnie niezwykle!

- Dlaczego nie jestem z nimi? - rozpaczliwie westchnął Nicholls.

- Dlaczego wysłali mnie...

- Patrz! Co to?

Olbrzymia flaga długości dwudziestu stóp rozwinęła się nad „Ulissesem”; napinana wiatrem, drgała pod reją. Nicholls nigdy w życiu nie widział nic podobnego. Była imponująca: czerwone i niebieskie pasy, biel czystsza od siekającego śniegu...

- Bandera... - szepnął Orr. - Bil Turner podniósł banderę wojenną!

- z podziwem kręcił głową. - W takiej chwili znaleźć na to czas!... No cóż, doktorze, to jest Turner. Czy pan zna go dobrze? Nicholls kiwnął głową.

- Ja też - mówił Orr. - Obaj mieliśmy szczęście.

„Sirrus” szedł z szybkością piętnastu węzłów, zbliżał się do strzelającego nieprzyjaciela.

„Ulisses” minął go w odległości jednego kabla, tak jakby niszczyciel stał w miejscu. Później Nicholls nie potrafił opisać wszystkiego dokładnie. Jak przez mgłę pamiętał, że „Ulisses” nie unosił się i nie opadał na falach; rozdzierał je i płynął równo jak po gładkiej wodzie. Podniósł dziób, a rufa zniknęła pod wodą z piętnaście stóp poniżej skłębionych, wrących odkosów, które białymi, wspaniałymi smugami unosiły się wyżej niż tylny pokład.

Zapamiętał również, że wieża „B” strzelała bez przerwy. Przez śnieżycę pędził pocisk za pociskiem. Nad niemieckim krążownikiem wybuchały oślepiająco piękne błyski. W magazynach amunicyjnych wieży „B” pozostały już tylko pociski świetlne. Nichols utrzymał w pamięci obraz Turnera, który stojąc na mostku, jak na ironię machał ku niemu ręką; widział banderę napiętą wiatrem, postrzępioną już na skrajach. Nigdy nie zapomniał straszliwego wycia wentylatorów kotłowni, które zasysały masy powietrza do zgłodniałych palenisk. Na maksymalnych obrotach

„Ulisses” gnał przez spienione morze z szybkością, która powinna była rozwalić jego nadwątlony kadłub, która powinna była rozerwać zmęczone turbiny. Trudno było nie domyślić się, co zamierzał

Turner. Pędził tak z szybkością przekraczającą czterdzieści węzłów, aby uderzyć przeciwnika taranem, zniszczyć go i pociągnąć za sobą w głębinę.

Nichols patrzył. Patrzył i nie wiedział, co myśleć. Czuł, jak rwie mu się serce - przecież był

częścią „Ulissesa”, a okręt w tej chwili był częścią jego. Bliscy przyjaciele, a zwłaszcza Kapok-Kid, o którego śmierci Nicholls nie wiedział, również stanowili z nim jedną całość! Okrutne to uczucie, gdy patrzysz na koniec legendy, na jej śmierć; gdy widzisz, jak ginie w odmętach...

Jednocześnie miał poczucie niezwykłej dumy. Legenda „Ulissesa” zbliżała się ku końcowi, lecz ku jakiemu końcowi! Jeśli - jak mówią żeglarze - okręty mają serca i dusze, „Ulisses” na pewno pragnął tak umierać.

Nadal robił czterdzieści węzłów, gdy w dziobie, tuż nad linią wodną, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pojawiła się wyrwa... Pocisk armatni? Możliwe! Chociaż raczej nie... Może torpeda z nie dostrzeżonej jeszcze łodzi podwodnej? Możliwe, że torpeda wyrzucona falą do góry uderzyła w momencie, gdy dziób krążownika zanurzył się w głębie. Zdarzały się takie wypadki - nieczęsto, lecz się zdarzały... „Ulisses” nie zważał na nową ranę. Pędził naprzód.

Nadal robił czterdzieści węzłów. Pędził pod bliskim już ogniem wroga, gdy wyleciał w powietrze magazyn amunicyjny wieży „A”. Z ogłuszającym hukiem rozsadził cały dziób. Na sekundę przedni pokład wyskoczył w górę i zwałił się w dół, głęboko w objęcia fal. Zwałił się w dół i szedł ku czarnym głębinom Oceanu Północnego, gnany wściekłymi obrotami śrub. Turbiny hucząc na pełnych obrotach wykonywały wyrok.

149

ROZDZIAŁ XVIII

Epilog

Było ciepło, przyjemnie i cicho. Po wspaniałym, wysokim błękicie nieba płynęły delikatne puszkii obłoków. Pod oknami zwisały prawdziwe wiszące ogrody. Jak klatki barwnych ptaków mieniły się błękitem i złotem, czerwienią i żółtością kwiatów - delikatnymi pastelowymi kolorami, o których istnieniu Nicholls jakby zapomniał.

Czasem stanął naprzeciw ukwieconych okien staruszek, czasem wiecznie się spiesząca gosposia albo chłopak z roześmianą dziewczyną. Stawali, patrzyli i weselsi szli dalej. Weselsi, bo udzieliła im się radość barw i piękna.

Dźwięcznie i słodko śpiewały ptaki, niepomne na bliski gwar miasta. BigBen1 wybił rozgłośnie godzinę, gdy Johnny Nicholls niezdarnie wysiadł z taksówki i powoli, wspierając się na kulach, wstępował na marmurowe schody. Starannie nadawał twarzy obojętny wyraz. Wartownik zasalutował

i otworzył wielkie drzwi.

Nicholls wszedł do rozległego hallu. Rozglądał się. Po obu stronach widniały szeregi ciężkich, imponujących rozmiarami drzwi. W najdalszym rogu hallu, pod łukowatym sklepieniem schodów stał

kontuar zupełnie taki sam jak w bankach, a nad nim wisiały napisy: „Maszynistki” i „Informacja”.

Nicholls pokuśtykał w tamtą stronę. Stuk kul o marmurową posadzkę rozlegał się monotonie i głośno.

To musi być bardzo wzruszający i melodramatyczny obrazek - beznamiętnie pomyślał Nicholls.

- Zupełnie jak w teatrze. A do tego widownia wie przynajmniej, za co zapłaciła.

Jak na komendę kilka maszynistek przestało pisać. Nie kryjąc zaciekawienia gapiły się na niego, trzymając ręce na klawiaturze. Zgrabna, młodzietka wren2 poprawiając rude włosy podeszła do niego i zapytała:

- W czym mogę pomóc?

Mówiła cicho, a w niebieskich oczach widać było zakłopotanie.

W wiszącym nad nią lustrze Nicholls kątem oka zobaczył swoje odbicie. Poszarpany mundur włożony na szary rybacki sweter; mętne, zapadnięte oczy i wychudłe, blade policzki. Nic dziwnego, że dziewczyna poczuła się nieswojo...

- Jestem Nicholls, porucznik lekarz Nicholls. Miałem zameldować się...

- Porucznik Nicholls z H.M.S. „Ulisses”! - dziewczyna energicznie nabrała w płuca powietrza. -

Tak jest, panie poruczniku! Oczekują pana.

Nicholls spojrział na nią, na maszynistki zamarłe w bezruchu. Dostrzegł ich uparte spojrzenia, pełne podziwu, a jednocześnie strachu. Wyglądały, jakby ujrzały istotę z innej planety. I on nagle poczuł zakłopotanie.

- Na górę? - zapytał, choć nie miał zamiaru mówić tak opryskliwie.

- Nie, panie poruczniku - cichutko szepnęła dziewczyna. - Przejdziemy przez hall. Proszę za mną.

Uśmiechnęła się i szła wolniej, aby mu dotrzymać kroku. Otworzyła jakieś drzwi. Zameldowała go komuś, kogo nie mógł dojrzeć. Gdy wszedł, cicho zamknęła drzwi.

W pokoju siedziało trzech mężczyzn. Jednego z nich Nicholas poznał od razu. To admirał Starr.

Admirał wstał i podszedł, aby przywitać porucznika. Wyglądał znacznie starszej, był bardziej zmęczony niż przy ostatnim spotkaniu, zaledwie przed dwoma tygodniami.

- Jak się pan czuje, Nicholls? - spytał. - Widzę, że jeszcze trudno panu chodzić.

Pod pewną siebie miną krył tanią jowialność, tak nie pasującą do sytuacji. Bez trudu można było dostrzec wyraźne ślady przepracowania i podniecenia.

- Proszę, niech pan siada...

Poprowadził Nichollsa do dużego, pokrytego skórą stołu, za którym, na tle rozwieszonych map, siedziało dwóch mężczyzn. Starr przedstawił ich. Pierwszy: wielki, masywny, o czerwonej twarzy, ubrany był w mundur. Na rękawie jarzyły się cztery szerokie paski admirała floty. Drugi: niski i 1 BigBen - zegar na wieży obok gmachu Parlamentu w Londynie (przyp. tłum.).

2 Wren - popularny skrót od Women's Royal Naval Service (funkcjonariuszka Służby Kobiet Marynarki Królewskiej).

150

barczysty, był w cywilnym ubraniu. Włosy miał przyprószone siwizną, a oczy spokojne, mądre i...

stare. I jego poznał Nicholas - i tak odgadłby, kim on jest... Z ironią pomyślał, że marynarka królewska naprawdę go honoruje... Lecz obydwaj panowie patrzyli na niego i nie witali się. Nicholas zapomniał, że jego widok musiał zrobić niezwykle wrażenie. Wreszcie siwy mężczyzna odchrząknął.

- Jak noga, chłopcze? - spytał. - Wygląda niezbyt dobrze. - Mówił cicho opanowanym i pełnym powagi głosem.

- Dziękuję, nie tak źle - powiedział Nicholas. - Za dwa, trzy tygodnie będę mógł wrócić do służby.

- Dostaje pan dwa miesiące urlopu - tak sarno cicho powiedział siwy mężczyzna. - Więcej, niż pan sobie życzy - uśmiechnął się lekko. - Jeśli ktoś będzie kwestionował, proszę powiedzieć, że ja tak zdecydowałem. Papierosa? - pstryknął wielką stalową zapalniczką, podał ogień i znów usiadł.

Wydało się, że nie wie, co mówić. Nagle spojrzał uważnie na Nichollsa.

- Czy podróż powrotna była wygodna?

- Całkiem. Traktowano mnie jak VIP1. Moskwa, Teheran, Kair, Gibraltar. - Nicholls skrzywił się. -

Znacznie wygodniejsza niż rejs w tamtą stronę - odczekał chwilę, głęboko zaciągnął się papierosem i spokojnie patrzył na rozmówców. - Chociaż wolałbym wracać na „Sirusie”.

- Nie wątpię - zgryźliwie wtrącił Starr. - Ale nie stać nas na to, aby brać pod uwagę osobiste przesady i zachcianki. Czekaliśmy niecierpliwie, aby jak najprędzej dostać dokładne informacje o FR

77, a przede wszystkim o „Ulissesie”.

Nichol s zacisnął dłonie na poręczach fotela. Gniew jak płomień objął go w jednej chwili, lecz wiedział, że patrzą na niego. Powoli opanował się. Pytającym wzrokiem spojrzał na siwego mężczyznę. Ten skinął głową.

- Proszę opowiedzieć wszystko, co pan wie - rzeki uprzejmie. - Wszystko i o wszystkim. Ma pan dużo czasu.

- Od początku?

- Tak, od początku.

Nichol s opowiadał. Chciałby opowiedzieć o każdym drobiazgu, tak jak go widział, jak przeżył osobiście, począwszy od konwoju poprzedzającego FR 77 aż do końca. Robił, co mógł, lecz nie wychodziło to, co chciał. Opowiadanie nie było przekonujące. Przeszkadzał niewłaściwy nastrój i otoczenie. Cóż za kontrast - spokój ciepłutkich pokojów i nieludzki chłód, okrucieństwo Oceanu Północnego. Przepaść między nimi mogło zapełnić tylko doświadczenie. Tu, w sercu Londynu, owa dzika, niewiarygodna historia musiała dźwięczeć fałszywie. Była niepojęta nawet dla jego własnych uszu. W połowie opowiadania spojrzał na słuchaczy i o mało nie przerwał. Niewiarygodne? Nie! Nie w tym rzecz, przynajmniej jeśli chodziło o siwego mężczyznę i admirała floty. Po prostu nie potrafili ani objąć tego wszystkiego myślami, ani nie byli w stanie zrozumieć.

Szło jeszcze jako tako, gdy Nicholls mówił o faktach znanych: o lotniskowcu, który wpadł na mieliznę, i o tych uszkodzonych przez sztorm i miny. Gdy opisywał huragan i rozpaczliwą walkę o życie, stopniowe niszczenie konwoju, straszliwą śmierć zbiornikowców wiozących benzynę; gdy opowiadał o zatopionych łodziach podwodnych i zestrzelonych samolotach, i o tym, jak „Ulisses”

pędził z szybkością czterdziestu węzłów, przebijał śnieżny sztorm i został wysadzony w powietrze przez niemiecki krążownik; o przybyciu eskadry liniowej i ucieczce nieprzyjacielskiego krążownika, zanim mógł on zadać dalsze ciosy; o zbieraniu rozproszonego konwoju i wreszcie o radzieckich myśliwcach, które zorganizowały osłonę powietrzną na Morzu Barentsa, i przybyciu do zatoki Kola smutnych resztek FR 77 - zaledwie pięciu jednostek. Do tej chwili Nicholls czuł, że go rozumieją.

Lecz gdy skończył mówić o łatwych do sprawdzenia faktach, a zaczął opowiadać historie, których nikt nie potwierdzi, czuł, że słuchacze zaczynają wątpić; że ogarnia ich coś bardziej niezwykłego niż podziw i zdumienie. Starł się mówić spokojnie, nie gorączkując się. Opowiedział o Ralstonie, o jego rodzinie i ojcu, o użyciu reflektorów do walki z samolotami; o Rileyu, prowodyrze buntu, który

nie wyszedł z tunelu wału śruby; o Petersenie, który zabił żołnierza piechoty morskiej i sam dobrowolnie oddał swoje życie; o McQuarterze i Chryslerze; o Doyle'u i dziesiątkach innych.

Na sekundę głos mu się załamał, gdy mówił o uratowaniu przez „Sirusa” rozbitków z

„Ulissesa”. Opowiedział, jak komandor Brooks odstąpił swój pas ratunkowy szeregowemu marynarzowi, który jakimś cudem wytrzymał w lodowatej wodzie cały kwadrans; o tym, jak ranny w głowę i rękę Turner podtrzymywał oszołomionego Spicera, póki nie nadpłynął „Sirus”, jak 1 VIP (Very Important Person) - bardzo ważna osobistość.

151

obwiązywał go liną i sam utonął, zanim można się było zorientować, że ginie; jak Carrington - ów żelazny człowiek o niespożytej sile - jedną ręką obejmował kawał belki, a drugą trzymał dwóch marynarzy i wytrwał do przybycia pomocy. Obydwaj marynarze zmarli, a Carrington bez niczyjej pomocy wspiał się po linie na pokład „Sirusa”, przełazi przez reling i wówczas okazało się, że ma urwaną stopę... Carrington musiał ocaleć - był przecież niezniszczalny!... Wreszcie historię Doyle'a: rzucano mu linę, lecz on jej nie chwycił. Oślepl i nie potrafił skorzystać z pomocy.

Nichol s zdawał sobie sprawę, że trzem panom zależy przede wszystkim na wiadomościach o zachowaniu się załogi „Ulissesa”, o zachowaniu się buntowników. Nakreślił więc im obrazy godne podziwu i chwały, lecz oni nie mogli pojąć, że tak postępowali ludzie, którzy chwycili za broń przeciw własnemu okrętowi, a więc i przeciwko królowi. Nicholls próbował wytłumaczyć to, wiedział jednak, że nie osiągnie celu.

Czy warto objaśniać, jak Vallery przemawiał przez radiowęzeł? Jak osobiście odwiedził każdy zakątek okrętu? Co mówił umierając? Jak jego śmierć obudziła w ludziach siły?... To przecież dla tych panów nic nie znaczy...

Nagle pojął, że owo odrodzenie załogi nie może być wytłumaczone ani wyjaśnione, ponieważ cała treść tych przemian zależała od stosunku do Val ery'ego, a Vallery nie żyje.

Nichol s czuł zmęczenie, straszliwe zmęczenie. Wiedział, że nie jest zdrow. Mózg pracował

ociężale, jak we mgle odtwarzając obrazy. Czuł, że zaczyna się plątać. Utracił poczucie kolejności wydarzeń. Wahał się, tracił pewność. Nagle wszystko wydało się bezcelowe. Umilkł. Jak z oddali doleciało do niego pytanie siwego mężczyzny. Odpowiadał wyraźnie, bez namysłu.

- Co pan powiedział?

Siwy mężczyzna patrzył zdziwiony. Potężny admirał floty zaniepokoił się. Nicholls zauważył, że Starr wyraźnie nie daje jego słowom wiary.

- Powiedziałem, że to była najlepsza załoga, jaką los mógł dać kapitanowi - mruknął Nichol s.

- Rozumiem.

Spozwał na nim wzrok starych, zmęczonych oczu. To było wszystko. Palce wybijały werbel na powierzchni stołu. Siwy mężczyzna uważnie patrzył na admirałów i na Nichollsa.

- Uspokój się, chłopcze... Przepraszamy pana na chwilę.

Powstał i wraz z admirałem podszedł wolnym krokiem do dużego okna w niszy po drugiej stronie pokoju. Nicholls nie poruszył się. Nawet nie spojrzął na nich. Bezwładnie siedział w fotelu i wlepił wzrok w podłogę, tam gdzie opierały się ściśnięte kolanami kule.

Od czasu do czasu słyszał szepty. Starr mówił najwyraźniej, cienkim, podniesionym głosem:

„...zbuntowana załoga...”, „nigdy nie byłaby taka sama...”, „...lepiej już tak...” Ktoś odpowiadał

szeptem, lecz tak cichym, że Nicholls nie dosłyszał. Znów zaskrzeczał Starr: „Skończony jako jednostka bojowa...” Siwy mężczyzna, protestując gwałtownie, rzucił kilka zdań, lecz słów nie można było rozróżnić. Po chwili niski, potężny głos admirała floty mówił coś o „zmazaniu win”, a siwy mężczyzna przytakiwał. Starr spojrzął przez ramię na Nicholla. Porucznik wiedział, że teraz mówią o nim. Wydawało mu się, że słyszy słowa „jest chory”, „straszliwy wysiłek”, ale być może tylko tak sobie wyobrażał...

Zresztą nic go już nie obchodziło. Pragnął tylko jednego: jak najprędzej stąd odejść. Czuł się obco w obcym świecie i było mu wszystko jedno, czy uwierzono jego słowom, czy nie. Nie należał do świata tych ludzi, w którym wszystko jest takie normalne, zwykłe i rzeczywiste - a przy tym nieważne, jak w świecie cieni.

Zastanowił się, co powiedziałyby Kapok-Kid, gdyby tu przyszedł. Uśmiechnął się ciepło na wspomnienie przyjaciela. Na pewno nie szczędziłby mocnych słów, bogatych zwrotów, ostrych i bolesnych komentarzy.

Potem pomyślał, co mógłby powiedzieć Vallery. Tu uśmiechnął się inaczej. To byłoby prostsze.

Vallery na pewno rzekłby tylko:

- Nie potępiaj ich, bo nic nie rozumieją.

Stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę, że szepty umilkły. Trzech mężczyzn stało przed nim.

Przestał uśmiechać się i podniósł wzrok. Patrzyli na niego dziwnie. W oczach ich dostrzegł zmieszanie.

- Jest mi straszliwie przykro - odezwał się serdecznie siwy mężczyzna.

- Pan jest chory, a my żądamy zbyt wiele. Może pan coś wypije, poruczniku? Zbyt późno 152



proponuję...

- Dziękuję, nie... sir. - Nicholls wyprostował się w fotelu. - Czuję się zupełnie dobrze. - Zbierał myśli. - Czy... czy mam jeszcze coś...

- Nie, nie. To już wszystko - padła odpowiedź ozdobiona szczerym, przyjaznym uśmiechem. -

Pan był nam bardzo pomocny, poruczniku. Naprawdę jesteśmy wdzięczni. Pańskie sprawozdanie było wspaniałe. Dziękujemy.

Kłamca i dżentelmen - pomyślał z wdzięcznością Nichol s.

Powstał z trudem i chwycił kule. Uścisnął dłoń Starra i admirała floty. Siwy mężczyzna wziął go pod rękę i odprowadził do drzwi. Przy drzwiach Nicholls zatrzymał się.

- Przepraszam, ale od kiedy zaczynam urlop?

- Chociażby od tej chwili - z naciskiem odparł siwy mężczyzna.

- Życzę dobrego urlopu! Zasłużył pan nań rzetelnie... A dokąd pan jedzie?

- Do Henley.

- Henley? Mógłbym przysiąc, że pan jest Szkotem.

- Jestem Szkotem, lecz nie mam rodziny.

- O... więc dziewczyna, poruczniku?

Nichol s przytaknął skinieniem głowy.

Siwy mężczyzna klepnął go po ramieniu i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Jestem przekonany, że piękna...

Nichol s patrzył na niego, a potem na wartownika przytrzymującego już otwarte drzwi. Wsparł się na kulach.

- Nie wiem - rzekł cicho. - Nie wiem. Nigdy jej nie widziałem... Pokuśtykał przez marmurową posadzkę. Minął ciężkie drzwi i wyszedł z gmachu na zalany słońcem świat.

Document Outline

- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??